

Marian Brandys

Kozietulski i inni

Tom pierwszy

Warszawa 1967

Opracowanie graficzne
MIECZYŚLAW KOWALCZYK

Wydanie pierwsze

Mojej żonie
Halinie Mikołajskiej

ZIELONE TECZKI

ytułowy bohater tej książki—pułkownik Jan Leon Hipolit Kozietulski — objawił mi się jako jednostka psychofizyczna i uwarunkowana społecznie dopiero przed paru laty. Stało się to w Krośniewicach pod Kutnem, w gościnnym mieszkaniu—muzeum pana Jerzego Dunin-Borkowskiego, właściciela słynnych na cały kraj zbiorów historycznych.

Do owej wizyty w Krośniewicach dowódca szarży somosierskiej był dla mnie tylko figurą retoryczną w trwającym od wieku sporze o „kozietulszczyznę” — postacią jednego gestu z batalistycznych płócien Januarego Suchodolskiego i z wierszy Teofila Lenartowicza: „Kozietulski, znałem jego, miał konika bułanego, dobył szabli: szwoleżery, hej, wiarusy, dalej w kłusy^ a dobędziem Somosierry! Nie ma strachu dla Mazura, dalej chłopcy, za mną hura!”

Kiedy magister Borkowski położył przede mną na stole pięć zielonych teczek z korespondencją prywatną sławnego kawalerzysty i zaproponował mi wykorzystanie ich do celów literackich — moim pierwszym odruchem było zdumienie graniczące z przestraczeniem. Nie miałem najmniejszej ochoty pisać o Kozietulskim i narażać się na podwójny ostrzał — ze strony chwalców i przeciwników kozietulszczyzny. Onieśmielały mnie archiwalia sprzed półtora wieku, nie tknięte jeszcze ręką zawodowego historyka. Wyciąganie na światło dzienne prywatnych spraw konnego bohatera pachniało „szarganiem świętości”, a jednocześnie wy-

dawało się absolutnie niepotrzebne. Czyż Kozietulski nie istnieje w świadomości narodowej wyłącznie po to, aby szarżować na Somosierrę? Reszta nie powinna nikogo obchodzić. Tak jak nie obchodzi nikogo, co jadł na śniadanie Mickiewiczowski

Konrad przed wygłoszeniem Wielkiej Improwizacji.

Ale pokusa tkwiąca w zielonych teczkach okazała się silniejsza od moich oporów wewnętrznych. Zabrałem się do studio-wania dokumentów. Było tego sporo. Kilkadziesiąt francuskich listów z lat 1807–1812, pisanych przeważnie do ukochanej siostry Klementyny Walickiej, rezydującej w Małej Wsi pod Grójcem; korespondencja otrzymywana w tym samym czasie od najróżniejszych osób, często bardzo znanych i bardzo dostojnych; manuskrypt pracy pt. Przepisy jeżdżenia na koniu i robienia pałaszem i lancą dla lekkiej kawalerii; trochę papierów z okresu Królestwa Kongresowego...

W miarę przebijania się przez staroświecką, nie zawsze łatwą do odczytania francuszczyznę Koziętulskiego, moje skrupuły nikły, a zakłopotanie ustępowało miejsca rozkosznej emocji. Odnajdywałem w listach nazwiska starych znajomych z powieści historycznych Wacława Gąsiorowskiego 'Huragan i Szwoleżerowie Gwardii. Z pożółkłych kartek, drobniutko zapisanych zrudziałym atramentem, wyłaniali się bohaterowie moich pierwszych wzruszeń historyczno-literackich: pułkownik Wincenty Krasiński, wąsaty „papa” Dautancourt, szef szwadronu Tomasz Łubieński, kapitan Jan Nepomucem Dziewanowski, bracia Hemplowie, Florek i Marcelek Gotartowscy... Dowiadywałem się od najbardziej miarodajnego świadka o ich bojach i trudach marszowych, oglądałem ich, kiedy nocami wjeżdżali na kwatery do zdobytych miejscowości hiszpańskich, holenderskich, belgijskich, niemieckich, budząc ze snu mieszkańców skoczną melodią „marsza trębaczy” Pierwszego Pułku Szwoleżerów:

Witamy was
Witamy was
Jezeliscie nasi

Kochajcie nas
Kochajcie nas

Witamy was
Witamy was
Jezeliscie wrog
Szanujcie nas
Szanujcie nas

Do zwycięstw przywykli
Wkraczamy do was
Obejście względne
Żądamy po was

A wy się nic złego
A wy się nic złego
Nie bójcie odnas\

Do zwycięstw przywykli
Wkraczamy do was
Polacy po świecie
Wojujemy was\

My za Polskę naszą
I za sławę naszą
Wojujemy was...

Żywo przemawiają do wyobraźni i uczuć dzisiejszego czytelnika te listy żołnierza wielkiej wojny sprzed półtora wieku. Odór sanctitatis miesza się w nich z zapachem stajni i żołnierskiego potu, wielka polityka, patriotyzm, honor – z kłopotami dnia powszedniego. Miotany po świecie, szwoleżer napoleoński donosi siostrze spod Grójca o wszystkim, co może ją zainteresować. Informuje ją jednym tchem o historycznych bitwach i najświeższych modach, lansowanych przez elegatki paryskie; pisze o podbijaniu obcych krajów i braku gotówki na kupno konia i munduru; o zamiarach Napoleona wobec Polski i kombinacjach handlowych między Paryżem a dworami ziemiańskimi

w Grójeckiem. Zdobywca Somosierry źle nie wychodzi na swoim „odbrązowieniu”. Malowany szwoleżer z obrazka zmienia się w żywego człowieka z krwi i kości – bliskiego nam, zrozumiałego, niekiedy zadziwiająco współczesnego.

Lektura korespondencji krośniewickiej wprowadziła mnie ponownie w czasy, tak dobrze znane memu pokoleniu z popularnych powieści dla młodzieży. Co drugie zdanie listów nasuwało mi skojarzenia ze sławnymi postaciami i zdarzeniami tego okresu. Każdą informację Kozietulskiego musiałem konfrontować z relacjami współczesnych mu pamiętnikarzy, z wiadomościami ze starych gazet, z sądami historyków. Ani się też spostrzegłem, jak te listy, wspomnienia, komentarze i „doniesienia” prasowe ułożyły się w sporą, nieco rozwichrzoną kronikę-opowieść o epoce napoleońskiej, oglądanej oczami ówczesnych Polaków.

Staralem się, aby głównym narratorem i bohaterem tej opowieści był sam Kozietulski. Niestety – luki w materiałach krośniewickich są tak poważne i zasadnicze, że nie udało mi się tego dokonać. Dla wypełnienia pustych miejsc w dokumentacji, trzeba było wezwać na pomoc cały pułk szwoleżerów oraz wiele innych osób: wojskowych i cywilnych.

Zanim dopuszczę do głosu Jana Leona Hipolita i jego współczesnych, muszę przeprowadzić czytelników przez spleątany, rozległy gąszcz prologu, który poprzedził właściwą epopeję.

]jp B ® Sa © ^

ZABAWY PANICZÓW

trzeciego maja 1803 roku – w dwunastą rocznicę uchwalenia Konstytucji Majowej – z inicjatywy byłego marszałka Sejmu Wielkiego, Stanisława Małachowskiego, w teatrze Pomarańczami warszawskiej odbyło się „bardzo wspaniałe przed-

stawienie" utworu dramatycznego pt. Zaślubiny Mieszka z Dąbrówką. Sumienny kronikarz stołeczny zanotował, że „przedstawienie zakończyło się deklamacją ślicznej panienci z anielskimi skrzydełkami i anielską postacią...” Tą miłą dzieciną była Joanna Grudzińska – późniejsza księżna łowicka. Interesujący sam przez się patriotyczny debiut przyszłej małżonki wielkiego księcia Konstantego nie ma jednak dla naszej opowieści istotnego znaczenia. Ważny natomiast jest fakt, że męską rolę tytułową w widowisku odtwarzał, przybyły niedawno ze swych dóbr podolskich, dwudziestoletni staroście opinogórski, Wincenty Krasiński.

Ten „urodziwy, przyjemny, pełen nadziei młodzieniec” – jak go określał ówczesny recenzent teatralny – odniósł w roli księcia Mieszka sukces podwójny. Zebrał wiele braw od wytwornej publiczności warszawskiej oraz zdobył na zawsze serce i rękę jednej z najbogatszych panien w Polsce. Była nią pasierbica sędziwego marszałka Małachowskiego – Maria Urszula Radziwiłłówna. Właśnie po tym przedstawieniu inteligentna i nadzwyczaj popularna w towarzystwie warszawskim księżniczka zdecydowała się wyjść za mąż za „chłopczyka” –jak nazy-

13

wała pieszczotliwie młodszego od siebie o cztery lata adoratora. Ślub Krasińskich odbył się we Lwowie w cztery miesiące później –13 września 1803 roku. Warto jeszcze zapamiętać, że oblubienicę prowadziła do ołtarza jej najbliższa przyjaciółka, księżna Anna Sapieżyna, która bezpośrednio po uroczystościach weselnych wyjechała ze swym mężem – księciem Aleksandrem – na stały pobyt do Paryża.

Przy wertowaniu starych kronik szczególną przyjemność sprawia spajanie w łańcuch przyczyn i skutków zdarzeń odległych i na pozór nie mających z sobą nic wspólnego. Otóż w danym wypadku ośmielam się twierdzić, że ślub Wincentego Krasińskiego z Marią Radziwiłłówną oraz przyjaźń księżniczki z Sapieżynami – fakty na pozór wyłącznie towarzyskie – miały dalekosiężne konsekwencje polityczne i... militarne. Nie wiadomo, czy bez tego ślubu i bez tej przyjaźni powstałby w cztery lata później pułk polskich szwoleżerów gwardii napoleońskiej i czy doszłoby w ogóle do szarży somosierskiej – a w każdym razie, czy brałby w tej szarży udział specjalnie nas obchodzący Jan Leon Hipolit Koziętulski.

Rok 1803 –jak zgodnie stwierdzają pamiętnikarze i historycy – był dla ziemiaństwa polskiego w zaborze pruskim rokiem szaleńczych zabaw. „Młodzież tutejsza jest w tej chwili bardzo hałaśliwa, bo powróciła znowu do złego tonu picia od rana do wieczora” – biadał w liście do przyjaciela jeden z moralistów warszawskich. Kronikarz owych czasów ujmował rzecz szerzej i bardziej ogólnie: „Nie było miasteczka bez kasyna, nie było jarmarku bez składkowych balów. Warszawa przodowała w użyciu. W kasynach spotykały się wszystkie klasy społeczne:

magnaci, szlachta prowincjonalna, a nawet Prusacy. Młodzież grała w karty, piła do upadłego, urządziła w nocy pijackie burdy,

napadała na spokojnych przechodniów, na policjantów, na patrole pruskie, tłukła szyby, zdierała szyldy etc".

Kronikarze ówcześni skłonni byli określać ten zaraźliwy szal użycia jako „tańce na grobie ojczyzny”, dzisiejszy psychosocjolog dopatrzyłby się w nim raczej przejawów frustracji du-

14

chowej, rozpaczliwej dążności do kompensacji cierpień, zawiedzionych nadziei, przymusowej bezczynności oraz braku perspektyw na przyszłość.

Sytuacja wydawała się beznadziejna. Kraj był rozdarty na trzy zabory i okupowany przez obce wojska. Warszawa – zdegradowana do rzędu prowincjonalnych miast pruskich. W urzędach, sądach i szkolnictwie panował język niemiecki. Patriotycznie rozkołysana powstaniem kościuszkowskim, stolica specjalnie dotkliwie odczuwała ucisk nasłanej z Berlina administracji. Widoki na rychłe wyzwolenie rozwiały się. W całej Europie notowano gwałtowny odpływ fali rewolucyjnej. Po podpisaniu przez Francję traktatów pokojowych: w Luneyville – z Austrią, w Paryżu – z Rosją i w Amiens – z Anglią świat zastygł w martwocie powszechnej pacyfikacji. Na wojsko polskie na zachodzie nie było co liczyć, praktycznie już nie istniało. Od czasu do czasu docierały do Warszawy grupki wynędzniałych, schorowanych i śmiertelnie rozżalonych na Francję, niedobitków znad Trebbii, spod No vi i z piekła San Domingo. Generał legionowy Amilkar Kosiński, bezpośrednio po powrocie do kraju, pisał do Dąbrowskiego: „Niepodobna wyrazić, jak bardzo Francuzi są tu znienawidzeni... starczy wymówić słowo Francuz, by wywołać złorzeczenia...” Sam Dąbrowski, który miał przywieść wolność „z ziemi włoskiej do Polski”, wegetował w Abruzzach w środkowych Włoszech i – uhonorowany przez Bonapartego całkowicie już tytułarną godnością „inspektora wojsk polskich” – trudnił się policyjnym nadzorem nad bandami rozbójników górskich. Z przeszło dwudziestotysięcznych Legionów ocalały zaledwie dwa pułki, pędzące gorzki żywot kondotierów na żołdzie włoskim. Zwycięski wódz Republiki Francuskiej – o którym prorokowano, że „zetrze despotów niedołączne gniewy, od Tagu wolność szerząc aż do Newy” – zajęty był urządzaniem własnych spraw i zabiegał dla nich o względy koronowanych despotów starej Europy;

po przybraniu tytułu dożywotniego Pierwszego Konsula, przygotowywał się do ostatecznego przekształcenia Republiki w ce-

15

sarstwo i nie miał czasu ani ochoty na „wojny wyzwolenicze”. Zanosilo się na długi, okrutnie długi pokój.

W tej beznadziejnej sytuacji politycznej na ziemiaństwo polskie zaboru pruskiego spadł złoty deszcz nie znanego przedtem dobrobytu. Prusy inkasowały zyski z kilku lat swojej neutralności. Po podpisaniu traktatów pokojowych ruch w portach gdańskim i szczecińskim ożywił się niesłychanie. Wygłodzona

długą wojną, Europa łaknęła chleba. Ceny zboża zwyżkowały z dnia na dzień, a wraz z nimi rosła także wartość rynkowa polskich majątków ziemskich w zaborze pruskim. Ziemianie z Poznńskiego, Kaliskiego, Łęczyckiego i pruskiej części Mazowsza w krótkim czasie z ludzi średnio zamożnych zmieniali się w bogaczy.

Ziemia drożała, pieniądz taniał, było za co się bawić. Rząd pruski dokładał wszelkich starań, aby nowym bogaczom ułatwić upłynnienie ich bogactw nieruchomości. Na Warszawę rozpoczął się formalny najazd przedstawicieli banków berlińskich. Agenci pruskiego kapitału skwapliwie wyrabiali swoim polskim klientom nisko oprocentowane kredyty pieniężne, które zapisywano na wprowadzonych w roku 1797 hipotekach ziemskich.

Ze strony Berlina była to długofalowa gra polityczna. Na sześćdziesiąt lat przed Bismarckiem stosowano zasady bismarckowskiej polityki wyłączeniowej. Rząd pruski, zdając sobie sprawę z przejściowego charakteru wydętej koniunktury zbożowej, liczył na to, że w przyszłości przeciążone długami hipoteki spowodują całkowitą ruinę ziemian polskich i wydadzą ich majątki w ręce niemieckie. Ale jednoroczni bogacze nie wybiegali wzrokiem w przyszłość. Pozorne wzbogacenie wywoływało u nich od razu przesadną podwyżkę stopy życiowej. Ludzie – szczególnie młodzi – chętnie pożyczali sobie pieniądze i jeszcze chętniej trwonili je na hulanki. Bawili się, pili, grali w karty aż do zupełnego odurzenia i zapomnienia o wszystkim.

W rozbawionym świecie warszawskim ośrodkiem najbardziej eksponowanym i najbardziej „sfrustrowanym” był pałac Pod

16

Blachą – dwór ks. Józefa Poniatowskiego. Młodszy bratanek ostatniego króla polskiego powrócił do Warszawy z emigracji powojennej dopiero w roku 1798. Sześć lat poprzednich było dla niego okresem nieustannych konfliktów moralnych i niepowodzeń życiowych.

W roku 1792 powołany przez Stanisława Augusta, z pominięciem starszych generałów, na naczelnego wodza Wojsk Koronnych w ostatniej kampanii Rzeczypospolitej – pomimo braku doświadczeń, potrzebnych na tak odpowiedzialnym stanowisku – wywiązywał się ze swych obowiązków wcale nie najgorzej, a w bitwie pod Zieleńcami odniósł poważny sukces militarny. Po przystąpieniu króla do Targowicy, zachował się w sposób przynoszący mu zaszczyt. „Najjaśniejszy Panie – pisał z obozu wojskowego do stryja – gdyby były wyrazy dość mocne na okazanie ci rozpacz, którą dusza moja napełnioną została, wybrałbym je wszystkie... wielki Boże, czemuż doczekałem się tego dnia nieszczęśliwego! Mógłżebym wahać się, Najjaśniejszy Panie, wybrać raczej chwalebny zgon!”

Mówiono, że przed ogłoszeniem wojsku postanowień warszawskich chciał popełnić samobójstwo. Potem uchwycił się desperackiej myśli, żeby prowadzić walkę orężną, wbrew rozkazom

rządu. Przerażony król odwoził bratanka od tego zamiaru rozpaczliwymi zaklęciami: „Jeśli broń Boże... będziesz się przy tym upierał, co mi piszesz, jestem zgubiony, a co więcej, państwo jest zgubione... Zaklinam cię na przywiązanie i wdzięczność, jaką mi jesteś winien, jeśli nie chcesz być przyczyną mojej śmierci, bo tego nie przeżyję... Na Boga... Pepi, Pepi, pamiętaj, że tu chodzi o mój honor, o moje życie, co więcej, o całe państwo". Pod naciskiem szantażu uczuciowego wola księcia osłabła. Stary lekkomyślny król od trzydziestu lat zastępował mu ojca, był najczulszym opiekunem i przyjacielem, gorąco przezeń kochanym. Jego cierpienia odczuwał ksiązę jak własne.

Kiedy lewica patriotyczna w osobach Kołłątaja, generała Zajączka i grupy radykalnie nastawionych oficerów wystąpiła z projektem porwania króla i dokonania zamachu stanu – od-

2 – Koziński t. I 17

'mówił udziału w 'konspiracyjnej akcji. Tym jednym aktem solidarności rodzinnej pograżył się w opinii patriotów i przekreślił swoje poprzednie zasługi. Próbował to odrobić. Jego późniejsze uczynki, a przede wszystkim listy pisane w następnych miesiącach do króla przetrwały do dzisiaj jako świadectwo patriotyzmu i wielkiego serca. Każdemu innemu chwilową słabość by wybaczone –jemu nie, bo należał do rodziny Poniatowskich. Potępiony przez patriotów, prześladowany przez Targowicę i carskich czynowników, dręczony historycznymi naleganiami stryja, musiał wyjechać na emigrację. Najpierw do Wiednia, a wypłoszony stamtąd intrygami targowiczian – do Brukseli.

W Brukseli – która była wtedy siedzibą głównej kwatery armii koalicyjnych oraz azylem europejskiej reakcji – ksiązę uchoźca wpadł w złe towarzystwo. Podróżując jako prywatny voyageur i nie czując się skrępowany żadnymi względami reprezentacyjnymi, bez skrupułów odświeżył znajomości z dawnymi kolegami z korpusu wiedeńskiego, wysokimi oficerami sztabu austriackiego. Ponadto nawiązał niefortunny romans z emigrantką francuską, Henriettą Puget-Barbentane hrabiną de Yauban, kobietą błyskotliwie inteligentną, przyjaciółką głoźnej pisarki baronowej de Stael, ale zacieklą rojalistką i urodzoną intrygantką. Wieść o tych podejrzanym koneksjach brukselskich byłego wodza, przekazana natychmiast pocztą pantoflową do kraju, nie przywróciła mu popularności u rodaków.

Na pierwszą wiadomość o wybuchu powstania krakowskiego powrócił do ojczyzny. Przyjęto go nieufnie. Kiedy w cywilnym stroju podróżnym stanął w Krakowie przed Kościuszką, stary Naczelnik powitał go mroźnym pytaniem: „Czego ksiązę sobie życzysz?" Odpowiedział bez namysłu: „Służyć prostym żołnierzem". Kościuszce spodobała się odpowiedź i zaproponował mu komendę litewską. Ale księciu nie było spieszno na Litwę, chciał się „rehabilitować" przed dawnymi podwładnymi z Wojsk Koronnych. Poprosił o pozwolenie na wyjazd do Warszawy.

Po przyjeździe do stolicy, po dramatycznej rozmowie ze stryjem, zgłosił się jako ochotnik do wyruszającej na front pruski

dywizji Mokronowskiego i odegrał pewną rolę w szczęśliwych potyczkach pod Błoniem. Ale po klęsce pod Szczekocinami dobra karta się odwróciła.

, W miarę pogarszania się sytuacji na frontach i narastania nastrojów rewolucyjnych w Warszawie – położenie generała z rodziny królewskiej stawało się coraz trudniejsze. Odżyły dawne nieporozumienia między księciem a radykalną grupą Kołłątaja. Do szczególnie ostrych zatargów politycznych dochodziło z generałem Zajączkiem, który jako prezes Kryminalnego Sądu Wojskowego był niestrudzony w tropieniu kowców antyrewolucyjnych. Synowiec królewski starał się przeciwstawiać terrorystycznym tendencjom radykałów powstańczych, radykałowie oskarżali go o przynależność do „fakcji dworskiej”, a nawet o „zbrodnię kontrrewolucji”.

Kościuszko osłaniał jak mógł Poniatowskiego swoim autorytetem. Po odesłaniu na Litwę Mokronowskiego, oddał księciu komendę korpusu, powierzając mu obronę stolicy na ważnym odcinku od Powązek do Młocin. I właśnie tam ks. Józef poniósł jako dowódca swoją najdotkliwszą porażkę, która skompromitowała go ostatecznie w oczach przeciwników.

Pisze o tym biograf i apologeta księcia, Szymon Askenazy. „W drugiej połowie sierpnia Prusacy, rozpoznawszy słabe strony pozycji Poniatowskiego, przypuścili do niej całą siłą niespodziewany atak nocny, opanowali Góry Szwedzkie i Wawrzyszew. Zdobyli baterię z ośmiu dział. Była w tym po części wina podwładnego dowódcy baterii na Górach Szwedzkich, lecz po części także błąd taktyczny i nieopatrność Poniatowskiego, który nadto przypadkiem w chwili rozpoczęcia ataku nie był przytomny (obecny). Gdzie był tej nocy, próżno by dociekać, próżno złe plotki sprawdzać; tyle pewne, że po pierwszych wystrzałach znalazł się natychmiast na stanowisku, walczył do dnia, miał konia pod sobą postrzelonego, mundur i kapelusz przeszyte kulami, odniósł lekką kontuzję. Rozpacz jego wedle świadków była nadzwyczajna. Rozumiał, że ze stratą szanów i armat tracił resztę powagi, że jemu nic nie będzie darowane. Istotnie,

zawsąd podniosły się na niego gwałtowne oskarżenia i wyrzuty, poszedł odgłos potwarczy aż daleko za granicę. Usunął się na-
zajutrz książę, głęboko dotknięty, zdawszy dowództwo Dąbrowskiemu...”

W ostatnich dniach powstania, po Maciejowicach – przywrócony do dowództwa korpusu, nie zdołał już zrehabilitować się za tę fatalną noc marymoncką. Przeciwnie – końcowa faza kampanii okazała się dla niego nieszczęśliwa i pogłębiła jeszcze otaczającą go niechęć i nieufność.

Po upadku powstania w zajętej przez Suworowa Warszawie – stał się znowu celem rozpaczliwych szturmów ze strony nieszczęsnego króla. Stanisław August wyjeżdżał do Grodna, gdzie

ostatecznie miały się rozstrzygnąć jego losy, i za wszelką cenę pragnął tam zabrać z sobą ukochanego bratanka. Błagał go, straszył, uciekał się nawet do presji materialnej. Tym razem bratanek nie uległ solidarności rodzinnej. „Życie stałoby się dla mnie ciężarem, gdyby nie towarzyszyło mu wewnętrzne poczucie, że nie mam sobie do wyrzucenia nikczemności” – odpisał stryjowi i do Grodna nie pojechał. Postanowił przeczekać złe czasy w pobliżu stolicy, w odziedziczonej po stryju-prymasie Jabłonnie. Uniemożliwiono mu to. Znękany szykanami i denuncjacjami władz okupacyjnych, rozstrojony coraz tragiczniejszymi listami z Grodna, zdecydował się powtórnie opuścić kraj. Wyjechał do Wiednia i spędził tam trzy lata w kompletnym oderwaniu od spraw polskich.

W roku 1798 śmierć króla i konieczność załatwienia formalności spadkowych wezwały go do Petersburga. Cesarz Paweł – który z konsekwencją nie tyle liberała, co chorobliwego maniaka odwoływał wszystkie zarządzenia znienawidzonej matki – przywrócił polskiemu infantowi skonfiskowane dobra, obdarzył go godnością przeora Zakonu Maltańskiego i polecił wpisać na „rang-listę” rosyjskich generałów. Wieść o serdecznym przyjęciu księcia przez głównego zaborcę – wraz z pełnym wykazem dobrodziejstw petersburskich – obiegła natychmiast wszystkie ośrodki patriotów polskich w kraju i za granicą. Jak się łatwo

20

domyślić, i tym razem komentarze nie były dla Poniatowskiego przychylne.

Z Petersburga powrócił do pruskiej Warszawy i osiadł na stałe w ojczyźnie. Generalny spadkobierca stryja-króla i stryja-prymasa był teraz człowiekiem bogatym. Jego nazwisko szybko przestało razić warszawiaków. Większość mieszkańców okupowanej od trzech lat stolicy witała w osobie najmłodszego przedstawiciela rodziny królewskiej przypomnienie czasów dawnej świetności i niepodległej Rzeczypospolitej.

Bogactwo i szczodrość 37-letniego księcia, jego wysoka godność wojskowa, szlachetność, niewysłowiony urok osobisty – a także jego okrzyczana skłonność do miłostek i hulaszczego życia – rychło skupiły wokół niego liczny zastęp pieczeniarzy, pochlebców, pięknych kobiet i młodych birbantów. Do kompanii książęcej garnęli się również rozbitkowie dawnego wojska polskiego, których nieszczęsny wódz otaczał najczulszą opieką i wiązał z sobą iście monarszymi subwencjami.

Rządy nad trzema rezydencjami ks. Józefa: pałacem Pod Blachą, Łazienkami i Jabłonką, objęła jego oficjalna faworyta (maltresse a titre) – wspomniana już hrabina de Vauban, która zjechała do Warszawy w ślad za przyjacielem. Dama ta, „wysuszona jak gruszka”, schorowana i kapryśna, doprowadzała do szału panie warszawskie swoją wyniosłością i królewskim sposobem bycia. „Można by rzec, iż książę Józef stawia swoje metresy na wysokości metres Ludwika XIV” – pisała z oburzeniem do przyjaciółki Maria Urszula Radziwiłłówna, późniejsza żona Wincentego Krasińskiego.

Pod przewodnictwem pani de Vauban dwór Pod Blachą ukształtował się w potężną koterię towarzyską, nadającą ton całej modnej Warszawie. Towarzysze zabaw księcia dla przypodobania się patronowi nosili „mundury przyjacielskie” w barwach jego domu: zielone, żółto podszyte fraki o czarnych kołnierzach i złożonych guzikach z wizerunkiem konia i z napisem „Jabłonna”. W krótkim czasie uniform Blachy stał się przedmiotem westchnień całej złotej młodzieży warszawskiej, a postra-

21

chem i symbolem wszelkich nieprawości dla ludzi spokojnych i zdrowo myślących.

Zimą w pałacu Pod Blachą, a w sezonie letnim – w Łazienkach i w Jabłonie hulano do białego rana, kochano się, grano w faraona o grube stawki i oglądano „obrazy żyjące”, w których najgłośniejsze piękności stolicy rywalizowały z sobą urodą i wdziękiem. Najważniejszą figurą na tych zebraniach towarzyskich była pani de Vauban. Despotyczna faworyta narzuciła otoczeniu księcia język i obyczaje wyłącznie francuskie, a pałac Pod Blachą, Łazienki i Jabłonne zapełniła całą rzeszą utytułowanych emigrantów wersalskich, wśród których znalazło się sporo oszustów i pospolitych wydrwigroszów. Warszawscy patrioci głośno wyśmiewali tę „chorobę francuską” dworu Poniańskiego. Wielkie powodzenie zdobył sobie aluzyjny wierszyk poety Ludwika Osińskiego, sekretarza Towarzystwa Przyjaciół Nauk powstałego w roku 1800: „Jeszcze Polak po polsku i pisze i czyta, bo nie cała Warszawa jest blachą pokryta”.

Blacha robiła także wypadki na miasto. Młodzieńcy w zielonych frakach z napisem „Jabłonna” ucztowali w restauracjach Nestego, Gašiorowskiego i Rozengarta, a następnie demolowali urządzenia tych lokali i wyprawiali najdziksze swawole na ulicach i w teatrach. Książę płacił za wszystko i płacił podwójnie:

pieniężmi i własną reputacją.

Byłemu wodzowi odpowiadała niezdrowa atmosfera dworu Pod Blachą, topił w niej gorzką pamięć o przeszłości. W ucieczce przed wspomnieniami trwonił ogromne sumy na bandę rozhulanych dworaków, romansował z piękną panią Czosnowską, pisywał wierszyki dla uroczej pani Cichockiej, grał w faraona i... nadal narażał się opinii publicznej.

Ale zapomnieć o przeszłości mu nie pozwolono. Wkrótce do zarzutów natury moralno-obyczajowej przyłączyły się zarzuty polityczne. Te były o wiele boleśniej. Na gospodarza pałacu Pod Blachą zwała się lawina oskarżeń ze strony dawnych towarzyszy broni, wybitnych generałów polskich, przebywających na emigracji.

22

Zaczęło się od głośnego Przyczynku Dąbrowskiego – rozchwytywanego przez publiczność i fachowców wojskowych –

w którym twórca Legionów z powagą i surowością osądzał postępowanie bratanka królewskiego w czasie rewolucji 1794 roku. Potem dotarła do kraju namiętna, podszyta osobistą nienawiścią do Poniatowskiego, Historia pióra generała Józefa Zajączka. W książce tej – która „zrobiła na umysłach największą impresją” – dawny prezes trybunału rewolucyjnego obrzucał przeciwnika politycznego jadowitymi inwektywami, odmawiał mu wszelkich talentów i zasług, kwestionował nawet jego bezsporny sukces w bitwie pod Zieleńcami. Jako trzeci oskarżyciel wystąpił w tej kampanii rozrachunkowej powszechnie szanowany generał Karol Kniaziewicz. Nie wymieniając księcia z nazwiska, Kniaziewicz ranił go najdotkliwiej. „Ponieważ generałowie nasi niektórzy mieli przywiązanie do królów – pisał były dowódca Legii Naddunajskiej – wszystkiemu zatem byli przeciwni, co stwarzała rewolucja... zamiast zachęcania ludu, gardzili bronią i ludem... Życzyłbym, aby żadnego nie używać generała do obrony wolności, który do niej przywiązany nie jest...”

Do reszty pogrążył się ks. Józef w oczach warszawiaków swoim wyjazdem do Berlina w roku 1802. Pojechał tam z musu, szukać sprawiedliwości i obrony przed nadużyciami administracji okupacyjnej, która złośliwymi sekwestrami uniemożliwiała mu uporządkowanie rozległej schedy po Stanisławie Augustie. Ponieważ rząd pruski zabiegał w tym czasie o względy magnatów polskich, petenta z Warszawy powitano z honorami należnymi księciu krwi. Opowiadano ponadto, że piękna królowa Luiza zadurzyła się w rycerskim Polaku. Król Fryderyk Wilhelm III nie uchylił wprawdzie sekwestrów warszawskich, ale w zamian za to przyznał Poniatowskiemu stałą pensję ze swojej prywatnej kasy oraz obdarzył go dwoma najwyższymi odznaczeniami pruskimi: Orderem Czerwonego Orła i Orderem Orła Czarnego,

W Warszawie – niepokojonej wybrykami Blachy i rozczuwającej się w pismach Dąbrowskiego, Zajączka, Kniaziewicza – zawrzało. Pensję i ordery berlińskie zestawiono natychmiast

23

z donacjami petersburskimi i z wiedeńską przeszłością Poniatowskiego. Patrona rozwydrzonej Blachy okrzyczano faworytem i „pensjonalistą” trzech mocarstw zaborczych. „Nie było też niepopularniejszej w Polsce osoby za pruskich czasów – stwierdza kronikarz warszawski – jak przyszły bohater spod Raszyna, Możajska i Lipska”.

Ze szczególnym zainteresowaniem i troską komentowano ujemne opinie o ks. Józefie podczas obiadów „piątkowych” u starego marszałka, Stanisława Małachowskiego. Jeżeli bowiem pałac Pod Blachą był sercem warszawskiego życia towarzyskiego – to pałac Małachowskich na Krakowskim Przedmieściu (dzisiejszy gmach Akademii Sztuk Pięknych) śmiało mógł uchodzić za siedzibę sumienia obywatelskiego Warszawy. Na chudziutkie i sztywne obiady u „polskiego Arystydesa” ściągająca co piątek cała patriotyczna i intelektualna elita stolicy. Przychodzili tu

„odetchnąć czystym powietrzem” zasłużeni działacze Sejmu Wielkiego, dawni oficerowie legionowi, członkowie Towarzystwa Przyjaciół Nauk; Stanisław Sołtyk, Tadeusz Czacki, ks. Stanisław Staszic, poeta Ludwik Osiński, zaglądali tu podczas swego pobytu w Warszawie: Józef Wybicki oraz „przybylec z Ameryki” Julian Ursyn Niemcewicz.

Pod laską marszałkowską dostojnego gospodarza wspomiano stare czasy i rozważano perspektywy przyszłości. Wystrzegano się jednak pilnie, aby nie wykraczać poza reformistyczny program Konstytucji 3 Maja, gdyż „polski Arystydes” był gwałtownym przeciwnikiem wszelkich radykalnych nowinek i wcale tego nie ukrywał. W Warszawie opowiadano sobie po cichu, że „marszałek Staszica raz za drzwi wyprosił, gdy ów upierał się stawiać naprzeciw jego opinii zasady demokratyczne, oparte na Umowie Społecznej Russa”.

Rzecz prosta, że na takich zebraniach obywatelskich poświęcano niemało czasu sprawom młodzieży. Ubolewano nad upadkiem jej obyczajów, oburzano się na szaleństwa awanturników spod Blachy i miotano gromy na ich protektora – księcia Józefa. Najostrzej występował przeciwko Poniatowskiemu mło-

n

dziutki mąż pasierbicy Małachowskiego – Wincenty Krasiński.

Dumny, ambitny i próżny staroście opinogórski – wnuk rodziny i stryjeczny przywódców konfederacji barskiej: Michała i Adama Krasińskich – od najmłodszych lat uważał się za naturalnego dziedzica barskich tradycji wolnościowych i republikańskich. W roku 1798 – jako chłopiec piętnastoletni – nawiązał był stałą korespondencję z przebywającym w Paryżu Tadeuszem Kościuszką i w dowód uwielbienia dla wodza insurekcji przesłał mu w darze... służącego Murzyna. Naczelnik – ujęty patriotycznymi deklaracjami Krasińskiego – przyjął ten oryginalny prezent z dobrą miną, co młodego arystokratę utwierdziło jeszcze w poczuciu swego posłannictwa.

Zapał patriotyczny Krasińskiego na razie wyładowywał się głównie w zwalczaniu Blachy. Spadkobierca tradycji barskich był „dziedzicznie obciążony” niechęcią do całej rodziny Poniatowskich, ale do właściciela pałacu Pod Blachą miał poza tym jakieś urazy czysto osobiste. Pisze o tym wyraźnie w swoich pamiętnikach kuzyn i przyjaciel Wincentego – Józef Krasiński:

„...Nie wiadomo powodów, dlaczego z księciem Józefem żył zawsze na stopie li grzecznej obojętności i wszędzie, już w wystawie, już w pompie, starał się go jeżeli nie przewyższyć – to przynajmniej dorównać mu w okazałości domowej, dworszczyźnie i prawie w zbytkach. Nie cierpiał on otaczających księcia schlebiaczy i poniżając na każdym kroku Poniatowskiego marnotrawstwo, w miejsce liberalnych służalczych jego znaków otaczał się towarzystwem wyborowem obywateli, którym wskazywał dążenia wyższe, szlachetniejsze...”

Po związaniu się z powszechnie szanowanym domem Małachowskich, dwudziestoletni Wincenty Krasiński nadał swojej niechęci do Blachy charakter konspiracji patriotycznej. Skupiwszy wokół siebie grono młodych arystokratów, swoich najbliższych przyjaciół i rówieśników: Józefa Krasińskiego, Ludwika Paca, dwóch Małachowskich oraz trzech braci Łubieńskich, synów późniejszego ministra Księstwa Warszawskiego,

25

*

utworzył wraz z nimi tajne Towarzystwo Przyjaciół Ojczyzny i mianował się jego prezesem.

„Zgromadzając się co wieczór na partyjkę kart, po wieczerzy miewali narady krótkie lub dłuższe – pisze członek-założyciel Towarzystwa, Józef Krasiński. – I gdy się uregulował plan rozległy, a członków przybywało coraz więcej, wszyscy zrzekli się zbytków, nawet w ubiorach, przywdzieli czarne fraki, mosiężne lakierowane guziki czarne z godłem kotwicy i napisem «nadzieja». Im bardziej wycierał się lakier (i jaśniejszy stawał się napis), tem bliższy był kres wydobycia kraju z żałoby. Gdy zgromadzenie powiększyło się o liczbę przyjaciół znaczną, narady przeniesiono do starożytnego pałacu Małachowskich, do sali rycerskiej, gdzie obostrzono przepisy na wybór nowych członków, ułożono rotę przysięgi, podzielono towarzyszy na stopnie i przeznaczono dni na sesye”.

Towarzystwo Przyjaciół Ojczyzny od pierwszej chwili swego istnienia zaczęło skutecznie rywalizować z hulaszczą Blachą. Patriotyczny „mundur przyjacielski” Towarzystwa, konspiracyjne zebrania we wspaniałej sali rycerskiej, ozdobionej trofeami dawnych wojen i symbolicznym pomnikiem Tadeusza Kościuszki, tajemniczy ceremoniał, wzorowany na obrzędach masońskich, przyświecające Towarzystwu czcigodne nazwisko marszałka Małachowskiego oraz sugerowany wyraźnie przez Krasińskiego patronat duchowy Naczelnika ostatniego powstania narodowego – wszystko to było niezwykle atrakcyjne dla „sfrustrowanej” młodzieży warszawskiej i zdawało się obiecywać zaspokojenie jej utajonego głodu ideologicznego.

W ciągu kilku miesięcy Towarzystwo zdobyło sobie kilkadziesiąt nowych członków. Rekrutowali się oni przeważnie z domów arystokratycznych i wielkoziemiańskich, wiernych tradycjom barskim, ale byli też wśród nich młodzi intelektualiści i artyści mieszczańskiego pochodzenia, bywający na piątkowych obiadach u marszałka Małachowskiego, jak np. Zygmunt Vogel vel Ptaszek, znakomity akwarelista i rysownik, autor popularnych do dziś krajobrazów warszawskich. Przechodziło

także na stronę Towarzystwa wielu dawnych klientów ks. Józefa, znudzonych pustym życiem Pod Blachą i w Jabłonnie.

Jednym z uczestników konspiracyjnych zebrań patriotycznych w pałacu Małachowskich był bohater tej opowieści Jan Leon Hipolit Koziętulski.

O życiu Jana Leona Hipolita, poprzedzającym jego uroczyste pasowanie na Przyjaciela Ojczyzny – niewiele da się powiedzieć. Jednakże z jego szczupłych danych biograficznych wynika wyraźnie, że mógł on bardziej niż jego rówieśnicy uważać się za pokrzywdzonego przez historię. Prymus warszawskiej Szkoły Rycerskiej, ulubieniec i protegowany potężnych Czartoryskich z Puław, od najmłodszych lat zapowiadał się na znakomitego! żołnierza i miał przed sobą jasno wytkniętą drogę do kariery. | W piętnastym roku życia katastrofa państwa wytrąciła go z tych naturalnych kolein. Po trzecim rozbiórce Polski chciał za przykładem wielu starszych kolegów przedrzeć się do Włoch i wsta- ? pić do Legionów Dąbrowskiego. Nie pozwolił mu jednak na to ;

jego pokojowo i rodzinnie nastrojony ojciec, pan Antoni Kozietulski herbu Abdank, starosta będziński. Jan Leon Hipolit – odznaczający się wyjątkowym zmysłem rodzinnym i szacunkiem dla autorytetów rodzinnych (widać to z całej korespondencji w teczkach krośniewickich) – niepotrafił przeciwstawić się woli seniora rodu. Z bólem serca zrezygnował z planów żołnierskich, stłumił w sobie buntownicze uczucie i pozostał w kraju jako \ lojalny poddany jego królewskopruskiej mości Fryderyka Wilhelma III. W parę lat później, kiedy starosta będziński zmarł, zmieniła się także sytuacja polityczna w Europie i przedzieranie się na zachód w celach wojskowych nie miało już żadnego sensu.

W roku 1803 Jan Leon Hipolit ma lat 22. Zgrabny, przystojny, wspaniale jeździ konno, świetnie tańczy i podoba się kobietom. Sam również łatwo ulega wdziękom niewieścim i lubi się bawić. Usposobienie ma nadzwyczaj pogodne i serdeczne, ale jest poryczy i skory do pojedynków. Alkohol wyzwala z niego utajo^ ne pretensje do świata. W przyszłości, narazi go to na poważne!

271

J konflikty z francuskimi przełożonymi z gwardii cesarskiej. Jego E osławiona brawura i zamiłowanie do hazardu, które z czasem | staną się w Polsce przysłowiowe pod nazwą „kozietulszczyzny”, j w roku 1803 z braku innych okazji przejawiają się głównie przy J stoliku karcianym. Ale nawet tu musi trzymać w ryzach swój | temperament, gdyż z pieniędzmi, pomimo wysokiej koniunktury i ogólnej, jest u niego stale krucho. Zmarły starosta będziński, l wbrew szumnym pozorom swego tytułu, pozostawił rodzinie schedę raczej skromną. Dochody ze starostwa będzińskiego, nabytego u samego schyłku niepodległości, nie zdażyły opłacić nawet połowy zainwestowanego kapitału. Rodowy majątek Kozietulskich, Promnę w Grójeckiem, zjarły całkowicie hipoteki pruskie. Przepadła też intratna dzierżawa dużego klucza dóbr arcybiskupich w Łowickiem, którą zmarły starosta zawdzięczał swemu bliskiemu pokrewieństwu z prymasem Ostrowskim. Po upaństwowieniu dóbr kościelnych Prusacy z całego klucza pozostawili wdowie jedynie 230-morgową Kompinę pod Łowiczem. Ma więc prawo pani Kozietulska żalić się w listach na „zupełną rujnację majątkową”, a prośby syna o pieniądze zbywać słowami: „Co do Twoich wydatków, bez żadnego ambarasu potrzeba zawsze umieć powiedzieć, że nie jesteś bogaty”.

W tych warunkach głównym oparciem materialnym dla wesołego eks-kadeta jest jego siostra, pani Klementyna z Kozietulskich Walicka. Ta jedyna ukochana siostra adresatka całej • prawie korespondencji krośniewickiej, zrobiła, jak to się mówi, „dobrą partię”. Jeszcze za życia ojca poślubiła znacznie od siebie starszego „hrabiego” Józefa Walickiego, wojewodzica [rawskiego i starostę mszczonowskiego, właściciela rozległych j. dóbr Belsk i Mała Wieś w Grójeckiem. Bogata starościna ubóstwia starszego brata, zasila jego kawalerskie fundusze i stara się go wprowadzić w „wielki świat” stolicy, co przychodzi jej bez trudu, gdyż małżeństwo zbliżyło ją do arystokratycznych rodów Krasińskich i Łubieńskich. W wytwornym towarzystwie warszawskim znajdują młodego Kozietulskiego przede wszystkim jako „brata Walickiej”. Arystokratyczna kronikarka tych czasów, 28

pani wojewodzina Nakwaska, będzie go określała w ten sposób nawet po Somosierze i po Wagram.

Do czasu związania się z koterią Krasińskiego życie przyszłego szwoleżera układało się dość banalnie. Wiosnę i jesień spędzał w Kompinie u boku matki, pomagając jej w prowadzeniu gospodarstwa. Latem odwiedzał siostrę w Małej Wsi. Zabawiał się tam z siostrzeńcami albo urządzał szaleńcze popisy woltyżerskie na najpiękniejszych wierzchowcach ze stadniny Walickich, co kończyło się nieraz gwałtownymi zatargami z „Panem Starostą” (jak tytułował w listach szwagra). Resztę czasu Jana Leona Hipolita pochłaniały karnawałowe szaleństwa, bale, kuligi, tańce, romanse, pojedynki oraz suto podlewane alkoholem męskie partyjki faraona czy pikiety. Widać z tego, że programowy przeciwnik Blachy niewiele różnił się upodobaniami i trybem życia od rozhulanych paniczów z kompanii książęcej. O jego obecności w sali rycerskiej na Krakowskim Przedmieściu zdecydowały hasła patriotyczne Towarzystwa oraz powiązania osobiste Klementyny Walickiej z Łubieńskimi i Krasińskimi.

Po pełnym dynamiki okresie organizacyjnym Towarzystwo Przyjaciół Ojczyzny zawiodło patriotyczne nadzieje Kozietulskiego i innych swoich adherentów. Okazało się tworem całkowicie niedowarzoną. Młodzi założyciele rozdzielili co prawda między towarzyszy stopnie i wyznaczili dni na sesje, ale nie potrafili wypełnić tych sesji żadną rozsądną i poważniejszą treścią. Wkrótce też cała impreza przekształciła się w zwykłą koterię towarzysko-rozrywkową, której jedynym programem

politycznym stała się rywalizacja ze znienawidzoną przez Krasińskiego Blachą.

Rywalizowano z sobą wszędzie, nawet w teatrach. Ponieważ pani Vauban otaczała opieką teatr francuski, mieszczący się w Pałacu Radziwiłłowskim na Krakowskim Przedmieściu, Przyjaciół Ojczyzny objęli patronat nad teatrem polskim na placu Krasińskich. Przeniesiona na grunt artystyczny, rywalizacja między dwiema koteriami paniczów przybierała często formy bardzo drastyczne. Pewnego razu stronnicy pani Vauban dla przypodo-

"bania, się aktorom francuskim wygwizdali grywaną w teatrze polskim tragedię Rowickiego Sierota chiński. W odwet za to Polacy w teatrze francuskim zaczęli się dopuszczać takich figlów, iż publiczność musiała opuścić widowisko. „Nazajutrz partya książęca nie zaprzestała dokazywać w teatrze polskim... – pisze Józef Krasiński – nastąpiły zwady i bijatyki, aż w końcu przywołano na pomoc żołnierzy pruskich. Wtedy niejaki Kozicki (Był to zapewne Feliks Kozicki, późniejszy kapitan szwoleżerów – M.B.), burda, pałaszem uciał nos pełniącemu służbę kapitanowi Loga..."

Poza rywalizacją artystyczną walczone także na szable. Po bilardach, kawiarniach i traktierniach ludzie we frakach zielonych i ludzie we frakach czarnych potracali się, znieważali, chwyтали za łby – niekiedy bez żadnej przyczyny. Potem zwaśnione strony spotykały się nocą bądź wczesnym rankiem przed historyczną szopą w Łazienkach i rąbały się szablami aż do pierwszej, a czasem i do ostatniej krwi. Pojedyunki stały się istną plagą. Książę Józef, znudzony ciągłymi awanturami, zażądał w końcu od gubernatora pruskiego wystawienia przed szopą w Łazienkach posterunku wojskowego. Ale i to nie zdało się na nic. W nocy żołnierzy rozbrojono i powiązano.

Niekiedy – ale bardzo rzadko – niechęć rywalizujących koterii zwracała się przeciwko tej samej ofierze. Los takiego nieszczęśnika był godny pożałowania. Za przykład mogą tu posłużyć tragicomiczne perypetie kuzyna naszego bohatera, młodego ziemianina, Franciszka Ostrowskiego, dokładnie opisane w pamiętnikach Józefa Krasińskiego.

„Raz wymyślili Przyjaciele Ojczyzny niemiłosierną mistyfikację, by zażartować z Franciszka Ostrowskiego, młodzieńca, który nie grzeszył zbytnim rozumem, ale był próżnym i dumnym aż do śmieszności. Zapragnał on wejść do Towarzystwa. Zgodzono się niby na to i oprowadzano go po piwnicach z zawiązanymi oczami. Kazano mu wierzyć, że głowy kapusty były głowami skaranych śmiercią zdrajców, kąpano go w zimnej wodzie, kłuto go do krwi, dano mu dotknąć rozpalonego żelaza, zamknięto

go w pewnym miejscu smrodliwym niby w grocie Wielkiego Mistrza, zgoła uśmiano się jego kosztem co się dało..." *

Po tej zabawie, której reżyserami i scenografami byli malarze:

Sokołowski i Ybgel, nie darmo przez przyjaciół „Ptaszkiem” przezywany, Franciszek Ostrowski stał się pośmiewiskiem całej Warszawy. Jego brat. Antoni, późniejszy dygnitarz Księstwa Warszawskiego i Królestwa, a wreszcie dowódca gwardii narodowej w powstaniu listopadowym, chciał pomścić obrazę rodziny i wyzwiał żartownisiów na szable. Ale musiał się wycofać, bo „zbyt wielu ich było”. Opuszczony przez brata, Franciszek Ostrowski wpadł wtedy na nieszczęsny pomysł szukania sobie sprzymierzeńców przeciwko Przyjaciołom Ojczyzny wśród naj-

tęższych rębaczy konkurencyjnej Blachy. Skończyło się to dla niego fatalnie.

„Franciszek Ostrowski, widząc się przedmiotem pośmiewiska całego towarzystwa warszawskiego – notuje z uciechą Józef Krasiński – umyślił przeciągnąć na swoją stronę najszaleńszą młodzież i zaprosił ją na obiad do hotelu Gąsiorowskiego, gdzie mieszkał. W połowie obiadu już wszyscy byli pijani; nastąpiły krzyki, jakich nie słyszano nawet w domu wariatów; kilku najszaleńszych: Oborscy, Matuszewicze, Górski, Roztworowski postrzegłszy wiszące na ścianie nader kosztowne skrzypce Ostrowskiego, który był niezłym muzykiem, kazali mu grać na nich, sami zaś i za ich przykładem reszta młodzieży ciskali w takt na ściany, okna i zwierciadła porcelanowe talerze i szkła ze stołu, póki wszystkiego nie wytłukli, co wyniosło na kilka tysięcy szkody; nie dosyć na tem, zmówiwszy się z sobą, po kolei wymykali się od stołu i sali plądrować w szafach, komodach, skrzyniach i co tylko tam znaleźli, poszarpali, pognietli i wniwecz obrócili; potem pozamykawszy na powrót tak poniszczone rzeczy w ich schowaniach, klucze z sobą pozabierali;

na ostatek i jakby na bukiet, owe skrzypce rzadkie, do których Ostrowski ogromną przywiązywał cenę, na kawałki rozbili i kawałki te między siebie rozdzielili, mówiąc wytrzeźwialemu

*Historię tę wykorzystał Żeromski w drugim tomie Popiołów.

31

w smutny sposób gospodarzowi, że to na pamiątkę tak sutej biesiady u tak wielkiego pana”.

Kontakty z dwiema koteriami paniczów dały Ostrowskiemu taką nauczkę, że—jak stwierdza kronikarz—„nigdy się już więcej nie pojawił w Warszawie”.

Władze pruskie odnosiły się do tych awantur, zakłócających spokój publiczny, z zadziwiającą łagodnością. Dobroduszny gubernator Koehier osobiście godził zwaśnionych i interweniował u ich rodzin, a w wypadkach cięższych – kiedy awanturników trzeba było jednak aresztować – sam rozwoził ich później po domach. Ówczesni warszawiacy bardzo lubili generała Koehiera za jego „dobre serce”, dopiero późniejsi historycy, oceniający całość rządów pruskich w Warszawie, zaczęli się zastanawiać, czy dobroć Koehiera nie była przypadkiem wynikiem świadomej metody, zmierzającej do pogłębienia demoralizacji w elicie polskiej młodzieży. Kto czytał świetne opowiadanie Adolfa Rudnickiego pt. Uśmiech żandarma, osnute na tle okupacji hitlerowskiej w Polsce, uzna chyba tę interpretację za słuszną. W każdym razie jest rzeczą pewną, że gubernator Koehier—przy całej swej szczerzej czy udanej łagodności—miałby zupełnie inny stosunek do rozbrykanych paniczyków warszawskich, gdyby mógł przewidzieć, że spod Blachy wyłonią się wkrótce: naczelny wódz i sztabowcy wojsk Księstwa Warszawskiego, a Przyjaciele Ojczyzny przyczynią się walnie do powstania polskiego pułku szwoleżerów gwardii napoleońskiej – i obsadzą w nim prawie wszystkie wyższe etaty oficerskie.

Ale w latach 1803–1804 gubernator Koehier nie miał jeszcze żadnych podstaw do takich przewidywań. Nie przewidywali tego również sami Przyjaciele Ojczyzny.

W zielonych teczkach krośniewickich odnalazłem krótki list bez daty, pochodzący najpewniej z tego właśnie „prehistorycznego” okresu. Z treści listu wynika, że Kozietułski odpoczywał wtedy po męczących harcach warszawskich u znajomego rodziny, nie ujawnionego z nazwiska księdza Gracjana, zarządzającego majątkiem biskupim Niesułeków pod Strykowem.

Dziarski Przyjaciel Ojczyzny musiał czuć się znakomicie na tej wilegiaturze. W liście aż roi się od żartów, dowcipnych aluzji i tkliwych przekomarzań z siostrą i z matką. Widać, że po śmierci surowego ojca jedyny dziedzic nazwiska stał się oczkiem w głowie dwóch kobiet: młodszej od niego o dwa lata starościny mszczonowskiej i owdowiałej starościny będzińskiej. Wzruszająca miłość tych trojga stanowi dominujący akcent całej korespondencji w teczkach krośniewickich.

W liście z Niesułkowa Jan Leon Hipolit przeprosza czule matkę za to, że pisuje do niej nie dość często, a siostrę błaga żartobliwie o wstawiennictwo u szwagra, „Pana Starosty”, który pogniewał się na niego „o tę przeklętą Bękarcię” (chodziło pewnie o jakąś klacz, okulawioną przez warszawskiego junaka). Przyrzeka siostrze, że „jeśli pokój w tej sprawie zostanie zawarty, to dalsza walka toczyć się będzie na szachy, którą to grą zajmuję się obecnie”. Dopytuje się, czy na ostatnim balu w Małej Wsi „była dobra zabawa i czy dużo tańczono” oraz czy prędko zapowiada się wesele panny Wojewodzianki (najmłodszej z pięciu sióstr szwagra) „...na które mam już odłożone dwie pary pantofli, otrzymanych od Mamy”. Poza tym jest jeszcze w liście mowa o różnych ploteczkach towarzyskich, o słojach przygotowanych na konfitury i marynaty oraz o księdzu Gracjanie, który „pada do nogi Jakubowskiej”, (wymieniana często w listach kluczniczka z Małej Wsi). Wszystko przesyczone atmosferą beztrioski, ziemiańskiego dostatku, miłości rodzinnej i spokoju. Pisany po francusku list kończy się polskim dopiskiem znakomicie oddającym mikroklimat epoki: „Z największą ochotą doniósłbym wiele nowin Niesułkowskich, ale mi już świcy braknie”.

Pozwólmy na razie zgasnąć tej rozczulającej „świcy”. Niech Kozietułski odpoczywa sobie spokojnie w biskupim Niesułkowie pod Strykowem bądź wyżywa się nadal w warszawskiej rywalizacji z Blachą. W odległym Paryżu – bez jego udziału – przygotowują się wydarzenia historyczne, które już niedługo pozwolą mu wkroczyć na drogę szwoleżerskiej chwały.

MERWSI NAK) LEOŃCZYCY

eży przede mną stare wydawnictwo angielskie, antologia satyry i karykatury antynapoleońskiej. Cała historia genialnego

Korsykanina wyszydzona w rysunkach współczesnych mu dziennikarzy londyńskich. Oto ważny dla naszej opowieści rok 1804, okres przeobrażeń ustrojowych we Francji. W kwietniu tego roku senat ogłosił dożywotniego Pierwszego Konsula dziedzicznym cesarzem Francuzów. Republika zmieniła się w cesarstwo. Ileż tematów dla reakcyjnej satyry europejskiej! Sławni generałowie republikańscy – synowie oberżystów, adwokatów i małomiasteczkowych rzemieślników – przymierzają u krawców haftowane stroje dygnitarzy dworskich! Mistrzowie ceremonii starego dworu wersalskiego opracowują program uroczystości koronacyjnych dla mordercy księcia d'Enghien! Sprowadzony z Włoch papież ma ośmieszyć skronie francuskiego antychrysta! Niezłomny demokrata Beethoyen wymazuje z Symfonii Heroicznej dedykację, ofiarowaną niegdyś generałowi Bonaparte. Czyż to wszystko nie oznacza ostatecznej likwidacji rewolucji i obłaskawienia raz na zawsze groźnego zdobywcy? Fura śmiechu dla starej Europy królów i cesarzy! Złote czasy dla karykaturzystów londyńskich!

Na pierwszym obrazku śmierć Republiki Francuskiej. Nad zwłokami młodej kobiety w czapce frygijskiej pochyla się dwóch lekarzy. – Co jej się stało? – pyta jeden. – Jeszcze niedawno wyglądała tak dobrze? – Nieudany poród – odpowiada dru-

34

gi. – Umarła wydając na świat tego małego uzurpatora. – A oto maleńki „Boney” (jak nazywano wówczas w Anglii Bonapartego) ugina się pod ciężarem ogromnej korony, po którą wyciąga ręce jako po swoją legalną własność skrwawione bezgłowe widmo Ludwika XVI. Na dalszych rysunkach Boney zmienia się w „Napa”. Nap w płaszczu cesarskim uczy się monarszych manier od sławnego aktora Talmy. Nap klęczy kornie przed papieżem, czekając na koronację. Nap, przebrany za ogrodnika i uzbrojony w łopatę, kopie w ogrodzie dołki pod drzewa genealogiczne dla siebie i dla swojej rodziny. Nap w czapce piekarza wyciąga z pieca świeżo upieczonych dygnitarzy i marszałków Cesarstwa. Nap pyta jednego z dawnych towarzyszy broni, jak mu się podobają uroczystości koronacyjne. – Niezmiernie, wasza cesarska mość – odpowiada weteran wojen republikańskich. – Szkoda tylko, że nie ma tu tych 300.000 ludzi, którzy oddali głowy po to, żeby takich ceremonii już nigdy nie było.

Rzecz jasna, że owe szyderstwa propagandystów londyńskich nie wynikały wcale z rozbawienia nową sytuacją czy z żalu po zlikwidowanej rewolucji. Dyktował je najzwyklejszy strach – strach wyspiarzy, zagrożonych w swoich najistotniejszych interesach. W Londynie doskonale wiedziano, że w nadmorskich obozach wojskowych pod Boulogne potężna armia francuska przygotowuje się do inwazji na Wyspy Brytyjskie. Flota francusko-hiszpańska od miesięcy przeprowadzała skuteczną blokadę gospodarczą wybrzeży angielskich. Dla nikogo nie było tajemnicą, że zmiana ustroju we Francji – wbrew wymowie karykatur w dziennikach londyńskich – nie była krokiem do pojednania się ze starą Europą, lecz zapowiadała nowe wojny. Cesarstwo napoleońskie nawiązywało wyraźnie do tradycji uni-

wersalistycznego „imperium Zachodu” Karola Wielkiego. Złoty wieniec laurowy, który nowy cesarz uprzedzając papieża sam włożył sobie na głowę w katedrze Notre Dame, bardziej przypominał tryumfalne oznaki starożytnych zdobywców rzymskich niż tradycyjne korony monarchów z początku XIX wieku.

35

Rząd angielski, biorąc pod uwagę to Wszystko, starał się mobilizować przeciwko Napoleonowi nie tylko karykaturzystów londyńskich, lecz również swoich głównych sojuszników z pierwszej i z drugiej koalicji antyfrancuskiej: Austrię, Rosję, Prusy. Jeszcze przed zakończeniem uroczystości paryskich, w londyńskich biurach Williama Pitta, premiera i najwybitniejszego polityka Anglii, wyliczono dokładnie, ile tysięcy złotych funtów kosztować będzie zmontowanie nowej koalicji europejskiej dla odciążenia uwagi i sił Napoleona od Wysp Brytyjskich. Hasłem ideologicznym dwóch pierwszych koalicji było ukaranie „republiki królobójców”, ostrze trzeciej miało się zwrócić przeciwko „cesarstwu uzurpatora”.

Ale ani złośliwość karykaturzystów londyńskich, ani zabiegi dyplomatyczne i finansowe premiera Pitta nie zdołały wpłynąć na osłabienie frekwencji podczas grudniowych uroczystości koronacyjnych w Paryżu. Wśród tłumu dystyngowanych cudzoziemców, napływających z całej Europy na to niezwykle widowisko, znaleźli się także państwo Wincentostwo Krasińscy z Polski.

Krasińscy nie przyjechali do Paryża jako oficjalni goście koronacyjni. Ich wyprawa na zachód miała na pozór charakter zupełnie prywatny. Księżniczka Maria Urszula – zgnębiona niefortunnym przypadkiem, który rozwiał jej nadzieje na macierzyństwo – zatęskniła gwałtownie za swoją najserdeczniejszą przyjaciółką i powiernicą, księżną Anną Sapieżyną, przebywającą stale w Paryżu. Dwudziestoletni prezes Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny z entuzjazmem podchwycił inicjatywę małżonki. Kwietniowa zmiana ustroju we Francji wywołała poruszenie we wszystkich trzech zaborach. Plotki na temat zamysłów nowego cesarza i przygotowań koronacyjnych stały się głównym tematem rozmów w magnackich pałacach Podola i w arystokratycznych salonach Warszawy. Starano się odgadnąć, do czego te zmiany zmierzają i co z nich wyniknie dla Polaków. W tej sytuacji projekt wyjazdu do Paryża odsłaniał przed ambitnym przywódcą młodzieży warszawskiej kuszące perspektywy poli-

36

tyczne. Tym bardziej że mąż księżnej Anny, urodzony i wychowany we Francji, książe Aleksander Sapieha, uchodził za bliskiego człowieka nowego cesarza.

Nie chcąc ujawniać prawdziwego celu podróży przed władzami zaborczymi i niedyskretnymi znajomymi, Krasińscy rozgłaszali wkoło, że wyjeżdżają na kurację do uzdrowiska Spa w Belgii. Czy znajomi i szpicle policyjni w te zapewnienia uwierzyli – nie wiadomo; w każdym razie nie uwierzyła w nie

matka pana Wincentego, pani Antonina Krasińska, patronująca z podolskich Dunajowicz warszawskim poczynaniom jedynaka. Starościna opinogórska знаła doskonale ambicje polityczne syna i przestrzegała młodych przed niebezpiecznymi skutkami tej podróży. „Rząd (carski) – pisała 10 maja w liście do synowej – za lada posądzeniem, że się mieszacie do polityki, skonfiskuje wasze majątki i oto będzie rezultat, jaki osiągniecie...”

Przestrogi starościny nie były bezpodstawne. Większość majątków Krasińskich leżała w zaborze rosyjskim. Z ogromnego areału ziemskiego, jaki księżniczka Radziwiłłówna wniosła mężowi w posagu, jedynie starostwo knyszyńskie znajdowało się w pruskiej Białostocczyźnie, ale na dochodach z tego arcybogatego starostwa położył już dawno rękę królewski rząd pruski. Gdyby więc władze carskie rzeczywiście chciały stosować jakies represje materialne, mogło to być dla Krasińskich bardzo

dotkliwe.

Wrażliwy na sprawy majątkowe, „chłopczyk” nie zlekceważył ostrzeżenia matki i – jak przekonamy się później – zakarbował je sobie w pamięci. Ale z obiecującej wyprawy nie zrezygnował. Pod koniec maja 1804 r. Krasińscy opuścili Polskę i po kilkunastodniowej podróży z dłuższymi przystankami we Wrocławiu (skąd pan Wincenty przesłał warszawskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk interesujący projekt konkursu na polski słownik geograficzny) oraz w Ałtwasser i w Dreźnie – dotarli do Spa. Tam, dla zachowania pozorów, odbyli przepisana przez lekarzy kurację wodoleczniczą, po czym u progu jesieni zjechali do Paryża pod opiekuńcze skrzydła państwa Sapiehów.

37

'W stolicy Francji spędzili całą jesień i znaczną część zimy, uczestnicząc do końca we wspaniałych obrzędach chrzcina nowego cesarstwa. Pięciomiesięczny pobyt Krasińskich w Paryżu zasługuje na specjalne uwydatnienie w zawiłej genezie narodzin polskiego pułku szwoleżerów gwardii napoleońskiej. Przyjaźnie i znajomości, jakie późniejszy inspirator i dowódca tej formacji nawiązał wtedy we Francji dzięki stosunkom żony, nadały określony kierunek karierze nie tylko jego, lecz i jego kolegów z warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny. Jan Leon Hipolit Koziętulski, szalejący w tym czasie „na balach składkowych” w Grójcu i w Łowiczu, ani przypuszczał, że w wyniku zabiegów paryskich swego prezesa on sam za kilka lat będzie stałym bywalcem Paryża i wyjeździ się aż do obrzydzenia po rozmaitych Berlinach, Madrytach, Brukselach i Amsterdamach.

Sapiehowie nie zawiedli nadziei Wincentego Krasińskiego. Nadawali się wprost idealnie na patronów dla jego zamierzeń politycznych. Żyjąc od dawna w półoficjalnej separacji, książęcy małżonkowie obracali się w różnych kręgach towarzyskich i reprezentowali odmienne, lecz jednakowo cenne dla Krasińskich stosunki i ułatwienia.

Książę Aleksander Sapieha-Kodeński, syn głośnej „muzy Konfederacji Barskiej”, Teofili Sapieżyny, przedstawiciel domu

związanego od paru pokoleń z kołami rządowymi Francji, uchodził za najbardziej wpływowego Polaka w ówczesnym Paryżu. Trzydziestoletni „weteran” Insurekcji Kościuszkowskiej, utalentowany etnograf i podróżnik, był od czasów Konsulatu zaufanym przyjacielem i współpracownikiem francuskiego dyktatora. Uważano powszechnie, że zajął przy Napoleonie miejsce poległego w Egipcie Józefa Sułkowskiego – jako specjalista od spraw słowiańskich. Przyszły „cesarz Zachodu” czuł słabość do żołnierzy naukowców, a od zetknięcia się z Sułkowskim przyzwyczał się mieć w najbliższym otoczeniu „swojego Polaka”. Jakobin Sułkowski dobry był w okresie rewolucyjnej Republiki, arystokrata Sapieha znakomicie odpowiadał etapowi Cesarstwa.

38

Księżna Anna z Zamoyskich Sapieżyna – córka kanclerza Andrzeja Zamoyskiego, autora postępowego Kodeksu Praw, o który tak dzielnie dobijał się niegdyś na sejmie książę Stanisław Poniatowski – odgrywała ważną rolę w Polonii paryskiej, a szczególnie w jej kołach postępowych. Najbliższym przyjacielem księżny był sam Naczelnik Tadeusz Kościuszko, który zatrzymywał się w jej domu, ilekroć przyjeżdżał do Paryża ze swego zacisza wiejskiego w Berville. Stałymi jej gośćmi bywali ponadto: sekretarz Kościuszki i jego ówczesny inspirator ideologiczny – jakobin Józef Pawlikowski oraz tajemniczy przyjaciel i spadkobierca Józefa Sułkowskiego – antybonapartysta Piotr Maleszewski.

Dzięki życzliwej protekcji księcia Aleksandra, Krasińscy znaleźli się od razu w centrum wielkiego świata paryskiego. Byli zapraszani na bale dworskie do Tuileries, uczestniczyli w ceremoniach koronacyjnych, przyjmowano ich chętnie w salonach literackich, kształtujących smak artystyczny ówczesnej Europy. Prezes Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny został przedstawiony cesarzowi i nawiązał przyjazne stosunki z wybitnymi generałami i politykami francuskimi, z którymi w latach późniejszych będzie się spotykał nader często.

Księżna Anna dokładała ze swojej strony wszelkich starań, aby mężowi przyjaciółki umożliwić zweryfikowanie i pogłębienie jego dawnej znajomości korespondencyjnej z Kościuszką.

Dla przyszłego dowódcy szwoleżerów ten pobyt w Paryżu musiał być przygodą oszałamiającą. Wychowany w tradycjach barskich, Krasiński nauczył się od dziecka wierzyć, że Francja jest naturalnym i głównym sprzymierzeńcem Polski. Echa dramatu Legionów, docierające do podolskich Dunajowic w formie półbajecznych legend, nie zdołały w młodziutkim chłopcu tej wiary osłabić. To, co oglądał obecnie na własne oczy w Paryżu i czego dowiadywał się od wtajemniczonego w sprawy wielkiej polityki księcia Sapiehy, przekonywało starościca opinogórskiego ostatecznie, że Polska może oczekiwać poprawy swego losu jedynie od nowego cesarza Francuzów.

•

We Francji cesarskiej roku 1804 nie straszyci juź rewolucjã, kt3rejc tak obawial si3 marszałk Malachowski, czcigodny gospodarz „obiad3w piãtkowych” na Krakowskim Przedmieściu.

Nowe cesarstwo, owoc sojuszu armii z wielkã burżuazjã, stawialo sobie za pierwszy cel stabilizacj3 stosunk3w społecznych. Zabezpieczalo materialne zdobycze rewolucji i jej sprowadzony do minimum program socjalny nie tylko przed restauracjã monarchii burboñskiej, ale nade wszystko przed moźliwoścã dalszych przemian rewolucyjnych. Upraszczeni jednak rzecz dziennikarze londyñscy gloszãc, iź nowy cesarz zlikwidowal rewolucj3. W salonach dyplomatycznych Paryża wyjañniano istot3 zmian ustrojowych we Francji o wiele trafniej i subtelniej. – „Napoleon nie zlikwidowal rewolucji – powtarzano tam błyskotliwe sformulowanie pewnego dyplomaty austriackiego – on tylko zarekwirowal jã na własny uźytek”.

, Ta zarekwirowana, uporzãdkowana i oswojona rewolucja, kt3rejc szermierzami mieli si3 stać nowi ksiãż3ta i hrabiowie w mundurach marszałk3w i generał3w Cesarstwa, byla dla młodego magnata z Podola całkowicie „do przyjcicia”. W odr3żnieniu od teścicia, Wincenty Krasiñski przy kaźdej okazji manifestowal swojã nowoczesnã post3powośc i życzliwośc dla ' Judzi „niźszych stan3w”. Rozczytywal si3 w pismach filozof3w francuskich, byl „czł3nkiem przybranym” Towarzystwa Przyjaci3ł Nauk, utrzymywal bliskie stosunki ze Staszicem i z innymi pisarzami i uczonymi pochodzenia mieszczańskiego, roztaczal ch3tnie mecenat nad ubogimi artystami z „gminu”.

M3gl wi3c z nie zakł3conã niczym przyjemnoścã słuchać, kiedy nowi znajomi francuscy zapewniali go, że cesarz juź wkr3tce rozprawi si3 ze starã feudalnã Europã. M3gl ze szczerym entuzjazmem przyglãdãc si3 wspanialym rewiom armii napoleoñskiej, na kt3re go prowadzil ksiãż3 Sapieha.

A na francuskich placach defilad w roku 1804 bylo na co patrzeć. Bonaparte, tw3rca i arcy mistrz nowoczesnej propagandy politycznej, wykorzystal okres uroczystośc3 paryskich na zademonstrowanie przed gościami zagranicznymi gotowośc3i bp^

fP

jowej swojego Cesarstwa. To, co oglãdal w3wczas młody Krasiñski, przypomina do złudzenia efekty „teatru dyktatorskiego”, znane nam z lat poprzedzajãcych wybuch drugiej wojny światowej. Dla przyklãdu pozwol3 sobie przytoczyć opis obchodu urodzin cesarza z 15 sierpnia 1804 roku:

„...80.000 żołnierzy rozstawiono pod rozkazami Soulta na równinach Boulogne i Montreuil. Na wzg3rzu ustawiono żelazny tron Dagoberta w stylu gotyckim. Zasiadł na nim Napoleon, otoczony ministrami, marszałkami i admirałami. Na stopniach tronu stan3li adiutanci. Poza tronem ustawiono las sztandar3w, zdobytych w stu bitwach, buñczuki pasz3w i chorãgwie Mameluk3w. Przed tronem stan3li kawalerowie legii, świetna elita niezłomnych bohater3w. Południe. Zagrzmial werbel. Rozległ si3 strzał armatni... Po przelotnym wybuchu en-

tuzjazzmu zapanowała przejmująca cisza... Naraz zarechotały wszystkie bębny. – «Żołnierze – zawołał Napoleon. – Czy przysięgacie, nie bacząc na życie, bronić honoru imienia francuskiego, waszej ojczyzny, waszego cesarza?!» – «Przysięgamy!»—odpowiedziała jednogłośnie cała armia. Szalony entuzjizm ogarnął żołnierzy, którzy włożywszy kaski i czapki na bagnety, potrzásali nimi i krzyczeli: – «Niech żyje cesarz!» Napoleon podzielał upojenie żołnierzy. Rozdawał krzyże przy dźwiękach orkiestr pułkowych, przy łomotaniu tysięcy bębnów, przy nieustannym huku trzydziestu baterii".

Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie musiały wywierać takie widowiska na młodym przybyszu z pruskiej Warszawy. Entuzjizm świeżo pozyskanego napoleończyka miarkowały jedynie spotkania z Tadeuszem Kościuszką.

Stary Naczelnik mieszkał wówczas w odległości ośmiu kilometrów od Paryża w posiadłości wiejskiej Beryville, należącej do jego szwajcarskiego przyjaciela. Piotra Józefa Zełtnera. Żył w tym sielskim odosobnieniu, przypominającym mu strony rodzinne, jak na dobrowolnym wygnaniu, dzieląc czas między ulubione rzemiosła, opiekę nad okoliczną ludnością i przypadkowe odwiedziny rodaków. Wszelkie propozycje współpracy ze

41

strony rządu francuskiego zbywał wyniosłym milczeniem. Daremnie namawiano go do zmiany postawy, daremnie minister policji Fouche fatygował się osobiście do Beryville, aby wyrzucić bezpośrednią presję na samotnika. Od chwili związania się z lewicowym Towarzystwem Republikanów Polskich, Kościuszko utwierdził się jeszcze w swojej antypatii do Bonapartego. Po ogłoszeniu traktatów pokojowych z Austrią i z Rosją, po tragedii San Domingo – jego stosunek do Pierwszego Konsula, a następnie cesarza stał się jawnie wrogi.

Jaki był przebieg spotkań Krasińskiego z Kościuszką w paryskim domu księżnej Sapieżyny – można się tylko domyślać. Prawdopodobnie rozgoryczony Naczelnik powtarzał przywódcy młodzieży to samo, co mówił w tym czasie Julianowi Ursynowi Niemcewiczowi i innym przybyszom z kraju. Wyliczał mu rozczarowania, jakich Francja nie oszczędziła Polsce w ostatnim półwieczu, i przekonywał go, że „Bonapartemu nie należy ufać".

Przypuszczam, że młody prezes z najgłębszym uszanowaniem wysłuchiwał pouczeń „Jedynego Prawdziwego Polaka". Ze swej strony referował mu pewnie patriotyczne założenia Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny i ubolewał obłudnie nad niepatriotycznym postępowaniem księcia Józefa Poniatowskiego. Obawiam się jednak, że wywody Kościuszki nie zdołały osłabić w Krasińskim podziwu dla Cesarza Francuzów. W okupowanej Warszawie, podczas konspiracyjnych zebrań w sali rycerskiej pałacu Małachowskich, imię wodza Insurekcji, opromienione nimbem prawie religijnym, uosabiało autorytet najwyższy i nieomylny. Ale w Paryżu, urzeczonym pirotechniczną potęgą Cesarstwa, zastrzeżenia antynapoleońskie zgorzkniałego starca w wytartej kapocie i w chłopskim kapeluszu ze słomy musiały

brzmieć blado i nieprzekonywająco. Przynajmniej dla Wincen-
tego Krasińskiego. Chyba nie bez podstaw znający go dobrze
Niemcewicz pisał w swych Pamiętnikach, że Krasiński „we
wszystkich przygodach przychylny temu, co w obecnej chwili
mocniejszy”.

Krasińscy opuścili Paryż około 10 stycznia 1805 roku. Z po-

42

bytu we Francji mieli prawo być zadowoleni. Pani Maria Urszu-
la nacieszyła się księżną Anną i zawarła wiele nowych efektow-
nych znajomości. Pan Wincenty wracał do kraju z dumnym
poczuciem, że stał się (przynajmniej we własnym mniemaniu)
mężem zaufania wielkiego Napoleona i cnotliwego Kościuszki.

W drodze powrotnej małżonkowie zatrzymali się jeszcze na
pewien czas w Berlinie dla załatwienia ważnych spraw majątko-
wych. Zapobiegliwy „chłopczyk” nie zapomniał o pożegnalnych
przestrogach matki i postanowił uwolnić od sekwestru pruskiego
posagowe starostwo knyszyńskie. Stosunki żony przydały się
i tym razem. Berlińskim patronem Krasińskich stał się kuzyn
pani Marii Urszuli, zaprzyjaźniony i spowinowacony z królem
pruskim – księżę Antoni Radziwiłł.

Podczas dwumiesięcznej wizyty w Berlinie entuzjastyczny
kibic defilad paryskich zachowywał się w sposób niezbyt licu-
jący z godnością prezesa Przyjaciół Ojczyzny. Na przyjęciach
dworskich występował w pruskim mundurze oficerskim, nad-
skakiwał pięknej królowej Luizie, obtańcowywał córki potęż-
nych ministrów, byle tylko to starostwo żonine odzyskać. Pani
Maria Urszula z rozbijającą szczerością pisała z Berlina do
jednej z przyjaciółek warszawskich: „...Interes zatrzyma nas
tu jeszcze kilka tygodni, lecz uzyskując za trochę znudzenia
1.200.000 franków (w złocie), nie mamy czego się żalić...”

Niemcewicz w swoich Pamiętnikach bardzo gani Krasińskiego
za te berlińskie „podskoki”. Ale Pamiętniki ukazały się dopiero
w wiele lat później. Wiosną 1805 roku, kiedy pan Wincenty
pojawił się na koniec w Warszawie, nikomu nawet przez myśl
nie przeszło atakować go za flirt z dworem berlińskim, jak ata-
kowano niegdyś za to samo księcia Józefa. Nie należał przecież
do skompromitowanej rodziny Poniatowskich. lecz był potom-
kiem powszechnie czczonych przywódców barskich. Ponadto
wracał z zagranicy w glorii bliskich stosunków z Kościuszką

i Napoleonem.

Z powrotem prezesa nowe życie wstąpiło w zamierające Towar-
zystwo Przyjaciół Ojczyzny. Podjęto zaniedbane „sesye” w pa-

43

łacu Małachowskich i odkurzono starannie „pomnik Ojczyzny
z tarczą herbową Kościuszki”. Po smacznych kolacyjkach wy-
słuchiowano z powagą relacji prezesa o jego sukcesach paryskich.
Wszystko nabrało nowego sensu. Towarzyska koteria pojedyn-

kowiczów i mecenasów teatralnych poczuła się naraz ważnym ośrodkiem nowej myśli patriotycznej, niemalże pierwszym polskim przyczółkiem potęgi napoleońskiej. Powtórny wyjazd prezesa do Berlina w sprawie knyszyńskiej nie zdołał już tego poczucia osłabić.

W tym samym czasie, kiedy Wincenty Krasiński snuł z towarzyszami pierwsze nieśmiałe rojenia o Polsce napoleońskiej, inny arystokrata polski, książę Adam Jerzy Czartoryski, minister spraw zagranicznych i serdeczny przyjaciel młodego cesarza rosyjskiego Aleksandra I, wypracowywał koncepcję odbudowy państwa polskiego pod berłem carów.

Plan księcia Adama Jerzego – nazywany przez historyków polskich „planem puławskim”, a przez historyków niemieckich „morderczym planem Czartoryskiego przeciwko Prusom” – tkwił korzeniami w tradycyjnej polityce prorosyjskiej dawnego stronnictwa Familii, ale bezpośrednio wynikał z aktualnej sytuacji międzynarodowej.

Zabiegi premiera Williama Pitta, zmierzające do utworzenia trzeciej koalicji antyfrancuskiej, w sierpniu 1805 roku osiągnęły cel. Trzy główne mocarstwa poprzednich koalicji: Anglia, Rosja i Austria związały się ponownie sojuszem wojskowym. Jedynie król pruski Fryderyk Wilhelm III, drżący ze strachu zarówno przed Napoleonem, jak i przed carem, trzymał się nadal kurczowo wygodnej dla siebie neutralności.

W Europie rozpoczął się okres gorączkowych przemieszczeń militarnych. Napoleon – zgodnie z przewidywaniami Pitta – ściągnął swe główne siły z nadatlantyckich baz wypadowych i – po uformowaniu z nich tak sławnej później „Wielkiej Armii” – pchnął je na Austrię. W tym samym czasie wojska rosyjskie ruszyły w kierunku zachodnim, aby połączyć się z armią austriacką. Korpus generała Kutuzowa przekroczył w Galicji granicę

44

zaboru austriackiego, korpusy generała Michelsona skoncentrowały się przy granicy neutralnego zaboru pruskiego.

Czartoryski zręcznie wykorzystał odosobnienie polityczne zaborcy pruskiego i uzyskał od cesarza Aleksandra zgodę na z dawną przygotowany plan podźwignięcia Polski przeciwko Prusom. Osnowa „planu puławskiego” była następująca: jeśli Prusy odmówią korpusom rosyjskim prawa do przemarszu przez swoje terytorium, car błyskawiczną ofensywą opanuje zabór pruski i ogłosi się w Warszawie królem polskim, przyrzekając odbudowę Królestwa w granicach sprzed drugiego rozbioru.

Ośrodkiem dyspozycyjnym operacji wyzwolenczej stały się Puławy. Tam rozlokowała się kwatera główna wojsk rosyjskich;

stamtąd książę Adam Jerzy prowadził pertraktacje dyplomatyczne z Wiedniem o prehandlowanie pruskiego Śląska na austriacką Galicję, która także miała wejść w skład odrodzonego Królestwa. Rozsyłani z Puław emisariusze penetrowali cały za-

bór pruski, przygotowując szlachtę i mieszczaństwo do czynnego wystąpienia przeciw Prusakom i opowiedzenia się przy carze jako królu polskim. Na naczelnika powstania antypruskiego desygnowano księcia Józefa Poniatowskiego.

W nocy z 29 na 30 września przybył do Puław cesarz Aleksander. W historycznej rezydencji Czartoryskich przyszłego króla powitali magnaci polscy ze wszystkich trzech zaborów pod przewodnictwem schorowanego, po czteroletnim pobycie w więzieniu carskim, Ignacego Potockiego.

Plan Czartoryskiego miał w Polsce licznych zwolenników nie tylko wśród magnatów. Znany historyk Marian Kukiel stwierdza, że prawie wszystkie wybitne osobistości polityczne orientowały się w tym czasie na Puławę. Liberalizm młodego cara, jego przyjaźń z Czartoryskim i działalność reformatorska Czartoryskiego w zaborze rosyjskim – przekonywały do koncepcji puławskiej nawet ludzi najbardziej postępowych i najciężej doświadczonych przez carat. Niemcewicz na wieść o przyjeździe Aleksandra do Puław pisał do Czartoryskiego: „Wielbić trzeba rządzenie Opatrzności, że wnuk tej, która Puławę z ziemią

45

zrównać, a Polsce cios śmiertelny zadać postanowiła, przybywa teraz w dom WKsiążęcej Mości, ten przybytek cnót i pamiątek narodowych, jako gość, przyjaciel. Wybawca!"

Przez kilkanaście dni uwaga mieszkańców zaboru pruskiego skupiała się na rezydencji Czartoryskich. Młodzież szlachecka i mieszczańska szykowała się do zbrojnego wystąpienia. Elegantki spod Blachy stroiły się na powitanie nowego króla. Przekupki warszawskie – jak zanotował ówczesny pamiętnikarz – „mówiły w oczy urzędnikom policji: niedługo tu już waszych rządów, przyjdą Ruscy i my was wygnamy".

Wśród członków Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny nowa sytuacja polityczna musiała wywołać spore zamieszanie. Ostrożny Wincenty Krasiński z drugiej wizyty berlińskiej nie powrócił już do Warszawy, lecz wycofał się do swych dóbr galicyjskich, aby tam spokojnie przeczekać niebezpieczny okres. Młodzi Łubieńscy, członkowie rodziny magnackiej, najbliższej współpracującej z dworem pruskim, odnieśli się do koncepcji puławskiej z nieufną rezerwą. Natomiast Jan Leon Hipolit Koziętulski, w którym świeżo rozbudzone przez Krasińskiego zapały napoleońskie walczyły z zadawnionym przywiązaniem do domu Czartoryskich, przeżywał zapewne w tych dniach nie lada rozterkę.

Tymczasem w Puławach, wypełnionych wojskiem rosyjskim i arystokracją polską, sprawy rozwijały się wcale nie po myśli Czartoryskiego. Piękny, uprzejmy Aleksander chwalał głośno kuchnię puławską, podziwiał muzeum pamiątek narodowych księżnej Izabeli Czartoryskiej i wzbudzał coraz gorętsze uwielbienie wśród adorujących go pań polskich – ale nie kwapił się bynajmniej do wprowadzenia w czyn planu swego ministra i przyjaciela. Dawno już minął termin 4 października, wyzna-

czony „planem puławskim” na przekroczenie Pilicy przez korpusy rosyjskie i na wybuch powstania w zaborze pruskim, a cesarz nadal czekał cierpliwie na powrót swego adiutanta Dołgorukiego, wysłanego do Berlina z rosyjskim ultimatum w sprawie przemarszu wojsk przez Prusy. To odwlekanie operacji woj-

46

Skowej, której powodzenie zależało przede wszystkim od pośpiechu, historycy różnie tłumaczą. Jedni przypuszczają, że Aleksander w ogóle nie miał zamiaru realizować „planu puławskiego”, a tylko straszył nim Prusy; inni zwracają uwagę na rozmaite czynniki, działające przeciwko koncepcji Czartoryskiego i paraliżujące wolę młodego cara.

Na odbudowę Królestwa Polskiego nie zgadzały się dwa pozostałe mocarstwa koalicyjne: Anglia i Austria, z zasady przeciwnie rozszerzaniu sfery wpływów rosyjskich. Z Petersburga polonofilskim tendencjom Aleksandra przeciwstawiało się potężne stronnictwo cesarzowej-matki. Należeli do niego ludzie wychowani w szkole politycznej Katarzyny, dla których sojusz rosyjsko-pruski był jedną z tradycyjnych gwarancji porządku europejskiego. Pewną rolę w tej sprawie odgrywały także względy uczuciowe. Młody cesarz był osobiście zaprzyjaźniony z królewską parą pruską i jego czułe serce wzdragało się przed skrzywdzeniem przyjaciół. Niezdecydowanie monarchy celowo pogłębiali rosyjscy rywale Czartoryskiego, którym zależało na zdyskredytowaniu „polskiego ministra”. Najgroźniejszym przeciwnikiem „planu puławskiego” był drugi przyjaciel cesarski, ów młody generał-adiutant Grzegorz Dołgoruki, wysłany na pertraktacje z królem pruskim.

W połowie października idylla puławska zakończyła się w sposób nagły i brutalny. Książę Dołgoruki powrócił z Prus, przywożąc nieoczekiwaną zgodę Fryderyka Wilhelma na przemarsz wojsk rosyjskich. Uszczęśliwiony Aleksander skwapliwie skorzystał z okazji, by wywikłać się z trudnej sytuacji. Chyłkiem, niemalże bez pożegnania wymknął się z Puław i popędził z „wizytą przyjacieli” do Berlina.

Przejeżdżając przez zabór pruski, cesarz ominął Warszawę, aby uniknąć nieaktualnych już hołdów królewskich ze strony Polaków. Ale na Czystem, przy przepręgu koni, dosięgła go garstka wtajemniczonych z księciem Józefem Poniatowskim. Niedoszłemu naczelnikowi insurekcji antypruskiej przypadł w udziale smutny obowiązek odprowadzenia konno niedoszłego

47

króla polskiego aż do traktu wiodącego na Berlin. Po powrocie księcia z tej przejażdżki Blacha przez kilka nocy zakłócała sen mieszkańcom Podzamcza głośniejszymi niż zwykle awanturami. „Alcybiades polski”, który przystąpił do spisku puławskiego po długich wahaniach, pod naciskiem patriotycznym kuzyna Czar-

toryskiego, ciężko przeżywał swój nowy zawód polityczny. „Płynąca stąd nauka zapadła głęboko w duszę księcia Józefa” – pisze jego wnikliwy biograf Szymon Askenazy.

Wkrótce potem rezydencja królewska w Poczdamie pod Berlinem stała się widownią osobliwej demonstracji. W krypcie kościoła poczdamskiego, przy trumnie Fryderyka II, wroga i grabieżcy Polski, monarchowie Rosji i Prus zaprzysięgli sobie dozgonną przyjaźń. Zrozpaczony Czartoryski, jako minister spraw zagranicznych Cesarstwa, musiał własną ręką podpisać nową ugodę rosyjsko-pruska, która przekreśliła ostatecznie plan odbudowy Królestwa.

W kilka miesięcy później „polski minister” podał się do dymisji. Razem z nim ustąpili ze swych stanowisk dwaj inni liberalni i antypruscy doradcy Aleksandra: Strogonow i Nowosilcow, ten sam, który później stał się osławionym polakożercą. Kierownikiem rosyjskiej polityki zagranicznej został Niemiec – generał Budberg. Magnacka koncepcja wskrzeszenia Polski w oparciu o carat zakończyła się klęską. Była to równocześnie klęska tych wszystkich patriotów polskich i rosyjskich, którzy z osobą młodego cara wiązali nadzieje na „nowy kurs” w polityce zagranicznej i wewnętrznej.

Kiedy w poczdamskiej krypcie celebrował się akt ponownego zbratania dwóch zaborców Polski, Wielka Armia odnosiła już pierwsze zwycięstwa nad wojskami koalicji.

Marszałkowie: Lannes, Davout, Ney, Soult i Murat piorunującymi uderzeniami miażdżyli opór austriacki. W październiku pod Ulm skapitulowała blisko siedemdziesiąt tysięcy Armia Dunajska generała Macka, przyjaciela ks. Józefa z czasów brukselskich. W listopadzie Francuzi zdobyli opuszczony przez cesarza niemieckiego Wiedeń. Historia sławnych forteli wojen-

48

nych wzbogaciła się o zuchwały do szaleństwa wyczyn osobisty marszałków: Lannesa i Murata, którzy na czele kilkusobowego patrolu opanowali podstępem nie zniszczony przez Austriaków most na Dunaju, odcinając w ten sposób odwrót korpusom koalicyjnym.

Europa – obserwująca ze zdumieniem postępy kampanii jesiennej roku 1805 – przekonywała się naocznie, jak wiele prawdy zawierało aforystyczne sformułowanie, że „Napoleon nie zlikwidował rewolucji, a zarekwirował ją tylko na własny użytek”.

Przewaga armii napoleońskiej nad armiami liczebnie silniejszych przeciwników wiązała się w sposób oczywisty z wielkim przewrotem społecznym, jaki dokonał się we Francji przed piętnastu laty. Nowoczesne podstawy organizacji i taktyki tej armii wypracowali: Łazarz Carnot i inni rewolucyjni reformatorzy wojskowości. Wodzowie tej armii – łącznie z jej genialnym wodzem naczelnym – osiągnęli szczyty hierarchii wojskowej w wyniku rewolucyjnego zrównania stanów. Wywodzili

się ze wszystkich warstw narodu i stanowiska swe zawdzięczali rzeczywistym zasługom i umiejętnościom. Inicjatywa i szybkość decyzji tych młodych ludzi w mundurach marszałków, ich brawura osobista, granicząca niekiedy z awanturnictwem – kompletnie oszałamiały zrutyinizowanych generałów koalicji. Szeregowi i subalterni tej armii wytrzymywali bez szemrania nadludzkie wysiłki marszowe i bitewne, bo zagrzewała ich do tego nadzieja na nieograniczoną karierę. Mając przed oczami marszałków „z awansu społecznego”, wywodzących się często z podoficerów, wierzyli zapewnieniom swego cesarza, że „każdy żołnierz dźwiga w tornistrze buławę marszałkowską”.

Takiej armii nie mogli stawić czoła wodzowie starej Europy, wywyższeni w większości wypadków przez arystokratyczne pochodzenie czy przez protekcje dworskie, mający pod swymi rozkazami przymusowo wcielonych do wojska chłopów pańszczyźnianych, dla których udział w wojnie był tylko dopustem bożym i nie wiązał się z żadnym interesem osobistym.

4 – Koziętulski 1.1

49

2 grudnia 1805 roku na polach Austerlitz (dzisiejszy Sławków w Czechosłowacji) rozegrała się rozstrzygająca „bitwa trzech cesarzy”. Francuzi odnieśli druzgocące zwycięstwo nad połączonymi armiami koalicji. Armia austriacka została unicestwiona, armia rosyjska, po odniesieniu olbrzymich strat, zdołała się wycofać na wschód jedynie dzięki przezorności starego Kutuzowa.

Napoleon podziękował swoim wojskom za zwycięstwo w słynnym rozkazie dziennym, rozpoczynającym się od słów: „Żołnierze, jestem z was zadowolony...”

Powodów do zadowolenia miał dość. Trzecia koalicja antyfrancuska zakończyła swój krótki żywot. Jeden z pokonanych cesarzy uciekł w popłochu z pola walki, drugi przyszedł pieszo do kwatery zwycięzcy (mieściła się ona wtedy w wiejskim wiatraku) prosić o pokój. Rozpadło się blisko tysiącletnie Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego. Szesnaście państw południowo- i zachodniemieckich wystąpiło z rzeszy, wiążąc się w niezależny od Austrii Związek Reński pod oficjalnym protektoratem Napoleona. Rosja była na dłuższy czas wyeliminowana z wojny. Prerażony król pruski gorączkowo zacierał ślady nieopatrznych zobowiązań, podjętych w krypcie grobowej Fryderyka II.

Pomimo tych wszystkich sukcesów – zwycięstwo nad trzecią koalicją nie było zupełne. Najgroźniejsze dla Francji mocarstwo koalicyjne – Anglia – wychodziło z wojny nie tylko nie tknięte, ale wyzwolone z blokady gospodarczej. Do zerwania blokady przyczynił się ten sam człowiek, który siedem lat wcześniej, podczas kampanii egipskiej, zadał Bonapartemu morderczy cios w plecy pod Abukir, zmieniając francuski podbój Egiptu w żalną awanturę bez wyjścia.

20 października 1805 roku – w tym samym czasie kiedy Wielka Armia rozbrajała Austriaków pod Ulm – admirał angielski Horacjo Nelson w bitwie morskiej koło przylądka Trafalgar, płacąc za to zwycięstwo własną śmiercią, zniszczył całą flotę francusko-hiszpańską blokującą wybrzeża Wysp Brytyjskich.

59

Bitwa pod Trafalgarem nie oddziaływała tak bezpośrednio na wojnę w Europie, jak bitwa pod Abukir na kampanię egipską. Ale pośrednie skutki ostatniego zwycięstwa Nelsona miały w przyszłości zaważyć w sposób decydujący na losach całego Cesarstwa napoleońskiego, a także na losach wielu tysięcy Polaków. ,

Na razie Napoleon nie zaprzętał sobie głowy tą sprawą. Po obaleniu Austrii zajął się karaniem pomniejszych współników koalkji i wywyższaniem swoich bliskich.

Oszłołomieni czytelnicy gazet europejskich dowiadywali się z komunikatów prasowych o likwidacji starych dynastii i o powstawaniu nowych państw. Opróżnione bądź świeżo wydzwignięte trony w krajach niemieckich i włoskich obsiadał rój napoleonidów. Józef Bonaparte, mętny rezoner z kawiarni paryskich, stał się z łaski brata królem neapolitańskim. Ospały, wiecznie zakatarzony Ludwik Bonaparte – królem holenderskim. Szwagier cesarski, kawalerzysta Murat – udzielnym panem księstw Kliwii i Bergu. Młody marynarz Hieronim Bonaparte otrzymał od brata rozkaz rozwiedzenia się z żoną mieszczańką i poślubienia córki nowego sprzymierzeńca Francji, króla wirtemberskiego. Pasierb Napoleona, Eugeniusz de Beauharnais, został „odkomenderowany” na zięcia króla bawarskiego. Między akordy symfonii heroicznej zaczynały się wkradać tony operetki. „Zarekwirowana rewolucja” wyrzekała się swoich najistotniejszych treści i wracała do starych zasad polityki dynastycznej. Karykaturzyści pism londyńskich z zapalem ostrzyli pióra i ołówki. Rzeczywistość przekraczała ich najśmielsze pomysły sprzed roku.

Do pruskiej Warszawy docierały tylko przytłumione echa hałasów europejskich. Od ujawnienia spisku puławskiego i przygotowań powstańczych (a ujawniono je zapewne podczas intymnego spotkania monarchów w Poczdamie) Prusacy mieli się na baczności. Gubernator Koehler po dawnemu kokietował warszawiaków dobroduszą, ale komendant policji pruskiej

51

generał Pletz roztaczał czujny nadzór nad eksponowanymi osobistościami politycznymi i wszędzie wietrzył konspirację antyrządową. Zaostrzeniu cenzury pruskiej towarzyszył wzrost samokontroli po stronie polskiej. Popuławski „katzenjammer” i nieufność do Napoleona sprawiły, że warszawscy promineneci społeczni wystrzegali się pilnie wszelkich poczynań mogących podrażnić Prusaków. Prasa warszawska informowała o wypadkach wojennych jedynie skąpymi przedrukami z gazet zagranicznych. W artykułach własnych pisano prawie wyłącznie o sztukach wystawianych w teatrach, o balach na cele dobroczynne

oraz o łaskawości króla pruskiego, który „pragnie naśladować Fryderyka Wielkiego, dziada swego, i używać dochodów publicznych na obronę, wsparcie, zagospodarowanie i ozdobę państw swoich”.

Ale młodzież stolicy niechętnie poddawała się kamuflażowi politycznemu, narzucanemu przez starszych. Słuchała z podnieceniem przeciekających z Galicji wieści o klęskach armii zaborczych i przy każdej okazji, w teatrze czy na zebraniach publicznych, manifestowała swoje zapale patriotyczne.

Charakterystyczne ślady ówczesnych nastrojów odnaleźć można w protokołach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wokół którego skupiało się wtedy życie intelektualne stolicy.

8 grudnia 1805 roku (a więc w sześć dni po Austerlitz) członkowie Towarzystwa uprosili kanonika Woronicza, by „ulegając okolicznościom terażniejszym i stosunkom, wstrzymać się raczył od wygłoszenia na posiedzeniu publicznym natchnionego hymnu. Do Boga skreślonego w duchu nielicującym z widokami rządu pruskiego odnośnie narodowości polskiej...” Uznano, że pewne aluzje wiersza mogą wywołać niepokój wśród młodzieży, tłumnie uczęszczającej na otwarte zebrania Towarzystwa. Konkretnie chodziło o ostatnią zwrotkę: „Kości spróchniałe, powstańcie z mogiły, przywdziejcie duch i ciało, i siły!”

Woronicz uległ namowom kolegów i zamiast niebezpiecznego hymnu zgodził się odczytać na zebraniu publicznym „przekład klasycznych utworów greckich”.

52

Nie udało się natomiast zapobiec „niespokojnościom” podczas odczytu Stanisława Staszica „O ziemiorództwie gór dawnej Sarmacji”. Najostrożniejsi dali się zwieść przyrodniczemu tytułowi rozprawy i bez sprawdzenia dopuścili ją na zebranie publiczne. Kiedy „w przytomności licznego zgromadzenia płci obojej” z mównicy rozległy się słowa: „Paść może i naród wielki, zniszczyć nie może, tylko nikczemny” – młodzież powitała je burzliwą, długo nie milnącą owacją. W kilka dni później wyciągnięto z tego konsekwencje. 5 stycznia 1806 roku starszyzna Towarzystwa powzięła uchwałę, „by dla zapobieżenia nieprzyстойnościom w czytaniach na sekcjach publicznych każda rozprawa ulegała uprzedniej kontroli członków”.

W patriotycznych demonstracjach na terenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk ważną odgrywali rolę młodzi zapaleńcy z Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny. Stosunki między dwoma Towarzystwami, podbudowane „obiadami piątkowymi” u marszałka Małachowskiego, były w tym czasie bardzo ożywione. Czarno ubrani panice, z wróżebnym znakiem kotwicy na guzikach, pilnie uczęszczali na odczyty Przyjaciół Nauk i gromkimi oklaskami podkreślali każdą aluzję mówców do aktualnych wydarzeń politycznych. Zaprzyjaźniony ze Staszicem i z Osińskim, Wincenty Krasiński wspierał czcigodną instytucję naukową hojnymi dotacjami w pieniądzu i w nieruchomościach, zabierał głos na posiedzeniach – szczególnie w „materyach geograficz-

nych", a pod koniec roku 1805 wprowadził w szeregi „członków przybranych” Towarzystwa dwóch swoich protegowanych i zapewne kolegów organizacyjnych: malarza Zygmunta Yögla oraz muzyka Józefa Eisnera, późniejszego nauczyciela Fryderyka Chopina.

Współpraca z uczonymi, literatami i artystami nie przeszkadzała Przyjaciołom Ojczyzny w kontynuowaniu innej, o wiele mniej chwalebnej działalności. Ich podniecenie zwycięstwami Napoleona przejawiało się w tym czasie w kilku głośnych awanturach pojedynkowych, odnotowanych skrupulatnie w pamiętnikach Józefa Krasińskiego.

53

Jeden z tych skandali pociągnął za sobą bardzo niemiłe dla Towarzystwa następstwa.

Zdarzyło się to pod koniec karnawału roku 1806. Po suto zakrapianym śniadanku u Wincentego Krasińskiego Przyjaciele Ojczyzny dla ochłodzenia rozgrzanych głów „poszli całą bandą” na przechadzkę do Ogrodu Saskiego. W pewnej chwili dostrzegli „jakiegoś młodego człowieka w ubiorze, całkowicie podobnym do munduru Towarzystwa”. Zuchwalstwo to postanowili ukarać. Na wykonawcę wyroku wybrano prostodusznego Józefa Krasińskiego, ale głównym aranżerem był sam prezes.

„Kiedy Wicusz powiedział głośno: ach, widzę, że się boisz!— pisze Józef Krasiński— pobiegłem jak szalony w stronę tamtego człowieka i zapytałem go, jakim prawem ten mundur nosi? — Bom go sobie sprawił, a pan jakim prawem mnie o to pytasz? — Tu, nie wdając się w dalsze rozprawy, pochwyliłem go za klapę od fraka i z siłą, jakiej bym nie miał w stanie zwyczajnym, urwałem mu cały bok jego fraka. Mnóstwo ludzi się natychmiast około nas zebrało. Obelga była jawna i nie mogła być naprawiona jak pojedynkiem...”

Strzelano się następnej nocy w ogrodzie pałacu Bielińskich przy ulicy Królewskiej. Obaj młodzi ludzie* wyszli z pojedynku cało, ale strzelaniną w ogrodzie czcigodnego marszałka Bielińskiego zainteresował się ront policyjny.

W zwykłym czasie taka awantura nie spowodowałaby żadnych poważniejszych interwencji ze strony władz pruskich. Działo się to jednak, jak wspomniałem, w okresie wzmożonej czujności okupantów i gorliwego tropienia wszelkich tajnych związków. Policja —informowana już od dawna o „działalności konspiracyjnej” Przyjaciół Ojczyzny — uczepliła się skwapliwie pojedynku i wykorzystwała go jako pretekst do walnej rozprawy z Towarzystwem.

„Po pojedynku... — pisze Józef Krasiński — gubernator Koe-hier wezwał mnie do siebie, a następnie odesłał do komendanta

•Bezprawny posiadacz patriotycznego fraka nazywał się Łabęcki i w parę lat później

zginął w Hiszpanii jako oficer jednego z pułków piechoty Księstwa Warszawskiego.

54

policji Pletza... Ów zadawał mi pytania podchwytujące, żeby wymiarkować cel naszego Towarzystwa, i skończył na tem, że mi kazał wyjechać w 24 godziny z Warszawy".

Były podobno jeszcze inne konsekwencje. W pracy Marcellego Handeismana Warszawa w roku 1806–1807 jest wzmianka, że gubernator Koehier zmusił wtedy obu Krasińskich do formalnego rozwiązania Towarzystwa. Źródła pamiętnikarskie tego nie potwierdzają, ale wynika z nich jasno, że w pierwszych miesiącach 1806 roku konspiratorzy z pałacu na Krakowskim Przedmieściu przeżywali ciężki kryzys organizacyjny.

Do pruskich represji policyjnych dołączyły się „różne kome-raże i intrygi osobiste" wewnątrz Towarzystwa. Szczególnie gwałtowne nieporozumienia wybuchły między dwoma ambitnymi członkami-założycielami: Wincentym Krasińskim i Tomaszem Łubieńskim. Konflikt ten, który w latach następnych miał stale naruszać spójność wewnętrzną polskiego pułku szwoleżerów gwardii, wynikał z krańcowej odmienności charakterów dwóch młodych arystokratów. Zrównoważony, wykształcony i z poznańska solidny, Łubieński stanowił jaskrawe przeciwieństwo próżnego i zapalczywego panicza z Podola. Po chuligańskich wybrykach karnawałowych pan Tomasz z „katońską surowością" potępił nieodpowiedzialne postępowanie prezesa. Krasiński próbował początkowo stłumić opozycję wewnętrzną, lecz przypierany do muru z jednej strony przez władze pruskie, z drugiej przez najbliższych kolegów – „nie chcąc się plątać w awantury" – zdecydował się w końcu na swoje ulubione wyjście z kłopotliwych sytuacji: „wyjechał z żoną na Podole do jej majątków rodzinnych".

Z chwilą wyjazdu obrażonego prezesa Przyjaciele Ojczyzny, stracili dostęp do sali rycerskiej na Krakowskim Przedmieściu, jako że pałac Małachowskich jeszcze w roku 1804 przeszedł był, z woli starego marszałka, w niepodzielne władanie młodych • Krasińskich. Towarzystwo musiało więc z konieczności zreorganizować swoją strukturę i działalność.

„Nie zmartwili się tem wcale junacy–pociesza nas Józef

55

Krasiński – gdyż uformowali sobie klub konnej jazdy w rajt-szuli prymasowskiej pod przewodnictwem berajtera Tebacha..."

Ów klub jeździecki Przyjaciół Ojczyzny –jak wynika z dalszej relacji kronikarza–nie zasklepiał się w jałowej pracy

szkoleniowej i nie hołdował samolubnej zasadzie „sztuka dla sztuki”. Jego głównym celem stało się dostarczenie publiczności warszawskiej godziwych rozrywek kulturalnych. „Kawalerowie dla dam urządzali karuzel w cyrku, sami zaś z dzirytami na koniach powtarzali zręczne ewolucje; długo zabawiała się tem publiczność, zwycięzcy w nagrodę zwinności odbierali szarfy różnokolorowe z rąk obecnych pan... Do tego towarzystwa należeli: Piotr, Tomasz i Franciszek Łubieńscy, Koziętulski, Krzyżanowski, Bilski Ignacy, Zieliński, Rostworowscy, Wasilewski, Radziwiński, Jan Dębowski, Sokołowski malarz, Szymanowscy, Nosarzewski i wreszcie sam autor Pamiętników. I na tych zabawach także zjawiły się zwady, intrygi, pojedynki, paszkwile, plotki, osobistości –jak to u nas zawsze”.

W takich to dziwacznych i zgoła niepoważnych okolicznościach Jan Leon Koziętulski i jego późniejsi koledzy z polskiego pułku szwoleżerów gwardii cesarskiej odbywali swe pierwsze zaprawy kawaleryjskie do Somosierry i do Wagram.

Kres cyrkowym zabawom położyły dopiero wydarzenia historycznej jesieni 1806 roku.

Pod koniec lata w Europie zarysowała się nowa konfiguracja polityczna. Fryderyk Wilhelm III –przerażony umacnianiem się wpływów napoleońskich w Niemczech i możliwością sojuszu francusko-rosyjskiego – coraz usilniej zabiegał o odnowienie przymierza z carem Aleksandrem. W połowie sierpnia czwarta koalicja antyfrancuska z udziałem Rosji i Prus stała się faktem, W związku z nadchodzącą wojną wyłoniła się jak zwykle „sprawa polska”. Tym razem zamiast Czartoryskiego, orędownictwa jej podjął się znany nam już skądinąd kuzyn i przyjaciel króla pruskiego, rezydujący stale w Berlinie książę Antoni Radziwiłł.

W pierwszych dniach sierpnia Radziwiłł, w porozumieniu z grupą magnatów polskich o orientacji pruskiej, złożył Fry-

56

derykowi Wilhelmowi III memoriał w sprawie „uformowania na wypadek wojny oddzielnego korpusu polskiego” oraz „odnowienia królestwa polskiego pod berłem Hohenzollernów”.

„Należy uprzedzić Napoleona... Niech król pruski przybierze miano króla Polski. Niech cesarz rosyjski dorzuci do swoich tytułów tytuł króla Litwy – doradzał władcy Prus polsko-litewski książę. – Te dwa tytuły wystarczą, by ożywić dwa narody niegdyś odrębne. Poważają one już dziś władzę, pod której ochroną los je postawił – i na zawsze pozostaną jej wierne... W ten sposób zniweczy się zamysły, tkwiące od dawna w płodnej głowie Bonapartego, przy których pomocy zamierza wstrząsnąć reszta Europy...”

Naczelnikiem „korpusu polskiego” miał zostać ze względów propagandowych, podobnie jak w roku poprzednim, ostatni

wódz naczelny niepodległej Rzeczypospolitej, „dobrze myślący” (tak go rekomendował w swoim memoriale Radziwiłł) ksiązę Józef Poniatowski.

Ale „plan berliński” nie mógł liczyć na powodzenie w Warszawie. Po rozczarowaniu puławskim przestano tam w ogóle wierzyć w obietnice odnowicielskie zaborców, a zaborcę pruskiego—jako bezpośredniego okupanta—traktowano specjalnie nieufnie... Konkretyzację koncepcji Radziwiłła uniemożliwił zresztą błyskawiczny rozwój wydarzeń wojennych.

Z Prusakami Napoleon rozprawił się jeszcze szybciej niż z Austrią. 14 października 1806 roku, po tygodniowej zaledwie ofensywie francuskiej, armia pruska uległa niemal całkowitej zagładzie w podwójnej bitwie pod Jena i Auerstedt. Pogrom „niezwyciężonej monarchii fryderycjańskiej” był bezprzykładny. Fryderyk Wilhelm III uciekł ze swym dworem nad Bałtyk. Trudne do zdobycia fortece pruskie kapitulowały jedna po drugiej. Całe Prusy, otwarte i bezbronne, oddawały się zwycięzcom prawie bez oporu.

27 października Napoleon odbył tryumfalny wjazd do Berlina. W tydzień później w berlińskiej kwaterze głównej pojawili się na wezwanie cesarza dwaj zasłużeni organizatorzy polskich

57

legionów we Włoszech: Jan Henryk Dąbrowski i Józef Wybicki. W tym samym czasie strażę przednie korpusu marszałka Davouta, zwycięzcy spod Auerstedt, przekroczyły dawną granicę Polski.

Warszawa przeżywała gorączkowe dni. Od zachodu zbliżali się Francuzi, na wschodnim brzegu Wisły koncentrowały się, nie biorące dotychczas udziału w wojnie, wojska drugiego partnera koalicji, cara Aleksandra.

Wincenty Krasiński powrócił do stolicy ze swego dobrowolnego wygnania już w połowie września. Kozietułski zjechał z matczynej Kompiny w dwa tygodnie później. Wobec powagi sytuacji zaniechano w Towarzystwie niewczesnych sporów personalnych i kawalerzyści z „rajtszuli prymasowskiej” skupili się znowu przy prezesie w jego pałacu na Krakowskim Przedmieściu. Wróżebne kotwice na guzikach Przyjaciół Ojczyzny coraz jaśniej przeświecały spod czarnego lakieru. Po Jenie i Auerstedt nikt już nie wątpił, że okupacja pruska musi się wkrótce skończyć.

Cenzurowana przez generała Pletza prasa nadal podawała tylko przedruki z gazet koalicyjnych, ale odważni flisacy i rybacy wiślani, oszukując czujność posterunków prusko-rosyjskich, przemycali do stolicy najświeższe wieści z terenów zajętych przez Francuzów. W pałacu Krasińskich na Krakowskim Przedmieściu radowano się, że Dąbrowski i stary konfederat barski Wybicki są już przy Napoleonie. Czekano z niecierpliwością na wiadomość o powrocie do kraju Tadeusza Kościuszki. Ale największe nadzieje wiązano z faktem, że jednym z głównych do-

radców Napoleona w sprawach polskich był jego ulubiony szambelan – książę Aleksander Sapieha. Przyjaciele Ojczyzny mieli prawo oczekiwać, że paryski protektor prezesa przypomni o nich cesarzowi i Dąbrowskiemu.

Kiedy do Warszawy dotarła wieść o wyzwoleniu Poznania i o przybyciu tam Dąbrowskiego i Wybickiego, zaufani krawcy Krasińskiego szyli już w najwyższym pośpiechu mundury wojskowe, wzorowane na ubiorze dawnej Kawalerii Narodowej,

58

a wierzchowce z „rajtszuli” Tebacha sposobiono do nowych zadań bojowych.

W połowie listopada przekradł się do Warszawy przez kordony koalicyjne pierwszy emisariusz z Poznania, Józef Szymanski. Przywiózł z sobą odezwy Dąbrowskiego i Wybickiego, nawołujące do powstania i obiecujące rychły powrót Kościuszki. Do jednej z odezw dołączony był list adresowany imiennie do Wincentego Krasińskiego.

„Napoleon co tylko ma stanąć w Poznaniu – pisali do przywódcy młodzieży warszawskiej Dąbrowski i Wybicki. – Przybywaj tam JWWMc! Pan wraz z innymi Polakami zaraz po otrzymanym tym liście, abyśmy mu drogę zabiegli na granicach ziemi naszej, witali jak zbawcę i o przywrócenie narodu prosili...”

Stało się więc to, na co czekano od trzech lat. Niedawni uczestnicy „karuzeli” cyrkowych zmienili się w prawdziwych żołnierzy i w prawdziwych Przyjaciół Ojczyzny. Wyboisty trakt poznański miał stać się dla nich pierwszym etapem drogi wiodącej do historycznych przeznaczeń.

Kiedy wkrótce potem w największej konspiracji opuszczali Warszawę, w mieście krążyły już pogłoski o powstaniu w Kaliskiem i ogłaszano właśnie napisane żalosną polszczyzną publicandum króla pruskiego „Przeciw burzycielów i sprzyjających do insurekcyjnych poruszeń w Prusach Południowych”. Dekret nakazywał „chwytać tych złoczyńców we 24 godzin, Kriegsrecht z nimi odbyć i przekonanych zastrzelić”.*

W Teatrze Polskim, kierowanym przez zaprzyjaźnionego z Krasińskim poetę Ludwika Osińskiego, grano tego wieczoru komedię pod aluzyjnym tytułem Bankructwo partacza.

Przekupki warszawskie i ulicznicy śpiewali świeżo wymyśloną piosenkę:

Uciekajcie, pruskie śledzie,
bo Kościuszek z wojskiem jedzie!

* Kto wie, czy ogłoszenie tego pokraccznego publicawium, w wersji oryginalnej nadesłanej z Berlina, nie było świadomym żartem sławnego później pisarza i muzyka niemieckiego

E.T.A. Hoffmanna, który pracował w tym czasie w magistracie warszawskim. Autor Ów wieści był ożeniony z Polką, sprzyjał Polakom i przepadał za niesamowitymi żartami.

59

' Na murach odwachu pruskiego przy kościele Bernardynów czerniał szyderczy napis:

Generał Pletz
pójdzie precz!

28 listopada 1806 roku do Warszawy wkroczyła jazda francuska pod dowództwem marszałka Joachima Murata, „z bożej łaski wielkiego księcia Kliwii i Bergu”.

Tak niepopularnych do niedawna Francuzów witano w wyzwoleonej stolicy z trudnym do opisanego entuzjazmem. „Kto nie był przytomny tej scenie – wspomina uczestniczka uroczystości powitalnych, Anna Nakwaska – ten nie doświadczył, jak głęboką namiętnością jest miłość ojczyzny, ten wyobrażenia sobie nawet zrobić nie potrafi, do jakiego stopnia szaleńczość może radość ludu wyzwolonego spod obcego jarzma”.

Radość wyzwolenia zatruto jedynie księciu Poniatowskiemu. Pamiętliwa ulica warszawska udzieliła tego dnia gorzkiej nauki patronowi rozhułkanej Blachy.

„Ujrzano – pisze pani Nakwaska – poczet jeźdźców na dzielnych koniach w mundurach dawnej Kawalerii Narodowej (strój ten, jak widać, przyswoiły sobie obie koterie młodzieży – M.B.), przierzynający się między falami ludu, który go przyjmował sykaniem, urąganiem, miejscami gwizdaniem. Byli to:

książę Józef i jego wierna drużyna. Synowiec króla jechał na przeciw Francuzów w charakterze naczelnika milicji warszawskiej i w tym dniu odbierał karę za swoje niepolskie obyczaje pod panowaniem Prusaków”.
1

W kilka dni po wkroczeniu Francuzów, 2 grudnia 1806 roku, Gazeta Warszawska przekazała swym czytelnikom trzy ważne wiadomości.

Komunikat władz miejskich obwieszczał, że „zeszłej nocy z 1 na 2 grudnia Wojska Rosyjskie i Pruskie nagle ustąpiły ze wszystkim z Pragi, przez co jej mieszkańcom otwarta została komunikacja z Warszawą”.

60

W komunikacie drugim, nadanym z Berlina, Ksawery Działyński, członek delegacji polskiej, wysłanej z Poznania do Napoleona, składał sprawozdanie z audiencji w Głównej Kwaterze :

„...Cesarz mówiąc blisko kwadrans namiętnie oświadczyć nam raczył, że skoro 30 do 40.000 ludzi pod broń zbierzemy, niepodległość Polski w Warszawie ogłosi, a skoro ją ogłosi, nikt jej naruszyć nie zdoła...”

Komunikat trzeci, na pozór znacznie mniej doniosły i efektowny od dwóch poprzednich, uszedł uwagi szerokich kół czytelniczych, wzbudzając zainteresowanie jedynie w sferach kuciekich stolicy. Był to urzędowy wypis z „Dekretu o blokadzie kontynentalnej”, wydanego przez cesarza w Berlinie 21 listopada 1806 roku.

W trzynaście miesięcy po zwycięstwie admirała Nelsona pod Trafalgarem Napoleon odpowiadał na nie posunięciem, nie mającym precedensu w historii polityczno-gospodarczej świata. Ponieważ po zniszczeniu floty francuskiej blokada Wysp Brytyjskich z morza była już niemożliwa, zdobywca połowy Europy postanowił z lądu zablokować przed handlem angielskim cały kontynent europejski.

Opublikowany w Gazecie Warszawskiej dekret wyliczał drastyczne środki, które miały doprowadzić do ruiny gospodarczej Anglii, a przez to uwolnić od najgroźniejszego konkurenta wielką burżuazję francuską.—Wszelki handel i wszelkie stosunki z Wypami Brytyjskimi są zabronione — głosił dekret. — Nie wolno utrzymywać z Anglią komunikacji pocztowej czy jakiegokolwiek innej. Wszyscy poddani angielscy, przebywający w krajach zajętych przez wojska francuskie lub sprzymierzone, mają być natychmiast aresztowani. Majątek ich staje się łupem wojennym. Zabroniony jest wszelki obrót towarami angielskimi, bez względu na to, kto nimi handluje. Wszystko, co pochodzi z Anglii, podlega konfiskacie...

Ale blokada kontynentalna Anglii mogła być skuteczna jedynie pod tym warunkiem, że cała Europa zostanie zawojowana

61

przez Napoleona bądź poddana jego ścisłej kontroli. „Gdyby choć jedno państwo wyłamało się spod solidarności i weszło w stosunki handlowe z Anglią — stwierdza znawca epoki napoleońskiej, Eugeniusz Tarle — cały dekret o blokadzie kontynentalnej równałby się zeru, gdyż przez to jedno oporne państwo towary angielskie (pod firmą nieangielską) mogłyby łatwo i szybko rozchodzić się po całej Europie”.

Dlatego też można śmiało uznać, że w trzecim, najmniej efektownym, komunikacie Gazety Warszawskiej z dnia 2 grudnia 1806 roku tkwiła już zapowiedź wszystkich późniejszych wydarzeń wojennych i politycznych.

Przez następne osiem lat ekonomiczne postanowienia de-

kretu o blokadzie kontynentalnej będą w ukryty, lecz decydujący sposób wpływały na los naszych bohaterów. One to głównie sprawią, że Jan Hipolit Koziętulski i inni Przyjaciele Ojczyzny pojedą zdobywać hiszpańską Somosierrę, że tysiące młodych warszawiaków znajdą śmierć w śniegach rosyjskich podczas odwrotu spod Moskwy, że książe Józef Poniatowski utonie w sańskiej Elsterze...

Z ówczesnych czytelników Gazety Warszawskiej nikt oczywiście nie mógł tych skutków przewidzieć. Gdyby nawet w którymś z „kaffeehauzów” stołecznych znalazł się polityk tak przenikliwy i dalekowzroczny, niechybnie by go zakrzyczano i uznano za defetystę. W grudniu 1806 roku nie było miejsca na sceptycyzm i małoduszność. Odurzona pierwszym podmuchem wolności. Warszawa pragnęła stać się znowu stolicą niepodległego państwa i czekała z nadzieją na cesarza Wybawcę.

NAPOLEON W WARSZAWIE

Łowicz, 18 grudnia 1806 roku

„Nayiaśniejszy Cesarz Napoleon, Zbawca Narodu Polskiego, przybywszy tu dziś o godzinie 3.20 po południu, stanął w domu JPana Kosierkiewicza z xięciem Neufchatel (marszałkiem Berthier)...”

Błonie, 19 grudnia

„Nayiaśniejszy Cesarz Francuzów przybył tu wczoraj o 10-tej konno z Łowicza w asystencji xięcia Neufchatel, generałów-adjutantów i eskorty strzelców. Zszedłszy z konia przed pocztą posilił się wodą z winem i Komendantowi miejscowemu a potem Komissyi powiatowej czynił różne zapytania, na które jeden z członków JP Szambelan Lesser odpowiadał. O godzinie 10.30 odmieniwszy konia do Warszawy Cesarz pojechał”.

Warszawa, 20 grudnia

„Niepojętym i cudownym losów zrządzeniem starożytna Piastów i Jagiellonów stolica, zagrzebana w zwaliskach całej ich dziedziny, zrównała się wczoraj z nayszybszą stolicą świata przyjęciem na swe łono Zwycięzcy nayszybszych mocarstw. Bohatyr dwóch wieków, Prawodawca ludów, Pogrom uciemiężycielów i Podziw całego świata, Napoleon Wielki znajduje się już w iey murach...”

Takimi komunikatami oznajmiła Gazeta Warszawska pierwszy przyjazd Napoleona do stolicy wyzwolonego kraju. Bliższe szczegóły tego wydarzenia odnaleźć można w pamiętnikach

wybitnych osobistości ówczesnych: Józefa Wybickiego, Antoniego Ostrowskiego, Leona Dembowskiego i innych.

W Warszawie spodziewano się od dawna, że cesarz przyjedzie w drugiej połowie grudnia, i ceremonię powitania opracowano nadzwyczaj starannie. „Programma względem przyjęcia w Warszawie Najjaśniejszego Cesarza Francuzów, Napoleona Wielkiego”, załączona do Gazety Warszawskiej z 12 grudnia 1806 roku, ustalała porządek uroczystości do najdrobniejszego szczegółu. Wyzwoliciele miały witać: dwie wspaniałe bramy tryumfalne, trzydniowa iluminacja i dekoracja całego miasta, bicie w dzwony wszystkich kościołów, delegacje urzędowe i obywatelskie oraz uporządkowany entuzjazm ludności miejskiej i okolicznej. „Landrat warszawski –zapowiadała Programma – czekać będzie Najjaśniejszego Pana ze zgromadzonemi Wierśniakami z okolic Warszawy przy wsi Woli, odkąd aż do pierwszego Arku tryumfalnego starać się będzie o iak największy porządek w rozłożeniu zgromadzonego Ludu, dając pierwsze miejsce Starcom i Matkom z dziećmi, które przejeżdżającego Cesarza witać będą okrzykami: «Niech żyje Napoleon Zbawca Polski»...”

Ale realizację programu uroczystości uniemożliwił sam solenizant. Wyprzedzając o dwa dni komunikaty prasowe, pojawił się w Warszawie zupełnie nieoczekiwanie, o 1 g. w nocy z 18 na 19 grudnia, kiedy całe miasto już spało. Potem mówiono, że ten zakonspirowany przyjazd nocny Napoleona był z jego strony świadomą demonstracją polityczną wymierzoną przeciwko arystokracji stołecznej. Magnaci warszawscy, ze względu na swe powiązania majątkowo-rodzinne z innymi zaborami, nie odnieśli się zrazu do francuskich wyzwolicieli tak przychylnie jak magnateria wielkopolska. Cesarz o tym wiedział i jeszcze w Poznaniu nastroił się do stolicy niechętnie.

Uciążliwa podróż z Poznania do Warszawy złagodzić tej niechęci nie mogła. Po drodze szef sztabu generalnego marszałek Berthier stwierdzał wszędzie niewystarczające zaopatrzenie magazynów wojskowych. Przed Kutnem wyrócił się na śliskim

64

błocie powóz wielkiego marszałka dworu Duroca, a on sam potłukł się ciężko, co w konsekwencji pozbawiło cesarza na pewien czas usług ulubionego współpracownika. Od Łowicza trakt tak tonął w błocie, że dalsza podróż powozami okazała się niemożliwa i ostatni etap drogi musiał Napoleon przebyć wierzchem, na koniu, pożyczonym od strzelca z eskorty.

Do Warszawy przyjechał zmęczony i wściekły. W Zamku Królewskim zastał ostygłe kominki, wyziębłe pokoje i półprzytomną, wyrwaną z najgłębszego snu, służbę. Ofiarą pierwszej furii cesarza padł jego szwagier i namiestnik – marszałek Murat. „Joachimowi z bożej łaski Wielkiemu Księżciu Bergskiemu” (tak podpisywał się Murat na dekretach) przypomniano w dosadny sposób, czyjej łasce naprawdę zawdzięczał swe dostojęństwo. W ostrych słowach Napoleon wyrzucał szwagrowi, „że się stroi, bawi, baluje, do Polaków umizga, a o wojnie zapo-

mina". Rozdrażnienie cesarza potęgował jeszcze fakt, że małżonek Karoliny Bonaparte nabawił się w Warszawie przykraj „choroby kawalerskiej”, która utrudniała mu wykonywanie obowiązków służbowych (z tej właśnie przyczyny naczelny dowódca jazdy francuskiej nie uczestniczył później w bitwie pod Pułtuskim).

Równie bezceremonialnie potraktował Napoleon przybyłych na Zamek przedstawicieli władz polskich. — „Cóż to jest? — besztal członków Izby Najwyższej Wojny i Administracji. — Francuski garnizon w Warszawie częstujecie, rozpijacie, przyzwyczajacie do zbytków, a w magazynach po drodze pustki i żołnierze na linii bojowej mrą z głodu. Tańczujecie tylko i balujecie, a o tym co należy nie myślicie”.

Ze zgodnych relacji pamiętnikarskich wynika, że Zbawca Polski podczas tej pierwszej audiencji wręczył deputatom warszawskim listę żądanych dostaw i poparł ją groźnym ultimatum. Poszczególni pamiętnikarze różnią się tylko w sformułowaniach. Według obecnego na audiencji Antoniego Ostrowskiego (kuzyrna Koziętulskiego, a brata owego Franciszka, tak bezlitośnie ośmieszonego przez Przyjaciół Ojczyzny), Napoleon miał po-

5 — Koziętulski t. I

65

wiedzieć: „Jeżeli natychmiast Wszystko w obfitości dostarczone nie będzie, spalę kraj i zostawię pod kijem wrogów”. Inny pamiętnikarz, Leon Dembowski, utrzymuje, że słowa cesarza — skierowane ad personam do Michała Kochanowskiego, dyrektora Izby Najwyższej Wojny i Administracji — brzmiały: „Oto wykaz potrzeb, które jeżeli w 24 godzin nie będą dostawi one na miejsce wskazane, będziesz waszmość rozstrzelany!”

Jakkolwiek było sformułowane cesarskie ultimatum, jego praktyczne konsekwencje obciążyły przede wszystkim Józefa Wybickiego, który już w Poznaniu dał się poznać Napoleonowi jako znakomity organizator w dziedzinie aprowizacji.

„Czas był okropnie słotny — pisze w swych Pamiętnikach autor Pieśni Legionów. — Chodziłem w nocy po odległych ulicach, abym dopełnił komisur. Gdy wróciłem przeziębły do domu, wnet nadszedł oficer ordynansowy p. Falkowski od cesarza z pochodnią, przypominając mi, co obiecałem. Odpowiedziałem: «Widzisz mnie waćpan ledwo żyjącego; od godziny czwartej, jak pożegnałem cesarza, teraz dopiero wracam do domu. Powiedz mu, iż na czterdziestu przeszło młynach pszenica się miele, aby jutro mąka do magazynów weszła». Odszedł Falkowski ukontentowany, a ja tylko co się przebrałem, poszedłem na młyny i od rana wszystkie zaraz wozy i konie wzięłem w rekwizycję i już o jedenastej napisałem do Falkowskiego, aby mnie złożył u nóg cesarza i zapewnił, że się do Pragi 700 Cetnarów mąki zwozi, którą JW. intendent Daru za bardzo

dobrą uznał”.

, Kiedy Józef Wybicki tak pracowicie zabiegał o chleb dla 3 armii francuskiej, Jan Leon Hipolit Koziętulski i jego koledzy | z Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny asystowali już Napoleonowi 1 w jego pierwszych przejażdżkach po ulicach Warszawy –jako

trzon tzw. Gwardii Honorowej Polskiej, wybranej z najświet-
' niejszej młodzieży na straż przyboczną dostojnego gościa.
:., W źródłach historycznych nie znalazłem informacji pozwalają-
jących na dokładne odtworzenie losów Przyjaciół Ojczyzny po
ich wyjeździe z Warszawy do Poznania. Kolejności wydarzeń

66

tego okresu można się tylko domyślać na podstawie tu i ówdzie rozsianych wzmianek kronikarskich.

Krasińskiemu i jego drużynie nie udało się „zapobiec drogi cesarzowi na granicach ziem naszych” (do czego wzywał ich „list zapowiedni” Dąbrowskiego), ponieważ uprzedziła ich w tym zaszczytce wcześniej sformowana poznańska Gwardia Honorowa pod dowództwem Jana Nepomucena Umińskiego. W Poznaniu musieli przeto zrezygnować z bezpośredniego kontaktu z Napoleonem. W ostatnich dniach listopada generał Dąbrowski wcielił rozczarowanych paniczów warszawskich do tworzącego się wojska polskiego. Zapewne już wtedy ambitny Krasiński zdołał sobie wyprosić u generała przywilej na sformowanie Gwardii Honorowej w Warszawie. Patenty na „podkomendantów” tej Gwardii otrzymali od Dąbrowskiego: Koziętulski i Tomasz Łubieński *. W nowym charakterze Przyjaciół Ojczyzny powrócili do stolicy prawdopodobnie już w początkach grudnia 1806 roku.

Z relacji pamiętnikarskich wyraźnie wynika, że w pierwszych dniach pobytu Napoleona w Warszawie Gwardią Honorową Polską dowodził jeszcze Wincenty Krasiński. Ale prawdopodobnie już w chwili wyjazdu cesarza na front pułtuski sytuacja przedstawiała się inaczej. Koziętulski i Łubieński swoje stanowiska podkomendantów Gwardii nadal zachowali, natomiast „prezes Wicuś”, główny organizator całej imprezy, został z honorowej asysty cesarskiej wyłączony i musiał się zadowolić zwykłym pułkownikostwem w jeździe pospolitego ruszenia.

Odsunięcie od cesarza ambitnego i ustosunkowanego „napoleończyka” warszawskiego wiązało się niewątpliwie z ówczesnymi rozgrywkami polityczno-personalnymi na najwyższym szczeblu nowego wojska polskiego.

Kiedy w głównej kwaterze cesarskiej w Berlinie podejmowano

* Sprawa stanowiska Koziętulskiego w warszawskiej Gwardii Honorowej nie jest zupełnie jasna. W dekrete organizacyjnym pułku szwoleżerów z 6.IV.1807r.

Łubieński był

wymieniony jako „podkomendant Gwardii Honorowej”. Natomiast z innych dokumentów i z oficjalnych danych biograficznych Koziętulskiego wynika niedwuznacznie, że on także

był „podkomendantem”.

pierwsze kroki w „sprawie polskiej”, Napoleon, zgodnie z opinią towarzyszących mu Polaków, zamierzał sprowadzić z Francji Tadeusza Kościuszkę i jemu powierzyć naczelne zwierzchnictwo nad wojskiem i nad całym ruchem narodowym. Bezpośrednio po pierwszej naradzie z Dąbrowskim i Wybickim, 3 listopada 1806 roku, cesarz wysłał do swego ministra policji w Paryżu, Fouchego, instrukcję następującej treści:

„...Przywołaj WPan Kościuszkę i powiedz mu, ażeby natychmiast wyjechał złączyć się ze mną. Ale niech wyjedzie po tajemnie i pod przybranym nazwiskiem. Zgłosić się ma do generała Dąbrowskiego albo wprost do marszałka Duroca. Daj mu tyle pieniędzy, ile tylko będzie potrzeba. Wypraw wraz z nim wszystkich Polaków, których ma przy sobie...”

Pomimo tak kategorycznych poleceń, Fouchemu nie udało się namówić starego wodza powstania na powrót do ojczyzny i na współpracę z cesarzem Zachodu. Co prawda niedługo potem w prasie francuskiej i niemieckiej ukazała się pronapoleońska „Odezwa do Polaków”, podpisana nazwiskiem Kościuszki, ale był to tylko falszyfikat sfabrykowany przez paryską policję. W osiem lat później, kiedy lipska encyklopedia Brockhousa przytoczyła tę odezwę jako autentyczną, Naczelnik w odręcznym sprostowaniu do wydawnictwa zdemaskował fałsz Fouchého i przedstawił prawdziwy przebieg swoich pertraktacji z rządem napoleońskim.

„Napoleon, idąc ze swoim wojskiem do Polski, starał się za pośrednictwem ministra Fouchego nakłonić mnie do powrotu – pisał Kościuszko do wydawców lipskiej encyklopedii – odpowiedziałem pisemnie, że przybędę natychmiast, jeśli Napoleon zagwarantuje nam dawne granice Królestwa, jego niepodległość i liberalny ustrój, zbliżony do angielskiego. Ale w miesiąc później... minister Fouche otrzymał od cesarza rozkaz, aby nie cofając się przed żadnymi środkami wymóc na mnie zgodę na wyjazd, a w razie mojej odmowy dostarczyć mnie siłą przez żandarmów. Na to odpowiedziałem, że zaznałem już więzień i niesprawiedliwości – i że może robić ze mną co zechce, ale

nie będą mieli ze mnie żadnej pociechy, jeżeli zostanę przywieziony do Polski pod przymusem i oświadczę Polakom, że nie jestem wolny. »A więc, dobrze – odrzekł mi Fouche – damy sobie radę bez pana«. W kilka dni później ukazała się w prasie odezwa do Polaków, podpisana moim nazwiskiem. Chciałem natychmiast zaprotestować w gazetach, ale nie pozwolono mi na to. Wtedy napisałem do ministra Fouchego co następuje: »Przeczytałem w gazetach odezwę do Polaków, podpisaną moim nazwiskiem. Ale nie pochodzi ona ode mnie. Uważam za swój obowiązek oświadczyć to panu jako ministrowi Cesarstwa Francuskiego, jednocześnie proszę, abyś zechciał powiadomić o tym cesarza«”.

W kwaterze cesarskiej niewygodną odmowę Kościuszki nie

od razu przyjęto do wiadomości. Fouche otrzymał polecenie dalszego prowadzenia pertraktacji, w odezwach i propagandzie ustnej nadal obiecywano Polakom rychły powrót wyczekiwanego Naczelnika.

Ale sam Napoleon nie mógł sobie pozwolić na czekanie. Istniała nagła potrzeba złożenia w czyjeś ręce naczelnego zwierzchnictwa nad polskim ruchem wyzwoleniczym. W nieobecności Kościuszki naturalnym kandydatem narodu na to stanowisko był generał Jan Henryk Dąbrowski. Twórca Legionów od dziesięciu lat uosabiał w oczach Polaków ideę zbrojnej walki o niepodległość. Na terenach wyzwolonych witano go z entuzjazmem jako bezspornego wodza odradzającego się wojska. Przy wjeździe do miast ludność wyprzęgała konie z jego powozu i sama w pochodzie triumfalnym ciągnęła go przez ulice. Starego generała obnoszono na rękach, obsypywano kwiatami i wzruszającymi dowodami miłości. Legionowy Mazurek Dąbrowskiego, który śpiewano wszędzie na jego cześć, stał się stopniowo pieśnią ogólnonarodową, czymś w rodzaju hymnu nie istniejącego jeszcze państwa.

Cesarz również sprzyjał swemu wieloletniemu wiernemu komatantowi i w pełni doceniał jego autorytet moralny oraz talenty wojskowe i organizacyjne. Mimo to do wysunięcia Dąbrow-

69

skiego na pierwsze miejsce w wojsku i w narodzie ostatecznie nie doszło. Stały temu na przeszkodzie racje polityczne.

Wywyższeniu wodza Legionów przeciwna była arystokracja. Szczególnie magnaci warszawscy obawiali się, że w odrodzonym państwie polskim razem z postępowymi kołami legionowymi dojść mogą do władzy jakobini. Dla arystokratów nazwisko Dąbrowskiego kojarzyło się z nazwiskami Zajączka i Kołłątaja. A w Warszawie dobrze jeszcze pamiętano krwawe zajęcia rewolucyjne z maja i czerwca 1794 roku. Na rynku Starego Miasta straszyły jeszcze widma szubienic, na których lud wieszkał ksiąząt i biskupów.

Marszałek Murat – który podczas pobytu w Warszawie nawiązał bliskie stosunki towarzyskie z Potockimi, Tyszkiewiczami i innymi rodzinami arystokratycznymi z kręgu Blachy – słał do kwatery cesarskiej w Poznaniu alarmujące meldunki o nastrojach panujących wśród magnaterii stołecznej. Zdaniem namiestnika, jedynym sposobem na przełamanie nieufności panów warszawskich było postawienie na czele wojska księcia Józefa Poniatowskiego, którego nazywał w liście do cesarza „człowiekiem rozsądnym i naprawdę dobrym Polakiem, niesłusznie podejrzewanym o sprzyjanie Rosji i Prusom”.

Napoleon miał o Poniatowskim opinię inną, gdyż nasłuchiwał się o nim wiele od jego dawnych i obecnych przeciwników politycznych: Józefa Sułkowskiego, Zajączka, Dąbrowskiego

i marszałka Dayouta. „Poniatowskiego znam lepiej niż ty – pisał w odpowiedzi na pierwsze sugestie Murata – bo od dziecięciu lat uważam pilnie, co się dzieje w Polsce. Jest to człowiek lekkomyślny i niekonsekwentny w większym stopniu, niż to się zdarza zazwyczaj wśród Polaków... Mało on bardzo wzbudza zaufania w Warszawie...”

Pomimo tak niechętnego stosunku do księcia cesarz nie mógł zlekceważyć meldunków swego warszawskiego namiestnika. Zależało mu przede wszystkim na wyciśnięciu z zajętego kraju jak największej ilości żołnierzy na dalszą wojnę z koalicją, a dla realizacji tego celu potrzebował poparcia potężnych magnatów

70

warszawskich. Ten wzgląd zadecydował ostatecznie o wyborze między wysuwany przez większość narodu Dąbrowskim a kandydatem arystokracji warszawskiej – niepopularnym Poniatowskim.

Książę Józef nie od razu przyjął ofiarowaną mu szansę. Tytuł już w życiu doznał zawodów i rozczarowań, tylekroć nadużywano jego imienia i dobrej woli, iż wzbraniał się instynktownie przed podjęciem nowej decyzji politycznej, jak gdyby przeczuwając, że tym razem będzie to już wybór ostatni i nieodwracalny.

W miarę umacniania się Napoleona w Polsce nacisk na księcia ze strony arystokracji i Murata stawał się coraz silniejszy. Lęk przed rządem legionowo-jakobińskim pogodził z sobą wszystkie koterie magnackie. Poniatowskiego nakłaniali do zdeklarowania się „za sprawę narodu” zarówno adherenci Blachy, jak i jej przeciwnicy – z teściem Wincentego Krasińskiego, starym marszałkiem Małachowskim na czele. Nawet Czartoryscy z Puław patronowali na odległość tej akcji werbunkowej na rzecz Napoleona. Z ramienia Murata pertraktacje z księciem prowadził Józef Wybicki, człowiek najbliższy związany z Dąbrowskim, lecz zarazem najwierniejszy wykonawca polityki napoleońskiej w Polsce.

„Gdy na mnie nalegał w. książę Bergu, abym wyrozumiał ks. Józefa Poniatowskiego, czy chce się za sprawę narodu zdecydować, a stąd na czele nowej siły zbrojnej stanąć, poszedłem do niego z rana i jeszcze do będącego w łóżku wszedłem – pisze w Pamiętnikach Wybicki. – Przedłożyłem mu rzecz całą i zażądałem, aby się zdeklarował. Książę jako człek pełen honoru nie był łatwym do ostatniej rezolucji, aż gdy mu wystawiłem, iż mógł zatrzeć skazę ostatnich lat panowania stryja swego i że nie można było stawiać się w dwuwkładnej postawie przeciw Napoleonowi, przyrzekł mi udać się do w.księcia Bergu...”

Poszli tedy razem do namiestnika cesarskiego, ale pierwsze rozmowy nie doprowadziły do porozumienia. Murat raportował cesarzowi, że Poniatowski „kładł za warunek przystąpienia

71

swego do Napoleona, iż tenże ogłosi natychmiast niepodległość Polski i da jej króla, na którego wysuwał (początkowo – M.B.) ks. Czartoryskiego... Na poparcie swoich żądań książę twierdził, iż mylnym byłoby sądzić, jakoby Polacy nie mieli nic do stracenia, przerzucając się na stronę Napoleona, że owszem poświęcają nadzieje, które im czyni cesarz Aleksander od wstąpienia swojego na tron, iż odbuduje ich ojczyznę w dawnych jej granicach... Że przeto podnosząc broń przeciwko Aleksandrowi na głos Napoleona, mają prawo żądać od niego pewnych rękojmi na przyszłość".

Warunki Poniatowskiego rozdrażniły cesarza. W liście z 2 grudnia 1806 roku odpowiedział Muratowi: „Polacy, którzy wykazują tyle ostrożności i żądają tak pewnych rękojmi, są to samoluby, których miłość ojczyzny nie zagrzewa... Wielkość moja nie potrzebuje podpory ze strony kilku tysięcy Polaków. Im to należy korzystać z zapalem z obecnych okoliczności, a nie mnie wychodzić im naprzeciw. Niech objawią silne postanowienie wydobycia się na niepodległość, niech się zobowiążą podtrzymywać króla, którego im dam, a wtenczas zobaczę, _ co mam dla nich uczynić..."

Niemal równocześnie z tym listem, dla przyśpieszenia decyzji panów warszawskich, Napoleon skierował do stolicy Dąbrowskiego.

Wahania księcia trwały jeszcze przez kilka dni. Przeciał je ostatecznie dopiero przyjazd Dąbrowskiego. Generał przybył do stolicy ze swym sztabem i z kancelarią 6 grudnia 1806 roku. Witany go z uwielbieniem tłumy warszawiaków. Chwałę jego głosił wiersz w Gazecie Warszawskiej:

...Niech piec piękna kochanków chęci nie wstrzymuje
Oyciec syna swą ręką niech wiedzie do roty
Cny Dąbrowski do chwaty drogę wam toruje
Mąż pełen charakteru, odwagi i cnoty...

Wierzono powszechnie, że przybywa dla organizowania sił zbrojnych na terenie Warszawy, Krażyły pogłoski-potwier-

72

dzone zresztą przez półoficjalne źródła francuskie – że uzyskał już nominację na naczelnego wodza całego wojska polskiego. Jego odezwa do narodu miała być ogłoszona następnego dnia.

Hołdy Warszawy dla Dąbrowskiego – tak niepodobne do obraźliwej demonstracji, jaką ulica warszawska zgotowała niedawno drużynie książęcej – musiały uprzytomnić Poniatowskiemu z całą ostrością jego własną sytuację. W pamięci niefortunnego obrońcy Powązek ożyły zapewne wszystkie twarde słowa, które wypowiedział o nim w przeszłości jego rywal wojskowy i przeciwnik polityczny. Książę zrozumiał, że po objęciu przez Dąbrowskiego władzy wojskowej w stolicy – dla niego samego nie będzie już miejsca ani w wojsku, ani w życiu politycznym. „Miał do wyboru –jak pisze Askenazy – albo sta-

nać na czele, albo zniknąć na zawsze".

Wybrał to pierwsze. Jeszcze tego samego wieczora odbył decydującą rozmowę z namiestnikiem cesarskim. „Wyraził gotowość objęcia wydziału wojny, zastrzegając się przeciw ubieżeniu go przez Dąbrowskiego na tym odpowiedzialnym posterunku. Ale zarazem żądał stanowczo od Murata wyraźnego na to rozkazu w imieniu Napoleona”.

W liście, w którym Murat relacjonował cesarzowi przebieg tej rozmowy, zwraca uwagę charakterystyczny szczegół. „Decydując się – pisał namiestnik – ksiązę w obecności głównych magnatów polskich oświadczył mi: ...powinniście bardziej liczyć na tych, którzy jak my decydują się po głębokim namyśle, niż na kilkunastu zapaleńców, którzy nie mając nic do stracenia przy najbliższym niebezpieczeństwie pochowają się lub uciek-

Wszystko przemawia za tym, że pogardliwe słowa Poniatowskiego odnosiły się do młodzieży z Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny. Bo kogóż innego patron Blachy mógł mieć na myśli, mówiąc o kilkunastu zapaleńcach, jeśli nie drużynę Krasińskiego, która pierwsza wyjechała z Warszawy na spotkanie Napoleona?

73

Nazajutrz, w ostatniej chwili, wycofano przygotowaną przez kancelarię Dąbrowskiego odezwę do narodu. Zamiast niej ukażała się odezwa Poniatowskiego. Ksiązę zawiadamiał dawnych towarzyszy broni, że na rozkaz namiestnika cesarskiego powraca do „rangi i czynności” sprawowanych w wojsku Rzeczypospolitej, aby zająć się organizowaniem sił zbrojnych w „tutejszych prowincjach”. W zakończeniu odezwy ksiązę oficjalnie potwierdził swój akces do Napoleona. „Zasady honoru od waszych zawsze były nieodstępne czynów—zwracał się do dawnych żołnierzy – a kiedy imieniem Ojczyzny wezwani, usiłowania nasze mają być miarą jej losu, stawić się na głos Zwycięskiego Monarchy i ufać Wielkiemu Jego charakterowi każdy zapewne za najpierwszą osądzi powinność”.

Kiedy w ślad za odezwą ksiązę ukazał się publicznie w polskim mundurze generalskim, zaskoczenie było powszechne. Ludność stolicy na ogół odniosła się niechętnie do reaktywizacji politycznej niepopularnego bratanka królewskiego. W dwa dni później – na przedstawieniu opery Krakowiacy i Górale w Teatrze Polskim – warszawiaczy w niedwuznaczny sposób dali do zrozumienia Francuzom, kogo naprawdę życzyli sobie na wodza. „9 grudnia, gdy w czasie grania pojawił się Dąbrowski – pisała Gazeta Warszawska – porwany był na ręce i wyniesiony w górę przy powszechnych oklaskach licznie zgromadzonej publiczności...” Ale ta spontaniczna demonstracja na cześć Dąbrowskiego, godząca wyraźnie w jego arystokratycznego współzawodnika, nie miała już żadnego wpływu na dalszy bieg wypadków.

W niespełna dwa tygodnie później Napoleon osobiście za-
twierdził wojskowy priorytet Poniatowskiego w stolicy kraju*

Spowodowało to wiele przesunięć personalnych. Jedną z pierwszych ofiar był dawny prezes Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny. Człowiek deklarujący się od lat jako przeciwnik Poniatowskiego nie mógł dowodzić przyboczną świtą cesarską na terenie podlegającym jego władzom wojskowym. Na miejsce Wincen- tego Krasińskiego komendantem Gwardii Honorowej Polskiej

74

został płk Tadeusz Tyszkiewicz, zasłużony żołnierz kościusz- kowski, blisko związany z księciem Józefem.

Ale zapobiegliwy staroście opinogórski należy do ludzi, któ- rzy potrafią bronić swej kariery. Już w następnym miesiącu uruchomi potężne wpływy i stosunki, a nawet środki finansowe, aby powrócić znowu do boku cesarza i wyrwać się raz na zawsze spod władzy znienawidzonego „pana Szarmanckiego”. Osiąg- nięcie przez Krasińskiego tych celów zadecyduje o dalszych losach Kozietulskiego i innych Przyjaciół Ojczyzny.

Pierwszy pobyt Napoleona w Warszawie trwał zaledwie cztery dni. Po niezbyt udanym wstępie władze stołeczne dołożyły wszelkich starań, aby w pełni „rozkręcić” uroczysty ceremoniał powitalny. „Obydwa teatry tutejsze: Francuski i Polski otwo- rzyły dla publiczności bezpłatne widowiska. Miasto całe oświe- cone było rześnistym ogniem, szczególnie zaś jaśniały dwa arki Tryumfalne. Pierwszy przy rogatkach Wolskich... Drugi przed Zamkiem przy posągu Zygmunta... Domy były obwieszane trans- parentami i orłami cesarskimi...”

Poeci i plastycy wykazali wiele pomysłowości w hołdach dla Zbawcy Narodu. Olbrzymie iluminowane litery na placu Zam- kowym układały się w łaciński tekst: Venit et lux facta est (przybył i stało się światło). Francusko-polski wiersz na innym transparencie przypisywał Napoleonowi właściwości prawie bos- kie:

Wznosić upadłe państwa, wracać im imiona
dziełem tylko jest Boga lub Napoleona.

Jeszcze dalej w zapale patriotycznym posunęła się pewna jatka mięsna na Krakowskim Przedmieściu. W oknie jej wystawiono obraz, na którym „sam pan starszy rzeźniczy” ucinał toporem łeb wielkiemu wołowi. Pod obrazem jarzył się groźny napis:

Kto nie będzie wierny Polsce i Napoleonowi,
To mu łeb utnę jak temu wołowi.

75

Przy całej tej pompie, pierwszy pobyt cesarza w stolicy nie miał jeszcze charakteru pełnego święta. Wojna o niepodległość dopiero się zaczynała. Dla nikogo nie było tajemnicą, że nie- daleko od Warszawy, w trójkącie Narwi i Wkry, czekały na Francuzów gotowe do boju silne zgrupowania rosyjsko-prus- kie. Przez uroczyście oświetlone ulice warszawskie maszerowały bez przerwy kolumny wojsk, wyprawianych na drugą stronę

Wisły. Cesarz pojawiał się codziennie na mieście, poprzedzany eskortą Gwardii Honorowej, ale zdawał się nie dostrzegać pozdrawiających go tłumów. Cała jego uwaga skupiała się na oddziałach odchodzących na front i na magazynach wojskowych. Ludności udzielała się atmosfera pośpiechu i nerwowego napięcia. Pomimo wspaniałej iluminacji, widowisk publicznych i hołdowniczych transparentów – wszystko to bardziej przypominało ostatni przegląd sił przed bitwą niż ceremonialne uroczystości na cześć monarchy Wyzwolicielea.

Na dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia Napoleon z całym swym otoczeniem opuścił miasto, udając się na linię działań bojowych. Towarzyszyła mu także część Gwardii Honorowej Polskiej z dwoma podkomendantami: Koziętulskim i Tomaszem Łubieńskim.

23 grudnia po południu i przez cały dzień następnny, jak znotowali reporterzy warszawscy, w stolicy „słychać było mocne z armat strzelanie”.

Bitwy pod Nasielskiem, Gołyminem, Pułtuskim odbyły się w niezwykle trudnych dla Francuzów warunkach. Na bagnistych, podmokłych gruntach między Narwią a Wkrą korpusy Wielkiej Armii nie mogły wykorzystać swojej głównej przewagi nad przeciwnikiem – szybkości ruchów i działań. „Cała artyleria nasza ugrzęzła w błocie... Wicher i grad wywracały moich żołnierzy...” – raportował cesarzowi spod Pułtuska marszałek Lannes. „Był to prawdziwie sądny dzień...” – wspominali później polscy uczestnicy kampanii.

„Manewr pułtuski”, zmierzający do otoczenia i zmiążdżenia głównych sił przeciwnika, zakończył się nierozegraną. Korpusy

76

koalicyjne wycofały się nie zniszczone za Narew, pościg francuski ugrzązł w bagnach. W tej sytuacji obie walczące strony otrąbiły swoje zwycięstwo. Obliczona na krótką metę „wojna polska” przeciągała się na czas nieokreślony. – „Cóż to za wojna! Ach, cóż to za wojna!... – wyrzekął Napoleon w listach do paryskich ministrów. – Pobiłem Rosjan, ale co z tego! Pogoda straszna, deszcz, błoto sięga nam do kolan... Nieprzyjaciel odgrodził się od nas bagnami i pustynią...”

Polscy gwardziści uczestniczyli w operacji pułtuskiej od początku do końca. Koziętulski odznaczył się podobno w bitwie pod Nasielskiem, Tomasz Łubieński dobrze się spisał w potyczce pod Łopacinem. Obecność młodzieży stołecznej na froncie prasa wykorzystywała dla celów propagandowych. „Kilkunastu z Gwardii Honorowej towarzyszy wszędzie cesarzowi – pisano w Gazecie Warszawskiej – przykład ich zachęci zapewne pozostałych w stolicy”.

Od drugiego dnia świąt do Warszawy zaczęły ściągać transporty rannych, nadając miastu nowe oblicze. „Chorzy napływają setkami – notował współczesny kronikarz – i istotnie budzą litość. Pokryci błotem, bladzi, wychudzeni, zmarznięci, ob-

darci, umierający z głodu, zaledwie wloką się, napełniając ulice, Pytają, gdzie szpitale, i rzucają się tam natychmiast..."

Pierwsze ofiary „wojny polskiej” otoczono w Warszawie serdeczną opieką. Warszawiacy bez żalu porzucili stoły świąteczne, aby świadczyć samarytańskie posługi „bohатыrom, walczącym za sprawę ludzkości, a przy tym i za sprawę Polaków”. W pałacach magnackich i w gmachach publicznych urządzano prowizoryczne lazarety. Panie z najwyższych sfer w czasie zebrania towarzyskich skubały szarpie i szyły bieliznę szpitalną. Do akcji sanitarno-charytatywnej wciągnięto nawet młodzież szkolną. 26 grudnia Izba Najwyższa Wojny i Administracji wezwała uczniów konwiktów stołecznych do odstąpienia lazaretom wojсковym swoich łóżek, „na których gnuśny spoczynek znamił czas niewoli, a które uzacniają swym odpoczynkiem bohaterowie ranami okryci”. Ofiarność na rzecz rannych przybrała

77

formy patriotycznego współzawodnictwa. W długich wykazach darów w „gotowiźnie” i w „effektach” – publikowanych codziennie w prasie – znalazło się także nazwisko adresatki korespondencji ze zbiorów krośniewickich – pani Klementyny Wąlickiej, starościny mszczonowskiej. Siostra Koziętulskiego podarowała rannym żołnierzom 24 koszule z płótna, uszyte zapewne w Małej Wsi pod czujnym okiem klucznicy Jakubowskiej.

W takiej wojenno-szpitalnej atmosferze przeżyła ludność stolicy ostatni tydzień grudnia 1806 roku. Ale w wieczór Sylwestrowy, na który zapowiedziano powrót cesarza, ulice warszawskie znowu zajaśniały uroczystą iluminacją i wypełniły się odświętnie nastrojonymi tłumami. Napoleon przyjechał z dwudziestoczterogodzinnym opóźnieniem – wieczorem 1 stycznia 1807 roku. Tym razem na pobyt dłuższy, bo nagły wybuch zimy spowodował przymusową przerwę w działaniach wojennych. Dla Warszawy zaczęły się wielkie dni. Niedawne prowincjonalne miasto pruskie – dzięki obecności „Bohатыra dwóch wieków” i „Prawodawcy ludów” – zmieniało się na miesiąc w faktyczną stolicę Europy.

n

Koziętulski towarzyszył Napoleonowi także podczas jego drugiej wizyty w Warszawie. W liście zachowanym z tego okresu podkomendant Gwardii Honorowej Polskiej pisał do matki, przebywającej w Kompinie pod Łowiczem: „...Pan Tomasz Łubieński i ja pełniimy stale służbę przy Cesarzu... Poza moimi zajęciami bawię się tak dobrze, jak tylko można... Zjechało tu mnóstwo znakomitych gości i życie mamy bardzo urozmaicone...”

Te skąpe informacje nie wystarczają oczywiście dla wyrobienia sobie pojęcia o Warszawie w początkach 1807 roku. Na

szczęście można je uzupełnić świadectwami ówczesnych kronikarzy i żurnalistów. Między wierszami starych opisów i „do”

78

i——.-

i9

^^^^^HMBP^^^Iiii^^^^^wuttriiJHHRM^

^^^^BHPw™—^ ' ' ' v8M^^WHy^^^^SS"^^

IHP*"*"

niesień” prasowych wyczuwa się jeszcze dzisiaj gorączkowy puls miasta, przeżywającego historyczne dni.

Oto numer Gazety Warszawskiej z 2 stycznia 1807 roku. Na pierwszej stronie hołdowniczy poemat Marcina Molskiego na cześć Napoleona. Dalej wierszowany nekrolog, w którym jakiś mieszczanin opłakuje śmierć córki. Niespełna trzymiesięczna Wandzia zmarła od zwykłego przeziębienia, ale nastrój chwili nadaje żalom zboląłego ojca piętno historycznego patosu: „Gardząca niegdyś Niemcem, Wanda Polką zmarła. Moją śmierć wśród powstania Ojczyzny wydarła”.

Zapał patriotyczny panuje w Warszawie ogromny, natomiast stosunek do Francuzów jest już inny niż w listopadzie i grudniu 1806 roku. Wystarczyło kilku tygodni, aby entuzjastycznie witali wyzwolicieli zmienili się w uciążliwych okupantów.

Kronikarz stołeczny Antoni Magier tak opisuje ówczesny stan rzeczy: „...Wisła uporczywa to lodem, to szronem tamowała przewóz na Pragę, a chociaż żołnierze ustępowali z domu chcąc iść w dalszą drogę, dla trudnej przez rzekę przeprawy spieszno na noc wracali do dawnej kwatery. Dajże mu znowu żywność, posłanie, wszelką wygodę, a gospodarzowi wątku już nie staje, tu drogie życie, tu żołnierz w domu doskwiera, tutaj głód dokucza! Idzie do Komisji Kwaterowniczej w Saskim Pałacu, tam go warta wstrzymuje, widzi z drugiej strony tejże oficyny tłum ludzi na dziedzińcu przed oknami tejże Komisji. Ten z prośbą w rękę, ten ją mocuje u kija i w okno nią puka — żadnej odpowiedzi, wszystko tam zamknięto, skąd nowe tylko palety* to białe, to żółte, to czerwone dla wojska roznoszą. Nie ma ratunku, wracaj z niczym do domu, biedny gospodarzu! Już przepełnione klasztory, pałace, a z dworków niejedyn właściciel idzie na ratusz, składa klucze od swojego domu, którego się zrzeka. Kogo spotkasz na ulicy smutnego, strapionego lub kobietę łzami zalaną, pewnym jesteś, iż to jest właściciel lub właścicielka domu, żalący się na Francuzów... Pełne ulice żołnierstwa, trudno się precyzyjnie... tu hałas, gdy kobiety ustępo-

• palet — żołnierski przydział kwaterunkowy.

79

wać muszą z dorożki jakimś grenadierom, tu wołyżery chcą zabierać konie i wóz piwowarski, a jeśli kto przechodząc tłumaczy, iż wóz ma kartę uwolnienia, radzi, iż znajdują tłumacza,

biorą go z sobą do lazaretu, tam musi tłumaczyć i pisać, póki nie znajdzie chwili, jak by się tam wymknąć... Wtraktierni piekło, nie podoba się Francuzowi potrawa, rzuca ją za okno razem i z talerzem; nieprędko mu jeść dają—tłucze co ma przed sobą... Kto był na teatrze, więcej nie wraca, bo tam, jak w austerii, zastanie krzyki i głośnie gadania Francuzów..."

Inny kronikarz notuje zasłyszane plotki: „Wojsko francuskie bardzo ma być niekarne i dopuszcza się wszelkiej rozwiązłości. Tak na przykład jednemu tymczasowemu radcy grenadier miał głowę rondlem przewalić, a w innym miejscu zdarzyło się, iż prowadzącemu mężowi z rąk żonę odebrano i zgwałcono, a gdy mąż do praw swoich odwoływał się, mówiąc, że to moja żona, żołnierze odpowiedzieli: będzie nią zawsze, ale dziś będzie i naszą... Policja zaleciła, aby uczciwe kobiety chodząc po ulicach zawsze miały jakąś zasłonę na włosach, ale nie wiadomo, czy ten rozkaz przyjęty lub nie".

Relacjom kronikarzy odpowiadają doniesienia prasowe. Wiadąc z nich, że Francuzom musiała dobrze dawać się we znaki zmiana w nastrojach ludności. Oto rozkaz dzienny o dodatkach dla oficerów francuskich stacjonujących w Polsce, ogłoszony w Gazecie Warszawskiej z dnia 4 stycznia. W jego uzasadnieniu — wyraźne pretensje pod adresem Polaków: „Najjaśniejszy Cesarz zważając, że officerowie Wielkiego Woyska.będący w Polsce, nie mogą znaleźć łatwości u mieszkańców, rozkazuje..."

9 stycznia „Rozporządzenie Najwyższe" wprowadza nowy pieniądz zdawkowy: półsrebrne grosze. Warszawiacy odnoszą się do nich nieufnie. Policja ogłasza karę 5 talarów dla tych, co nie chcą przyjmować „półsrebrników".

11 stycznia. Nowy rozkaz dzienny: cesarz potępia samowolne zatrzymywanie przez oficerów fur z furazem dla armii.

13 stycznia. Wyłącza się spod kwaterunku najważniejsze hotele i oberże stołeczne. „Jest bowiem wola Najjaśniejszego Ce-

80

sarza, aby wspomniane oberże były ku wygodzie obcych Passażerów, którą każdy za swe winien mieć pieniądze..."

Tych obcych „Passażerów", bardziej i mniej znakomitych — jak wiemy już z listu Koziętulskiego — zjechało do Warszawy mnóstwo. W głównej kwaterze Zwycięzcy tłoczy się międzynarodowa elita zawojowanej Europy. Piękności warszawskie mają na balach za tancerzy: dwóch królewiczów niemieckich, kilku udzielnych książąt Rzeszy, przedstawicieli najstarszej arystokracji wiedeńskiej i rzymskiej. Młodzi warszawiacy uganiają się po ulicach za dygnitarzami wojskowymi w cudzoziemskich mundurach i uczą się odróżniać generałów włoskich od austriackich, bawarskich od wirtemberskich, szwedzkich od holenderskich i hiszpańskich. Sensację wzbudzają egzotycznie odziani Mamelucy cesarscy i brodaci posłowie z Turcji i t Persji.

Podczas codziennych rewii wojskowych na Krakowskim

Przedmieściu publiczność stołeczna ogląda najwybitniejszych notablów Cesarstwa: kulawego ministra spraw zagranicznych Talleyranda, ministra stanu Mareta, wystrojonego jak na zapusty Hieronima Bonapartego, dwóch szwagrów cesarskich – Joachima Murata i włoskiego księcia Borghese, marszałków i generałów o nazwiskach znanych już w całym świecie.

Od świetnego kolorowego orszaku skromną szarą plamą odbija postać cesarza. Każdego przedpołudnia dziesiątki tysięcy polskich oczu z uwielbieniem, nadzieją i niepokojem wpatrują się w twarz Napoleona. Jest tak samo nieprzenikniona i tajemnicza jak przed dziesięć laty we Włoszech, kiedy próbował wyczytać z niej przyszłość Polski tragiczny „oficer największych nadziei” – Józef Sułkowski.

W styczniu 1807 roku nazwisko legendarnego adiutanta przypomniano Warszawie i Napoleonowi w sposób najbardziej oficjalny. Wypłynęło ono w związku z zagadnieniem niepodległości – w kontekście dość zaskakującym.

5 stycznia książe Józef Poniatowski przedstawia cesarzowi swoje zasadnicze exposé polityczne. Powołując się na „słowa wypowiedziane w roku 1796 do dzielnego Sułkowskiego”, żąda

6 – KOzietulski t. I

81

od Napoleona wyraźnego zdeklarowania się w sprawie Polski:

„...Tylko Wasza Cesarska Mość jest w stanie umożliwić nam służbę równocześnie dla Francji jak i dla sprawy polskiej. Chodzi to nasze utwierdzenie jako narodu, o zorganizowanie wojskowe i otrzymanie ustroju takiego, jak to rozumie W. C. Mość. Konstytucja 3 Maja 1791 roku, dając radość całemu krajowi, usunęłaby chwilowe trudności. Jesteś, Najjaśniejszy Panie, królem włoskim, czyż nie mógłbyś zostać królem polskim? Lub jeśli głowa W.C. Mości, zbyt obciążona koronami, odmówi tej jeszcze, czyż nie mógłbyś, Najjaśniejszy Panie, dać jej jednemu z członków Twojej rodziny? Wtedy nikt nie mógłby już wątpić o poparciu Francji...”

Niezbadane są wyroki historii! Mąż zaufania warszawskiej arystokracji w programowym memoriale politycznym przybiera sobie za sprzymierzeńca nieubłaganego wroga orientacji magnackiej, zabiega o przywrócenie Konstytucji Majowej, powołując się na jej najsurowszego krytyka; w imieniu polskiego Brutusa zaprasza na tron francuskiego Cezara! W styczniu 1807 roku te sprzeczności nie mają już znaczenia. Nieżyjący Sułkowski reprezentuje wartości ponadpolityczne, jest postacią historyczną z ogólnonarodowego Panteonu. Liczy się już tylko jego udział w walce o niepodległość i jego bohaterska legenda.

Ale w Warszawie działają jeszcze konfratryzy ideologiczni „polskiego Saint-Justa”, członkowie Towarzystwa Republikańskich, następcy jakobinów. Wielu z nich uczestniczy w prowizorycznych władzach warszawskich. Sekretarzem ge-

neralnym w Izbie Najwyższej Wojny i Administracji jest Jan Alojzy Orchowski, ten sam „brat Alojzy”, który niegdyś w Paryżu wymieniał przysięgę republikańską z Tadeuszem Kościuszką. W „sekcyach” Izby zasiadają czołowi działacze lewicy emigracyjnej i spisków krajowych: Józef Kalasanty Szaniawski, Antoni Gliszczyński, Ignacy Zajaczek, Jędrzej Horodyski. Z wyżyn głównej kwatery francuskiej patronuje im dawny przewodniczący trybunału powstańczego, towarzysz broni Sułkowskiego z Egiptu – generał Józef Zajaczek.

82

Styczeń 1 507 roku jest dla lewicowców warszawskich okresem ciężkich rozczarowań i kompletnego zagubienia politycznego. Historia wystrychnęła ich na dudków. Przez długie lata obiecywali sobie i innym, że wyzwolenie nadejdzie z rewolucyjnej Francji i że będzie dla Polski równoznaczne z rewolucją społeczną. Teraz niełatwo im się pogodzić z faktem, że władzę w wyzwolonym kraju zagarniają arystokraci. Dawni przyjaciele Sułkowskiego usiłują jeszcze odwrócić bieg wydarzeń. Memoriałowi politycznemu Poniatowskiego przeciwstawiają swoje propozycje ustrojowe. Generał Zajaczek – mający zadawnione porachunki z arystokracją w ogóle, a z królewskim bratankiem w szczególności – zasypuje Napoleona coraz to nowymi kontrmemoriałami. Krytykuje w nich Ustawę Majową, „która nie odpowiada interesom kraju, bo zapomina o rolnikach”, domaga się dla Polski konstytucji i praw francuskich, proponuje wprowadzenie do Warszawy i powołanie na szefa rządu „jedynego człowieka z głową”, odciętego w zaborze rosyjskim, eks-podkanclerzego Hugona Kołłątaja. Jednocześnie z właściwą sobie pasją, piórem maczanym w jadzie i żółci, oczernia przed cesarzem księcia Józefa, Czartoryskich i innych przeciwników politycznych, co szkodzi bardzo republikańskim „wyznaniom wiary” nadając im pozór rozgrywek czysto osobistych.

Ale wynik tej walki na memoriały i tak jest już przesadzony. Republikanci tracą w styczniu swoje ostatnie reduty. 10 stycznia Jan Alojzy Orchowski „na własną prośbę” ustępuje ze stanowiska sekretarza generalnego Izby Najwyższej Wojny i Administracji. W cztery dni później dekret cesarski powołuje pierwszy rząd tymczasowy dla „Polski zdobytej na królu pruskim” – siedmioosobową Komisję Rządzącą i pięcioosobowe Dyrektorium Generalne. Do nowych władz – poza Józefem Wybickim, reprezentującym orientację legionową – wchodzi sami przedstawiciele arystokracji. Prezesem Komisji Rządzającej wybrany zostaje stary marszałek Stanisław Małachowski, dyrektorem wojny – ks. Józef Poniatowski.

Ustanowienie centralnych władz wywołuje w stolicy nowy

83

wybuch patriotycznej euforii. Wyjawszy nieliczną grupę działaczy politycznych, mało kogo obchodzi zakulisowe targi o władzę czy poglądy społeczne nowych ministrów. Dla ludności Warszawy, udręczonej wieloletnią okupacją i rekwizycjami wojennymi, ważny jest sam akt państwowotwórczy – pierwszy

realny zadatek przyszłej niepodległości. To, że w nowym rządzie zasiadają dostojnicy dawnej Rzeczypospolitej, umacnia jedynie w opinii publicznej jego autorytet i utwierdza niejako jego legalizm.

Radość Warszawy jest tym większa, że powołaniu rządu towarzyszą coraz widoczniejsze poczynania organizacyjne w zakresie wojskowości. Z całego województwa ściągają do stolicy kandydaci na żołnierzy. Młodzi szlachcice przywożą z sobą starą broń wydobytą z lamusów rodzinnych, a mundury każą sobie szyć pośpiesznie i według własnego gustu, byle tylko prędszy zmienić się w wojsko. Na ulicach aż zęby cierpną od papuzich kolorów. Widuje się żołnierzy: czerwonych i niebieskich, białych i czarnych, żółtych i zielonych. Werbownicy, chodząc z muzyką po mieście, zbierają ochotników. Na placach koszarowych odbywają się przeglądy pierwszych zaciągów rekruckich z wiejskich „dymów”. W Gazecie Warszawskiej roi się od wszelakich „doniesień militarnych”. „Szef Instrukcji Wojskowej” Cyprian Godebski, przyszły bohater spod Raszyńska, wzywa kolegów „posiadających język Francuski z Ojczyстым”, ażeby zgłaszali się po tłumaczenia francuskich dzieł wojskowych („tłumaczenie każdej książki będzie uważane jako usługa wojskowa. Jeśli zaś kto zechce przekładać za nadgodę, to podług ugody od arkusza będzie mu ofiarowaną”). W innym miejscu – chwytający za serce apel niezamożnego ochotnika:

„Pewny Szlachcic życzy sobie służyć Ojczyźnie w woysku, a że nie jest w stanie umundurowania się, przeto chce jechać za Pana na zastępcę. Dowiedzieć się o nim i o innych można na Mostowej ulicy pod nr. 244 na pierwszym piętrze”.

Ogromnie jestem ciekaw, czy Jan Leon Hipolit Koziętulski czytał w Gazecie Warszawskiej tę wzruszającą epistołę obywatela

84

tela z ulicy Mostowej. Gdyby tak było, to musiałby ją przyjąć ze specjalnym zrozumieniem. Przed paru miesiącami on sam również „nie był w stanie umundurowania się”. Jadąc z Kompiny do Warszawy 25 września 1806 roku, pożyczył sobie od księży z kapituły łowickiej sumę złotych polskich 5175 – właśnie na zakup ekwipunku wojskowego. Oszczędna starościna będzińska bardzo się gniewała na syna za zaciągnięcie tak wysokiego zobowiązania. W rezultacie jednak najgorzej wyszła na tym kapituła. Usłużni księża z Łowicza przez następnych piętnaście lat daremnie będą zabiegać o zwrot swego lekkomyślnego wkładu w finansowanie epopei napoleońskiej.

W styczniu 1807 roku drugi podkomendant Gwardii Honorowej Polskiej ma już wszystkie kłopoty finansowe za sobą. Odziany w strojny mundur dawnej kawalerii narodowej, na pięknym rasowym wierzchowcu (drugi koń czeka w stajniach Walickich przy ul. Bielańskiej), uczestniczy jako pierwszoplanowy statysta w kolejnych fazach styczniowego spektaklu histo-

rycznego. Pieniędzy na bieżące wydatki również mu nie brakuje. Oszczędna matka została w Kominie pod Łowiczem, natomiast w Warszawie przebywa znacznie bardziej wyrozumiała na jego słabostki siostra, dziedziczka z Małej Wsi pod Grójcem, pani Klementyna Walicka, starościna mszczonowska.

Ponieważ z siostrą Kozietulskiego będziemy utrzymywać ścisły kontakt aż do końca książki, należy skorzystać z nadarżającej się okazji, aby przyjrzeć się tej pani z bliska.

W początkach roku 1807 Klementyna Walicka liczy sobie lat 24. Tak przynajmniej wnosić można z kościelnej metryki ślubu, bo w dokumentach cywilnych, jak często zdarza się u kobiet, wiek jej kształtuje się różnie – w zależności od potrzeb i samopoczucia. Jej rysopis w paszportach zagranicznych jest równie mało mówiący jak inne rysopisy paszportowe:

„Wzrostu średniego, oczu niebieskich, włosów czarnych, twarzy ściągłej, nosa ściągłego, znaków szczególnych żadnych”. O ileż lepiej charakteryzują panią Walicką nieliczne świadectwa współczesnych oraz korespondencja rodzinna, wymieniana

85

z matką, mężem, bratem i dziećmi. Mąż nazywa ją w listach „perłą i brylantem”, brat – „aniołem doskonałości i wdzięku”, matka wynosi pod niebiosa jej dobroć, mądrość i zaradność w interesach. Pochwały te nie wynikają z rodzinnego zaślepienia. Pani Klementyna jest rzeczywiście kobietą niezwykłą. Jej wigor życiowy zasługuje na podziw. Młoda starościna pielęgnuje chorowitego męża, zarządza w jego imieniu rozległymi dobrami, zajmuje się osobiście wychowaniem trojga małych dzieci, troszczy się nieustannie o interesy majątkowe matki i brata, dużo czyta, pisze nawet wiersze, a przy tym wszystkim znajduje jeszcze czas na odgrywanie nie byle jakiej roli w rozbawionym towarzystwie warszawskim.

O niespożytej energii starościny mszczonowskiej świadczy chociażby jej styczniowy pobyt w stolicy. Spodziewa się właśnie czwartego dziecka i do Warszawy przyjechała głównie dla zasięgnięcia porady u domowego „konsyliarza” Walickich – doktora Remera. Ale daleko posunięta ciąża zupełnie jej nie przeszkadza w korzystaniu z warszawskich rozrywek. Uczestniczy razem z bratem we wszystkich uroczystościach napoleońskich i nie omija żadnego z reprezentacyjnych balów (jej zaproszenia balowe przetrwały do dziś w papierach rodzinnych Walickich, przechowywanych w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie).

Wielki świat stolicy w pełni docenia zalety „pięknej Klemenci” czy „pięknej Nonci”, jak nazywają panią Klementynę bliscy znajomi. Na balach i rautach stale otacza ją rój oddanych wielbicieli. Za jednego z najgorliwszych uchodzi zgorzkniały, lecz bardzo podatny na wdzięki niewieście, patron warszawskich

jakobinów – generał Józef Zajączek. Warto sobie ten szczegół zapamiętać. Platoniczny flirt między „generałem Arbuzem” (le generał Pasteque – takim przydomkiem ochrzczono Zajączka W Egipcie, ze względu na jego szczególną skłonność do soczystych kawonów) a siostrą naszego bohatera okaże się trwalszy od cesarstwa napoleońskiego. Po latach stary beznogi książę – namiestnik Królestwa Kongresowego będzie nadal zabiegać

86

o względy owdowiałej i osieroconej przez dzieci starościny mszczonowskiej. Ostatnia faza tych wiernych zalotów Zajączka przypadnie na lata 1818–1820 i wiąże się ściśle z najtragiczniejszym epizodem w życiu Koziętulskiego.

Ale nie starajmy się wyprzedzać czasu. Cień dalekich ponurych spraw nie powinien przesłaniać i mącić radości hucznych dni styczniowych 1807 roku. Na razie generał Zajączek obnogi ma jeszcze całe i popisuje się ich sprawnością na warszawskich balach, starosta Józef Walicki żyje i opiekuje się w Małej Wsi pod Grójcem trojgiem zdrowych dzieci, a podkomendant i Gwardii Honorowej Jan Leon Hipolit Koziętulski – zgodnie! z własnym wyznaniem uczynionym w liście do matki – „bawi;

się tak dobrze, jak tylko można”. !

Okazji do zabaw w Warszawie nie brakuje. O najważniejszych wydarzeniach życia towarzyskiego informują gazety. Co drugie ze starych sprawozdań prasowych nasuwa reminiscencje z lektur Gąsiorowskiego i Wasylewskiego.

9 stycznia. „Dnia 7 tegoż miesiąca o godzinie 8 wieczorem... damy polskie miały honor być pierwszy raz przedstawione Najjaśniejszemu Panu. Zgromadziły się w liczbie 70 do 80 osób w sali zamkowej, ozdobionej obrazami przedstawiającymi pamiętniejsze epoki dziejów polskich...” (Wśród zgromadzonych znajdowała się także Maria z Łączyńskich szambelanowa Walewska. Tam nastąpiło pierwsze oficjalne spotkanie przyszłych kochanków, tam Napoleon wypowiedział swe słynne słowa:

Óh, quil y a de jolies /emmes a Varsovie\” *

17 stycznia. „...Były asamble z tańcami u JOXCia Benewentu Ministra Interesów Zagranicznych, które Cesarz przytomnością swoją zaszczycić raczył. Bawił się tam ochoczo, dłużej jak do północy tańczył kadryla, który oprócz Monarchy składali w.x.Bergski, x.Borghese, x. Neufchatel i cztery damy polskie...” (Właśnie wtedy – na balu u Talleyranda został odtańczony ów historyczny kadryl Napoleona z Walewską, wielokrotnie potem odtwarzany przez powieściopisarzy i filmowców).

*Ach, cóż za piękne kobiety w Warszawie (franc.).

87

18 stycznia. Napoleon zaszczyca swą obecnością uroczyste przedstawienie Perseusza i Andromedy. Autorami widowiska,

specjalnie przygotowanego na cześć Zbawcy, są dwaj intelektualiści spod znaku Przyjaciół Ojczyzny: poeta Ludwik Osiński i kompozytor Józef Eisner. Tekst polski tłumaczy cesarzowi na język francuski znany nam skądinąd ksiązę Aleksander Sapieha. „Monarcha przez cały ciąg bawienia swego, aż do końca kantaty na teatrze, okazywał wyraźnie wesołość i ukontentowanie”.

19 stycznia. „Koncert u Dworu, na którym damy znajdowały się... (Znowu pani Walewska!)

22 stycznia bal u marszałka Murata, 24 stycznia – bal u ks. Borghese...

Nieprzypadkowo aż trzy z przytoczonych doniesień prasowych wiążą się z osobą Marii Walewskiej. Cesarski romans znaczy się ciągle w skomplikowanej plątaninie spraw styczniowych. Podobnej sensacji towarzyskiej wielki świat stolicy nie przeżywał jeszcze nigdy. Zdobywca Europy, Zbawca Polski, Pogrom Uciemiężycielów – rozkochał się od pierwszego wejrzenia w ziemiańskiej gąsce spod Łowicza. Plotkuje się na ten temat bez przerwy i w salonach arystokracji, i w kordegardzie Gwardii Honorowej Polskiej. Gra miłosna cesarza rozwija się niemal publicznie, na oczach narodu, przy pełnej aprobacie zramolałego szambelana Anastazego Walewskiego. Młoda szambelanowa należy do piękności z kręgu Blachy, więc od razu wysnuwa się z tego daleko idące hipotezy natury politycznej, wymienia domniemanych protektorów romansu: ministra Talleyranda, hrabinę de Yauban, nawet ks. Józefa Poniatowskiego, mówi się o niezbyt zaszczytnej roli, jaką odgrywa w tej intrydze miłosnej starszy brat Walewskiej, zasłużony legionista, Józef Bedykt Łączyński.

Dla Koziętulskiego romans cesarski musiał być sensacją szczególnie podniecającą. Mieszkając w Kompinie pod Łowiczem, stykał się po sąsiedzku z rodziną Łączyńskich z Kiernozi i znalazł dobrze heroinę romansu oraz jej dwóch braci oficerów. W latach późniejszych będzie często odwiedzał „panią Anastazową”

w Wiedniu i w Paryżu, wolno więc przypuszczać, że widywał się z nią również podczas styczniowego pobytu w Warszawie. Umacnia mnie w tym przeświadczeniu kronikarka życia towarzyskiego stolicy, Anna Nakwaska, która wspominając osobliwości obyczajowe owego okresu, tak opisuje swoją wizytę u metresy Napoleona: „...Przypominam sobie, że raz do niej po obiedzie pojechawszy, zastałam tam królewicza bawarskiego, dwóch panów z okolic Łęczycy i kilku młodych honorowych gwardzistów, około okrągłego stołu w salonie siedzących; mąż zaś tej pierwszej ówczesnej piękności w przechodnim pokoju z dwoma brodatymi Żydami rozmawiał...” Pani Nakwaska nie wymienia nazwisk gwardzistów spotkanych u Walewskiej, wydaje się jednak bardzo prawdopodobne, że był wśród nich także bohater naszej opowieści.

W czasie gdy Koziętulski korzystał sobie beztrąsko z uroków towarzyskich napoleońskiej Warszawy, jego dawny prezes i komendant – Wincenty Krasiński – nadal prowadził uparcie, zaczęta przed laty, walkę podjazdową z Poniatowskim. Tylko

że w styczniu 1807 roku cele tych koteryjnych rozgrywek są wyraźniejsze niż w roku 1804. „Pierwszy napoleończyk warszawski” walczy w obronie swojej zagrożonej kariery, stara się uniezależnić od wojskowego zwierzchnictwa Poniatowskiego i odzyskać reprezentacyjne stanowisko przy boku cesarza. Że jednak potomkowi przywódców barskich nie wypada nawet przed samym sobą przyznawać się do prywaty, więc swoje osobiste ambicje pokrywa pięknymi gestami i nadaje im pozór działalności wyłącznie patriotycznej. Niegdyś przeciwko Poniatowskiemu składał patriotyczne hołdy Kościuszce, teraz z tych samych motywów podkreśla swój patriotyczny kult dla Dąbrowskiego. W dzień noworoczny 1807 roku – kiedy na błoniach pod Łowiczem stary generał odbiera ślubowanie od pospolitego ruszenia – Krasiński przesyła mu w darze najcenniejszy eksponat historyczny ze swojej „sali rycerskiej” na Krakowskim Przedmieściu, buławę hetmana Czarnieckiego. Dla ludzi znających historię wymowa tej demonstracji jest oczywista.

89

Buława wielkiego hetmana z XVII wieku dla najgodniejszego wodza, którego – podobnie jak Czarnieckiego – pozbawili, pierwszeństwa wodzowie mnie j godni.

Po dokonaniu tego symbolicznego aktu, staroście opinogórski rusza do ataku na warszawskie gabinety gubernatorskie i ministerialne, aby tam kontynuować boje z Poniatowskim – w sposób już konkretniejszy i... bardziej konstruktywny. Układ sił politycznych w napoleońskiej Warszawie sprzyja jego zamierzeniom. Na najwyższych szczeblach hierarchii administracyjnej zarysowują się konflikty osobiste i różnice w orientacjach, które człowiek tak obrotny i ustosunkowany jak „prezes Wicus” może z łatwością wykorzystać dla swoich celów.

W głównej kwaterze francuskiej rywalizują z sobą dwaj palatyni cesarza: namiestnik Joachim Murat, wielki książę Bergu i Kliwii, oraz dowódca wojsk francuskich w Polsce – marszałek Ludwik Mikołaj Davout, książę Auerstedt. Obaj marszałkowie – jak się powszechnie mówi – marzą o koronie polskiej i zazdrośnie zabiegają o względy Polaków. Ale poza tym jednym podobieństwem różnią się od siebie krańcowo zarówno charakterem, jak sympatiami politycznymi. Uczuciowy południowiec Murat – syn małomiasteczkowego oberżysty – snobuje się na arystokrację polską i od początku popiera ks. Józefa-Poniatowskiego, który urzekł go swoją rycerską naturą i kawalerskim temperamentem. Surowy, popędliwy Davout – potomek zubożałej rodziny arystokratycznej – prawem kontrastu proteguje jakobinów warszawskich, a do arystokratów odnosi się niechętnie i podejrzliwie. Księcia Józefa zaledwie toleruje, gdyż pamięta go jeszcze z okresu jego brukselskiej „fraternizacji” z wybitnymi generałami austriackimi. Każdy przeciwnik Poniatowskiego – a więc i Krasiński – może u Davouta liczyć na posłuch.

Ustosunkowany panicz ma także dostęp do francuskiej magistratury cywilnej. Minister spraw zagranicznych Talleyrand romansuje co prawda z siostrą ks. Józefa, Teresą Tyszkiewicz-

wa, i wskutek tego uchodzi za protektora Blachy, ale jego kole-

90

ga, minister stanu Maret, przyjaźni się od lat z ks. Aleksandrem Sapiehą i Krasińskiego zna jeszcze z zebrań towarzyskich w paryskim domu ks. Anny.

Nie gorzej przedstawia się dla męża Radziwiłłówny sytuacja w polskim rządzie tymczasowym. Po oficjalnym objęciu władzy przez arystokrację, w gronie rządzącym odżyły na nowo konflikty koteryjne i polityczne. Sprawy wojskowe podlegają wprawdzie Poniatowskiemu, ale zamierzenia jego przeciwnika mają życzliwych opiekunów w osobach: Stanisława Małachowskiego, Józefa Wybickiego oraz wpływowego dyrektora sprawiedliwości, Feliksa Łubieńskiego, ojca trzech dawnych Przyjaciół Ojczyzny.

Przez cały prawie styczeń – podczas gdy inni bawią się, romansują i kłóca o ustrój przyszłego Królestwa – pan Wincenty wytrwale krąży wokół swoich protektorów polskich i francuskich. Opracowuje memoriały dla generałów i ministrów, przeprowadza poufne rozmowy z Aleksandrem Sapiehą, czaruje patriotycznym frazesem, składa wzniosłe deklaracje i judzi przeciwko księciu Józefowi. Aż wreszcie z tych usilnych starań wyłania się realny skutek–koncepcja polskiego pułku jazdy w ramach gwardii francuskiej.

Kto pierwszy wpadł na ów pomysł, trudno już dziś ustalić, bo nie ma na ten temat żadnego miarodajnego przekazu historycznego. Kronikarze, zbliżeni do Przyjaciół Ojczyzny, przypisują inicjatywę wyłącznie Krasińskiemu. (Jego kuzyn i przyjaciel, Józef Krasiński, pisze o tym dość brutalnie: „Jak wieść niosła, sypnąwszy wiele złota komuś z bliższych cesarza, otrzymał nominację na pułkownika i zlecenie formowania pułku...”) Jest to o tyle prawdopodobne, że inicjatywa taka zgadzała się idealnie z dążeniami ambitnego panicza, gdyż przydział do gwardii zapewniał stałą służbę u boku cesarza i uniezależniał od polskiej dyrekcji wojny. Ale równie dobrze projekt mógł wyjść od Francuzów, jako że tworzenie jednostek gwardyjskich z młodzieży krajów wasalnych należało do wypróbowanych praktyk napoleońskich. W gwardii cesarskiej istniały już formacje złożone z egipskich Mameluków i z Włochów, a wkrótce po

91

szwoleżerach polskich mieli się tam znaleźć także ułani holenderscy. Zastosowanie takiego eksperymentu w skomplikowanej sytuacji polskiej było dla Napoleona specjalnie korzystne. Polski pułk gwardii, z oficerami z najświetniejszych rodzin ziemiańskich w kraju, mógł stać się dla Francji czymś w rodzaju zastawu, zabezpieczającego lojalność ze strony chwiejnej arystokracji polskiej. I sądzą, że właśnie ten wzgląd zdecydował przede wszystkim o uwieńczeniu sukcesem starań Krasińskiego.

27 stycznia 1807 roku eks-prezes Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny został przyjęty przez Napoleona na dłuższej audiencji i w jej wyniku otrzymał przydział do sztabu cesarskiego. Z tą

chwila idea polskiego pułku gwardii przybrała charakter realnego przedsięwzięcia.

Stało się to w momencie, kiedy spektakl napoleoński w stolicy miał się już ku końcowi.

30 stycznia w Gazecie Warszawskiej ukazał się krótki komunikat: „Od kilku dni donoszą, że Najjaśniejszy Cesarz i Król przedsięwziął zwiedzić niebawnie leże zimowe woyska. Niebytność jego dodają nie potrwa dłużej jak 6-7 dni”. ;

Reporter Gazety nie mógł przewidzieć, że Napoleon pojawi się ponownie w Warszawie dopiero po sześciu latach – w zupełnie już innej sytuacji historycznej.

NARODZINY SZWOLEŻERÓW

ierwszą pisemną dyspozycję w sprawie szwoleżerów polskich wydał Napoleon nazajutrz po rozmowie z Krasińskim. „Chciałbym utworzyć korpus lekkokonny polski (des chevau-legers polonais), złożony z ludzi, którzy wychowaniem swoim przedstawialiby wystarczającą rękojmię moralności – pisał 28 stycznia 1807 roku w liście do ministra wojny, marszałka Berthiera. – Będę ich płacił: oficerów i żołnierzy jak strzelców konnych mojej gwardii... Wydadź rozkaz wielkiemu marszałkowi Duroc, który tu pozostaje, ażeby się zajął formowaniem tego korpusu, porozumiewając się w tym względzie z rządem”.

Ale wykonanie tego polecenia opóźniły nowe wydarzenia wojenne. W dwa dni po wysłaniu listu do Berthiera, Napoleon, przynaglony nieoczekiwaną ofensywą rosyjską w kierunku Włocławka, wyjechał z Warszawy do Olsztyna, aby pokierować stamtąd operacją strategiczną przeciwko wojskom Aleksandra, wspieranym przez szczątki armii pruskiej. Podobnie jak przed miesiącem, razem ze sztabem cesarskim opuściła stolicę część Gwardii Honorowej Polskiej pod dowództwem komendanta płk. Tadeusza Tyszkiewicza oraz podkomendantów: Tomasza Łubieńskiego i Kozietulskiego. Cesarz był dobrej myśli, spodziewał się szybkiego i decydującego zwycięstwa. Przed odjazdem wydał optymistyczną odezwę do żołnierzy, zapowiadając, że „wypędzi Rosjan za Niemen”.

Stało się jednak inaczej. 8 lutego 1807 roku doszło do wielkiej

93

bitwy pod Pruską Iławą (dzisiejszy Bagratlonowski w okręgu kaliningradzkim). Była to najstraszliwsza rzeź ze wszystkich dotychczasowych bitew napoleońskich. W równie niesprzyjających, jak pod Pułtuskiem, warunkach terenowych i atmosferycznych pogromca Austrii i Prus zetknął się po raz drugi z oporem, którego nie potrafił unicestwić. Obie walczące strony pozostawiły na placu boju po dwadzieścia tysięcy zabitych i rannych, co stanowiło dla Francuzów jedną trzecią ich stanu

liczebnego. Huraganowa szarża całej jazdy francuskiej pod dowództwem Murata przesądziła w końcu rezultat bitwy na korzyść Napoleona, ale było to zwycięstwo niewiele różniące się od klęski. Zwycięzcy nawet myśleć nie mogli o przepędzeniu Rosjan za Niemen. Wykrwawione i wymęczone armie wycofały się na leże zimowe i zapadły naprzeciw siebie w wielomiesięczny bezwład.

Skutki pierwszej batalii 1807 roku poraziły współczesnych, którzy mieli możliwość oglądać je z bliska. Jednym z takich nacownych świadków był przebywający wtedy na Mazurach poeta Franciszek Karpiński. Sędziwy wieszcz Polski stanisławowskiej po obejrzeniu poboju iławskiego, "gdzie kilkadziesiąt tysięcy trupów w zimowej porze nieopogrzebionych pod niebem na kupach leżało... tak był sobie obrzydził mięso, że go jeść nie mógł". Panorama okropności wojennych nasunęła Karpińskiemu myśli, w których przy odrobinie dobrej woli i wyobraźni można się dopatrzeć przeczcucia obecnych międzynarodowych organizacji pokojowych. „O kiedyż zstąpi na ziemię bóstwo to, dobroczynny człowiek, mężny i litośny razem – pisał w swym pamiętniku autor modlitwy Kiedy ranne wstają zorze – kiedyż poznać granicę, a w zdarzeniu krzywdy jakiej jednego od drugiego, sąd deputowanych Europy naznaczy, którego wyroku jeśliby kto słuchać nie chciał, wtenczas wszyscy europejscy samowładni przeciwko niemu walczyć mają?!”

Nie mniej od Karpińskiego – choć z nieco innych powodów – wstrząśnięty był sam Napoleon. Kiedy bezpośrednio po bitwie dokonywał przeglądu wojsk, zamiast zwyczajowego vive

94

Pempereur\ powitały go okrzyki: vive la France! i vive la paix\ W uszach wytrawnego znawcy psychiki żołnierskiej ta demonstracja musiała zabrzmieć jak groźny sygnał ostrzegawczy. Żołnierze Wielkiej Armii dość już mieli krwawych, nie rozegranych do końca bitew „wojny polskiej”, prowadzonych pod potokami ulewnego deszczu i w oślepiającej zamieci śnieżnej. Nie było to zresztą ostrzeżenie jedyne. Metropolia francuska od początku nie pochwałała tej kampanii. Meldunki, nadsyłane z Paryża przez Fouchego, budziły uzasadniony niepokój. Francuskiej burżuazji zależało jedynie na najszybszym unieszkodliwieniu angielskich konkurentów, podboje na wschodzie Europy zupełnie jej nie interesowały. Bankierzy byli niezadowoleni z rosnących wydatków wojennych, ludność stolicy domagała się głośno powrotu swoich żołnierzy, w salonach i w kawiarniach kolportowano złośliwie dowcipy na temat warszawskiego romansu cesarza i królewskich awansów jego rodziny.

„Wojna polska” była także niepopularna w najbliższym otoczeniu Napoleona. Po zwycięstwie jenajskim wypowiadali się stanowczo przeciwko dalszemu marszowi na wschód dwaj główni doradcy cesarza w sprawach wojny i polityki zagranicznej: marszałek Lannes i minister Talleyrand. Jeszcze w Berlinie Napoleon próbował pertraktować z Prusami, proponując im pozostawienie ziem polskich w zamian za trwały pokój z koalicją. Dopiero nieprzejednane stanowisko mocarstw koalicyjnych zade-

cydowało o rozpoczęciu kampanii polskiej. Rozpoczynając tę wojnę, cesarz liczył na to, że z pomocą polskich rezerw ludzkich i gospodarczych uda mu się szybko pokonać Rosjan. Wynik batalii iławskiej zachwiał tą kalkulacją i spowodował jej rewizję. Widząc, że z Rosją zanosi się na długą i trudną wojnę, Napoleon postanowił wrócić do zarzuconych planów berlińskich i za wszelką cenę – a przede wszystkim za cenę ziem polskich – zapewnić sobie bezpieczeństwo ze strony Prus i Austrii.

W pięć dni po bitwie – w stanie kompletnego jeszcze załamania nerwowego – Zbawca Polski wysłał do króla pruskiego do Królewca swego pełnomocnika, generała Bertranda, z pro-

95

pozycja zawarcia odrębnego pokoju. W instrukcji przekazanej Bertrandowi znalazło się zdanie, niełatwe do strawienia dla polskich wyznawców legendy napoleońskiej: „Pełnomocnik da postrzec, że co się tyczy Polski, cesarz od czasu jak ją poznał, nie przywiązuje do niej żadnej wagi”. W poufnym liście do Fryderyka Wilhelma III Napoleon dodawał od siebie, że „najpiękniejszy to będzie w jego życiu dzień, kiedy przywróci mu (królowi) zabrane kraje”.

Ale król pruski, podtrzymywany na duchu przez cara Aleksandra, i tym razem nie zgodził się na rokowania pokojowe. Wtedy Napoleon począł zabiegać o pośrednictwo Austrii. Z nowej głównej kwatery w Ostródzie informował Talleyranda:

„...Plan cesarza w toczącej się sprawie jest następujący: zwrócić królowi pruskiemu jego tron i jego posiadłości, a utrzymać całość Turcji. W przedmiocie Polski wszystko jest powiedziane w pierwszej części tego zdania... Spokojność Europy nie zostanie stale zapewniona, aż wtedy gdy Francja i Austria lub Francja i Rosja będą szły jedną drogą. Proponowałem to kilkakrotnie Austrii i proponuję raz jeszcze”.

Zwrot w polityce polskiej odbił się także na pertraktacjach prowadzonych z Kościuszką. Cesarz zerwał je ostatecznie w dwa tygodnie po Iławie, przesyłając Fouchemu instrukcję, sformułowaną w sposób niesłychanie obraźliwy dla starego Naczelnika: „...Nie przywiązuję żadnej wagi do Kościuszki. Nie posiada on tej wziętości w kraju, jaką sobie wyobraża. Zresztą całe jego postępowanie dowodzi, że nie jest czym innym jak głupcem. Trzeba go więc zostawić, jakim być chce, i więcej się o niego nie troszczyć”.

Polscy gwardziści – mimo że znajdowali się w najbliższym otoczeniu cesarza – nie mieli oczywiście pojęcia o tej złowroziej korespondencji dyplomatycznej, prowadzonej wysoko nad ich głowami. Wierzyli w Napoleona i mieli poczucie dobrze spełnionego obowiązku, gdyż w bojach iławskich spisywali się tak samo mężnie jak w operacji pułtuskiej, zdarzało się nawet, że sam cesarz musiał hamować ich brawurę (wkrótce po bitwie

96

opowiadano sobie w Warszawie, że „Kozietulski się prosił, żeby mu wolno było iść w awangardach, ale cesarz mu tego wzbronił, mówiąc, że nie na to ich ma przy sobie, ażeby zginęli”)*.

21 lutego 1807 roku czterej gwardziści honorowi: Kozietulski, Byszewski oraz bracia Tomasz i Franciszek Łubieńscy dotarli do mazurskiej Ostródy. Wysłano ich przodem, aby zorganizowali w tym mieście nową kwaterę cesarską. Zmęczonym i zgłodniałym gwardzistom Ostróda bardzo przypadła do gustu – szczególnie zaopatrzenie jej sklepów. „Nakupowaliśmy sobie tutaj papieru, srebrnych piór, araku, cukru, solonych ryb i sera” – donosił żonie systematycznie, jak zawsze, Tomasz Łubieński.

W kilka dni później Jan Leon Hipolit Kozietulski zrobił użytek ze świeżo zakupionego srebrnego pióra i napisał nim dłuższy list do siostry.

„Ostróda, 26 lutego 1807 roku. Korzystam z wyjazdu pana Tomasza Łubieńskiego, aby Ci donieść, że wysłałem do Ciebie list przez księcia Lubomirskiego. Ale pan Łubieński, wiozący pocztę pośpieszną, przybędzie wcześniej niż księżę. Och, jakże mu zazdroszczę tego szczęścia, oddałbym wszystko, co mam, aby być dzisiaj na jego miejscu. Od pewnego czasu nie ma dnia, aby kogoś z nas nie wysyłano z rozkazami Cesarza także do forpoczt w Poznaniu i w Warszawie; spodziewam się więc, że i na mnie przyjdzie kolej, aby pojechać do Warszawy, szczęśliwy będę wówczas bezgranicznie. Do czasu naszego spotkania może zajść jeszcze dużo zmian. Ciągłe przybywają kurierzy z różnych stron i urzędnicy w rozmaitych misjach. Wczoraj przybył tu generał pruski Kleist z poselstwem od samego króla. Patrzył na nas wszystkich bardzo złym okiem, podczas gdy my okazaliśmy mu wiele uprzejmości przy każdej okazji. Generał Krasiński (Izydor), obecny tu od piętnastu dni, otrzymał komendę nad kawalerią polską, która w straży przedniej liczy tysiąc kilkuset ludzi, a pułkownik Krasiński (Wincenty) według

* Wypada w tym miejscu zauważyć, że wstosimfal do Śulkowskiego w Egipcie Bonaparte nie przejawiał takiej troskliwości.

7 – Kozietulski t. I

97

•Wszelkich pozorów będzie pułkownikiem w... pułku Biernackiego i wkrótce opuści Kwaterę Główną, aby powędrować z powrotem do Warszawy i objąć to stanowisko. Generał Giełgud jest chory i nie opuszcza wcale swego pokoju, zawsze samotny, zawsze taki sam. Od paru dni mamy względny spokój, wyjawszy tych, którzy oelnia straż i wykonują zleczone zadania. Cesarz przy wszystkich zajęciach znajduje zawsze jakąś wolną chwilkę na spacer, wtedy my pędzimy na złamanie karków (trzy ostatnie słowa napisane są w liście po polsku i podkreślone grubą krechą) i patrolujemy najbliższą okolicę, nie zważając na złe drogi i tereny zaorane. Mam nadzieję, że Ty nie uskarżasz się, jak Mama, na brak wiadomości ode mnie,

bo nie przepuszczam żadnej poczty. Ach, co by to było za szczęście, gdybyś i Ty chciała mi odpowiadać równie często. Błagam, odpisz przez tę samą okazję! Od mego wyjazdu miałem wszystkiego trzy listy, jeden od Ciebie, a dwa od Mamy, której nogi całuję z największym uszanowaniem. Uwiadom mnie o Jej zdrowiu, a także o zdrowiu Pana Starosty, któremu bądź łaskawa przekazać ode mnie wyrazy największej życzliwości... Nie zapomnij także o Twojej małej gromadce. Bądź łaskawa przypomnieć mi mile wszystkim osobom, które interesują się moim losem. Jeżeli hrabia Staś Potocki * jest jeszcze w Warszawie, powiedz mu, proszę, iż powinien mi zazdrościć, że miałem honor uczestniczyć w sławnej bitwie pod Iławą; przekaż mu moje pozdrowienia... byłby niepomierne zdziwiony, widząc, jakie cierpimy tu wszyscy trudy i jak od czasu do czasu spędzamy noce na biwaku, pozbawieni nawet odrobiny słomy na podściółkę. Ale ponieważ biwakujemy razem z generałami, więc znosimy to wszystko bez szemrania.

Post scriptum: bądź tak dobra i powiedz Mamie, że wyjeżdżając z Warszawy, sprzedałem konia za 26 dukatów. Żyd Abrahamek powinien mi odnieść te pieniądze po potrąceniu

* Chodzi tu oczywiście nie o Stanisława Kostkę Potockiego, członka Komisji Rządzącej
1 późniejszego ministra oświaty, lecz o pik. Stanisława Potockiego, zwanego powszechnie „Stasiem”.

98

dwóch dukatów. Proszę, aby Mama zechciała odebrać rzeczony 24 dukaty”.

Jak na relacje dziarskiego junaka, który dopiero co „miał honor uczestniczyć w sławnej bitwie” – nie jest to list specjalnie wesoły. Odbijają się w nim jak w lustrze wypadki i nastroje owego czasu. Wizyta w Ostródzie pruskiego posła (generał Kleist przywiózł Napoleonowi odpowiedź Fryderyka Wilhelma III na francuskie propozycje pokojowe)... Plotki o ponownym odsunięciu od cesarza Wincentego Krasińskiego, przewidywanego już powszechnie na dowódcę przyszłej formacji gwardyjskiej... Atmosfera oczekiwania na jakieś ważne zmiany... Tęsknota do bliskich – zbyt gwałtowna jak na miesięczną niespełna rozłąkę... Mocno wybity zwrot „na złamanie karku” – w odniesieniu do służby przy uwielbianym cesarzu... I wreszcie pieczęć na kopercie: nie zwykła – herbowa, lecz mała, owalna, z napisem: „Szczęśliwi, których los nie rozdziela”...

Pani Klementyna Walicka, której rozum tak bardzo wychwalali współcześni, po dokładnym przestudiowaniu listu brata – z pewnością niejedno wyczytała tam między wierszami. W Małej Wsi pod Grójcem, gdzie urok Napoleona nie działał tak silnie jak w głównej kwaterze mazurskiej, sprawy wielkiej polityki oceniano trzeźwo i praktycznie. Dawno minęło już pierwsze upojenie wolnością i życie stawało się coraz cięższe. Pan starosta mszczonowski ciągle chorował, a „mała gromadka” – składająca się z ulubienicy wuja Jana, sześciolatniej Maryjki,

oraz z dwóch młodszych chłopców: pięcioletniego Olesia i trzy-
letniego Antosia – w najbliższych dniach miała się powiększyć
o czwarte dziecko. Bardzo już „słabująca” dziedziczka borykała
się ze stale rosnącymi trudnościami gospodarczymi. Posiadłości
Walickich oceniano wprawdzie na blisko 700.000 złp., ale właściciele
coraz dotkliwiej odczuwali ciężary rekwizycji wojskowych. Pełnowartościowy
pieniądz zniknął z obiegu, a za dostawy płacono „samymi papierkami,
którymi brzydzą się wszyscy”. | Sławna bitwa pod Iławą, tak entuzjastycznie
wspominana j w liście Kozietulskiego, mieszkańcom Małej Wsi już wcześniej

99

dała o sobie znać zwiększonym zapotrzebowaniem na szarpie,
wozy, żywność oraz napadami głodnych maruderów. W przy-
wożonych od czasu do czasu gazetach warszawskich, obok spra-
wozdań z uroczystych obchodów zwycięstwa iławskiego, rzu-
cały się w oczy dramatyczne rozkazy dzienne cesarza, z ape-
lami do rozproszonych i zdemoralizowanych oddziałów Wielkiej
Armii. Po miastach i wsiach roiło się od agentów koalicji, rozsie-
wających pogłoski o bliskim już powrocie Prusaków i o koncen-
tracji wojsk austriackich przy granicy Polski. Wszystko to za-
ostrzało spojrzenie na teraźniejszość i zmniejszyło zaufanie do
przyszłości. Wieści o wizycie generała Kleista w Ostródzie i o
nagłej „niełasce” Krasińskiego musiały Walickich bardzo za-
niepokoić. Przekazując bawiącej w stolicy starościnie będzińskiej
list brata z roszczeniami do kupca Abrahamka, pani Klemen-
tyna dawała matce oględnie do zrozumienia, że „sprawa Polski
nie wygląda za dobrze”.

Ale z ocenami politycznymi nie należy się nigdy śpieszyć.
Kiedy w Małej Wsi pod Grójcem nicowano na wszystkie strony
treść listu Kozietulskiego i wyciągano z niej najsmutniejsze
wnioski – w mazurskiej Ostródzie „kryzys polski” zbliżał się
już do pomyślnego rozwiązania.

Po nadejściu odmownych odpowiedzi z Prus i z Austrii („na
szczęście dla dobrej sławy cesarza” –jak pisali później polscy
historycy), Napoleon zrezygnował z planów pokojowych i zajął
się energicznie przygotowaniem do następnej fazy wojny.

Na przełomie lutego i marca sytuacja aprowizacyjna w Wiel-
kiej Armii przedstawiała się katastrofalnie. W najstarszych puł-
kach gwardii, stacjonujących w pobliżu Ostródy, dochodziło
do otwartych buntów głodowych. Tłumy zgłodniałych, zmarz-
niętych woltażerów i grenadierów demonstrowały pod oknami
kwatery cesarskiej wołając: „kleba, papa!” Ponieważ cesarz
„kleba” nie dawał, coraz natarczywiej szukano go u cywilnej
ludności. Chłopi mazurscy bronili swego chleba pazurami.
Zdarzały się krwawe samosady, a potem równie krwawe re-
presje. Z jeziora w pobliżu wsi Pietszwałd wydobyto pewnego

100

dnia osiemnaście zmasakrowanych trupów żołnierskich, „w tym jedną kobietę, ubraną na francuską modłę”. Po wykryciu zbrodni generał Friant kazał aresztować wszystkich mieszkańców Pietszwałdu powyżej szesnastu lat i „przykładnie zniszczyć wieś”. W kilka dni później marszałek Davout doniósł marszałkowi Berthierowi, że jeżeli wieś nie wyda morderców, „każe rozstrzelać trzy razy po osiemnaście osób, po tygodniu resztę zakładników”. Ultimatum poskutkowało. Żona jednego z zakładników wydała sprawców samosądu. Byli nimi dwaj synowie wdowy Barbary Pastewki (la veuve Pasteffka). Powieszono ich publicznie na rynku w Durągu.

Ale najsurowsze nawet represje wobec mazurskich chłopów nie mogły zaspokoić wielkiego głodu Wielkiej Armii. Istniał tylko jeden sposób na rozwiązanie francuskich kłopotów aprowizacyjnych – odwołanie się do polskiego patriotyzmu. Nic więc dziwnego, że cesarz, nie bacząc na niedawne deklaracje składane królowi pruskiemu, znowu zaczął „przywiązywać wagę do Polski”. Czas był na to najwyższy, gdyż przejściowy kryzys w stosunkach francusko-polskich starali się wykorzystać dla swoich celów monarchowie koalicji. Fryderyk Wilhelm III – po ucieczce do Kłajpedy – próbował stamtąd ponownie, za pośrednictwem ks. Antoniego Radziwiłła, zjednać sobie Poniatowskiego. Ruchoma kancelaria królewska wygotowała już nawet reskrypt mianujący warszawskiego dyrektora wojny generałem-lejtnantem pruskiej kawalerii i komisarzem wojskowym dla „polskich prowincji”. Równocześnie car Aleksander w swojej głównej kwaterze w Taurogach konferował z generałem Karolem Kniaziewiczem, nakłaniając go do sformowania „legionu polskiego przeciwko Bonapartemu”. Adam Jerzy Czartoryski do tego samego przedsięwzięcia werbował ostatniego naczelnika insurekcji kościuszkowskiej – generała Tomasza Wawrzeckiego.

Napoleon, w pełni świadomy olbrzymiej przewagi moralnej i psychologicznej „wyzwoliciele” nad niedawnymi zaborcami, nie przywiązywał większego znaczenia do tych zabiegów ze

101

strony koalicji. Nie zamierzał jednak dopomagać przeciwnikom przez dalsze zniechęcanie do siebie Polaków.

Za pierwszą okazję do zademonstrowania życzliwości cesarza dla Polski posłużyło świetne zdobycie Tczewa przez wojska Dąbrowskiego. Biuletyn Wielkiej Armii uczcił to zwycięstwo w sposób wyjątkowo serdeczny i schlebiający polskiej dumie narodowej. Dywizję Dąbrowskiego obsypano pochwałami i krzyżami Legii Honorowej – w ilości nie praktykowanej dotychczas w żadnej dywizji francuskiej.

Równocześnie warszawska prasa rozpisywała się szeroko na temat innych łask cesarskich dla Polaków. O jednej z nich, najbardziej zresztą niesłusznej, warto wspomnieć ze względu na jej ciekawe powiązania personalne.

W pierwszych dniach marca Napoleon przyjął na żołąd fran-

- cuski i formalnie wcielił do Wielkiej Armii polski „regiment lekkiej jazdy”, sformowany i dowodzony przez „Jana Sułkowskiego, księcia z Bielska”. Oszczędni zazwyczaj intendenci francuscy tym razem okazali się hojni: zezwolili na uzupełnienie oddziału do 1200 ludzi, wyposażyli go w konie i w wyborową broń.

Kim był ów Jan Sułkowski, „pierwszy pułkownik i właściciel” uprzywilejowanego regimentu, i czemu zawdzięczał swe przywileje? Kto czytał moją książkę *Oficer największych nadziei* i pamięta przedstawioną tam skomplikowaną genealogię rodu Sułkowskich—rozpozna w nim bez trudu syna osławionego księcia Franciszka de Paula (jednego z domniemyanych ojców bohatera spod Piramid) i aktorki Judyty Marii Wysockiej. Losy Józefa Sułkowskiego krzyżowały się parokrotnie z losami rzeźmego brata przyrodniego. Właśnie po urodzeniu się Jana jego stryj, bezdzietny książę August z Rydzyny, wpadł na pomysł usynowienia małego Józefa (podrzuconego przedtem bocznej i ubogiej linii Sułkowskich), aby w ten sposób odsunąć od dziedziczenia potomstwo znienawidzonej „aktorzycy” z Bielska. W latach późniejszych, podczas kampanii włoskiej, kiedy Józef Sułkowski u boku Bonapartego zbierał laury pod Rivoli i pod

102

Arcole, Jan Sułkowski uczestniczył w tych samych bitwach, ale po stronie przeciwnej, jako porucznik ułanów w gwardii austriackiej.

Po wojnie, w okresie „wielkiej pacyfikacji” trzydziestokilkuletni książę z Bielska dzięki paru głośnym wyczynom chuli-gańskim zdobył sobie sławę awanturnika i aferzysty w skali międzynarodowej. Jego skandale towarzyskie na terenie Wiednia naraziły go na dwukrotne uwięzienie w twierdzy Kufstein i na różne przykrości ze strony cesarza austriackiego. Szanowane nazwisko, duży majątek oraz bliskie koligacje z najwyższymi sferami arystokracji austriackiej i pruskiej — pozwoliły mu wyjść z tych opresji cało. W lutym 1807 roku zgłosił się do dyrektora wojny Poniatowskiego z propozycją sformowania na własny koszt pułku jazdy. Książę Józef, znający dobrze jego sprawy wiedeńskie, nie przyjął patriotycznej oferty. Wtedy Jan Sułkowski odwołał się do Napoleona i osiągnął więcej, niż zamierzał. Cesarz chętnie skorzystał z okazji do uczczenia pamięci swojego polskiego adiutanta, poległego w Egipcie, i propozycję jego bliskiego krewnego potraktował ze specjalnymi względami.

Osobliwy hołd pośmiertny dla „oficera największych nadziei” pociągnął za sobą fatalne następstwa. Książę z Bielska, osadziwszy się mocno w siodle dowódcy, ujawnił swą prawdziwą naturę. Z terenu operacyjnego nowej jednostki zaczęły napływać skargi na gwałty i bezprawia. Szczególnie głośnym echem odbiła się skandaliczna sprawa nałożenia kontrybucji na miasto Słupsk. Po sześciu tygodniach tego rodzaju działalności minister wojny,

marszałek Berthier, polecił aresztować pułkownika Jana Sułkowskiego i dostarczyć go pod konwojem do Warszawy dla przykładowego ukarania. Ale doświadczony więzień Kufsteinu wymknął się w drodze żandarmom i zbiegł za granicę. W dalszym ciągu naszej opowieści natkniemy się jeszcze raz na ślady tej ciemnej figury. Nastąpi to w Wiedniu w roku 1809 – w okolicznościach dość sensacyjnych.

W tym czasie kiedy żołnierze Dąbrowskiego odbierali swoje

103

zasłużone krzyże Legii, a ksiązę z Bielska obejmował swoje niezasłużone dowództwo, Napoleon z brutalną szczerością określił cenę dalszych łask dla Polski. „W dzisiejszym stanie rzeczy los Europy zależy od środków wyżywienia wojsk – pisał 12 marca do rezydującego w Warszawie Talleyranda. – Pobić Rosjan mając chleb, będzie dla mnie igraszką dziecinną... Co tylko Pan zrobi, uznam za dobre, byle po odebraniu tego listu przesyłano mi przez Zakroczym i Mławę po 50.000 racji sucharów i 2000 kwart wódki. Trzeba na to osiemdziesiąt wozów dziennie, płacąc je na wagę złota. Jeżeli patriotyzm Polaków na podobne wysilenie się nie zdobędzie, to nie na wiele się oni przydadzą. Zlecenie, jakie Panu daję, jest ważniejsze niż wszelkie negocjacje na świecie—Te 300.000 racji sucharów i te 18 lub 20 tysięcy kwart wódki, które mogą nam być odstawione w ciągu kilku dni, zniweczą kombinacje wszystkich mocarstw...”

Przypuszczam, że Talleyrand – referując warszawskiej Komisji Rządzącej treść poleceń cesarskich – nie starał się wcale łagodzić ich wymowy i jeszcze wyraźniej niż Napoleon podkreślał związek między dostawami dla Wielkiej Armii a wioskami Polaków na odbudowę niepodległego państwa.

Dla urządzającego się dopiero kraju, ogołoconego z zapasów, wycieńczonego trzymiesięcznymi rekwizycjami i przednówkiem, podjęcie tak dużego wysiłku gospodarczego i administracyjnego (poza normalnymi świadczeniami dla wojska) było zadaniem niezmiernie trudnym. Można śmiało powiedzieć, że wiosną 1807 roku—na długo przedtem, zanim błysnęły somosierskie szable i zagrały raszyńskie armaty—rozegrały się na polskich drogach pierwsze heroiczne boje o niepodległość. Bezimiennymi bohaterami tych bojów byli: omdlewający ze zmęczenia urzędnicy administracyjni, handlarze bydła przypędzający stada wołów pociągowych aż ze Śląska, wozacy tonący w błocie i w zaspach śnieżnych szlaków komunikacyjnych oraz niezmordowani flisacy wiślani. Całą kampanią dowodził nie żaden generał, lecz posunięty już w latach cywil, pełnomocnik

104

Komisji Rządzącej dla prawego brzegu Wisły, Józef Wybicki. Czytelnicy polskich powieści historycznych znają Wybickiego tylko jako działacza legionowego i autora Mazurka Dąbrowskiego. W przebogatej beletrystyce, poświęconej wyczynom militarnym Polaków w epoce napoleońskiej, nie znalazł odbicia polski heroizm administracyjno-gospodarczy tamtych czasów. Był nieefektywny i obcy rycerskim tradycjom narodu. Ale wiosną 1807 roku gospodarcze zwycięstwo Wybickiego znaczyło w rozrachunkach z Napoleonem wcale nie mniej niż zdobycie Tczewa przez Dąbrowskiego.

W ostatnich dniach marca spełniły się marzenia Kozietulskiego: wysłano go z cesarską pocztą do Warszawy. Do upragnionego wyjazdu przyczyniły się także względy rodzinne, bo właśnie wtedy Walickim urodziło się czwarte dziecko. 31 marca Jan Leon Hipolit trzymał siostrzenicę do chrztu w jednym z kościołów stołecznych. Dziewczynce nadano imię Józefina, zapewne na cześć małżonki Napoleona, której niedawne imię i niny obchodzono w Polsce niezwykle uroczyście. '•

Po załatwieniu w Warszawie obowiązków służbowych i rodzinnych, drugi podkomendant Gwardii Honorowej wyruszył do kwatery cesarskiej znajdującej się już wówczas w miejscowości Finckenstein (obecny Kamieniec Suski). Bardzo możliwe, że w drodze do Kamieńca spotkał jadącą w tym samym kierunku karetę ze szczelnie zapuszczonymi firankami. Jeżeli naprawdę tak się zdarzyło, to dalsza podróż upłynęła mu z pewnością na miłej konwersacji towarzyskiej. Pasażerami tajemniczej karety byli jego dobrzy znajomi, dawni sąsiedzi z Kiernozi. Józef Benedykt Łączyński, mianowany parę tygodni wcześniej podpułkownikiem i adiutantem przy sztabie marszałka Berthiera, odwoził Napoleonowi – na jego wyraźne żądanie – swoją siostrę, szambelanową Walewską.

W nowej Kwaterze Głównej na początku kwietnia 1807 roku roiło się od polskich gości. Cesarz już wiedział, że problem dostaw dla Wielkiej Armii jest rozwiązany i że Polacy mogą „przydać się na wiele”. Poświęcano więc sporo czasu zagadnie-

105

niom polskim. Między innymi doczekała się ostatecznego załatwienia „sprawa szwoleżerska”.

Przypuszczam, że w końcowych pertraktacjach na ten temat ważną rolę odegrał Józef Wybicki, który bawił wtedy w Kamieńcu i – co nie było chyba szczegółem bez znaczenia – dzielił mieszkanie z głównym protektorem Krasińskiego, ks. Aleksandrem Sapiehą. Dawnemu komisarzowi konfederacji barskiej, nawet bez agitacji Sapiehy, bliską musiała być idea od-

działu nawiązującego do tradycji barskich (tradycje te zaznaczyły się w późniejszych emblematkach szwoleżerskich), a także osoba przyszłego dowódcy, wnuka konfederackich naczelników i zięcia prezesa Małachowskiego. Zresztą Wybicki miał w takich pertraktacjach doświadczenie jeszcze z czasów, kiedy wyklócał się z paryskim Dyrektoriatem o stworzenie legionów we Włoszech.

3 kwietnia kolega i przyjaciel Kozietułskiego Tomasz Łubieński pisał z Kamieńca do żony: „...Wybicki jest tu od wczoraj. Miał zaszczyt wczoraj przegrać do cesarza 10 dukatów w «oko». Żyjemy tu z wielkim przepychem. Obiady nasze są o wiele lepsze niż w Ostródzie...”

Przegrana w karty do Napoleona (te 10 dukatów musiał sobie biedny Wybicki pożyczyć od Duroca) nie była jedynym zaszczytem, jaki spłynął na bohatera udanej kampanii aprowizacyjnej. Miarodajni pamiętnikarze stwierdzają, że cesarz wychwalał Wybickiego pod niebiosy, że chciał go nagrodzić poważną dotacją w dobrach ziemskich, że w obecności całego swego sztabu oświadczył: „Gdyby nie Wybicki, tobym z głodu umarł”. Dla twórcy Mazurka Dąbrowskiego, żarliwego bonapartysty od lat dziesięciu, musiało to być piękne zadośćuczynienie za ową dramatyczną audiencję grudniową na Zamku warszawskim, kiedy przedstawicielom władz polskich grożono rozstrzelaniem i spaleniem kraju.

W cesarskiej partii oczka oprócz Wybickiego uczestniczyli jeszcze czterej gracze: minister wojny marszałek Berthier, wielki marszałek dworu Duroc, naczelny dowódca kawalerii

106

francuskiej marszałek Murat i komendant gwardii cesarskiej – marszałek Bessieres. Przed grą w tym samym składzie osobowym rozmawiano o Polsce i o wojsku. Bardzo być może, iż właśnie wtedy „bohater dnia” Józef Wybicki, ojciec późniejszego kapitana szwoleżerów Łukasza Wybickiego, pchnął na przód sprawę polskiego pułku gwardii. W każdym razie od tego dnia wypadki potoczyły się szybko.

4 kwietnia Napoleon odznaczył krzyżami Legii Honorowej uczestników bojów pod Gołyminem, Pułtuskim i pruską Iławą. Wśród odznaczonych znaleźli się: generał Ignacy Giełgud, książę Aleksander Sapieha, Wincenty Krasiński, Tomasz Tyszkiewicz i Tomasz Łubieński. Warszawska Komisja Rządząca nadała temu wydarzeniu duży rozgłos propagandowy. Wszystkie gazety pisały o „jeszcze jednym dowodzie szczególnej łaski cesarza dla Polaków”. Specjalny dodatek do Gazety Korespondenta z listą odznaczonych rozdawano bezpłatnie na ulicach stolicy.

Dla Jana Hipolita z pewnością nie był to dzień najweselszy. Drugi podkomendant Gwardii Honorowej także brał udział we wszystkich wspomnianych bitwach i, jak można wnosić z legend rozgłaszanych na temat jego brawury, spisywał się w boju nie gorzej od udekorowanych kolegów—mimo to Legii

nie dostał. Ale przy rozdziale odznaczeń polskich w Kamieńcu bardziej chyba chodziło o propagandę polityczną niż o wynagrodzenie rzeczywistych zasług bojowych. Napoleon zastosował tu dokładnie ten sam klucz, co przy ustalaniu składu Komisji Rządzącej. Poza schorowanym generałem Giełgudem, uosabiającym tradycje dawnych walk o niepodległość, wszyscy odznaczeni należeli do wielkich i bogatych rodów magnackich. -Zgadzało się to z charakterem powstającego państewka polskiego ; Cesarz kokietował arystokrację – grupę społeczną, na której mu w Polsce najbardziej zależało. Jan Leon Hipolit Kozietułski, zubożały syn ziemiański, tolerowany w wielkim świecie warszawskim jedynie jako „brat Walickiej”, nie reprezentował w tej grze żadnych atutów propagandowych. W przyszłości po-

107

dział na bardziej i mniej uprzywilejowanych jeszcze nieraz zastruje humor naszemu bohaterowi i zaważy na jego odznaczeniach i awansach. Echa tych zmartwień i zawodów przetrwały w krośniewickiej korespondencji.

Tym razem irytacja Kozietułskiego nie trwała długo. W trzy dni po odznaczeniach rozeszła się wiadomość o nowym wydarzeniu – radosnym także dla mniej uprzywilejowanych członków Gwardii Honorowej. Nastąpiło wreszcie to, na co l czekano niecierpliwie od przeszło dwóch miesięcy: 6 kwietnia 11807 roku w kwaterze głównej w Finckenstein Napoleon podpisał dekret o powołaniu „Pułku Lekkokonnego Polskiego |Gwardii Cesarskiej” (Regiment de Chevau-Legers Polonais de M Gardę Imperiale). Nazajutrz – 7 kwietnia wydano dwa dekry nominacyjne. Pierwszy ustalał skład polskiego korpusu oficerskiego. Dowódcą pułku został Wincenty Krasiński, na szefów szwadronów (majorów) powołano: Tomasza Łubieńskiego i Kozietułskiego. Prócz nich mianowano: pięciu kapitanów, ośmiu poruczników i pięciu podporuczników. Pierwsi oficerowie szwoleżerscy w przytłaczającej większości wywodzili się z dawnych Przyjaciół Ojczyzny i członków Gwardii Honorowej Polskiej. Spoza starej kadry Krasińskiego dopożyczono na razie tylko dwóch kapitanów: Antoniego Potockiego, dotychczasowego adiutanta ks. Józefa Poniatowskiego, i Pawła Jerzmanowskiego, adiutanta marszałka Duroca (w dekrete figuruje jako Germanowski), oraz trzech poruczników: Łukasza Wybickiego, syna pełnomocnika Komisji Rządzącej, Górskiego ze sztabu Murata i Józefa Szymanowskiego ze sztabu Davouta (z dekretu wynika, że był to ten sam Szymanowski, który w listopadzie 1806 roku doręczył Przyjaciołom Ojczyzny wezwanie gen. Dąbrowskiego; w rzeczywistości nominację uzyskał brat stryjeczny Józefa – dawny członek Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny).

Drugi dekret nominacyjny wyznaczał francuską kadrę instruktorską dla nowej jednostki. Na stanowiska podpułkowników – zastępców dowódcy pułku (tzw. „pułkowników en se-

108

cond" albo „gros-majorów”) Napoleon delegował dwóch zau-

fanych oficerów swojej gwardii: Karola Delaitre, dotychczasowego szefa szwadronu Mameluków cesarskich, oraz Piotra Dautancourt, szefa szwadronu żandarmerii wyborowej (gendarmerie d'elite). Do pomocy przydzielono im dwóch „adiutantów-majorów” w stopniu kapitanów: kapitana Duvivier z grenadierów konnych gwardii i kapitana Poleretzky ze strzelców konnych gwardii.

Po ogłoszeniu dekretów nowo mianowani oficerowie szwoleżerów wyjechali do Warszawy, aby zająć się organizacją pułku.

n

Bodaj Bóg dzień błogosławił,
W którym żołnierzem zostałem\
U pułkownikom się stawił
I w kontrol się zapisałem.

Pamiętam, tego wieczora,
Z kamratami na teatrze,
Głośniej już wołałem: fora!
I śmielej po łóżach patrzę.

Po balacie do Szyllera
Nowych kolegów prosiłem,
Dobrze mi szła karyera
Razem się z nimi upiłem...

Śpiew żołnierski dla gwardii Napoleona... obejmujący szczególnie, jak się ten pułk formował—powstał wiosną 1808 roku, kiedy szwoleżerowie od dawna już przebywali w Hiszpanii. Rocznicę narodzin swego pułku polscy gwardziści obchodzili podczas pierwszej ofensywy na Madryt, na biwaku marszowym w Brmesca, niedaleko Burgos. Tam właśnie — pod wpływem tęsknoty za ojczyzną i rozkosznych wspomnień o warszawskiej wiosnie 1807 roku — dwaj pułkowi artyści: porucznik Józef Żałuski—literat i porucznik Aleksander Brocki—muzyk,

109

stworzyli żartobliwą epopeję, opiewającą w dwudziestu dwóch strofach okres rekrucki szwoleżerów.

Nazajutrz, o siódmej z rana
na apel do koszar spieszę...
Witam w myśli kapitana
I już się awansem cieszę...

Fraczek miałem granatowy,
U butów sztylpy angielskie,
Zdejmując kapelusz z głowy,
Witam grono przyjacielskie,

Wtem wachmistrz z boku nadchodzi
I „co za jeden?” pyta,

– Dowiesz się waćpan dobrodziej,
Niech pan tę kartkę przeczyta!

– Czemuś waćpan nie ubrany?
Czy się tem chcesz ekwipować?
Juzes w kontrol zapisany,
Potrzeba służby pilnować.

Zdziwił mnie ton jegomości,
Cos mu odpowiedzieć chciałem,
On odszedł – a ja ze złości
Ledwie ze nie oniemiałem!..

Śpiew żołnierski jest utworem wyraźnie żartobliwym, ale przekazane w nim realia obyczajowe niedaleko chyba odbiegały od prawdy. Właśnie tacy musieli być ci szwoleżerowie-rekruci:

bardzo jeszcze pańscy, nienawykli do dyscypliny, ogromnie uczuleni na „ton” przełożonych. Początkowo nawet najstarsi oficerowie pułku tytułowali szeregowców „waćpanami”. Zwyczaj ten przełamano dopiero w drodze do Hiszpanii, i to nie bez poważnych trudności. Kiedy – po dojściu do Moguncji – porucznik Andrzej Niegolewski, późniejszy bohater Somosierry, spróbował po raz pierwszy przejść na „ty” ze swymi żołnierzami – „jeden z nich chciał się z obrazy utopić w Renie”. Nie

110

darmo lud warszawski od początku nazywał szwoleżerów „pańskim wojskiem”. Ich tryb życia w okresie rekruckim niewiele się różnił od dawnych zabaw Przyjaciół Ojczyzny czy paniczów spod Blachy.

...Dopierom poznał żołnierkę,
Gdy po tej ceremonii,
Wziąwszy szpencer, furażerkę,
Poszedłem do kompanii.

Zaraz kolegów gromada,
Obstąpiwszy mnie łaskawie,
Czy drwi ze mnie, czy mi rada?
Myślę –poznam to na kawie.

Jako chłopiec, co żyć umie,
Nie bacząc, czy starczą grosze,
Wesoły w kolegów tłumie
Po kawie na obiad proszę.

Obiad jemy Rozengarta
A po nim lody Lessłowskie.
Wypadła nam z głowy warta,
A z nią koszary mirowskie...

Wypisz, wymaluj: warszawscy panicze z czasów gubernatora

Koehiera! A piękne było to wojsko nad podziw. Kiedy po raz pierwszy pokazali się na mieście, serca warszawianek zamarły z trwożnego zachwytu. Takich żołnierzy jeszcze w stolicy nie oglądano. Strój niby dawnej Kawalerii Narodowej, tyle że piękniejszy, bardziej kolorowy, wzbogacony o nowe elementy. Czapy karmazynowe rogate z cesarską cyfrą i koroną na tle złotego promienistego półsłońca, wyżej biały krzyż maltański na granatowo-amarantowej rozecie – godło konfederatów barskich. Mundury w zasadzie dwa: służbowy – granatowy i paradny – biały z karmazynem, ale dla oficerów paradny miał jeszcze dwa warianty: „wielki” – z kurtką polskiego kroju i „mały” – z francuskim fraczkiem (znalazła w tym rozróżnieniu wyraz polska duma narodowa). Spodnie karmazynowe ze

111

srebrzystym lampasem; srebrne: hafty, szlify, akselbanty. Do stroju paradnego kity na czapkach, z piór czaplich, pawich czy kapłonich. Konie rosłe, rasowe, idealnie dobrane („Koń będzie mieć miary 4 stóp i 9 cali najwięcej, a 4 stóp i 6 cali najmniej”). A wszystko to za własne, prywatne, z domu przywiezione pieniądze. Komisja Rządząca próbowała początkowo koszt wyekwipowania szwoleżerów przerzucić na skarb cesarski, ale Napoleon się na to nie zgodził. Każdy szwoleżer musiał się ekwipować na rachunek własny, jedynie w wyjątkowych wypadkach udzielano mu pożyczki, spłacanej później z żołdu.

Pułk szwoleżerów był pomyślany jako jednostka elitarna, ale miał to być elitaryzm na modłę francuską, podobnie jak winnych formacjach gwardii cesarskiej. Ochotników przyjmowano nie na podstawie szlacheckiego cenzusu urodzenia, lecz na podstawie burżuazyjnego cenzusu posiadania. Dekret cesarski wydany w Kamieńcu stwierdzał wyraźnie, że „przypuszczonym do korpusu szwoleżerów może być tylko właściciel lub syn właściciela”. W warunkach francuskich – przy pełnym już zrównaniu stanów – zasada ta dopuszczała do gwardii przedstawicieli wszystkich warstw społecznych, jeśli tylko mogli wylegitymować się posiadaniem majątku nieruchomego; w warunkach polskich – wyłączała z zaciągu cały stan chłopski, który własności nieruchomej był pozbawiony. Dlatego też w praktyce szwoleżeńskiej nowoczesny elitaryzm burżuazyjny przekształcał się automatycznie w tradycyjny elitaryzm szlachecki.

Autor Wspomnień o Pułku Lekkokonnym Polskim, generał Józef Załuski (dawny szwoleżer i współtwórca przytoczonego wyżej Śpiewu żołnierskiego), stara się w swojej książce podważyć opinię o elitarnym charakterze polskiego pułku gwardii. „...W pułku naszym – pisze Załuski – nie pytano się o wyznanie, o ród, majątek i tym podobne przedziały klas towarzysstwa ludzkiego... I tak w korpusie oficerskim widziano obok Radziwiłłów, Gedrojciów, Kilińskiego *, Kocha * * i innych

•syn sławnego szewca-pulkownika Jana Kilińskiego.
"prawdopodobnie syn znanego księgarza warszawskiego Jana Ludwika Kocha.

112

synów miasta Warszawy, a w szeregach znaleźć można było starozakonnych ożywionych przykładem Berka majora i Tatarów Mahometanów..."

Ale ta pozorna różnolitość składu osobowego pułku nie decydowała o jego obliczu. W rzeczywistości wśród szwoleżerów nie było ani jednego chłopca, a mieszczenie stanowili znikomą mniejszość, gdyż synom patrycjatu warszawskiego o wiele bardziej odpowiadała tańsza i bliższa domu służba w formującym się równocześnie pułku Gwardii Narodowej. W rezultacie oficerski korpus szwoleżerów składał się prawie wyłącznie z młodzieży magnackiej bądź półmagnackiej, a w szeregach przylączającą większość stanowiło ziemiaństwo. Wystarczy przytoczyć nazwiska najczęściej powtarzające się w korespondencji Kozietulskiego. W pułku było trzech Krasińskich, trzech Łubieńskich, trzech Radziwiłłów, dwóch Załuskich, dwóch Ros-tworowskich, jeden arcybogaty Pac – a obok nich cała chmara przedstawicieli znanych rodzin wielko- i średnioziemiańskich:

Jordanowie, Stadniccy, Dobieccy, Prażmowscy, Gotartowscy, Krzyżanowscy, Trzcinińscy... Młodzi gwardziści polscy reprezentowali społem areał ziemski, przerastający obszarem kilka księstw niemieckich, pięciu z nich było synami aktualnych ministrów warszawskich, niektórych Napoleon traktował jak osobistych znajomych (do Tomasza Łubieńskiego jeszcze w Ostródzie cesarz zwracał się po imieniu, a przy każdym z nim spotkaniu wypytywał go o zdrowie rodziców i pięknej małżonki – Konstancji z Ossolińskich).

Pułk organizował się w starych koszarach Mirowskich przy ulicy Chłodnej. * Ale kandydaci na szwoleżerów nie zgłaszali się wprost do koszar. Przedtem musieli składać wizyty służbowe w dwóch historycznych rezydencjach warszawskich: w pałacu Pod Blachą i w pałacu Krasińskich (dawniej – Małachowskich) na Krakowskim Przedmieściu. O obowiązku składania wizyt przypominały obwieszczenia publikowane w prasie. Pierwsze –

•Zachowany fragment koszar Mirowskich odrestaurowano po ostatniej wojnie; mieści się tam obecnie IV oddział Straży Pożarnej.

8 – Kozietulski t. I 113

nadane przez kancelarię ks. Józefa Poniatowskiego – ukazało się w Gazecie Warszawskiej 14 kwietnia:

„Kancellaria Wojenna na mocy zalecenia JO Xcia Dyrektora Woyny obwieszcza tych wszystkich, którzy za listami swych Izb Administracyjnych do Pułku lekkiej jazdy Gwardyi Cesar-skiej Polskiej zapisanemu zostali, iż wezwani są, aby dla prezen-towania się JO Xciu Dyrektorowi Woyny, na dniu 15 miesiąca i roku bieżących, to jest w Środę o godzinie 12tej w Pałacu tegoż niezawodnie stawili się. Dań w Warszawie 13 kwietnia 1807 roku”.

W trzy dni później w Gazecie Korespondenta Warszawskiego z 17 kwietnia – podobne wezwanie płk. Wincentego Krasiń-skiego :

„Wszyscy ci, którzy zechcą mieć honor wniścia do Gwardii Najjaśniejszego Cesarza Francuzów, kaucyą złożony w Izbie Administracyjnej i otrzymawszy aprobacyą od JO Xcia Dyrektora Woyny, mogą się, jeżeli ieszcze nie są w kontrolę wciągnieni, codziennie od 6 z rana do 12 w południe w pomieszkaniu moim nro 410 na Krakowskim Przedmieściu meldować i być do teyże wpisani. Dań w Warszawie 16 kwietnia 1807 roku (podpisano) Pułkownik Gwardyi Cesarskiej Lekkiej lazdy Polskiej Krasiński”.

Te dwa ogłoszenia prasowe – to jakby podzwonne wieloletniej rywalizacji koteryjnej, leżącej u podstaw polskiego pułku gwardii. W roku 1807 rywalizacja między dwoma pałacami trwa jeszcze, ale zmienił się zasadniczo jej charakter i kompletnemu odwróceniu uległy role jej protagonistów. Blacha z roku 1807 nie przypomina już w niczym Blachy z czasów pruskich. Główny ośrodek życia towarzyskiego stolicy przekształcił się niepostrzeżenie w centralną „kancelarię” Wojska polskiego. Patron arystokratycznych birbantów i utracjuszy jest teraz jednym z najbardziej zapracowanych urzędników w kraju. Ta przedziwna metamorfoza dokonuje się w warunkach niezwykle trudnych. Książę-dyrektor boryka się z zadaniami przerastającymi jego siły i doświadczenie. Po dawnemu ota-

114

czają go niechęć i nieufność. Warszawa, pamiętająca jeszcze wybryki Blachy, kwituje ironicznym uśmiechem jego dramatyczne apele prasowe do „officerów, co... obrali sobie billary • i kaffenhauzu za poboiovisko i tam dokazują”. W Komisji Rządzącej nie znajduje wystarczającego poparcia dla swoich poczynań. W wojsku ściera się nieustannie z dwoma popularniejszymi od siebie współdowódcami: Dąbrowskim i Zajaczkim. W głównej kwaterze francuskiej szargają mu opinię wpływowi intryganci. Tendencyjnie informowany Napoleon zarzuca mu, iż „powodowany niechęcią osobistą, burzy to, co zbudował Dąbrowski”.

W nawale prac i kłopotów dyrektora wojny nieostatnie miejsce zajmuje sprawa szwoleżerów. Książę docenia „zaszczyt, który Jego Cesarska Mość udziela narodowi polskiemu, powierając młodym ochotnikom polskim straż swojej uświęconej osoby”, ale jako zwierzchnik „wojska krajowego” sprzeciwia się od początku tworzeniu elitarnego pułku jazdy, wydzielonego z ogólnej organizacji wojskowej. W Komisji Rządzącej zabiega o przystosowanie statutu szwoleżerów do reguły polskiej i stara się uzyskać wpływ na obsadę ich korpusu oficerskiego. Później – w okresie formowania pułku – korzysta często ze swego prawa „aprobacyi”, aby walczyć zajadli o każdego oficera czy podoficera jazdy, którego szwoleżerowie – ponad jego głową, przez Małachowskiego i Davouta – próbują wyrwać dla siebie z kadr krajowych. W ostatniej fazie sporu między dwoma pałacami – nie Przyjaciele Ojczyzny, lecz właśnie on, dawny patron kosmopolitycznej, sfrancuziałej Blachy, jest stroną patriotyczną i broni polskich interesów.

Zupełnie inaczej układa się w tym czasie życie jego młodych oponentów z Krakowskiego Przedmieścia. W gotyckiej „sali rycerskiej”, gdzie niegdyś czarno ubrani panicze składali patriotyczne przysięgi przed „symbolicznym pomnikiem ojczyzny z tarczą herbową Kościuszki”, pyszną się teraz przy biurkach werbunkowych karmazynowo-srebrni dowódcy cesarskich szwoleżerów. Niepotrzebny już pomnik kościuszkowski przesłoniły po-

115

złacane orły napoleońskie. W twierdzy polskości, z której tylekroć gromiono francuszczyznę Blachy, słychać teraz najczęściej mowę francuską. Młodzi niedoświadczeni dowódcy każdy szczegół organizacyjny muszą uzgadniać z francuskimi „gros-majorami”. Z pobrzękującego akselbantami i ostrogami polskiego sztabu szwoleżerskiego nikt prawie nie ma pojęcia o organizowaniu pułku ani o dowodzeniu nim. Wprawdzie Wincenty Krasiński już w wieku lat dziesięciu był wpisany do ksiąg wojskowych dawnej Rzeczypospolitej jako „porucznik Kawalerii Narodowej”, a w grudniu 1806 roku otrzymał od Dąbrowskiego pułkownikostwo nie istniejącego jeszcze „3-go regimentu szaserów konnych”, ale te tytularne godności nie miały nic wspólnego z rzeczywistymi funkcjami dowódcy. Nie lepiej przygotowany jest do dowodzenia szef szwadronu, Tomasz Łubieński. Z całej sztabowej trójcy jedynie Jan Leon Hipolit Koziętulski reprezentuje pewne kwalifikacje wojskowe jako dawny prymus królewskiej Akademii Rycerskiej, lecz i jego wiedza domaga się gwałtownie uzupełnienia. Nic więc dziwnego, że w takiej sytuacji faktycznymi organizatorami i dowódcami pułku są francuscy podpułkownicy, przysłani przez Napoleona.

Polscy szwoleżerowie niejednakowo lubią swoich francuskich opiekunów. Podpułkownik Karol Delaitre, niegdyś adiutant sławnego generała Klebera, jest z pewnością znakomitym fachowcem wojskowym, ale jego sposób bycia i cechy zewnętrzne nie odpowiadają polskiemu gustowi. Wyniosły, ironiczny, a przy tym cheriawy, krótkowzroczny i obdarzony piskliwym głosem, „pogromca Mameluków” nie zdołał sobie zjednać Polaków ani w roku 1807, ani w latach późniejszych. Szwoleżerowie nigdy mu nie wybaczą jego uprzedniej służby w szwadronie mamelukim, której skutki odczuwają na własnej skórze. Po Somosierze złośliwi pismacy koalicyjni będą ich nazywać „Mamelukami Napoleona”.

Zupełnie inny jest drugi „gros-major”. Piotr Dautancourt. Wesoły, sumiastowasy żandarm o temperamentie kawalerzysty, wyglądem i szeroką naturą przypomina do złudzenia mazowiec-

116

kiego szlachcica. Od pierwszej chwili zbratał się z polskimi kolegami i pozyskał sobie ich serca. Przez cały czas swej służby w pułku będzie „cieszyć się i płakać razem ze szwoleżerami”, a później wystawi im trwały pomnik w swoich pamiętnikach.

W pół wieku po śmierci „papa” Dautancourt otrzyma za to nagrodę: stanie się jednym z ulubionych bohaterów polskich powieści historycznych dla młodzieży.

Wiosną 1807 roku obaj gros-majorzy francuscy, niezależnie od swoich wad i zalet, zasługują sobie rzetelnie na wdzięczność polskich kolegów. Dźwigając cały ciężar organizacji pułku, pozostawiają karmazynowo-srebrnym paniczom mnóstwo czasu aa obnoszenie po Warszawie paradnych mundurów i na inne przyjemności towarzyskie. Zapracowani „biuraliści” spod Blachy kosym okiem patrzą na uprzywilejowanych gwardzistów. Szwoleżerowie wszędzie są pierwsi: w restauracjach Rozengarta i Gąsiorowskiego, w kawiarni Lessia, na przejażdżkach konnych w Alejach Ujazdowskich, na balach i w buduarach. Dawnych rywali z drużyny książęcej dystansują nawet w... pojedynkach. Zachowała się na przykład z tych czasów informacja o tragicomicznej rozprawie zbrojnej między samym pułkownikiem Wincentym Krasińskim a popularnym w Warszawie „autorem wierszy ulotnych”, poetą Marcinem Molskim.

Właśnie wiersze były przyczyną całej awantury. Molski niedoskonałość artystyczną swej obfitej twórczości wyrównywał jej... aktualnością. Zaczął od długiego eposu Stanisława Augusta, opisu-ającego świetność panowania Stanisława Augusta, później słaWił w poematach dobrodziejstwa rządów zaborczych, nie pomijając nawet gubernatora Koehiera, którego chwalił za to, „iż umie zacierać pamięć dawniejszego bytu”. Po wkroczeniu do Warszawy Francuzów, nadażający za potrzebami chwili, poeta wybuchnął rymowanym entuzjazmem na cześć Zbawcy Narodu. Długie panegiryki napoleońskie, podpisywane wielką literą M. *, ukazywały się co parę dni na pierwszych stronach gazet stołecznych.

•Niektóre z tych panegiryków, m.in. wiersz słaWiący małżeństwo Napoleona z Marią Ludwiką, podpisywał Molski pełnym nazwiskiem.

117

Wszystko to bardzo denerwowało Krasińskiego. Zaprzyjażniony z Ludwikiem Osińskim i innymi postępowymi literatami warszawskimi, „pierwszy napoleończyk” od dawna już deptał po piętach oportunistycznemu „wieszczowi Poniatowskich”, a jesienią 1805 roku—po Austerlitz—zgłosił nawet wniosek o wykluczenie Molskiego z Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Należy też przypuszczać, że właśnie Krasiński był najgorliwszym kolporterem, a może nawet inspiratorem jadowitych wierszyków, ośmieszających starego panegirystę, jak: „Idzie Molski w rękę oda do Chrystusa, do Heroda” albo: „Jakikolwiek jest los Polski, zawsze wiersze pisze Molski”...

Na przełomie kwietnia i maja 1807 roku (dokładnej daty kronikarz nie podaje) cierpliwość Molskiego wreszcie się wyczerpała. W okresie największego powodzenia szwoleżerów zdecydował się zmierzyć zbrojnie z ich dowódcą. Do pojedynku — czy może do zwykłej bitki — doszło wieczorem, w wąskiej uliczce Koziej „przy świetle pochodni”. I oto Warszawa przeżyła nie byle jaką sensację: stary, słaby, ślepy na jedno oko wierszopis * rozkwaSił nos młodemu dziarskiemu pułkownikowi

kawalerii. Była to pierwsza rana Krasińskiego, odniesiona w kampanii napoleońskiej. J.St. Bystron w swojej książce o poetach i grafomanach twierdzi, że Molskiego ukarano za ten pojedynek ostatecznym wykluczeniem z Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Załatwił to podobno przyjaciel pana Wincentego, książę Aleksander Sapieha.

Kompromitująca awantura z Molskim tylko na krótko zakłóciła beztrzęsłą szwoleżerów. Dla Jana Leona Hipolita Kozietulskiego czas formowania pułku jest najszczęśliwszym okresem życia. Tak właśnie będzie go wspominał później w Madrycie i w Paryżu, nad kanałami holenderskimi i na zaśnieżonych równinach rosyjskich.

26-letni szef szwadronu – przed rozpoczęciem podbojów militarnych – wyżywa się na razie w podbojach miłosnych. Bo-

* Trzeba dodać, że Molski był starym żołnierzem i do końca życia używał tytułu pułkownika.

118

haterkami jego wiosennych przygód sercowych są dwie panie z towarzystwa warszawskiego: bardzo ponoć bogata, lecz bliżej przez kronikarzy nie zidentyfikowana ziemianka Nowakowska oraz młodzianka arystokratka Emma Potocka, najpiękniejsza z czterech córek potężnej przywódczyni „klanu sapieżyńskiego” Sewerynowej Potockiej, kuzynka Sapiehów i Czartoryskich.

Obie panie „leca” na urodziwego szwoleżera i skłonne są do poślubienia go. Tak przynajmniej utrzymuje matka przyszłego bohatera Somosierry, pani Marianna z Grotowskich Kozietulska, starościna będzińska.

Starsza pani Kozietulska (trudno ją nazywać starą, gdyż w roku 1807 ma dopiero 46 lat) przyjechała do stolicy głównie po to, aby załatwić w Komisji Rządzącej przedłużenie dzierżawy dóbr Kompina, ale większość swego czasu poświęca spekulacjom na temat przyszłości „ukochanego Jasia”. Cieszy się ogromnie z jego powodzeń, uważa (jak napisze później w liście), że „nie może być kariera życia podchlibniejsza” niż służba w gwardii Napoleona, jednak w głębi serca niepokoi się o dalsze losy syna; marzy o tym, aby bogaty ożenek zatrzymał go w Warszawie i wybawił od niebezpiecznych przygód przy boku cesarza.

Niepokoje starościny będzińskiej są o tyle uzasadnione, że na ziemiach polskich znowu toczy się wojna. Dywizja Dąbrowskiego uczestniczy w oblężeniu Gdańska; w walkach pod Neidenburgiem, Rudą i Wałami okrywa się sławą korpus Zajaczka;

główne siły Wielkiej Armii, po trzymiesięcznym wypoczynku, szykują się do ostatecznej rozprawy z koalicją i do wyrzucenia

Rosjan za Niemen.

W miarę napływania do Warszawy wiadomości z placów boju, organizacja pułku gwardii nabiera coraz żywszego tempa. Chodzi o jak najszybsze sformowanie pierwszego szwadronu i wysłanie go do kwatery cesarskiej. Szwoleżerowie nie mogą przecież dopuścić do tego, aby losy Polski rozstrzygnęły się bez ich udziału.

W połowie czerwca reprezentacyjna czołówka w sile 125 koni,

119

pod dowództwem szefa szwadronu Tomasza Łubieńskiego, jest gotowa do wymarszu. Przed odjazdem na front odbywa się w stolicy publiczny pokaz sprawności szwoleżerskiej. Oddaje głos sprawozdawcy Gazety Korespondenta Warszawskiego, który w numerze z 16 czerwca 1807 roku szczegółowo tę uroczystość opisał.

„W niedzielę (14 czerwca) mieliśmy widowiska w tutejszej stolicy... napełniające żywą i rozczulającą radością serca nader mnogiego widza obojczy płci i wszelkiego stanu. Pierwsze wyprawił nam szwadron Gwardyi Polsko-Cesarskiej z pod dowództwa JWgo Wincentego Krasińskiego Pułkownika oneyże i członka Legii honorowej, złożony z pięknej młodzieży, prześlicznie po narodowemu ubraney i w dzielne konie opatrzoney. Zebrawszy się ten szwadron przy Koszarach dawniej Mirowskich ruszył w paradzie o 9 z rana i pociągnął prowadzony od swojego Pułkownika przez celniejszych ulice miasta na obszerny plac przed Koszarami Ujazdowskimi, a za nim postępowało mnóstwo pojazdów, tudzież różnych osób konno i pieszo tamże dążących dla przypatrzenia się konnym obrotom, iakie miał czynić. Gdy tam stanął rozpoczął też obroty, kierowane od swojego Pułkownika w obecności JO Xcia Dyrektora Woyny, JW Roźnieckiego Generała Inspektora jazdy Polskiej, JW Grabińskiego Generała Brygady i dowódcy legii Polsko-Włoskiej oraz oficerów tak francuskich jak bawarskich.

Ochota, przytomność, porządek i zręczność w czynieniu obrotów przez tych nowych wojowników w tak krótkim czasie utworzonych, a mających łącznie z dawną Gwardią Cesarską działać i chwałą się okryć, wszystkich patrzących w zadziwienie wprawiły. Po skończonych obrotach przeciągnął ten szwadron koło JO Xcia Dyrektora Woyny, czyniąc mu honory wojskowe, i udał się w tym samym jak przybył porządku do Koszar, dokąd go Xiążę ze swym sztabem i całym orszakiem wojskowych odprowadził. Tam uszykowawszy go Pułkownik jak do bitwy miał krótko rzec do niego o wdzięczności i wierności Wielkiemu Monarsze wskrzesicielowi naszej Ojczyzny tudzież o powinno-

120

ciach Polaka, na co żołnierze kilkakrotnymi okrzykami: niech żyje cesarz Napoleon!—odpowiedzieli. Dnia dzisiejszego (16 czerwca) wychodzi ten szwadron do Głównej Kwatery Cesarza..."

Sprawozdanie powyższe warto jeszcze uzupełnić drobnym, lecz nader charakterystycznym szczegółem, zanotowanym przez naocznego świadka uroczystości. Generał Załuski stwierdza w swych Wspomnieniach, że kiedy szwoleżerowie defilowali przed Poniatowskim, ów nie mógł się powstrzymać od ironicznego okrzyku: „Ach, jak mi to przypomina Kawalerię Narodową! To jest istna Kawaleria Narodowa!”—„Było w tem zdaniu i trochę urągania — pisze monograf pułku — książę nie miał dobrego wyobrażenia o naszej karności...” Kto pamięta, jak ostro zwalczali Poniatowscy Kawalerię Narodową w okresie Sejmu Czteroletniego, dopatrując się w tej formacji upostacowania wszystkich wad szlacheckiej Polski, ten zrozumie, ile gorzkiej niechęci musiało się kryć w pożegnalnej ocenie księcia-dyrektora.

Półszwadron (w terminologii szwoleżerskiej: „szwadronik bojowy”) Tomasza Łubieńskiego opuścił stolicę o dzień później niż zapowiadano: w środę, 17 czerwca, przed południem. Do głównej kwatery cesarskiej odprowadził go sam pułkownik Wincenty Krasiński.

Wymarsz odbył się w atmosferze podniosłej. Lud Warszawy zapomniał o niechęci do „pańskiego wojska” — i żegnał wyruszających na front płaczem i błogosławieństwami. Wierzano powszechnie, że szwoleżerowie zdążą jeszcze wziąć udział w końcowych zapasach zbrojnych, które miały zadecydować o przyszłości Polski. Pozostający w stolicy Koziętulski na pewno z całego serca zazdrościł odjeżdżającym kolegom.

Okazało się jednak, że nie miał czego zazdrościć. W momencie kiedy szwoleżerowie wyjeżdżali z Warszawy, wynik „wojny polskiej” był już rozstrzygnięty. Zakończyła ją 14 czerwca wielka bitwa pod Frydlandem (obecny Prawdińsk w okręgu kalininogradzkim), w której Polskę zaszczytnie reprezentowała dywizja

121

Dąbrowskiego. „Zwycięstwo Napoleona było świetne. Stracili sprzymierzeni 17.000 poległych i rannych; wzięto jeńców 20.000, dział 80. Królewiec z ogromnymi zapasami broni wpadł w ręce Francuzów. Odezwa cesarza porównywała Frydland z Marengo i Austerlitzem”.

Pierwsze wiadomości o rozgromieniu armii zaborczych dotarły do stolicy nazajutrz po odjeździe szwoleżerów i wywołały olbrzymią radość. Zwycięstwo frydlandzkie uczczono paradą wojskową, uroczystą mszą oraz bankietem na sto kilkadziesiąt osób, wydanym na Zamku przez ks. Józefa Poniatowskiego. Miasto było wieczorem obficie iluminowane. Tłumy warszawiaków podziwiała świetlisty transparent, wywieszony na jednym z oficjalnych gmachów: „Niech żyje Wielki Napoleon, przyjaciel swoich przyjaciół. Światła te nie zgasną, tak jak zwycięstwa jego nie ustaną, i głosić będą zawsze nieśmiertelne jego dzieła”. Z pewnością nie było wówczas w Warszawie człowieka, który by nie wierzył głęboko w prawdę tego napisu i nie wiązał z nim najpiękniejszych nadziei na przyszłość.

Wiadomości prasowe z następných dni zdawały się te nadzieje potwierdzać. Wkrótce po obchodach frydlandzkich Gazeta Korespondenta doniosła: „Dnia 24 czerwca o godzinie 10-ej z rana przybiegł kurierem JP Siemieński z gwardyi polskiej przy Najjaśniejszym Cesarzu służbę pełniącej, wysłany od Jego Cesarsko-Królewskiej Mości s pod Tylży z rozkazem doniesienia Rządowi polskiemu, że wojska Francuskie wyparłszy Moskalów za Niemem, przeszły tę rzekę 19 czerwca”.

Przez tydzień Warszawa szalała ze szczęścia. Z ufnością czekano na dalszych kurierów. Któż bardziej niż Polacy mógł liczyć na wdzięczność „Przyjaciela swoich przyjaciół”? Polacy na pierwsze żądanie Napoleona wystawili czterdziestotysięczne wojsko, Polacy przez miesiące ponosili koszty zaprowiantowania Wielkiej Armii, Polacy bili się dzielnie we wszystkich bitwach ostatniej kampanii... Wytrawni politycy z kaffenhauzów warszawskich z ołówkiem w ręku wyliczali fakty, z których wynikało niezbicie, że teraz, po rozgromieniu trzech zaborców, przywró-

122

cenie przez cesarza Królestwa Polskiego jest już tylko kwestia dni.

Ale w idealistycznych kalkulacjach warszawskich nie uwzględniono pewnej dość istotnej okoliczności: Napoleon ze swymi wojskami zapuścił się tak daleko na wschód nie dla przywrócenia Królestwa Polskiego, lecz po to, aby umocnić gmach swego Grand Empire i zabezpieczyć interesy handlowe burżuazji francuskiej. O smutnych konsekwencjach wynikających z tej okoliczności najwcześniej mieli się dowiedzieć polscy szwoleżerowie, przebywający w Głównej Kwaterze pod Tylżą.

25 czerwca 1807 roku – w pawilonie pontonowym na środku Niemna – doszło do „spotkania na szczycie” między zwycięskim Napoleonem a pokonanym Aleksandrem. Dwaj cesarze zajęli się wspólnie wykreślaniem nowej mapy Europy. Sceneria historycznego spotkania znana jest z obrazów malarza niemieckiego L. Wolfa, reprodukowanych we wszystkich albumach ikonografii napoleońskiej. Na drewnianym pomoście, pokrytym kosztownym kobiercem, stoją dwaj mocarze, objęci uściskiem tak czułym, jakby nigdy nie było między nimi trzyletniej wojny, stu tysięcy zabitych, rzezi iławskiej i pogromu Frydlandu. Z dwóch łodzi, przycumowanych do pomostu, braterskie pojednanie monarchów wspierają uśmiechami: w. książę Konstanty na czele generalicji rosyjskiej i Joachim Murat, W. książę Bergu i Kliwii w gronie marszałków Cesarstwa. „Spotkanie monarchów przebiegało w nader przyjemnej atmosferze” – entuzjasmowały się potem wszystkie gazety europejskie.

Podczas spotkania na Niemnie zapadły także postanowienia w sprawie Polski, zatwierdzone później traktatem pokojowym,

podpisanym w Tylży. Cesarz Zachodu i cesarz Wschodu w toku rokowań kokietowali się podobno jak para zakochanych, ale o sfery wpływów w Europie targowali się jak dwaj kupcy. Bez sentymentów zmieniali granice państw i burzyli nadzieje narodów. Polska sprawiała monarchom sporo kłopotu. Przerzucali ją sobie wzajemnie jak piłkę. Napoleon namawiał Alek-

123

sandra, aby się ogłosił królem polskim. Aleksander proponował Napoleonowi włączenie ziem polskich do nowego królestwa niemieckiego, które miano stworzyć dla Hieronima Bonapartego. Żadna z propozycji nie została przyjęta. Aleksander nie mógł się narażać dwóm pozostałym mocarstwom zaborczym restytuowaniem Królestwa Polskiego. Napoleon nie chciał się angażować na stałe w sprawy Europy wschodniej i wolał na królestwo dla brata położyć bliżej Francji Westfalię. W ostatecznym rezultacie targów tylżyckich zamiast Królestwa Polskiego powstał twór nieoczekiwany i kaleki – Księstwo Warszawskie, obejmujące ziemie byłego zaboru pruskiego, z których wycięto jeszcze dla Rosji obwód białostocki. Nowe państewko – liczące 104.000 km² powierzchni i 2.600.000 ludności – oddano „prawem własności i najwyższego zwierzchnictwa” wasalowi Francji – królowi saskiemu Fryderykowi Augustowi, nawiązując przynajmniej w tym punkcie – lecz jakże szyderczo – do postanowień ostatecznej konstytucji dawnej Rzeczypospolitej. < Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie musiały wywołać wypadki tylżyckie na szwoleżerach polskich, stacjonujących w bezpośrednim sąsiedztwie głównej kwatery. Dla Wincentego Krasieńskiego cios był podwójny. Bogate starostwo knyszyńskie, które kosztem tylu pracowitych zabiegów udało mu się wydrzeć skarbowi pruskiemu, przechodziło z Białostocczyzną we władanie cesarza rosyjskiego. Nawet tak żarliwemu „napoleonczykowi” jak Krasieński nie mogła tej straty wynagrodzić pociecha, że Napoleon zyskiwał w zamian wyspy na Morzu Śródziemnym czy przystąpienie cara do blokady kontynentalnej. Zdenerwowanie pułkownika szwoleżerów odbiło się na jego stosunkach z nie mniej przygnębionym szefem szwadronu, dawnym rywalem z Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny. Tomasz Łubieński pisał z Tylży do żony: „...Moja służba z każdym dniem staje mi się nieznośniej sza; nasamprzód z powodu zmian w sprawach publicznych, a powtóre ze względu na pułkownika, który każdego dnia składa dowody, że nie jest godzien zajmować tak wysokiego stanowiska, a nie umiając uzyskać dla siebie

124

uszanowania, traci zarazem cały szacunek, do jakiego my byśmy mogli przyjść tutaj...”

W Warszawie o zawarciu pokoju dowiedziano się dość wcześnie, ale brak było na ten temat dokładnych informacji. Zamiast nich krążyły paniczne plotki, przywożone przez kurierów cesarskich z Tylży. Gazeta Korespondenta z 14 lipca 1807 roku donosiła: „Officer Polski przysłany Kurierem z Kwatery Głównej do Komisji Rządzącej na dniu 1 lipca, pozwolewszy sobie Publiczność uwieść zmyślnymi wiadomościami, został za to aresz-

towanym".

Do spotęgowania ogólnego niepokoju przyczynił się jeszcze nagły wyjazd ze stolicy Komisji Rządzącej i księcia Józefa Poniatowskiego, którzy udali się do bawiącego w Dreźnie Napoleona, aby—jak stwierdzał komunikat pożegnalny —„złożyć u tronu jego winny hołd i odebrać z Jego zwycięskiej ręki przyszłe nasze przeznaczenia".

Kiedy w Warszawie dowiedziano się, jakie mają być te „przyszłe przeznaczenia", wybuchło oburzenie tak ogromne, że Dyrektorium Generalne, zastępujące nieobecny rząd, musiało wydać uspokajającą odezwę do ludności.

„Wzgardzajcie baśniami, rozsiewanymi bez żadnej podstawy przez naturalnych nieprzyjaciół wśród kraju naszego zagnieżdżonych — pisano w odezwie. — Zaufajcie wspaniałomyślności wielkiego bohatera. Los nasz jeszcze czas jakiś zakrytym być musi przed nami. Przewrotność niezgłębiona tego, który znacznej części świata panuje, nie każe nam rozpaczać. Posłuszeństwo do końca i spuszczenie się zupełne na jego łaskawość utwierdzić mogą szczęście nasze nadal; najmniejsze zaś szemranie, które by do uszu jego doszło, najmniejszy opór jego woli mogłyby obalić i zniszczyć wszelkie dotąd czynione usiłowania nasze. Mniej silni, jego tylko siłą znaczenie mieć możemy, jedynie wsparciem niezwykłego Napoleona byt nasz zupełny odzyskać zdołamy... Spuśćmy się zupełnie na niego, to jedyny środek, jaki nam pozostaje..."

Nieprzekonywająca i żałosna w tonie odezwa władz nie zdo-

125

łata uspokoić warszawiaków. W cztery dni później — 22 lipca 1807 roku —rezydent francuski w Warszawie, Vincent, donosił Talleyrandowi: „Umysły są ciągle w nastroju niezadowolenia zmieszanego z osłupieniem. Gdy traktat pokoju jest poznawany jedynie przez wprowadzenie go w życie, każdy dzień odkrywa jakiś szczegół, który odnawia boleść. Żywo odczuto utratę Białegostoku, biskupstwa warmijskiego, odstąpienie dolnej Wisły Prusakom... Niepewność losu kilku powiatów departamentu bydgoskiego jest powodem tyluż zmartwień dla Polaków. Oczekują z największą niecierpliwością wiadomości z Drezna, aby wiedzieć, jaki związek będzie między Saksonią a tym krajem..."

Ugoda tylżycka wywołała szczególnie silny ferment wśród warszawskich oficerów. Znalazło to odbicie w rezolucjach dyrektora policji, Aleksandra Potockiego, z 26 i 27 lipca: „Wielu z IchMP. oficerów polskich zapomniawszy, że wykonali przysięgę wierności Najjaśniejszemu Cesarzowi, poważają się po oberżach, biliarach i miejscach publicznych schadzek używać słów nieprzyzwoitych i wyrazów uwłaczających powinnego temuż monarsze uszanowania... Oficerowie gwardii narodowej zamiast co by mieli przykładać się do utrzymania porządku i winnego urzędnikom posłuszeństwa, mowami swemi i zakrywaniem tak od rekwizycjów, jako i innych rozkazów burzą

porządek i spokojność publiczna!"

Kozietulski z pewnością nie należał do oficerów, tak surowo napiętnowanych przez dyrektora policji. Szwoleżerowie byli w innej sytuacji niż mieszczańscy oficerowie z gwardii narodowej i nie mogli otwarcie jak oni wyrażać swego niezadowolenia. Wielka litera „N”, którą nosili na czapkach, nakładała na nich obowiązek szczególnej lojalności wobec cesarza. Francuscy gros-majorzy ze swej strony robili wszystko, aby tę lojalność podtrzymać i umocnić. Tłumaczyli cierpliwie polskim kolegom, że traktat tylżycki jest tylko manewrem dyplomatycznym przed ostatecznym załatwieniem sprawy Polski. Opowiadali im cuda o wspaniałych koszarach księcia Kondeusza w Chantilly, które

126

cesarz przeznaczył na siedzibę polskiego pułku gwardii, i o rozkosznym życiu, jakie ich czeka w Paryżu.

Ale lipiec i sierpień nie były już dla Jana Leona Hipolita tak beztrudne jak maj i czerwiec. Rozżalona na cesarza Warszawa zmieniła też stosunek do cesarskich szwoleżerów. Ich piękne mundury przestały wzbudzać zachwyty na ulicach i w lokalach publicznych. Dawnym Przyjaciołom Ojczyzny zaczęto zarzucać brak patriotyzmu i „zaprzeczenie się Napoleonowi”. Spotykały ich afronty ze strony mniej dystygowanych kolegów z innych jednostek. Coraz częściej i coraz złośliwiej nazywano ich „pańskim wojskiem”.

„Romanse” Kozietulskiego również uległy zakłóceniu. Nie wyjaśniona sytuacja polityczna oraz wieści o wizycie króla pruskiego w głównej kwaterze Francuzów wywołały panikę wśród płochliwej arystokracji. Rozpoczął się istny exodus ze stolicy – w strony bardziej bezpieczne. Hrabina Sewerynowa Potocka wyjechała z córkami do Puław pod opiekuńcze skrzydła Czartoryskich, bogata pani Nowakowska – do swoich dóbr w Galicji.

20 lipca powrócił do Warszawy pułkownik Wincenty Krasiński z wiadomością, że półszwadron Łubieńskiego – zgodnie z rozkazem dowódcy jazdy gwardii, marszałka Bessieresa – wymaszerował przed tygodniem z Królestwa do Berlina, aby stamtąd udać się w dalszą drogę do Francji. Dwa następne oddziały pułku miały wkrótce podążyć w ślad za pierwszym. Wymagało to znacznego przyspieszenia prac organizacyjnych. Skończyły się szwoleżerskie obiady u Rozengarta i kawy u Lessia. Koszary Mirowskie ogarnęła przedwyjazdowa gorączka. Dostawcy Kozietulskiego: handlarz koni Abrahamek i garbaty futrzarz Łachman z placu Saskiego dokładali starań, aby „upłynąć” do końca fundusze kapituły łowickiej. Starsza pani Kozietulska przeżywała ciężkie dni. Pomimo zawarcia traktatu pokojowego wcale nie była spokojniejsza o los jedynaka. Po zniknięciu z Warszawy „pięknych” (tak nazywała w listach kandydatki na synowe) nic już nie mogło uchronić Jasia przed niebezpiecznymi przygodami w obcych krajach.

127

15 sierpnia 1807 roku – podczas obchodu imienin Napoleona w Warszawie – Koziętulski po raz pierwszy wystąpił publicznie na czele swego oddziału. Jechał bezpośrednio za sześciokonną karocą, wiozącą do kościoła prezesa Małachowskiego i innych członków rządu. Imieniny obchodzono bardzo uroczyście i wygłoszono wiele przemówień, sławiących nieobecnego solenizanta. Dodatkową atrakcją zgotował publiczności warszawskiej księgarz Buerger, zamieszczając w Gazecie Korespondenta następujące ogłoszenie: „Wszystkim uwielbicielom Cesarza i Króla Imci Napoleona Wielkiego i Publiczności tutejszej przyjemną zapewne niżey podpisany uczyni wiadomość, że naypodobniejszy dotąd wydany wizerunek wspomnianego Monarchy w kolorach znayduje się u niego po złotych 4 sztuka”.

Wątpię jednak, czy ta impreza panu Buergerowi się opłacała. Na początku jesieni ilość warszawskich „uwielbicieli” Napoleona uległa dalszemu zmniejszeniu. Do zmartwień politycznych doszły jeszcze kłopoty materialne. Rosnący kryzys ekonomiczny dawał się Polakom we znaki. Drugą klęską były przemarsze wojsk wyzwolńczych. Wracający z wojny VI korpus marszałka Ney’a przeszedł przez stolicę i kraj jak huragan. „Mordy, gwałty, łupienie domów znaczyły jego przejście. Zabierano konie, chwytano bydło po wsiach, niszczone zboże dojrzałe przed samymi żniwami”. Francuski poseł Vincent 10 sierpnia 1807 roku meldował swoim zwierzchnikom: „Nadużycia wszelkiego rodzaju wypełniane przez VI korpus wyrządziły niezmierną szkodę w opinii publicznej stronnikom francuskim. Polacy mówią otwarcie, że po poświęceniu ich w traktacie pokojowym do dopełnienia ich nieszczęścia nie brakowało jak zniszczenia przez te właśnie wojska, które przyszły im pomagać. Prawdę mówiąc, zachowanie się wojsk składających korpus VI było takie, jak żołnierzy, którzy wchodzą do twierdzy wziętej szturmem”.

Nie lepiej poczynali sobie żołnierze innych korpusów francuskich. Gazeta Korespondenta pod datą 11 września donosiła z Poznania: „Wczoraj po południu rozstrzelano tu na placu musztry żołnierza Francuskiego z korpusu marszałka Soult 23.

128

zabójstwo, które na jednym z mieszkańców tutejszych popełnił...”

W tej samej korespondencji z Poznania druga wiadomość – jakby dla kontrastu: „Wczoraj przed południem przyciągnął tu z Warszawy oddział Regimentu Lekkokonnego Gwardii Cesarско-Polskiej i ruszy jutro stąd przez Drezno do Paryża” (był to oddział wysłany dla uzupełnienia szwadronu Łubieńskiego, dowodził nim porucznik Stanisław Gorayski – M.B.).

Trzeci oddział pułku – w sile 137 szwoleżerów, pod dowództwem szefa szwadronu Koziętulskiego – opuścił stolicę 18 września 1807 roku. Wiadomość o tym zamieszczono w Gazecie Korespondenta z 19 września. I znowu: symboliczny, do głębi

poruszający zbieg faktów. Obok komunikatu o wymarszu szwoleżerów – obszerne sprawozdanie z wydarzenia, które miało miejsce dwa dni wcześniej:

„W środę (16 września) mieliśmy tu nader tkliwy, a zarazem przyjemny widok. Stu przeszło Weteranów Polskich z pięciu officerami (bo szósty pozostał w lazarecie Drezdeńskim z, kilkunastu żołnierzami) przybyło z Włoch do tutejszej stolicy... Są to wojownicy albo obciążeni laty, albo kalecy lub chlubnemi okryci bliznami. Weszli oni do tutejszej stolicy przy odgłosie bębna niesionego przez podeszłego w latach dobosza, w zupełnym porządku wojskowym pod sprawą swojego dowódcy kapita Mieczysławskiego i przyciągnęli w paradzie przed Pałac Rządowy, gdzie w ten czas była sesja Komisji Rządzącej, a za niemi żony i dziatki niektórych na wozach. Gdy stanęli w szyku przed bramą, wyszedł przed pałac JW. Wybicki członek Komisji Rządzącej, który w imieniu jej odebrawszy honory wojskowe od nich, powitał kapitana ich równie jak wielu z nich dotkniętego chlubnym kalectwem. Poczym udali się na kwatery do Starego Miasta, gdzie mile byli przyjęci od gospodarzów, a od wielu osób uprzejmie częstowani *”.

•Marsz do Warszawy „Korpusu Inwalidów i Weteranów” był piękną demonstracją patriotyzmu i wysokiej etyki żołnierza legionowego. W wielu powiatach wspierano ich składkami publicznymi, ale kapitan Mieczysławski pieniądze zwracał, dołączając do nich od

9 – Koziętulski t. I

129

Przypuszczam, że oboje Koziętulscy byli świadkami „tkliwej” uroczystości. Młody szwoleżer – bujający już myślami w dalekich krajach – oglądał ją zapewne chłodnym okiem widza. Natomiast starościna będzińska – stroskana zbliżającym się wyjazdem syna – musiała głęboko przeżyć tragiczną symbolikę tego widowiska.

Żałosna defilada pierwszych ofiar wojen napoleońskich wpłynęła także w jakiś sposób na atmosferę pożegnania szwoleżerów. „Pańskim” gwardzistom w chwili odjazdu przywrócono całą życzliwość. Odprowadzały ich nieprzebrane tłumy – i wszyscy płakali. Odjeżdżający również byli bardzo wzruszeni. „Nadrabialiśmy minami, rezonem – wyznawał później jeden z lekkokonnnych – ale pomimo woli łyż z oczu kapały, widząc wszystkich płaczących...”

Tak więc już po raz czwarty w ciągu roku Jan Leon Hipolit Koziętulski, konno i zbrojne, wyrusza z Warszawy na podbój Wielkiej Przygody. Zapłakana starościna będzińska powiewa z powozu mokrą chustką. Błyszcza w słońcu obnażone szable. Biało ubrani trębacze podnoszą do ust srebrzyste fanfary. Stu trzydziestu siedmiu szwoleżerów podejmuje Marsz pułku gwardii, ułożony niedawno przez porucznika Józefa Załuskiego:

Zajasnial dzień pożądany

znak marszu trąba wydała
Niech żyje cesarz kochany
Niech go wielbi ziemia cała.

Wodzu od wszystkich kochany!
Co idziesz przodków swych siadem
Tyś nam od zbawcy nadany
Za twoim pójdzim przykładem...

siebie symboliczne 3 talary, na rzecz miejscowych chłopów, pobitych i
poszkodowanych
przez „rozwiązłych” żołnierzy VI Korpusu.

130

Przejeżdżając przez rogatki warszawskie, Jan Leon Hipolit przekracza jednocześnie linię podziału tej opowieści, kończy się długi, zawikłany prolog historyczny, w którym odgrywał rolę tak nieznaczną. Odtąd on sam i jego koledzy pułkowi będą bohaterami pierwszoplanowymi. Rozpoczynają się pełne chwały i przygód lata szwoleżerskie.

W HISZPANII

>ózną jesienią 1807 roku uwaga całego świata skupiła się na Półwyspie Iberyjskim. Sprawili to wydarzenia wiążące się bezpośrednio z berlińskim dekretem o blokadzie kontynentalnej.

Po zawarciu pokoju w Tylży antybrytyjska blokada gospodarcza objęła cały kontynent europejski, z wyjątkiem wybrzeża portugalskiego. Ponieważ Portugalia nie chciała i nie mogła zamknąć swych portów przed sprzymierzeńcami angielskimi, Napoleon postanowił zmusić ją do tego siłą i wszczął przygotowania do nowej wojny. Dla poskromienia opornego kraju kupców i żeglarzy wystawiono potężną armię ekspedycyjną pod dowództwem generała Junota (niegdyś najbliższego kolegi i współpracownika Józefa Sułkowskiego). Armia ta miała przejść przez Hiszpanię i zaatakować Portugalię od strony lądu.

Sprzymierzony z Francją rząd hiszpański próbował początkowo sprzeciwić się przemarszowi wojsk francuskich przez swoje terytorium, lecz opór ten szybko przewyciężono obietnicą

udziału w zdobyczach portugalskich. 27 października 1807 roku – w wyniku porozumienia, zawartego w Fontainebleau pod Paryżem – profrancuski premier rządu madryckiego i wszechwładny faworyt królowej hiszpańskiej Marii Luizy, Manuel Godoy, wyraził oficjalnie zgodę na przystąpienie Hiszpanii do wojny przeciwko Portugalii.

Porozumienie w Fontainebleau okazało się w skutkach fatalne dla obu stron. Hiszpańscy Burbonowie w kilka miesięcy później

135

zapłacili za ustępstwo swego premiera utratą tronu, Napoleon wplątał się na długie lata w „brudną” i niekorzystną dla siebie wojnę w Hiszpanii.

Wśród pierwszych ofiar niefortunnego układu francusko-hiszpańskiego znalazły się także dwie panie polskie, wspomniane już w tej opowieści. Pani Marianna Koziętulska z Kompiny pod Łowiczem uzyskała nowe, tym razem całkowicie realne, powody do niepokojów o swojego jedynaka, pani Tomaszowa Łubieńska z Warszawy musiała zrezygnować ze spędzenia najbliższej zimy z mężem w Paryżu, jak to zaplanowali sobie małżonkowie przed wymarszem z Polski pierwszego oddziału szwoleżerów.

W czasie kiedy hiszpański premier otwierał przed Napoleonem granice swojej ojczyzny, półszwadrony szwoleżerów polskich wędrowały marszem podróжным przez kraje niemieckie zdążając do punktu zbornego pułku we francuskim miasteczku Chantilly.

Przemarsz szwoleżerów przez terytoria nowych sprzymierzeńców cesarza odbywał się na ogół w spokoju i w dobrej atmosferze. W większości krajów niemieckich, okupowanych przez wojska francuskie, gwardzistów Napoleona traktowano ze szczerą bądź udawaną życzliwością. We Wrocławiu i w innych miastach śląskich podejmowano ich uroczystymi obiadami i balami, w Dreźnie, stolicy nowego państwa sasko-polskiego, zgotowano im powitanie wręcz entuzjastyczne. Poczciwi Sasi, upojeni karierą swego nowego królestwa, z niekłamana sympatią odnosili się do „młodszych braci” z Księstwa Warszawskiego i z dumą pokazywali im posąg Augusta II, „oswobodziciela Kamieńca Podolskiego”. Polacy odwzajemniali tę serdeczność – i jeszcze po latach świadczyli w pamiętnikach, że „świeże pamiątki kro-

łów polskich w Saksonii, a cuda dziejące się w ówczesnej polityce nie czyniły wstrętnym wiekowego braterstwa Wisły, Odry i Elby”.

Gorzej działo się w miejscowościach, gdzie przebywały liczne zgrupowania uchodźców z dawnego zaboru pruskiego. Wy-

136

pędzeni z Polski Prusacy nie kryli nienawiści do strojnych i buńczucznych szwoleżerów. Gdzieniedzie dochodziło nawet do burz-

liwych incydentów. Józef Załuski podaje w swoich Wspomnieniach, że „oddział Koziętulskiego był w Berlinie insultowany, z czego się wszczęła bójka tamecznych mieszczan z naszymi szwoleżerami”. Pamiętnikarz nie przytacza bliższych szczegółów zajścia, ogranicza się tylko do stwierdzenia, że awantura ta stała się „dla niektórych z Prusaków bez wątpienia długo i boleśnie pamiętna”. Do podobnego tumultu z innym oddziałem szwoleżerów doszło we Frankfurcie nad Menem. Tam przelewowi krwi zapobiegła dopiero żandarmeria francuska. Pewne informacje o marszu szwoleżerów przez Niemcy, a następnie przez Francję odnaleźć można w listach Tomasza Łubieńskiego. Szef pierwszego szwadronu przez cały czas podróży systematycznie wymieniał korespondencję z pozostawioną w Warszawie małżonką. Piękna pani Konstancja – osoba inteligentna i dobrze poinformowana – często donosiła mężowi o rzeczach bardzo go irytujących, a więc o bałaganie panującym w koszarach Mirowskich po jego odjeździe, o złym wyposażeniu wysyłanych z Warszawy uzupełnień szwoleżerskich, o różnych lekkomyślnych postępkach pułkownika Krasińskiego, który „chce wszystko robić sam i ma sobie za nic rady francuskich gros-majorów”. Dlatego też w listach Łubieńskiego najwięcej miejsca zajmują wyrzekania na dawnego rywala z Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny, ale jest tam także sporo wiadomości o samej podróży.

„WermUtz, 18 sierpnia 1807

...O czwartej wychodzą konie słabe, o piątej cały szwadron. Maszerujemy zwykle do drugiej po południu. Ledwo staniemy na popasie, rzucam się na jakieś jedzenie, obchodzę stajnie, czy konie nakarmione, i kładę się spać zmęczony upałem i fatygą. O szóstej trąbią na apel, przy mnie konie czyszczą, robię inspekcję, to trwa do ósmej. Potem trzeba jeść i spać, ażeby na drugi dzień to samo rozpocząć. Dodaj do tego, że cały dzień muszę się gniewać i łajać...”

137

„3 września 1807

... W wolnych chwilach czytam Rhuliera i Corinne (słynny romans Pani de Stael), ta ostatnia nie daje mi sypiać po nocach...”

„Ilten, 19 września 1807

...Wysyłam rozkazy dla drugiej połowy mego szwadronu, który wyszedł z Warszawy podług rozkazu pułkownika Krasińskiego. Kiedy myślę, że 125 ludzi przyjdzie tu w łachmanach i największym nieporządku, aż serce mnie boli. Gdybym nie znał charakteru lekkomyślnego i bezmyślnego pułkownika, mógłbym go posadzać, że w chęci dokuczenia mi to uczynił. I zaraz bym mu to dał do poznania. Ale nie chcę złamać obietnicy danej Ci, o której zawsze pamiętam... Tłumaczę na język polski cały regulamin wojskowy francuski, co mnie ogromnie wiele pracy kosztuje, a w wolnych chwilach grywam w szachy...”

„Ilten, 20 września 1807

...Właśnie wyczytałem w gazetach, że połowa mego szwadronu przeszła przez Poznań 10-go tego miesiąca, najdalej tedy za cztery tygodnie będzie tutaj..."

„Frankfurt, 7 listopada 1807

...Jeżeli Pułkownik nie zmieni swego sposobu postępowania i nie będzie się zdawał na gros-majorów, jeżeli nieporządek, który teraz panuje w Warszawie w pułku, ma dalej trwać w Paryżu, służbę opuszczam i wracam do domu na hreczkosieja..."

W dziesięć dni po wysłaniu tego listu Tomasz Łubieński nie myślał już o warszawskim bałaganie i o swym lekkomyślnym zwierzchniku. Miał nowe, poważniejsze zmartwienie. Dosięgły go pierwsze skutki porozumienia w Fontainebleau. Po dojściu do miasta Chantilly – przewidzianego w Warszawie na punkt zborny i stały garnizon pułku – szwoleżerowie otrzymali rozkaz dalszego marszu w kierunku południowo-zachodnim.

„Chalons sur Mame, 16 listopada 1807 roku

...Wystaw sobie moją rozpacz, prawie u wrót Paryża dostaję rozkaz maszerowania do Bordeaux i w ten sposób do oddalenia się od jedyne go mego szczęścia (aluzja do planowanego spotkania rodzinnego w Paryżu—M.B.). Idziemy przez Orlean,

138

Tours, Poitiers, Angouleme do Bordeaux. Teraz maszerujemy razem z grenadierami konnymi gwardii. Mamy stanąć w Bordeaux 11 grudnia..."

Nowe rozkazy musiały wywołać nie lada zamieszanie w pierwszym oddziale szwoleżerskim – zwłaszcza wśród oficerów. Rozwiał się widoki na rauty i bale w cesarskich Tuileryach, na beztrudne życie dworskie, na czarowanie dam francuskich srebrem i amarantem paradnych mundurów. Nie rozumiano jeszcze dokładnie, o co chodzi, ale kierunek nowej marszruty, w zestawieniu z wiadomościami prasowymi o wkroczeniu generała Junota do Portugalii, nie wróżył niczego dobrego.

Następne oddziały szwoleżerskie poszły w ślad za pierwszym. W Chantilly – historycznej rezydencji książąt de Conde-Bourbon, o której takie cuda opowiadali gros-majorzy w Warszawie – zatrzymywano się tylko na kilkudniowe popasy, aby dać odpocząć zmęczonym koniom i poprawić oporządzenie żołnierzy. Szeregowi szwoleżerowie w chwilach wolnych od zajęć. podziwiali stajnie wielkiego Kondeusza, „jakich może podobnej wspaniałości w całym świecie nie ma”, i dowiadawali się z satysfakcją, że ów wielki Kondeusz o mało nie został kiedyś królem polskim; oficerowie, korzystając z przepustek, wydawanych przez gospodarującego w Chantilly podpułkownika Delaitre'a, wypuszczali się konno na zwiedzanie osobliwości Paryża. Szczególnym powodzeniem cieszyły się u nich przedstawienia w Theatre Francais. Dawano tam wtedy „tragedię, dziejącą się w Polsce”, pisarza Rotrouxpt. Waclaw, w której sławny aktor Talma występował w kontuszu, „za staraniem dam polskich najdok-

ładniej zachowanym".

Jeden z oddziałków polskich miał szczęście zatrzymać się na krótki postój w samej stolicy – i przeżył tam przygodę niezwykłą. „W Paryżu postawiono nas nad Sekwaną w starym mieście. Tam żołnierze chędożąc konie, a my dozorcując, obaczyliśmy nieznanego przechodzącego i z wielką pilnością nam się przypatrującego. Wtem starsi poznają w nim Kościuszkę.

139

Gdyśmy go powitać chcieli, rzucił się w uboczną ulicę i znikł nam z oczów".

Drogę z Paryża do Bordeaux półszwadrony szwoleżerskie odbywały we wspólnych kolumnach marszowych z francuskimi oddziałami gwardii. Tomasz Łubieński wspomina o tym tylko mimochodem, natomiast główny kronikarz pułku, por. Józef Załuski, dokładnie wyjaśnia charakter i cel tego przemieszania. „...Pod Wersalem połączyły się różne oddziały konnej gwardii:

żandarmów, grenadyerów, dragonów i strzelców z naszym szwadronem i tym sposobem złożył się pułk pochodowy (regiment de marche) z kilkuset koni, którego dowództwo objął podpułkownik żandarmeryi wyborowej, a to tak dalece, że adiutant-major, oficer-płatnik, jednym słowem sztab tego marszowego pułku składał się z samych oficerów żandarmeryi. Zdawało się, że ten rodzaj komendy miał na celu wybadać, jak też młodzież polska z tyłu różnorodnych rządów pochodząca jest usposobiona. Ale gdy się szanowny nasz dowódca, z pod naczelnictwa generała Savary * naznaczony, przekonał, żeśmy byli fanatycznymi napoleonistami, nierównie więcej od Francuzów, zaniechał z nami pogadank wyrozumiewających..."

W Bordeaux w południowo-zachodniej Francji nastąpiło połączenie trzech oddziałów pułku, które wyszły z Warszawy w czasie od czerwca do końca września. Po półrocznej rozłące znowu spotkali się dwaj starzy koledzy z Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny i z Warszawskiej Gwardii Honorowej: szef szwadronu pierwszego Tomasz Łubieński i szef szwadronu drugiego Jan Leon Hipolit Koziętulski. We wzruszającym spotkaniu, suto oblewanym winem bordoskim, uczestniczyło także kilku młodszych oficerów pułku, znanych dobrze czytelnikom powieści historycznych Gąsiorowskiego: kapitan Paweł Jerzmanowski, porucznicy Stanisław Gorayski i Seweryn Fredro (starszy brat wielkiego Aleksandra) oraz podporucznik Ksawery Prażmowski. Jako ostatni nadciągnął do Bordeaux porucznik Łukasz

* Szef tajnego wywiadu francuskiego, później minister policji. Obdarzony przez Napoleona tytułem księcia Royigo.

140

Wybicki, którego pozostawiono w Chantilly z transportem chorych żołnierzy i odparzonych koni.

Dowództwo nad połączonym oddziałem w sile przeszło 300 koni objął prawem starszeństwa szef pierwszego szwadronu, Łubieński, gdyż żadnego z pułkowników w Bordeaux jeszcze nie było. Krasiński dojeżdżał w tym czasie dopiero do Paryża, Delaitre pozostał na razie w Chantilly jako tymczasowy kwatermistrz pułku, a sumiastowasy Dautancourt trzymał się nadal w Warszawie przy formowaniu następnych szwadronów szwoleżerskich.

Z miesięcznego bez mała pobytu Polaków w Bordeaux udało mi się odnaleźć w pamiątkach zaledwie dwa epizody, niewielkiej wprawdzie wagi, lecz dość charakterystyczne i zasługujące na przytoczenie.

W mieście sławnym z win i pięknych zmysłowych kobiet młodzi żołnierze zetknęli się po raz pierwszy z przejawami swobodnej obyczajowości południowców. Jeden z kronikarzy pisze o tym z nie ukrywanym zgorszeniem: „Nie przynosi to zaszczytu miejscowej policji, że na spotkanie wojska wyszły całe gromady chłopaków i dziewcząt, wymieniających nazwiska i adresy uprzejmych piękności, wysławiających wprawnym językiem wdzięki swoich pań i sprzedających najohydniejsze obrazki. Być może, iż ciągle przemarsze wojsk spowodowały pewne rozluźnienie obyczajów, ale nigdy nigdzie nie zdarzyło mi się spotkać nic podobnego”.

Drugie świadectwo pamiątkarskie dotyczy dla odmiany spraw intelektualnych. Podczas zwiedzania miasta gościom polskim zwrócono uwagę na „dom z wieżyczką”, należący niegdyś do sławnego pisarza francuskiego z XVI wieku – Montaigne'a. Miejscowy przewodnik, chcąc życzliwie nastroić cudzoziemskich oficerów do twórczości swego wielkiego ziomka, przytoczył jego słowa, iż „nie ma na świecie przyjemnego zajęcia, z wyjątkiem zawodu żołnierskiego”. Ale sformułowanie autora Prób nie trafiło widać do przekonania zmęczonym i niespokojnym o dalsze swe losy Polakom. Pamiątkarz, przytaczający ów epizod,

M1

kończy go cierpką uwagą: „Ten aforyzm jest dowodem, że Montaigne nigdy nie służył wojskowo”.

, , W ostatnich dniach pobytu w Bordeaux Jan Leon Hipolit Koziński otrzymał paczkę od matki, wysłaną pod adresem j. Koszar w Chantilly. Przywiózł ją stamtąd komendant transportu chorych, por. Łukasz Wybicki. Starościna będzińska przekazywała synowi „szal żółty, jakiś chciał mieć”, dwie butelki esencji ponczowej oraz list pełen macierzyńskich rad i napomnień.

„Mój kochany Jasiu nadto ja mam wiele ufności w Twoim sercu, iż to żadnymi przykładami nie potrafi być nigdy odmienione i że w tej czułości, którą winien jeździe nawzajem, znajdować będziesz zawsze Twoje szczęście... Co do Twego postępowania, bądź zawsze we wszystkim najostrożniejszy; staraj się pracować nad sobą nieustannie, żebyś Twoje prędkości jeżeli nie zupełnie odmienił, to przynajmniej jak najwięcej zmniejszył;

reflektuj nad każdym więc krokiem nim ten zrobisz... W używaniu trunków bądź jak najskrupulatniejszy, te potrzeba zostawić późniejszemu czasowi... a jeszcze będąc na takim miejscu, gdzie tyle zazdrosnych oczów mieć na sobie będziesz zawsze obróconych... z każdego Twego uchybienia umianoby zapewne profilować. Służyć Napoleonowi w jego jeszcze gwardyi, zapewne nie może być kariera życia podchlibniejsza, potrzeba tylko, żeby każdy krok Twego postępowania czynił Cię godnym Twego miejsca. Pamiętaj zawsze, że do jego uszu dochodzą i najmniejsze detale, a że drugiej takiej policji nie masz pod słońcem, że ledwie tego nie wiedzą co kto myśli, więc najmniej-sza Twoja choroba czyli jakiś zrobiony dług, to zaraz mogłoby być wiadome, choć to nie byłyby wielkie występki, ale jakbym pragnęła, żebyś już był widziany za człowieka reflektującego i mającego we wszystkim pewny takt. Co do Twoich wydatków, bez żadnego ambarasu potrzeba zawsze umieć powiedzieć, że nie jesteś bogaty". *

Rozkosznie współczesny jest ten list polskiej matrony sprzed

* Listy pani Koziętulskiej pisane były w oryginale po polsku, listy Łubieńskiego i J.L.H.

Koziętulskiego – po francusku. Stąd rzucające się w oczy różnice w stylu i pisowni.

143

stu kilkudziesięciu lat. W ciągu wieków zmieniają się losy narodów, systemy polityczne, pojęcia i obyczaje, ale listy matek do synów odbywających dalekie niebezpieczne podróże są zawsze takie same. Ileż w tym liście miłości, mądrych rad i niezawodnego instynktu macierzyńskiego! Czytając słowa pisane w zapadłej wsi pod Łowiczem, odnosi się wrażenie, że starościna będzinańska przez cały czas towarzyszyła synowi w jego trziesięciodniowej podróży przez Niemcy i Francję; że była obecna przy awanturze z mieszczanami berlińskimi, w której „prędkości” kochanego Jasia musiały odegrać rolę niepoślednią; że orientowała się znakomicie w mocy trunków francuskiego południa i w natręctwie tamtejszych kobiet; że wiedziała nawet o czujnej asyście żandarmerii cesarskiej.j

Nie wiadomo, czy i w jakim stopniu Jan Leon Hipolit skorzystał z mądrych wskazówek matki, ale załączona do listu przesyłka z pewnością swe zadanie spełniła. Dwie butelki esencji ponczowej posłużyły prawdopodobnie do opicia „strzemienne-go” przed wymarszem oddziału z Bordeaux, żółty szal, utkany z wełny kompińskich owiec, miał się przydać młodemu szefowi szwadronu w parę tygodni później jako ochrona przed „gorączką kataralną” w czasie chłodnych i wietrznych nocy pirenejskich. Nowe zarządzenia marszowe, które dotarły do Łubieńskiego i Koziętulskiego w pierwszych dniach stycznia 1808 roku, nie pozostawiały już żadnych wątpliwości co do ostatecznego celu wyprawy. Z Bordeaux lekkokonnymi polskimi skierowano do Bajonny nad Zatoką Biskajską, miasta położonego tuż przy granicy hiszpańskiej.

Bajonna wywiała im z głów ostatnie myśli o balach i parad-

nych mundurach. Widok podpirenejskiego kąpieliska, zamienionego w wypadową bazę wojenną, uprzytomnił szwoleżerom powagę sytuacji. Wprawdzie gazety donosiły, że generał Junot zajął już całą Portugalię i wyparł z niej skutecznie Anglików, ale to, co widziano i słyszano w Bajonnie, przemawiało raczej za tym, że prawdziwa wojna ma się dopiero zacząć. Miasto i okolice, zapchane żołnierstwem, sprawiały wrażenie jednego

143

wielkiego obozu wojskowego. W pobliskim Marrac przygotowano pomieszczenia dla głównej kwatery cesarskiej, której przyjazd zapowiedziany był na wiosnę. Korpus francuski generała Dupontajuż od listopada przebywał na terenie Hiszpanii, trzy inne korpusy: Monceya, Duhesme'a i Bessieresa zaczynały właśnie przekraczać granice sprzymierzonego królestwa. Towarzyszący szwoleżerom oficerowie żandarmerii tłumaczyli, uśmiechając się tajemniczo, że wszystko to jest konieczne dla „wsparcia i zabezpieczenia” armii ekspedycyjnej operującej w Portugalii.

1 Szwadrony Łubieńskiego i Koziatulskiego otrzymały w Bajonnie nowy przydział służbowy: włączono je do gwardii przybocznej dawnego namiestnika napoleońskiego w Warszawie, marszałka Joachima Murata, który również wybierał się z „sojuszniczą wizytą” do Hiszpanii. Z króciutkiego pobytu w podpirenejskim mieście Polacy wynieśli jedno niezapomniane wrażenie:

po raz pierwszy w życiu zobaczyli Ocean Atlantycki. Porucznik Józef Załuski, który przejeżdżał przez Bajonnę nieco później z drugą częścią szwadronu Koziatulskiego, tak opisuje obrzęd szwoleżerskich zaślubin z Atlantykiem:

„...Zdarzyło się, iż gdy byłem na służbie w szwadronie, konie nasze potrzebowały przejażdżki; poprowadziłem je poza Bajonnę nad Ocean, gdzie brzeg piaszczysty i płaski, a morze płytkie, jak nasze morze żmudzkie między Połogą a Swiętą. Przypominając naszej młodzieży, jak to Stefan Czarniecki płąwił konie polskie w Bałtyku, wprowadziłem ich do Oceanu, żeby pamiętali i rodzinom swoim przekazali, że i my polskie konie pławiliśmy w Oceanie...”

Gwardia wielkiego księcia Bergu i Kliwii wymaszerowała z Bajonny w połowie lutego 1808 roku. W kilka godzin po opuszczeniu miasta polscy lekkokonni przeszli Wpław graniczną rzeczkę Bidassoa i znaleźli się w państwie „katolickiego króla”, znanym im dotychczas jedynie ze średniowiecznych ballad i rapsodów rycerskich.

Znajomość starej literatury rycerskiej, wyniesiona z pijarskich

144

szkół, przydała się Polakom już w pierwszym marszu na ziemi hiszpańskiej, kiedy przechodzili przez pirenejski wąwóz Roncesyalles (Roncevaux), upamiętniony walką i śmiercią Rolanda, sławnego rycerza z drużyny Karola Wielkiego. Propaganda na-

poleońska tak często nawiązywała do tradycji średniowiecznego „cesarza Zachodu”, że postać jego bohaterskiego gwardzisty musiała być szwoleżerom szczególnie bliska. A ponieważ nie mogli przewidzieć, że za dziesięć miesięcy rozegra się szarża somosierska, mieli prawo uważać Roncesyalles za najślawniejszy z wawozów Hiszpanii. Wypytywali więc w przejeździe okoliczną ludność o zdarzenia opisane w Pieśni o Rolandzie. Ale nie dało to rezultatu. Polski kronikarz kończy swoją relację dumnym stwierdzeniem: „Hiszpanie wiedzieli o Rolandzie mniej, niż ja dowiedziałem się w szkole”.

Miesięczny pochód wojsk Murata do Madrytu nie miał jeszcze charakteru działań wojennych, ale odbywał się w ciężkich warunkach i w nieprzyjemnej atmosferze. Ludność północnych i prowincji Hiszpanii – zmobilizowana zawczasu przez fanatycznych księży przeciwko „francuskiemu bezbożnictwu” – ustosunkowała się wrogo do rzekomych sprzymierzeńców. Ubóstwo górskich okolic i niechęć mieszkańców sprawiły, że wojska francuskie od pierwszej chwili znalazły się w trudnej sytuacji aprowizacyjnej. Niedogodności romantycznego kraju odczuli szwoleżerowie zaraz po przekroczeniu granicy.

„Przymaszerowałem do Irunu pod wieczór – notuje idący krok w krok za oddziałem Łubieńskiego i Koziętulskiego Józef Załuski. – Z wielu domów odzywał się brzęk gitar. Nie znając Hiszpanii tylko z romansów o Gonzalwach, Abencerragach i Rolandach, dziwnie byłem wzruszony tą tak nagłą odmianą powierzchowności narodowej i romantycznie uniesiony... Ale wkrótce to wrażenie poetyczne innemu miejsca ustąpiło, gdy ani dla ludzi, ani dla koni żadnej nie było wygody... Znużonemu kilkumilowym marszem konnym, okazało się jawnie, że brzęk gitar, a nawet śpiew ciekawy bardzo... nie mógł zastąpić wieczery, jaką byłbym dostał w każdym miasteczku francuskim...”

10 - Koziętulski t. I

145

W miarę zapuszczania się wojsk w głąb kraju trudności stawały się coraz większe. Sytuacja zaczynała się układać podobnie, jak przed rokiem na Mazurach. Zagrożony głodem, korpus „sojusznicy” starał się zdobywać żywność siłą. Niezależnie od oficjalnych rekwizycji, zarządzanych przez francuskie dowództwo, mnożyły się indywidualne wypadki rabunków i gwałtów wobec cywilnej ludności. Hiszpańscy chłopci bronili swego dobytku tak samo zajadle, jak niegdyś chłopci mazurscy. Na gwałty odpowiadali gwałtem. Truli konie francuskich bezbożników, mordowali na noclegach odurzonych winem żołnierzy.

Wypada w tym miejscu zaznaczyć, że Polaków na ogół rozpoznawano i traktowano o wiele życzliwiej niż Francuzów. W fanatycznie katolickim kraju najlepszym glejtem bezpieczeństwa dla szwoleżerów były krzyże maltańskie, przypięte barskim obyczajem do ich czapek. Jeden z pamiętnikarzy – prosty wówczas szwoleżer (potem został oficerem) Wincenty Płaczkowski – zanotował taką oto charakterystyczną scenkę z popasu w domu hiszpańskiego chłopca:

„...Poznajemy po Hiszpanach i Hiszpankach w tymże samym domu mieszkających, że są bardzo pomieszani i coś się nas bardzo boją, a nie wiedzieliśmy przyczyny tego, aż nadszedł z drugiego domu Hiszpan, który mówił cokolwiek po francusku. Pytamy się jego, czego się nas tak boją?... a on odpowiedział, że dnia wczorajszego przechodzili tu Francuzi i mówili, że marszerują za niemi Polacy, co ludzi jedzą, więc to dlatego tak się boją. Aż potem, może upłynęło czasu godzina, coraz więcej Hiszpanów i Hiszpanek schodzi do kwatery naszej, przypatrując się nam; a gdy zobaczyli czapki z piórami strusiem! białymi stojące na stole i na kokardach krzyże srebrne przypięte, coraz to bliżej przystępują do stołu, wreszcie zbliżają się do samych czapek, te krzyże całują i mówią po hiszpańsku: „Ci Polacy są katolicy rzymscy, bo noszą krzyż Świąty Jezusa Chrystusa Boga naszego, tak jak i my, są więc przyjaciółmi naszymi!”

Ale wkrótce okazało się, że i krzyże maltańskie nie wszędzie chroniły przed gniewem napadniętego ludu. Podczas noclegu

W

w Mirandzie nad Ebro zamordowano dwóch szeregowych ze szwadronu Koziętulskiego. Józef Załuski dokładnie opisuje to tragiczne zdarzenie:

„...Ci szeregowi nazywali się: jeden Rzędzian, drugi Ciesielski. Miawszy kwaterę razem w młynie dość oddalonym od miasta nad Ebrem, nie stawili się do popisu, kiedy pułk, czyli oddział gwardyi konnej wspólny, opuszczał z rana Mirandę. Obywatelskich synów, Polaków, nie można było posadzać o dezercyę, zostawiono zatem surowe rozkazy śledzenia tego wypadku, a gdy nadciągnął porucznik Jankowski na dłuższy pobyt do Mirandy, jemu ta sprawa poruczona została. Długo nie było najmniejszego śladu, aż żołnierze z plutonu Jankowskiego chodząc ponad Ebrem spostrzegli, że coś na kształt dwóch węzów czarnych uwija się bezprzestannie po wierzchu wody; gdy się temu zjawisku przypatrzyli bliżej, poznali, że to są harapy od cugli mundsztukowych w lekkiej jazdzie francuskiej, a zatem i w naszym pułku używane. Jakoż pokazało się, że zabójcy Rzędziana i Ciesielskiego, obwinawszy ciała w ich płaszcze, związali cały zwój rzemieniami mundsztuków, obciążyli kamieniami i tak wrzucili do Ebru w miejsce głębokie. Trzeba było nadzwyczajnego wypadku, że woda wypłukując obruszyła te harapy, mające mniej więcej sześciorzędność, i tak się zbrodnia wykryła. Główną sprawczynią była młynarka, niewiasta olbrzymiej postaci i siły, umysłu zuchwałego; ona z pomocą czeladzi młynarskiej napadła uspiionych młodych żołnierzy, nie posadzając gospodarzy swoich o taką zdradę. Bronili się Polacy pałaszami, jakoż pokazało się, że kilku zbójców pokaleczyli, ale musieli ulec przemocy...”

W takich to niesławnych okolicznościach zginęli dwaj młodzi szwoleżerowie polscy Rzędzian i Ciesielski. Trudno nawet ustalić ich imiona, gdyż jako najwcześniej polegli, nie figurują w spisach pułku. Kiedy opuszczali Warszawę 18 września 1807 roku, przy akompaniamencie pieśni: Zajaśniał dzień pożądany,

znak marszu trąba wydała... – marzyli zapewne o sławnych czynach wojennych i o przygodach z kobietami w dalekich krajach.

147

Ale nie uwzględnili w swych kalkulacjach straszliwej przygody ostatniej: spotkania z hiszpańską młynarką znad Ebro.

Szwoleżerski kronikarz z godnym podziwu obiektywizmem i poczuciem sprawiedliwości osądza morderczynię kolegów:

„...Nie chciwość rabunku, lecz nienawiść obcości, można mówić fanatyzm patriotyczny był młynarce pobudką. Mówię fanatyzm, bo jeszcze żadnej nie było ani czynnej, tem mniej wypowiedzianej wojny; przeciwnie, wchodziliśmy jako przyjaciele, lecz;

wprawdzie jak mówi historyk hiszpański o Kartagińczykach:

entraren blandiendo, por salw mandando *..."

Por salir mandando... Młynarka znad Ebro musiała wiedzieć, że francuscy sprzymierzeńcy przyszli do Hiszpanii po to, aby rozkazywać i narzucać własne prawa. Właśnie dlatego zabiła dwóch żołnierzy, których zakwaterowano u niej na nocleg. Chłopi Aragonii i Kastylii – fanatycznie przywiązani do swoich prastarych obyczajów, do zdegenerowanej dynastii Burbonów, nawet do okrutnej Inkwizycji – nie pragnęli postępowej konstytucji obiecywanej przez Napoleona ani portugalskich zdobywczy, które skusiły premiera Godoya. Chcieli żyć po dawnemu i nienawidzili każdego, kto usiłował im w tym przeszkadzać.

Instynktowną nienawiść mas ludowych do obcych podtrzymywali i podniecali ci, których antyfrancuskie nastawienie wynikało z określonych przyczyn politycznych i gospodarczych. Ideologami i agitatorami ruchu oporu stali się księża i zakonnicy (a było ich w Hiszpanii 160.000 na ogólną liczbę 12 milionów ludności), ponieważ marsz „francuskich bezbożników” na Madryt zapowiadał zniesienie władzy Inkwizycji i sekularyzację olbrzymich dóbr kościelnych. Z wyżyn dworu patronowali ruchowi oporu przywódcy opozycji: następca tronu, „książę infantado” don Fernando, oraz dostojni grandowie madryccy, zagrożeni rosnącymi wpływami Godoya, który robił, co chciał, z zakochaną królową Marią Luizą i z jej fajtłapą mężem, królem Karolem IV. Zdecydowanymi przeciwnikami dobrych stosun-

* weszli schlebiając, żeby wyjść rozkazując (hiszp.).

148

ków z Francją byli również bogaci hodowcy owiec hiszpańskich, eksportowanych przedtem głównie do W. Brytanii, blokada kontynentalna pozbawiała ich rynków zbytu i stawiała w obliczu katastrofy gospodarczej.

Im bardziej „sprzymierzeńcy” zbliżali się do Madrytu, tym silniejszy i powszechniejszy stawał się opór zajmowanego kraju;

osaczał Francuzów ze wszystkich stron, utrudniał im każdy krok, groził nieuchronnym wybuchem otwartego konfliktu.

Kiedy pierwsze oddziały szwoleżerów podchodziły do Burgos, dogonił je jadący z Paryża Wincenty Krasiński. Młody pułkownik wykorzystał marsz podróżny z Paryża do Burgos dla popisania się przed kolegami swoją sprawnością jeździecką. Całą tę trasę przebył pocztą konną (a franc. etrier), pędząc na łeb i szyję, nie dając chwili wytchnienia ani sobie, ani towarzyszom podróży. Kawaleryjskiej fantazji podolskiego panicza, zaprawianego do jazdy konnej od najmłodszych lat, nie zdołał sprostać podróżujący z nim razem francuski instruktor pułku, blisko pięćdziesięcioletni, sterany wieloma wojnami, adiutant-major Poleretzky. Wariacka eskapada zmęczyła go do tego stopnia, że natychmiast po zejściu z konia rozchorował się ciężko na serce. Musiano go zostawić w Burgos. Odwieziony stamtąd do Francji, umarł później w paryskim szpitalu. Rozstanie z ogólnie lubianym i szanowanym Poleretzky’em zasmuciło cały oddział. Tym razem lekkomyślność dwudziestopięcioletniego dowódcy zirytowała już nie tylko Tomasz Łubieński, oburzenie na Krasińskiego było powszechne.

Przyjazd pułkownika oraz jednocześnie niemal doszłusowanie czwartego półszwadronu kapitana Radziwińskiego – zamknęły pierwszą fazę organizacji pułku. Połączony oddział dwóch etapowych szwadronów: Tomasz Łubieński i Koziętulski, zmienił się w Pierwszy Regiment Szwoleżerów pod osobistym dowództwem Krasińskiego. Na drugi regiment pułku miały się złożyć cztery następne półszwadrony, idące z Warszawy z podpułkownikiem Dautancourtem.

Na kilka dni przed wkroczeniem gwardii Murata do Madrytu

149

w Hiszpanii zaszły ważne wydarzenia polityczne. 17 marca 1808 roku, w letniej rezydencji królewskiej w Aranjuez – w tym samym Aranjuez, które dzięki dramatowi Schillera Don Carlos weszło do naszego języka jako przysłowiowy symbol niczym nie zakłóconego szczęścia i spokoju – wybuchł otwarty bunt przeciwko premierowi Godoy. Tłum wtargnął do pałacu królewskiego i ujął znienawidzonego faworyta. Pięknego Księcia Pokoju, którego tak kochała stara królowa, solidnie poturbowano, potem półżywego zawleczono do królewicza Femanda;

Książę Infantado bunt usankcjonował rozkazując wtrącić premiera do więzienia.

Przerażony tymi wypadkami, Karol IV abdykował na rzecz syna. W momencie gdy pierwsi szwoleżerowie Krasińskiego wjeżdżali do stolicy Hiszpanii, obchodzono tam właśnie w atmosferze ogólnej radości i triumfu intronizację nowego króla – Ferdynanda VII.

Ferdynand VII miał za sobą olbrzymią większość narodu. Wielbiono go za obalenie wszechwładnego faworyta, wierzono, że uda mu się uwolnić Hiszpanię od Francuzów. Była to jednak popularność czysto koniunkturalna, nie mająca żadnego pokrycia w rzeczywistych walorach nowego władcy. Fernando Borbon y Borbon – jak przedstawiają nam go historycy – był człowiekiem miernych zdolności i słabego charakteru; ale gdyby nawet natura wyposażyla go znacznie szcudziej, i tak nie byłoby mu łatwo wypłatać się z misternej sieci, jaką zarzucił na Hiszpanię Napoleon.

Po wkroczeniu Francuzów do stolicy zdetronizowana para królewska oddała się skwapliwie pod opiekę Murata, oskarżając syna o zamach stanu i wrogię knowania przeciwko Francji. Wojskowy namiestnik cesarza odniósł się do królewskich petentów z całą łaskawością. Zapewnił sprzymierzonego monarchę, że Francja nie uznaje zmiany na tronie hiszpańskim – i skłonił go do odwołania abdykacji. Zagrożony w swych świeżo nabytych prawach, Ferdynand VII musiał skorzystać z jedynej wyjścia, jakie mu pozostawiono: zwrócił się z błagalną prośbą o po-

150

moc do... Napoleona. Powstała sytuacja paradoksalna. Hiszpania miała jednocześnie dwóch królów i obaj ci królowie zabiegali o poparcie u Francuzów – u tych Francuzów, przeciwko którym narastał ogólnonarodowy ruch oporu.

W początkach kwietnia 1808 roku Napoleon oficjalnie zaprosił skłóconych Burbonów na sąd rozjemczy do swojej głównej kwatery w Bajonnie. Tak się dziwnie złożyło, że właśnie szwoleżerom polskim przypadł w udziale wątpliwy zaszczyt asystowania przy wszystkich kolejnych fazach degrengolady dynastii hiszpańskiej. Szwoleżerskie sztafety z oddziału porucznika Józefa Jankowskiego (tego samego, który prowadził dochodzenie w sprawie zabójstwa pod Mirandą) towarzyszyły Karolowi IV i Ferdynandowi VII w ich niewesołej podróży z Madrytu do Bajonny. Natomiast świadkami samych pertraktacji bajońskich byli szwoleżerowie z oddziału kapitana Jana Nepomucena Dziewanowskiego (późniejszego bohatera Somosierry), wydzieleni z drugiego rzutu pułku na straż przyboczną cesarza podczas jego pobytu w Marrac i w Bajonnie.

W tych samych dniach, kiedy przebywający w Madrycie Jan Leon Hipolit Koziętulski i Tomasz Łubieński oglądali (a w każdym razie mogli oglądać) króla Karola IV i jego rodzinę na obrazie Franciszka Goi, wiszącym w galerii królewskiej w Prado, szwoleżerowie Jana Nepomucena Dziewanowskiego, pełniący warty honorowe w kwaterze cesarskiej pod Bajoną, mieli wiele okazji do podziwiania żywych modeli tego sławnego malowidła. Nie musiał to być zresztą widok specjalnie budujący. Genialny Goya odmalował swoich władców w całej ich brzydocie, ale i w blasku królewskiego dostojęstwa. Przy pierwszym zetknięciu z Napoleonem dostojęstwo z Burbonów opadło, pozostała sama brzydota. Karol IV był już tylko grubym, podagrycznym starcem o wielkim, mięsistym nochalnym i twa-

rzy szczerwienialej z nadużycia trunków, Ferdynand VII – za-
rozumiałym, tępy młokosem, rozpustna Maria Luiza straszyla
wysunięta do przodu sępią szyją i sztucznymi zębami z diamen-
tów. Targowali się o swe prawa jak przekupnie na madryckich

151

bazarach; zachowywali się bez krzty godności. Kiedy najmłod-
szy infant, czternastoletni Don Carlos, chcąc ratować honor
rodziny, przeciwstawił się żądaniom Napoleona – zaprzeczyli
mu zgodnym chórem krwi burbońskiej i okrzyczeli go bękar-
tem Godoya. „Sam król-ojciec nie zawahał się tak postąpić” –
wspomina ze zgrozą jeden ze szwoleżerskich pamiętnikarzy.

W ogóle z pamiętników polskich tego okresu wynika, że spra-
wy rozgrywające się w Bajonnie musiały być dla szwoleżerów
nad wyraz przykre. Nic zresztą dziwnego. Wielu z tych młodych
żołnierzy wywodziło się ze znanych rodów arystokratycznych,
a w niejednym z pałaców polskich przechowywano jak najświęt-
sze relikwie wspaniałe gwiazdy hiszpańskich orderów, którymi
tak chętnie obdarowywali podróżujących magnatów polskich –
„katolicki król” Karol IV i jego poprzednicy. Po wygnaniu
z Wersalu Burbonów francuskich, madrycki Buon Retiro ucho-
dził za najdostojniejszy dwór w Europie; dumni grandowie
hiszpańscy, korzystający z przywileju niezdejmowania kapeluszy
w obecności króla, byli uważani przez magnatów z Podola
i Litwy za niedościgły wzór wielkich panów. Upadek i pohań-
bienie tego pysznego dworu musiały napełniać szwoleżerów
głębokim niesmakiem. Ale ten niesmak miał jeszcze przyczynę
inną, ściśle związaną z historią ich własnego kraju. Będąc bez-
pośrednimi świadkami żalonych upokorzeń Karola IV i Fer-
dynanda VII, szwoleżerowie polscy nie mogli nie dostrzegać
w sytuacji bajońskiej uderzających analogii do znanych im
z opowiadań ojców perypetii grodzieńskich ostatniego króla
Polski – Stanisława Augusta. Upadek dynastii burbońskiej od-
słaniał przed nimi mechanizm polityczny, którego nie znali jesz-
cze, osadzając z młodzieńczą bezwzględnością rodzinę Ponia-
towskich.

Sprawę królów hiszpańskich „cesarz Zachodu” załatwił szyb-
ko i ostatecznie. Rozmawiał z nimi ostro, mieszając zwroty
dyplomatyczne ze zwrotami zaczerpniętymi z gwary koszarowej.
Najpierw oświadczył Ferdynandowi VII, że królem Hiszpanii
uznaje tylko swego sprzymierzeńca – Karola IV; potem wy-

152

mógł na Karolu odsądzenie syna od tronu, mianowanie Murata
namiestnikiem królestwa, a wreszcie całkowitą abdykację na
rzecz „dynastii” Bonapartych. Od reszty rodziny królewskiej
zrzeczenie się praw do tronu uzyskano bez większych trudności,
wyjawszy dziecinny opór małego Don Carlosa. Po odarciu Bur-
bonów z ostatnich pozorów władzy, odesłano ich w głąb Francji
do wyznaczonych miejsc osiedlenia. W tej końcowej fazie po-
dróży również towarzyszyły im sztafety szwoleżerów polskich,
tym razem z ostatniego oddziału pułku, który opuścił był War-
szawę w marcu 1808 roku i znajdował się właśnie w drodze

z Chantilly do Bordeaux.

Na opróżniony tron hiszpański Napoleon powołał swego najstarszego brata Józefa Bonapartego, dotychczasowego króla neapolitańskiego. Ale załatwienie sprawy Burbonów nie było wcale jednoznaczne z załatwieniem sprawy Hiszpanii. Istniał jeszcze lud hiszpański, którego opór cesarz w swych kalkulacjach całkowicie zlekceważył. Już w kwietniu 1808 roku wybuchło w Toledo powstanie w obronie praw Ferdynanda VII, wkrótce potem dał znać o sobie Madryt.

Muszę tu przytoczyć pewne świadectwo polskie, doskonale charakteryzujące stosunek Napoleona do sprawy hiszpańskiej w okresie bajońskim. 3 czerwca 1808 roku cesarz wysłał z Bajonny na zwiad do Hiszpanii swego oficera ordynansowego, a późniejszego szefa szwadronu w pułku lekkokonnych, osiemnastoletniego Adama Dezyderego Chłapowskiego (owego sławnego „Dezyderka”, uwiecznionego w wielu powieściach historycznych dla młodzieży). Otóż Chłapowski tak opisuje swą rozmowę z cesarzem po powrocie z hiszpańskiego rekonesansu:

„...Powróciwszy do Bajonny, opowiedziałem cesarzowi, co tylko w Hiszpanii uważałem. Nie miałem mu wcale przekonania, że skoro ludność cała w Hiszpanii dowie się, co się stało z rodziną panującą, i że cesarz zamiast Ferdynanda ma nadesłać brata swego Józefa, ogólne wybuchnie powstanie... Cesarz miał sposób zapytywania się jasny i krótki – odpowiedzi nasuwały się wyraźnie. Kiedym mówił, że wybuchnie ogólne powstanie,

153

zapytał się jeszcze raz o to żywo i z powątpiewaniem, powtórzyłem więc moje zdanie. W czasie tego cesarzowa siedziała w pokoju na kanapie. Kiedym potem przyszedł do salonu cesarzowej wieczorem, zawołała mnie na bok i zrobiła uwagę, że bym był ostrożniejszym w mych słowach do cesarza, bo on nie lubi, ażeby przeciw jego zdaniu coś twierdzić, dodała, iż powinienem był spostrzec, iż cesarz nie był kontent, kiedym o powstaniu mówił...”

Ale dość już na temat Bajonny i spraw wielkiej polityki. Musimy cofnąć się w czasie o dwa miesiące i powrócić do Koziętulskiego, który rozpoczyna właśnie swój pobyt w stolicy Hiszpanii. Pierwszą o nim wzmiankę odnaleźć można we Wspomnieniach niezawodnego Józefa Załuskiego.

Porucznik Załuski, obciążony w drodze obowiązkiem nadzoru nad taborem pułku, dotarł do stolicy dopiero 18 kwietnia 1808 roku i zastał tam kolegów, całkowicie już zadomowionych. „Stanąwszy we dwa dni po Wielkiej Nocy w Madrycie, przyjęty byłem przez pułkownika Krasińskiego, szefów: Łubieńskiego Tomasza, Koziętulskiego i mego kapitana Jerzmanowskiego (kpt. Paweł Jerzmanowski dowodził 2 kompanią szwadronu Koziętulskiego – M.B.) z wielką uprzejmością, a przez cały oddział pułku z uradowaniem. Przywoziłem albowiem różne zapasy odzieży i obuwia, których te oddziały wobec wcześniejszego wyjścia z Warszawy i z Chantilly niezmiernie potrze-

bowwały..."

Poza odzieżą i obuwiem Załuski przywiózł kolegom także pocztę z kraju. Jan Leon Hipolit Koziętulski znalazł w niej następny list matki. I znowu w egzotyczną atmosferę obcego kraju wtargnął na chwilę swojski, krzepiący powiew z dalekiej wsi pod Łowiczem.

Starościna będzińska, podobnie jak w liście poprzednim, zasypywała syna zbawiennymi radami i czyniła mu gorzkie wyrzuty, że pisuje zbyt rzadko, narażając ją na nieustanny niepokój. Kończyła swój list zaleceniem, odnoszącym się pozornie do spraw wyłącznie duchowych, lecz w konkretnej sytuacji

154

szwoleżerów ważnym również jako praktyczna wskazówka życiowa:

„...Pamiętaj także o zachowaniu wszędzie, gdzie jesteś, Twojej religii: bądź pewny, że kto ma gruntowniejszy rozsądek, ten na człowieka z religią patrzy z większą ufnością i szacunkiem, a tem więcej młodego...” 1

I znowu Jan Leon Hipolit musiał podziwiać niezawodny instynkt matki, bo pani Koziętulska pisząc swój list nie mogła jeszcze wiedzieć ani o fanatycznych księżach hiszpańskich, buntujących lud przeciwko francuskim bezbożnikom, ani o chłopach całujących krzyże na czapkach szwoleżerskich, ani o demonicznej młynarce znad Ebro...

Wkrótce po przyjeździe Załuskiego szwoleżerowie przekonali się, ku swemu zdumieniu, że nie są w stolicy Hiszpanii jedynymi ludźmi mówiącymi po polsku.

„Zdarzyło się pewnego dnia – pisze pułkowy pamiętnikarz – iż gdy oddział z naszego pułku uszykował się na pewnym placu, przystąpił przed front jakiś człowiek ubrany jak Figaro w operze i pozdrowił nas wyrazem:–Witam was, obywatele Polacy.

– Zdziwieni i postacią, i apostrofą witającego, dowiedzieliśmy się, że się zowie Szulc, że jest Kurlandczykiem, że służąc pod Kościuszką, po różnych przygodach osiadł w Hiszpanii...”

Prócz owego Szulca, który jako tłumacz i faktor okazał się później dla pułku bezcennym nabytkiem, polscy gwardziści odnaleźli jeszcze jakiegoś księdza Polaka, z dawna osiadłego w Madrycie, oraz kilkunastu żołnierzy hiszpańskich, którzy ze łzami w oczach witali ich w najczystszej polszczyźnie. Dowiedzieli się od nich, że w pułkach gwardii „katolickiego króla” było wielu Polaków, „po większej części z wojsk cesarsko-

-austriackich, z niewoli francuskiej do służby hiszpańskiej za-
werbowanych”.

Ale stęsknionym za ojczyzną szwoleżerom te sporadyczne spotkania z Polakami nie wystarczały. Starali się doprowadzić do

jeszcze większego „spolszczenia” Madrytu. Lektura Wspomnień

Załuskiego przekonała mnie ostatecznie, że polscy żołnierze

155

w obcych krajach – bez względu na epokę i położenie geograficzne – zachowują się zawsze tak samo. Przed kilku laty w Luksorze widziałem na własne oczy egipskiego żebraka, wykrzykującego po polsku: „Daj, panie, drobne!” Wyuczuli go tego w czasie ostatniej wojny żołnierze z polskich oddziałów walczących w Afryce. A oto epizod madrycki z kwietnia 1808 roku – zanotowany przez Józefa Załuskiego: „...Po ulicach Madrytu chłopcy roznoszą wodę lodem czyli śniegiem przechowanym oziębioną i wołają: Agna fria jresca\ Żołnierze nasi nauczyli ich wołać: „Zimna woda dobra!” I tak głos polski rozlegał się po ulicach stolicy Hiszpanii...”

Pierwsze dwa tygodnie w Madrycie upłynęły Polakom na zwiedzaniu zabytków stolicy, oglądaniu widowisk teatralnych oraz na defiladach i różnorodnych ćwiczeniach wojskowych. Jazda gwardii Murata – w skład której prócz szwoleżerów wchodziła: żandarmi wyborowi, grenadierzy konni, dragoni, strzelcy konni i Mamelucy, pod wspólnym dowództwem generała Lepie – prawie każdego dnia odbywała „manewry” publiczne na placu defilad w Prado. Chodziło prawdopodobnie o postraszanie Hiszpanów siłą i świetnością kawalerii francuskiej. Przeglądu oddziałów dokonywał osobiście wielki książę Bergu i Kliwii, co sprawiało szwoleżerom wyraźną satysfakcję. Przypominało im to pewnie dobre czasy warszawskie, a poza tym lubili szwagra cesarskiego za jego żywiołowy temperament i fantazyjny strój, „najwięcej do dawnego polskiego podobny”. Szwoleżerski kronikarz pisze o Muracie z żywą sympatią, nie pozbawioną jednak odcienia ironii: „Nigdy ten nasz przyjaciel nie spuszczał z myśli korony naszej, atoli teraz byłby przyjął i hiszpańską, którą, jak mu się zdawało, nastęrczał mu dostojny szwagier”.

Pod koniec kwietnia – kiedy do Madrytu dotarły pierwsze wiadomości o detronizacji Ferdynanda VII i o powstaniu w Toledo – w mieście poczęły się szerzyć niepokoje i sytuacja Francuzów stała się nader trudna. Spowodowało to daleko idące zmiany w dotychczasowym trybie życia szwoleżerów.

156

„Wzburzenie umysłów coraz wzmagало się w stolicy – wspomina Załuski – musieliśmy zaniechać kwater w mieście i stółowania się po kuchniach oddaleńszych od koszar; ostrzegano nas, żeby nie wychodzić bez pałasza, zwłaszcza w teatrze być ostrożnymi”.

Dezydery Chłapowski, oficer ordynansowy Napoleona, tak opisuje powstanie w stolicy:

„Dnia 2-go maja wybuchła rewolucja w Madrycie. Miała wybuchnąć dopiero 3-go i zacząć się na wielkim widowisku,

ulubionem w Hiszpanii, walki byków. Wszystkich oficerów zaproszono na ten teatr i miano ich tam pozabijać, poczem łatwo spodziewano się skończyć z żołnierzami. Spisek był dość dobrze uknutym. Spiskowi zebrali kilkanaście tysięcy ludności męskiej z obydwóch Kastylii, które różnymi wąwozami, odległymi od głównej, jedynie obsadzonej przez nasze wojsko drogi, nocami ku miastu się posuwały i w nocy 2-go tuż pod miastem stanęły. Ale 1-go maja dowiedziano się o spisku i tegoż dnia wyszedł rozkaz, ażeby wszyscy oficerowie, po mieście kwatery mający, przenieśli się do koszar Buen Retiro. Spiskowi dowiedzieli się zapewne o tym rozkazie i postanowili zamiast 3-go natychmiast powstać. W nocy więc przyspieszyli przybycie wiejskiego ludu. Ze świtem 2-go kilkanaście tysięcy chłopów wtargnęło do miasta i zabiwszy kilku żołnierzy na warcie przy bramie, Wpadło do arsenału.

Mieszczanie zbierali się na głównych miejscach, zbrojni w długie szpady, a osobliwie w długie noże. Wielu miało fuzye. Zbiegło się ich najwięcej w środku miasta, na placu zwanym Puerta del Soi, ale i po ulicach komunikacyjnych pełno ich było bez żadnego porządku. Strzelali do oficerów, którzy konno z rozkazami jeździli. Adiutant Murata, Gobert, pędząc przez Puerta del Soi, został kilka razy pchnięty nożami w uda, bo siedział na wysokim koniu. Pomimo tego zawiózł przez całe miasto rozkaz do fizyliarów, a ci wprost na arsenał ruszyli, bez wystrzału go odebrali, rozpędzając całą zgraję, która wytoczyła starych dział kilkadziesiąt, ale nie wiedziała, jak sobie postąpić.

157

Około 2000 chłopów i mieszczan schwytano, a że był rozkaz każdego Hiszpana, który się porwie z bronią w rękę, natychmiast rozstrzelać, przeto po uspokojeniu miasta, to jest po dwóch około godzinach, wyprowadzono te dwa tysiące pojmanych ludzi za miasto, kazano im pod murem miasta klęknąć i w ściśniętym szyku batalion fizyliarów, postawiony w linii tuż przed nimi, dał ognia na komendę; padli wszyscy głowami o ziemię, ale żaden nawet rannym nie został. Żołnierze bowiem wystrzelili w górę, czy to z rozkazu, czy że stary żołnierz do bezbronych strzelać nie chce, nie wiem, ale niezawodnie generałowie, pewni tego usposobienia w żołnierzach, a nie śmiejąc wbrew rozkazom cesarza postąpić, musieli dać tylko rozkaz, jak był ogłoszony proklamacją, a oficerowie i żołnierze postąpili po swemu".

Relacja Chłapowskiego – poza ostatnim fragmentem – zgadza się na ogół z innymi świadectwami historycznymi. Ale informacja opozornej egzekucji zatrzymanych Hiszpanów brzmi zupełnie nieprawdopodobnie. Wypadki podobnego humanitaryzmu nie zdarzają się na wojnie. Zresztą zupełnie co innego mówią na ten temat przekazy historyków i sławne płótno Franciszka Goyi Rozstrzelanie powstańców madryckich. Trudno posądzić Chłapowskiego o świadome fałszowanie prawdy, ale przyjechał do Madrytu już w kilka tygodni po stłumieniu powstania, kiedy propaganda francuska przygotowywała stolicę na przyjęcie nowego króla, Józefa Bonapartego, i czyniła wszystko, aby zatrzeć pamięć o krwawych represjach

z 2 maja; mógł więc usłyszeć swoją piękną bajeczkę od któregoś z urzędowych „lakierników”.

A oto jak przedstawia owe egzekucje majowe naoczny świadek powstania madryckiego, Wincenty Płaczkowski, szwoleżer (a później porucznik) ze szwadronu Kozietulskiego:

„Nazajutrz rano... przed wschodem słońca, Murat przez Mameluków rozesłał polecenie, rozkazujące pułkom, aby każdy na tem samym miejscu gdzie stoi pozostał, zaś wszystkich, co w nocy pochwytili i w areszcie trzymają, bez względu na wiek,

158

płeć i stan, równo z pierwszym promieniem słońca wschodzącego rozstrzelać... Cała gwardya i wszystkie wojska stały pod bronią przez cały ten czas przeciąg. W koszarach gwardyi konnej mieliśmy tych nieszczęśliwych aresztowanych osób, różnej płci, wieku i stanu do osmdziesięciu, między niemi była jedna panna imieniem Eufrozyna, córka aptekarza, znajoma mi, bogatych i poczciwych rodziców córka, w ich domu często bywałem.

Będąc tedy na straży, myślałem o tem i szukałem sposobu, abym biedną znajomą mógł uratować. Generał Pik (Lepie – M.B.) od Grenadyerów konnych był także przy warcie. Rozkazał wachmistrzowi od Dragonów pójść z nami do więzienia, gdzie ci nieszczęśliwi zamknięci byli i wyprowadzić ich na plac śmierci. Był korytarz wązki i ciemny pomiędzy więzieniem a stancjami dla warty, do których z tego korytarza drzwi były. Wachmistrz przybył z nami do głównego wnijscia, drzwi odeknął, a nas wzdłuż korytarza tego tak rozstawił, kolegę mego postawił w samych drzwiach więzienia, a mnie nieco dalej, naprzeciw tych drzwi, co stanowiły wchód do stancji przez wartę zajmowanej, i tak dalej porozstawiał, aż gdzie i sam Wachmistrz stanął i liczył tych nieszczęśliwych głośno. Zaś generał Pik stał na środku sieni, prosto samego korytarza, tak że mógł go widzieć w całej długości. Gdy zaczęli ci nieszczęśliwi jeden za drugim porządkiem wychodzić z więzienia, nadchodzi i znajoma moja Eufrozyna; chwytam ją za rękę, zatrzymuję i mówię do niej prędko i cicho, aby dała mi się stąd uprowadzić, bo za chwilę wszyscy oni rozstrzelani będą; dziewczyna pobiegła za innemi. Generał, który to widział, jak zatrzymywałem dziewczynę, krzyknął na mnie surowo: «Co to robisz?... puszczaj!...» Gdy ich wyprowadzono na plac i postawiono w jeden szereg, a już stał komenderujący oficer z Dragonami, przygotowanymi do rozstrzelania i czekającymi tylko na ostatni rozkaz generała, ci nieszczęśliwi, gdy zobaczyli broń do nich wymierzoną, prawie w trzeciej części ze strachu popadali na ziemię, a przeto wszyscy strzałami rażeni nie byli. Tu kazał generał przystąpić Dragonom i skłuć ich leżących bagnetami.

159

Trzeciego dnia dopiero, gdy już fetor od ciał gnijących czuć się mocno dawał, pozwolono przystąpić żyjącym i te ciała zabierać. Hiszpanie odtąd stali się największymi naszymi nieprzyjaciółmi; najprzód zatruli w magazynie chleb i wino, któreśmy

dostawali na dystrybucję, a nawet i wodę w dwóch fontannach, gdzieś sami pili i konie poili. Ale jakoś Pan Bóg nas ucho-
wał i zdrada się odkryła..."

Szczegółowe świadectwo Płaczkowskiego znajduje potwier-
dzenie w relacji innego naocznego świadka powstania, Józefa
Załuskiego.

„Książę Murat jednak wywarł tu niewłaściwą jemu srogość
i kto tylko był z bronią w ręku jakakolwiek ujęty, został roz-
strzelany. Prado mianowicie było miejscem tych egzekucyj, któ-
rych surowość miała służyć za postrach dla całej Hiszpanii, ale
zamiast tego skutku wywarła powszechne rozjątrzenie. Od tego
dnia fatalnego oddział nasz... łącznie z hiszpańską gwardią kon-
ną królewską, codziennie odbywając patrole po całym Madry-
cie, utrzymywał jaką taką spokojność..."

Rzecz charakterystyczna, że odpowiedzialne zadanie patro-
lowania zbuntowanego Madrytu marszałek Murat powierzył
nie wiarusom ze „starej gwardii”, lecz młodym niedoświadcz-
nym żołnierzom polskim. Jeden z pamiętnikarzy pułku, Win-
centy Mikułowski, tłumaczy decyzję Murata tym, że mieszkańcy
Madrytu od początku odnosili się do Polaków z sympatią. „Ta
sympatya po dniu 2 maja przeszła w romansowe uczucia, bo
ponieważ strzelcy konni gwardyi i Mameluki, przierzynając się
przez miasto ku Muratowi i naszym koszarom, musieli gdzie-
niegdzie użyć oręża, a my nie dobyliśmy go nigdzie, urosła
opinia, jakobyśmy wyprosili się od działania przeciwko ludowi.
Dlatego to hiszpańscy gwardya de corps zastrzegli sobie, aby
z nikim innym nie patrolować po mieście, tylko z nami. W parę
dni po 2 maja byłem wykomenderowany na taki patrol i przyj-
mowano nas, gdzieś się tylko ukazali, z uniesieniem radości
i uwielbienia”.

Ale szwoleżerowie mimo wszystko nie byli zadowoleni ze

160

służby patrolowej. Zbyt dobrze pamiętali jeszcze swoje war-
szawskie utarczki z podwładnymi gubernatora Koehiera, aby
mogła im odpowiadać rola okupacyjnych policjantów. Na po-
ciechę warto zaznaczyć, że partnerem Polaków w tej służbie
policyjnej był kapitan Gwardii Królewskiej hiszpańskiej don
Jose Revollo de Palafox, późniejszy bohaterski obrońca Sa-
ragossy i jeden z najsławniejszych generałów wojny wyzwolen-
czej.

W dwa tygodnie po stłumieniu powstania – 16 maja 1808 ro-
ku – Jan Leon Hipolit Koziętulski obchodził w Madrycie swoje
imieniny. Dzięki szczęśliwej okazji otrzymał w tym dniu list
z życzeniami od siostry z Małej Wsi. Jaka była treść życzeń |
imieninowych pani Klementyny Walickiej, nie dowiemy się
nigdy, ponieważ wszystkie jej listy do brata zaginęły bez śladu,
a w każdym razie nie ma ich w żadnym ze znanych mi zbiorów
archiwalnych. Natomiast w zielonych teczkach krośniewickich
zachowała się odpowiedź solenizanta. Przytaczam ją z nie-
znacznymi skrótami.

„Madryt, 20 maja 1808 roku

Otrzymałem Twój list, kochana siostró, 16 tego miesiąca... Niespodzianka i przyjemność, jaką mi sprawił, jest nie do wyrażenia. To największe dobrodziejstwo, jakiego Opatrzność mogła mi udzielić. Dzień ten bowiem od mojej nawcześniejszej młodości był dla mnie pamiętny przez nowe dowody dobroci Mammy, nowe dowody przywiązania Twojego serca, a potem dowody przyjaźni Twojego Pana Małżonka... Pomyśl, czy osieroconemu w kraju tak odległym od własnego nie musi szczególnie zależeć na wiadomościach od osób, które są mi najdroższe na świecie i od których nigdy jeszcze los tak okrutnie mnie nie oddzielił? Wierz mi, gdyby nie miłość sławy, pragnienie służenia Wielkiemu Napoleonowi i przywiązanie, jakie mam dla niego, żadne skarby świata nie skłoniłyby mnie do porzucenia spokojnego życia w Kompinie i szczęścia pozostawania na łonie rodziny!... Jak dotychczas, niczego mi nie brakuje. Pieniądze, które przywiozłem z Polski, i moja pensja wystarczają na

11 – Koziętulski t. I 161

utrzymanie, chociaż życie jest tu dwa razy droższe jak w Paryżu... Czuję się dobrze, moi ludzie i konie również, czegoż trzeba mi więcej?

Przykrość mi sprawiły w Twoim ostatnim liście wyrzuty z powodu nieregularności naszej korespondencji... Mówisz mi, że pani Tomaszowa Łubieńska dostaje częściej listy od swego męża. To bardzo możliwe. On miał więcej wolnego czasu, przyjechał wprost do Madrytu, nie robiąc już, tak jak ja, marszów i kontrmarszów. Ale ostatecznie czy sądzisz, że „Ojciec Nasz” tak często powtarzane robi wielkie wrażenie na Opatrzności? Hiszpanie zajmują się tylko tym, czy są bardziej szczęśliwi od Francuzów?...

Według raportu gros-majora, wysłanego do pułkownika, Trzeciński jest już w Chantilly (por. Feliks Trzeciński, przyjaciel, sąsiad i kolega z Gwardii Honorowej Koziętulskiego, znajdował się właśnie w drodze do Hiszpanii – M.B.). Napiszę do niego w tych dniach; nie oczekiwałem nigdy takiej rezolucji z jego strony, ale mam nadzieję, że nie będzie jej żałować. Jedyną rzecz, która mogłaby mu się chwilowo nie podobać, to porządek, dyscyplina i regularność, które na siłę wprowadzają do pułku, ale kiedy pozna płynącą z tego korzyść, podda się temu z przyjemnością. Maszerując ciągle ze starymi żołnierzami z Gwardii i pełniąc z nimi służbę, trzeba się absolutnie do nich upodobnić. Wystawiamy tu warty dla Wielkiego Księcia (Murata – M.B.) wspólnie ze strzelcami konnymi gwardii. W Bajonnie jeden z naszych oddziałów, dowodzony przez gros-majora Delaitre (i kpt. Jana Nepomucena Dziewanowskiego – M.B.) pełni sam jeden służbę przy Cesarzu. Ale każą im ćwiczyć dwa razy na dzień, bo nie są bardzo zaawansowani.

Wracam jednak do Trzecińskiego... Palę się z niecierpliwością, żeby go zobaczyć. Wyjechał z Warszawy w trzy miesiące po mnie, ileż rzeczy może mi opowiedzieć. Swoją namiętność do gry powinien był zostawić w Polsce, bo we Francji są bardziej

umiejętni od niego i w końcu nie tylko straci swoje pieniądze, lecz także przyniesie sobie poważną szkodę w awansie, bo

162

marszałek Bessieres wie o prowadzeniu się każdego oficera. Wolno urządzać sobie wszelkie zabawy, tylko gra jest uważana za przestępstwo. Zwłaszcza dla wyższego oficera... Z domów, do których tu chodzimy, grają tylko w jednym. Pan domu robi to raczej przez uprzejmość niż z żądzy zysku. Jest to dom księcia Salinas... Nie widzi się innych pieniędzy jak napoleonów i zdarza się, że się przegrywa lub wygrywa 400 i 500 napoleonów. Jeden adiutant wygrał niedawno od księcia w trzech rundach 1000 napoleonów, byłoby zatem bardzo nieostrożnie mieszać się do tego. Poza tym domem nie ma nigdzie wielkich zebrań. Zbierają się u Wielkiego Księcia (Murata), by pokazać się u jego dworu o 8-ej wieczór, ale to nie trwa dłużej jak pół godziny lub najwyżej godzinę, są to tylko kupcy, generałowie, wyżsi oficerowie i grandowie hiszpańscy. Chodzimy tam przynajmniej dwa razy na tydzień, żeby się pokazać WKsięciu. Przed tym mieliśmy w niedzielę wielkie parady w Prado, było tam zawsze 6 do 10 tysięcy wojska, ale od piętnastu dni robimy to przed naszymi koszarami, bo WKsiążę jest trochę niezdrów. Można łatwo dostać febry w tutejszym kraju i wielka ilość naszych żołnierzy na nią cierpi, podobnie jak na świerzb. Ale chwała Bogu, żaden oficer jej nie dostał. Zdaje się, że wiele z polskich pań spędzi zimę w Paryżu. Byłbym zachwycony, gdybym tam zobaczył Panią Aleksandrową (Potocką), której zechciej prezentować moje najgłębsze uszanowanie i przypomnieć mnie miłej pamięci innych dam. Maria Krasińska i Konstancja Łubieńska mają wyjechać niedługo z Warszawy do wód, a stamtąd na pobyt zimowy do Paryża. Ale jeden Bóg wie, czy ich mężowie będą mogli je zobaczyć, bo dla nas jest zagadką, gdzie wypadnie nam spędzić zimę, mnie to zresztą wcale nie obchodzi... Co się tyczy białego haftowanego munduru, nikt poza pułkownikiem go u nas nie ma. Oddalilibyśmy go do haftowania tutaj, ale nie można dostać karmazynowego sukna, trzeba więc czekać na Paryż. Nie wiem, czy Mama dostała mój list datowany dnia trzeciego tego miesiąca; całuję Jej stopy i proszę Cię, żebyś Jej powiedziała wszystko co najczulsze... Nie zapomnij też o mnie,

163

wobec swojego Pana Męża i uściskaj Twoją małą gromadkę... Pani Nowakowskiej nie przebaczę nigdy, że została tak długo w Galicji po moim wyjeździe. Pisałem też do kanonika Wiercińskiego (przyjaciel rodziny Koziętułskich, często wspomniany w korespondencji krośniewickiej-M.B.). Żegnaj, moja droga Siostrze, wybacz mi, że mój list jest tak długi, ale to jedyny sposób, żeby być dłużej z Tobą. Żegnaj. Ściskam Cię z całego serca.
(-) Koziętułski.

Postscriptum: Dobrze byłoby, gdybyś mogła znaleźć jakiegoś wojskowego, na adres którego mógłbym przesyłać Ci listy, bo porto nie kosztowałoby więcej niż 3 sous... To jest zysk dla żołnierza, a listy dochodzą pewniej..."

Przy czytaniu tego długiego listu (a będzie to chyba pierwszy i jedyny, opublikowany list szwoleżerski z okresu pierwszej okupacji Madrytu) * odczuwa się mimowolny żal, że Koziętulski nie wspomina ani słowem o powstaniu, o sytuacji w mieście czy o owej służbie patrolowej, zlecanej Polakom. Trzeba jednak pamiętać, że wojskowa cenzura francuska bardzo dokładnie kontrolowała pocztę szwoleżerów i usuwała z niej wszystko, co mogło zaszkodzić pronapoleońskim nastrojom w Księstwie Warszawskim. W teczkach krośniewickich można odnaleźć liczne ślady takich interwencji cenzuralnych, w niektórych listach całe fragmenty są wycięte bądź zasmarowane czarnym tuszem.

Ale czujna cenzura napoleońska mogła zatrzymywać tylko wiadomości, natomiast była całkowicie bezsilna wobec rozwoju wydarzeń.

6 czerwca 1808 roku – tego samego dnia, kiedy w Bajonnie proklamowano królem Hiszpanii Józefa Bonapartego – zebra-
na w Sewilli Junta Najwyższa w imieniu narodu hiszpańskiego wypowiedziała Napoleonowi wojnę o niepodległość. Z tą chwilą „mała wojna” (guerilla), którą chłopstwo Kastylii i Aragonii nękało francuskich „sprzymierzeńców”, zmieniała się w regularną wojnę między dwoma państwami.

•W opublikowanej korespondencji Tomasza Łubieńskiego nic ma ani jednego listu z tego czasu.

164

Wkrótce po nadejściu do Madrytu pierwszych wieści o nowych wydarzeniach, Koziętulski otrzymał dwa dalsze listy z domu – tym razem od matki. Oba były wysłane z Warszawy jeszcze w styczniu i wędrowały do adresata drogą okrężną równe pół roku. Jan Leon Hipolit przy całej swej miłości do ma-

tki musiał je czytać z pewnym zniecierpliwieniem. W Madrycie ziemia drżała pod stopami, znajomy szwoleżerów z Guardia del Rey, kapitan don Jose Reyolledo de Palafox, zbiegł ze stolicy do Aragonii i dowodził tam armią z ramienia Junty Najwyższej, w koszarach francuskich i polskich trwał nieprzerwanie stan ostrego pogotowia alarmowego, nocami wkradali się do miasta chłopscy „gerylasi” i emisariusze powstańczy z Sewilli, tymczasem starościna będzińska zajmowała się w swych listach głównie plotkami politycznymi sprzed pół roku na temat wspólnej wyprawy francusko-rosyjskiej na podbój Turcji i Indii.

„...Chodzą tu różne wiadomości, że niedługo będziecie pod Konstantynopolem albo w dalszym jeszcze oddaleniu. Spodziewam się, że przynajmniej będziecie zawsze z cesarzem, a że jego gwiazda będzie zawsze waszą obroną. Siły mnie jednak odstępują często o tem myśląc, azaliż to weźmie inszy obrót. Nakoniec cóż można uczynić przeciwko przeznaczeniu... Staraj się być zawsze tym, czym zacząłeś od Twego dzieciństwa, to jest podciwym człowiekiem. Nie narażaj się nigdy na nieroztropne niebezpieczeństwo (te słowa podkreślone w liście – M.B.), a nie będąc nigdy w niczem prędki, daj sobie zawsze czas do refleksji...”

J

Drugi list – tak samo piękny, wzruszający i „podciwy” – ?
również nie odpowiadał aktualnej sytuacji adresata: i

„...Staraj się zawsze uczyć, gdzie tylko znajdziesz jaką sposobność, a przy wszystkich zatrudnieniach poświęcaj zawsze jakąś godzinę na czytanie dobrych książek. Proszę Cię, przeczytaj Histoire de F anarchie de Pologne par Rulhiere... Zapewne ciebie nudzę memi uwagami... piszę zawsze te moje refleksje..., że wiem, iż w tej materii od nikogo nic podobnego nie usłyszysz, a znasz zapewne, co jest dla mego serca Wasze dobre imię

165

z siostrą, a już i Wasze szczęście... Tu ustawicznie powtarzają się wiadomości o wyprawie wojsk moskiewskiego, polskiego i francuskiego do Indyj. Ja bardzo im życzę dobrej podróży, aby tylko gwardie cesarskie mogły do tego nie należeć”.

Zdumiewająca rzecz: pomimo pozornej rozbieżności między materia listów a ówczesną sytuacją Kozietulskiego – instykt starościny będzińskiej i tym razem nie zawiódł jej całkowicie. Wprawdzie nie doszło do rosyjsko-francuskiej wyprawy do Indii, z udziałem polskiego pułku gwardii, ale potylżycki sojusz francusko-rosyjski, o którym tak wiele mówiono w Warszawie w styczniu 1808 roku, a który Napoleon starał się zacieśniać coraz bardziej, w miarę pogarszania się sytuacji w Hiszpanii – skrzyżował się w jakiś sposób z losem polskich szwoleżerów, przebywających w Madrycie, i to właśnie w tym samym (mniej więcej) czasie, kiedy Kozietulskiemu doręczano listy, od matki. Oddaję głos kronikarzowi pułku – Józefowi Załuskiemu:

„...Wkrótce po powstaniu Madrytu książę Murat widząc, że nie jemu dostanie się korona Hiszpanii, chory opuścił stolicę a generał Sayary miejsce jego zastąpił. Ten bacząc, że powstanie w całym kraju się rozszerza, troskliwy o całość flot francuskich będących w Kadyksie i w Lizbonie, wpadł na myśl osobliwszą, przesłać tym eskadrom tajemne rozkazy przez oficerów z naszego pułku, za rosyjskich przebranych. Rosya była natenczas w chwilowym porozumieniu z Francją. Baron Strogonow był posłem rosyjskim w Madrycie. Jenerał Sayary wyrobił więc dwa pasporty rosyjskie i kazał zrobić także mundury, a zażądał od pułkownika Krasińskiego dwóch naszych oficerów, coby tę ryzykowną posyłkę odbyć podjęli się. My byliśmy tak młodzi i tak zapaleni do służby, że każdy miał sobie za szczęście taką misją, ale Xawery Prażmowski i Józef Kamieński, oba porucznicy 1-szej klasy, otrzymali pierwszeństwo, jako posiadający najwięcej język rosyjski, bo byli oba z Wołynia. Zostali więc wyprawieni: Kamieński do Lizbony a Prażmowski do Kadyksu. Oba ci oficerowie byli przez Hiszpanów przejęci; po wielu

166

prześladowaniach i próbach, czy są istotnie oficerami rosyjskimi, Kamieński nie dostał się do Lizbony, ale cudownym sposobem złączył się z Prażmowskim w Kadyksie; ten zaś, po wielu przy-

godach, został stawiony przed generała hiszpańskiego Castanios. Generał rzekł do niego te zaszczyt charakterowi hiszpańskiemu czyniące słowa: «Czy Wpan jesteś rzetelnie rosyjskim oficerem, czy francuskim, nie jest dla mnie przedmiotem godnym do roz-bierania; dam wpanu eskortę, jedź sobie do Kadyksu». Ci dwaj oficerowie byli ciągle w takim położeniu, zwłaszcza spotkawszy się, że musieli oficerów rosyjskich udawać, i jako tacy dostali się na okręcie angielskim do Tryestu, stamtąd pocztą udali się do Wiednia do ambasady francuskiej i pośpieszyli do pułku do Hiszpanii, ale już przybyli po bitwie somosierskiej".

13 lipca 1808 roku – na rozkaz generała Savary'ego – regiment Wincentego Krasińskiego opuścił Madryt, aby przyłączyć się do korpusu marszałka Bessieres, dowodzącego w Starej Kastylii (jeden z oddziałów regimentu, złożony z czterech plutonów ze szwadronu Koziętulskiego, pod dowództwem kapitana Wincentego Radziwińskiego, był przy marszałku Bessieres już od dłuższego czasu).

Wymarsz regimentu ze stolicy nastąpił nocą z 13 na 14 lipca. Rankiem 14 lipca szwoleżerowie zatrzymali się na popas na szczycie Guadarramy, w najwyższym punkcie pasma górskiego, osłaniającego Madryt od północy. Ujrzano tam monumentalnego lwa kamiennego, który wyznaczał niegdyś granicę średnio-wiecznego królestwa Leon. Na białym cokole pomnika widniały słowa, wypisane czarną farbą przez partyzantów: Viva de Espagna Leon, peresca el Tirano Napoleona (Niech żyje Lew Hiszpanii, niech zginie tyran Napoleon!).

Na Guadarramie zakończyła się wyprawa wojenna Koziętulskiego. Prawdopodobnie już z Madrytu wyjechał ciężko chory, lecz początkowo słabość swą taił przed kolegami; dopiero na pierwszym dłuższym postoju choroba ogarnęła go z taką mocą,

167

że dalszy jego udział w marszu okazał się zupełnie niemożliwy. Na kategoriyczny rozkaz dowódcy pułku, Jana Leona Hipolita-gorączkującego, półprzytomnego, nękanego straszliwymi bólami brzucha – odtransportowano z powrotem do stolicy.

W tym samym czasie szwoleżerowie z jego szwadronu zdobyli już swoje pierwsze laury wojenne. 14 lipca 1808 roku, w bitwie pod Medina del Rio Seco, marszałek Bessieres rozgromił połączone armie hiszpańskie generałów Cuesta i Blake'a. Polski oddział lekkokonnych gwardii kapitana Radziwińskiego przyczynił się do tego zwycięstwa wspaniałą szarżą, w której rozniósł na szablach hiszpański pułk dragonów „de la Reyna”.

Choroba naszego bohatera – a była to według wszelkiego prawdopodobieństwa ciężka żółtaczką – musiała trwać co najmniej siedem tygodni. Z systematycznej korespondencji małżonków Łubieńskich wynika, że Koziętulski wrócił do służby dopiero w początkach września. 30 sierpnia pan Tomasz pisał z Castel de Peones: „...Jestem jedynym szefem szwadronu, Koziętulski leży chory...” 15 września – z tej samej miejscowości: „...Wczoraj znowu byłem u pułkownika i u biednego Koziętulskiego,

który przeszedł poważną chorobę i którego co dzień więcej kocham..."

W ciągu tych siedmiu tygodni choroby Kozietułskiego wydarzyło się sporo ważnych rzeczy. Dla wojsk francuskich, operujących na Półwyspie Iberyjskim, po początkowych zwycięstwach – rozpoczął się okres niepowodzeń. 22 lipca 1808 roku okupujący Andaluzję generał Dupont uległ pod Bailen przeważającym siłom generała Castaniosa i zawarł haniebną kapitulację, oddając się z całym korpusem w niewolę Hiszpanom.

Na wieść o tej katastrofie militarnej król Józef Bonaparte, który nie zdążył jeszcze zadomowić się w swojej nowej stolicy, zarządził 1 sierpnia 1808 roku ewakuację Madrytu. Kilka dni przedtem Kozietułskiego odesłano z pułkiem do korpusu Bessieresa. Następne pięć tygodni choroby musiał przebyć w ciężkich warunkach marszowych. Nie można mu się dziwić, że w tym czasie nie pisywał ani do siostry, ani do matki. Starsza

pani Kozietułska, jak zwykle, wyczuwała na odległość, że w Hiszpanii dzieje się coś niedobrego. Po otrzymaniu od syna ostat-

niego listu z Madrytu, pisała: „Prawie pierwszy raz uczułam / w całej mocy boleść mego serca z takiego od Ciebie oddalenia...” | – Potem zamartwiała się brakiem wiadomości: „Mój Jasiu, miej nad nami litość i kiedy masz czas zabrany Twymi obowiązkami, napisz kilka liter, że na tem miejscu się znajduję, że zdrow; jestem, że tą razą nie mogę dłużej pisać i że na to miejsce potrzeba do mnie adresować...” ;

Pogarszająca się sytuacja wojsk francuskich nie sprzyjała regularnej korespondencji. W miesiąc po klęsce pod Bailen nastąpiła druga, nie mniej straszna, porażka w Portugalii. 20 sierpnia 1808 roku, na przedpolu Lizbony, pod Cintra – armia generała Junota została pobita i zmuszona do kapitulacji przez angielski korpus desantowy generała Wellesleya (późniejszego księcia Wellingtona, zwycięzcy spod Waterloo).

W tym samym czasie w Hiszpanii zaszedł fakt bardzo ważny dla wszystkich szwoleżerów polskich. 20 sierpnia 1808 roku – tego dnia, kiedy w Lizbonie wojska Junota ładowały się na okręty odpływające do Francji – w rejonie hiszpańskiej miejscowości Pradanos, między Burgos a Briviesca, połączyły się z sobą dwa regimenty polskiego Pułku Lekkokonnego gwardii:

regiment Krasińskiego, cofający się z korpusem marszałka Bessieresa na Burgos, oraz idący z Bajonny regiment grosmajora Dautancourta. W przeszło rok po wymarszu z Polski pierwszego oddziału szwoleżerów, w odległości przeszło 2000 kilometrów od warszawskich koszar Mirowskich – doszło wreszcie do ostatecznego scalenia pułku.

Wkrótce potem do Jana Leona Hipolita, wlokącego się jeszcze na wozie za kolumną marszową, zgłosił się tak wyczekiwany przez niego przyjaciel i kolega – porucznik Feliks Trzciniński. Obawiam się jednak, że wiadomości, przywiezione przez

tego sąsiada z Łowickiego, nie wpłynęły na poprawę samopoczucia chorego szefa szwadronu. Prawdopodobnie dopiero od ;

Trzczińskiego dowiedział się Koziętulski o nieszczęściach, jakie

w ostatnich miesiącach spadły na jego rodzinę w kraju. W Małej Wsi zmarł po długiej chorobie „Pan Starosta” – Józef Walicki. Pani Klementyna po śmierci męża popadła w złą kondycję zdrowotną i z trudem sobie radziła ze stale rosnącymi kłopotami materialnymi. Starsza pani Koziętulska, poza udziałem w kłopotach córki, miała jeszcze własne poważne zmartwienia. Plotka spod Łowicza głosiła, że najwierniejszy przyjaciel rodziny, kanonik Wierciński – któremu Jan Hipolit przed wyjazdem z Warszawy wystawił był pełnomocnictwo na odnowienie dzierżawy dóbr Kompina – tak ponoć rzecz wykręcił, że dzierżawę odnowił, ale... na własne imię.

O wszystkich tych sprawach – prywatnych i publicznych – pisał Koziętulski w pierwszym, po chorobie, liście do matki, wysłanym przez specjalną okazję 4 września 1808 roku z miejscowości Santa Maria, w pobliżu Burgos.

„Droga Mamo, po dźwignięciu się z bardzo poważnej choroby po raz pierwszy biorę pióro do ręki, żeby dać znać o sobie. Nieszczęśliwy dla mnie zbieg okoliczności spowodował silną i ropną gorączkę żółciową; naszła mnie ona w podróży i gdyby nie JW Pac *, który mi zrobił miejsce w swoim koczku, byłbym zapewne zmuszony jechać na lichym wózku. Uratował mnie środek na wymioty, który mi dawano przez trzy dni z rzędu, podobnie jak inne gwałtowane lekarstwa. Myślałem, że już z tego nie wyjdę, nie mając najmniejszej wygody, tylko trochę marnej zupy, którą mi żołnierz zaprawiał z rzadka sokiem cytrynowym, a trzeba było wstawać o pierwszej albo drugiej w nocy, żeby wyjeżdżać. Dziś, kiedy tu jesteśmy od ośmiu dni, mam czas, żeby wrócić do zdrowia i odzyskać siły; trochę już jeżdżę konno, ale jestem jeszcze bardzo słaby i tak chudy, że ledwie mnie można poznać. Potrzeba mi teraz dobrych osób z Małej Wsi, żeby mnie doprowadzić do zdrowia. Mam dużo wdzięczności dla JW Paca, z którym mieszkam, on jeszcze opiekuje się mną jak swoim własnym bratem. Jeżeli

* Ludwik Michał Pac – jeden z członków-zaloźycieli Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny.

W sierpniu 1808 r. mianowany szefem szwadronu.

170

Mama zobaczy JW Feliksową Potocką, jego siostrę, zechciej podziękować jej ode mnie. Pułkownik także daje mi dowody swej dobroci. Spotkaliśmy się z Trzczińskim, co sprawiło mi wielką przyjemność, bo mogłem przynajmniej porozmawiać z nim o tym wszystkim, co mam najdroższego. Mama wie, że dostałem rozkaz wyjazdu z Madrytu na wyprawę, a potem, żeby dołączyć do korpusu marszałka Bessieresa. (Dalszy ciąg pisany jest w oryginale po polsku – prawdopodobnie przez wzgląd na cenzurę), W trzy dni po moim wyjściu przyszła wiadomość do króla, że korpus generała Dupont z 17 tysięcy, który był

otoczony przez Hiszpanów w górach Sierra Morena, bijąc się przez dłuższy czas z niemy, niemając jeść tylko pszenicę, którą tłokli y pili zwodą; Nakoniec bijąc się po desperacku nie mogli się przebić przez sto tysięcy hisz; musieli się poddać;

ta armia obróciła się potem na Madryt. Król po odebraniu tej wiadomości, był przymuszony opuścić Madryt, niemając dosyć wojska gdy się ta wiadomość rozniosła po mieście, zrobił się sądny dzień, wszystkie familie francuzkie osiadły nawet od trzydziestu lat również jak y insi poporzucali swoje majątki – y wozami, konno, na mułach uciekali iak mogli – Król w parę dni później wyjechał; Nasi officerowie wszyscy, zaczawszy od Pułkownika Rzeczy swoje zostawili w Madrycie, również y ia zostawił moje niemiałem gdzie ich zabrać, a potem w kampanii na którą szliśmy wcale nam nie były potrzebne y owszem były by tylko ciężarem. Więc te Rzeczy, które zostały w Madrycie kazał officer który tam był zostać z choremi, poznosić do koszar, upakować na wóz; y gdy ariergarda już wychodziła zaprzęgli trzy konie, które ciągnąć nie chciały;

tu rozumiejąc że już nieprzyjacieli w mieście. Generał przybiegł, kazał postronki obciąć, konie zabrać a wóz zostawić. Więc tym sposobem wszystkośmy utracili. Azatym kanonik Wierciński może być spokojny swemy komplanacyą *, gdyż Hiszpanom się dostały. Obiecał nam Marszałek wygad-

• Komplanacya – skrypt dłużny, pełnomocnictwo. Koziętulski miał zapewne na myśli odpis pełnomocnictwa na odnowienie dzierżawy Kompiny.

171

grodzić nasze straty, ale małą nadzieję mamy. Nasza armia biwakuje między Pankorbo y Burgos – stoiemy dosyć spokojnie, czekamy posiłków, y choć cały kraj jest pod Bronią, mamy nadzieję go uspokoić. Takie więc nieszczęścia, strata Pana Starosty, wiadomości o Wiereińskim, który iak mi mówią – to zdaje się, że na siebie wziął Kompinę, oczym Mama bądź łaskawa mi donieść; nakoniec zguba moich rzeczy, mundurów nowych które kazałem porobić, nie mogły iak mi dożywego dokuczyć. Donieś mi mama o swoim zdrowiu y siostry gdyż to co mię najbardziej interesują. (Od tego miejsca w języku francuskim). O Boże, dlaczegóż nie mogę być razem z Wami na ósmego (8 września – dzień imienin matki i siostrzenicy Koziętulskiego. M.B.) w Małej Wsi, jakie szczęście byłoby to dla mnie, żeby Mamie powiedzieć żywym głosem wszystko to, czym dla niej jest przepojone moje serce, a czego nie mogę dostatecznie wyrazić w liście. Moje dni są Twoje, Mamó, i mam nadzieję, że Opatrzność zechce moje dni zachować, bym Ci mógł je poświęcić.

Żegnaj, moja droga Mamó, całuję Twoje stopy z całego mojego serca, ściskam moją siostrę z najsilniejszymi uczuciami czułości braterskiej, tak samo jak i małą Marię, i całą rodzinę
(-) Koziętulski.

Postscriptum. Zechciejcie mnie przypomnieć pamięci wszystkich osób, które się mną interesują. Do kanonika

Wiercińskiego nie piszę, ale sędzę, że powinien on być bardzo zadowolony po wzięciu w dzierżawę tyle ziemi, życzę mu dużo powodzenia. 4 września 1808 w Santa Maria. Adresujcie moje listy do Wielkiej Armii w Hiszpanii. Poczta Wojskowa.

Po ustąpieniu króla Józefa Bonapartego z Madrytu zaczął się ogólny odwrót Francuzów za Ebro. Pułk Krasińskiego szedł w tylnej straży, dowodzonej przez generała Lassalle'a – i osłaniał niesławną ucieczkę „monarchy z awansu”.

Przed przejściem Ebro, nad rzeczką Arianzon, Józef Bona-

172

parte dokonał przeglądu pułków gwardii, a między nimi i polskiego pułku szwoleżerów. Najukochańszy brat cesarza nie wywarł dobrego wrażenia na Polakach. Odczuwali głęboką pogardę dla tego „nowego króla, który ledwie się pokazał w swojej stolicy, uchodził przez nikogo nie ścigany”. Kronikarz pułku z niesmakiem stwierdzał: „Postawa króla pretendenta do korony hiszpańskiej nie wydała nam się bynajmniej wojskową i zdawało nam się, że Murat byłby lepiej odpowiedział widokom Napoleona i potrzebom samej Hiszpanii...”

Natomiast spodobał się szwoleżerom ogromnie ich nowy zwierzchnik, generał Antoni Karol Ludwik hr. de Lassalle, jeden z najwybitniejszych dowódców kawalerii francuskiej. Było to zresztą upodobanie wzajemne. Krótkotrwałe stosunki Lassalle'a ze szwoleżerami pozostawiły po sobie trwałe ślad. Francuski kawalerzysta do tego stopnia zaprzyjaźnił się z polskimi podwładnymi, że napisał rymowaną pieśń „dla narodu polskiego”, którą „pułk cały z zapalem śpiewał”. Perspektywy przymierza francusko-polskiego nakreślone zostały w tej pieśni tak osobliwie, że trzeba ją tu przytoczyć (z zachowaniem oryginalnej pisowni).

Les Francais etaient en Polegne
UEspagne voit des Polonais
L'Europe verra sans vergogne
Regner Franfais et Polonais

Quelle nation est assez forte
pour ressister a lew effort?
Polonais, Francais font en sorte
de mettre tout le monde a mort.

A w przekładzie na język polski:

Francuzi byli w Polsce
Hiszpania widzi Polaków
Europa bez wstydu ujrzy
panowanie Francuzów i Polaków.

173

Któryż naród jest dość silny
by wytrzymać ich napór?
Polacy, Francuzi, jak się zavezma
to wszystkich pouśmiercają.

Wobec cofania się wyborowych korpusów francuskich przed gorzej uzbrojonymi nieregularnymi wojskami powstańców, zaborczy optymizm pieśni Lassalle'a brzmiał nieco przesadnie, ale szwoleżerom on odpowiadał. Niezachwianie wierzyli w ostateczne zwycięstwo Cesarza-Zbawcy. „Zaufanie nasze w potęgę Napoleona i w doświadczeniu naszych dowódców francuskich było bez granic – pisał Józef Załuski. – Czuliśmy w sobie przekonanie, że w razie starcia się z nieprzyjacielem żadne wojsko nam się oprzeć nie zdoła; należeliśmy do korpusu najlepszych wojsk francuskich, który świeżo odniósł był świetne zwycięstwo, co popłoch i przestraszenie szeroko po Hiszpanii zwłaszcza północnej rozniosło; nie pojmovaliśmy, jak generał Dupont, który w tylu bitwach tak się był odznaczył, mógł się dać zwyciężyć powstańcom nawet hiszpańskim; jak marszałek Bessieres, wódz gwardyi, mógł się dać namówić do cofania się przed pobitym nieprzyjacielem...”

Sam Napoleon w tym czasie wcale nie podzielał optymizmu Lassalle'a i szwoleżerów. Rozpoczynając działania wojskowe w Portugalii i w Hiszpanii, liczył się z krótkotrwałą okupacją i całkowitym spacyfikowaniem Półwyspu Iberyjskiego. Klęski Duponta i Junota ten plan pokrzyżowały. Bunt hiszpańskich „oberwańców i nędzarzy” zaskoczył cesarza i odbił się szerokim echem po napoleońskiej Europie. Na budowanym przez Napoleona gmachu Wielkiego Cesarstwa – które miało w pokoju i ku chwale dynastii Bonapartych konsumować zdobycze Wielkiej Rewolucji – zarysowało się pierwsze pęknięcie. W sferze wpływów francuskich poczęły się mnożyć punkty zapalne i zapowiedzi dalszych buntów. Zwycięstwo Anglików w Portugalii przerwało łańcuch blokady. Przejęta w tym samym czasie przez wywiad francuski tajna korespondencja prusko-au-

174

striacka ujawniła przygotowania powstańcze w podbitych Prusach i ewentualność zbrojnego wystąpienia Austrii.

Napoleon odpowiedział na te niepokojące fakty błyskawiczną kontrakcją. Zdradzieckie Prusy przygniótł olbrzymią kontrybucją pieniężną oraz zaostrzeniem zarządzeń okupacyjno-kontrolnych; zbrojeniom Austrii przeciwstawił wzmożone starania o zacieśnienie sojuszu francusko-rosyjskiego. Obawy starszej pani Kozietulskiej, wyrażane w jej listach styczniowych, znowu nabierały aktualności.

W końcu września 1808 roku w Erfurcie doszło do drugiego po Tylży „spotkania na szczycie”. Przez kilkanaście dni cesarz Zachodu i cesarz Wschodu demonstrowali przed światem swoją przyjaźń. Wymieniali ostentacyjnie uściski i pocałunki, występowali razem na rewiach, balach, polowaniach, przejażdżkach konnych i w teatrze. „Chodziło o to – pisze

historyk – żeby wszystkie przejawy czułości odbywały się publicznie. Dla Napoleona te pocałunki utraciłyby całą słodycz, gdyby wieść o nich nie dotarła do Austriaków, a dla Aleksandra, gdyby nie mieli się o nich dowiedzieć Turcy".

Pomimo całej tej serdeczności Napoleonowi nie udało się osiągnąć w Erfurcie tego, na czym zależało mu najbardziej. Car uchylił się stanowczo od interwencji w sprawie zbrojeń Austrii – co stawiało jednocześnie pod znakiem zapytania czynne wystąpienie Rosji po stronie Francji w razie wybuchu wojny austriacko-francuskiej.

Do nieustępliwości miękkiego zazwyczaj Aleksandra przyczynił się w niemałym stopniu jeden z najbliższych współpracowników Napoleona – Talleyrand. Ten sprzedajny a dalekowszroczny polityk już w Erfurcie zdradził swego władcę na rzecz tych, których uważał za przyszłych panów Europy. W tajnych pertraktacjach, nawiązanych podczas zjazdu, były kierownik francuskiej polityki zagranicznej i aktualny „wielki szambelan cesarstwa” wzywał „cywilizowanego cesarza rosyjskiego”, by ratował Europę przed szalonymi ambicjami barbarzyńcy Napoleona i nie dał się użyć jako narzędzie do

175

rozbrojenia Austrii. Aleksander posłuchał tych rad, wysoko opłaconych przez rząd austriacki, i oparł się żądaniom Napoleona.

Wyjeżdżając z Erfurtu cesarz Francuzów nie wiedział jeszcze o zdradzie swego doradcy; natomiast zdawał sobie sprawę z tego, że niepewny sojusz z carem nie wystarczy do zagwarantowania pokoju europejskiego. Dla utrzymania francuskiego status quo w Europie konieczne było jak najszybsze zlikwidowanie buntu za Pirenejami.

Na odsiecz stutysięcznej armii francuskiej, walczącej w Hiszpanii, wysłano dalsze sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy. Napoleon podążył za wojskiem i przejął w swe ręce bezpośrednie kierownictwo kampanii.

18 października 1808 roku Jan Leon Hipolit Koziętulski pisał do matki z biwaku pod Mirandą:

„Moja droga Mamo, chociaż nie mam Ci nic nowego do powiedzenia, piszę Ci jednak z prośbą, żebyś mi raczyła podać wiadomości o zdrowiu mojej siostry i o Twoim zdrowiu, bo już od wieku ich nie dostałem. Od pewnego czasu jesteśmy na wysuniętych placówkach, twarz w twarz z nieprzyjacielem, mając z rzadka spokojną noc, z tym że nie ma wielkich strat w ludziach. Hiszpanie, znacznie liczniejsi od nas, nie są bardzo przedsiębiorczy, co jest naszym szczęściem, bo bylibyśmy od dawna zniszczeni, gdyby byli podobni do kozaków. Czekamy z największą niecierpliwością na nowe siły, żeby iść naprzód, i mamy nadzieję, że jak tylko będziemy silniejsi, to nie potrwa długo, jak staniemy w Madrycie; wprawdzie mówią, że armie hiszpańskie są bardzo liczne, ale ponieważ nie są zaprawione

w boju, jest niemożliwe, żeby się nam oparły. Furażu jak dotąd nam nie brakuje, a to jest najważniejsze. Czuję się teraz dobrze, ale jestem tak wrażliwy na zimno, że noszę ubranie na ubraniu, nie mogąc się rozgrzać. Trzeciński też czuje się bardzo dobrze. Pułkownik przedstawił go do awansu na ka-

176

pitana, ale jego nominacja jeszcze nie nadeszła. Mamy też nowego szefa szwadronu, pana Paca, który jest przy sztabie marszałka Bessieresa. Jankowscy kazali prosić Mamę, żeby zechciała powiedzieć pani Karskiej, że mają się dobrze, ale że nie dostają wiadomości od swojej Matki; jak widzę, są oni pod tym względem w tak samo nieszczęśliwym położeniu jak ja... Napisz mi proszę, czy wody zrobiły dobrze mojej siostrze, czy odzyskała zdrowie, czy jest spokojniejsza i jakie są jej zajęcia. Wszystko to interesuje mnie nieskończenie, bo możecie być przekonane, że chociaż jestem w Hiszpanii, moje myśli i moje serce są zawsze razem z nią i z Tobą, moja droga Mamó. Uściskaj ją serdecznie ode mnie, a także małą Marię;

wiele pięknych słów dla... wszystkich osób, które o mnie jeszcze nie zapomniały. Żegnaj, moja droga i czuła Mamó, ściskam Cię milion razy z całego serca. (-) Koziętulski".
W tym samym czasie Tomasz Łubieński donosił żonie:

„...Tu mamy szkaradny obóz bez domu, a deszcz ciągle pada. Dowodzę tutaj dwoma pierwszymi szwadronami, Koziętulski dwoma drugimi. Obecnie ciągle mamy marsze i kontrmarsze i rzeczywiście większa część ich bez żadnej potrzeby...

...Dzisiaj zrobiłem wycieczkę, aby zwiedzić niedaleki klasztor zupełnie złupiony. Smutny to był widok, szczególnie starzec 82-letni, ślepy, nie mogący się ruszać, przerażony tym wszystkim, co zaszło, wzbudza naszą litość. Żołdacy zabrali mu wszystko z celi i wyrwali mu z rąk ostatni kawałek czekolady (!!-M.B.). Zrobiliśmy małą składkę dla niego pomiędzy sobą i uklękłszy wszyscy razem, odebraliśmy jego błogosławieństwo. W tej właśnie chwili przyszło kilku chłopów z okolicy, ażeby go zanieść w miejsce bezpieczniejsze. Postępek tych chłopów, pomimo doznanych klęsk przychodzących ratować starca, który może być dla nich tylko ciężarem, dobrze świadczy o tej ludności. Dumni, przywiązani do dawnych obyczajów, smutni, spokojni, mściwi i nieokrzesani, lepsi są jednak od wielu narodów cywilizowanych pod względem oby-

12 - Koziętulski t. I

177

czajowości i sumienności. Jedyna rzecz, jakiej im nie staje, to rządu uczciwego...

...Mieszkamy razem z Koziętulskim. Jest to bardzo poczciwy chłopiec, z którym we wszystkim się zgadzamy..."

• Na podstawie tych dwóch bezpośrednich świadectw, uzupełnionych przez relacje pamiętnikarskie, można sobie dość dokładnie wyobrazić, jak wyglądało życie szwoleżerów w okresie, poprzedzającym drugą ofensywę na Madryt. Po połączeniu się regimentów pułk miał już pełny skład etatowy – 800 koni. Ale regimenty nadal występowały oddzielnie, gdyż służba ówczesna ograniczała się do podjazdów i wycieczek małych oddziałów oraz do wystawiania placówek, patroli i forpoczt razem z pułkami lekkiej jazdy generała Lassalle'a. Regiment pierwszy – którym, pod nieobecność przebywającego jeszcze ciągle we Francji gros-majora Delaitre'a, dowodził osobiście pułkownik Krasiński – operował w rejonie Santa-Maria de Cubo; regiment drugi, pod dowództwem gros-majora Dautancourta, miał swoją bazę w Briyiesce.

Monotonie ciągłych marszów, kontrmarszów i podjazdów raz tylko zakłóciło wydarzenie smutne i niezwykle – pierwszy wypadek szwoleżerskiej dezercji. „Zdarzył się wówczas bezprzykładowy, jeden w swoim rodzaju wypadek – pisze Józef Żałuski – że podoficer Żellizer (według spisów pułkowych:

Christian Zegliger–M.B.) z pod Brivieski uszedł, czy do nieprzyjaciela, czy w lasy i góry – nie było wiadomo. Podoficer ten odznaczał się służbowością i zapalem, bo będąc oficerem w 3 pułku piechoty Księstwa Warszawskiego wstąpił był na szeregowego do naszej gwardyi; ale zabójstwo spokojnego włościanina hiszpańskiego, podczas gdy Żellizer dowodził placówką, przez jenerała francuskiego objeżdżającego forpoczty odkryte, poddawało go pod sąd wojenny, czego Żellizer unikając, zniknął w nocy, nie czekając aresztu; nie wiadomo, czy sobie odebrał życie, czy szukał gdzie przytułku. Wypadek ten zrobił w pułku bolesne wrażenie, bo podawał jenerałom francuskim powód posądzania nas, że byliśmy

178

zdolni do dezercji, co bynajmniej nie mogło być naszą wadą, ale przykład takiego podoficera był bez odparcia”.

Pewnego razu, po powrocie z placówki, Kozietułskiemu doręczono w sztabie korpusu list od matki. List był wysłany z Polski latem – a więc stosunkowo niedawno – ale sta- rościna będzińska nie wiedziała jeszcze o wyjeździe syna z Madrytu, dlatego też niektóre z zaleceń zawartych w liście trudne były do zrealizowania w warunkach życia polowego. „Dokuczają mi tu powtarzaniem – pisała pani Kozietułska – że tytoń ciągniesz, że się pochyło trzymasz, że Twoja figura już jest nie do poznania. Łatwo sobie wystawisz, że to i żartem powiedziane nie może mnie nie dotyczyć. Miej to zawsze na pamięci, że pomimo koncypiów uczciwości, które wzięłeś z Twoją dziecienną edukacją... potrzeba mieć nieustanne staranie o powiększenie Twoich nauk i wiadomości, ale... i o awan- tazach powierzchownych nie potrzeba zapominać nigdy ani się w tych opuszczać... Kiedy znajdziesz sposobność, żebyś zaraz starał się nauczyć Kontredansów francuskich... gdyż i tu już prawie ten taniec tańczą. Spodziewam się, że w tych wszystkich tak gwałtownych marszach masz staranie o Twojem

zdrowiu, że informujesz się od waszych doskonalszych doktorów, jak się masz w takich zdarzeniach sprawować, co masz brać dla chłodzenia krwi i żebyś zawsze miał moc nad sobą do wstrzymywania się od tego, co by mogło Cię narazić na ruinę zdrowia. Twoje b e I l e s aż dotąd zdają się na Ciebie czekać, ta jedna kuzyna, a druga nad brzegiem Wisły mająca swoje miliony... Ale abyś tylko tytoniu nie ciągnął, nie roztył się, żebyś w niczem nie zmniejszył tych awantazów przynajmniej, z którymiś wyjechał..."

Nie wiadomo, jak nasz bohater zareagował na rozczulające rady matki, gdyż jego odpowiedzi na ten list nie znalazłem w zbiorach krośniewickich. Należy jednak przypuszczać, że nie od razu zabrał się do podciągania swych „awantazów powierzchnowych”. Przeszkodziła mu w tym wielka ofensywa francuska na Madryt, która rozpoczęła się w drugiej połowie

179

października 1808 roku. W liście do siostry, pisany 24 października, na biwaku marszowym w Pontetura, odbija się już wyraźnie nowa sytuacja strategiczna.

„Korzystam z odrobiny czasu, jaka mi pozostaje, żeby do ciebie napisać, moja droga i czuła siostró. Nareszcie przyszła nasza kolej, żeby iść naprzód, maszerujemy już od dwóch dni, nie napotkawszy nieprzyjaciela, który chciałby nam stawić opór. Dziś w nocy mamy przejść przez góry, za którymi spodziewamy się znaleźć znaczniejsze siły, ale ponieważ posuwamy się w kilku punktach, wszystko pozwala wierzyć, że zwycięstwo będzie nam sprzyjać, zwłaszcza że Bóg Wojny, który jest oczekiwany drugiego (listopada—M.B.) w Bayonne, przybędzie bez zwłoki, by przebiec nasze szeregi. Jego obecność z pewnością rozbudzi entuzjazm, uspijony przez niepowodzenia. Nasze siły rosną z dnia na dzień dzięki Armii Północnej i płoniemy chęcią, żeby iść naprzód i zakończyć tę męczącą kampanię. Pragnąłbym bardzo, żeby nas posłali do Portugalii i do Kadyksu, a potem z powrotem do Francji. Jest prawdopodobne, że nie pozwolą nam tu na długi pobyt i że pójdziemy w jakieś weselsze okolice. Wszystko to są piękne projekty, będzie nam o wiele lżej na sercach, kiedy już raz wyjdziemy z tego miłego i interesującego kraju. Wyznam Ci, droga siostró, że zwłaszcza ja jestem w tym bardzo zainteresowany, nie wątpię bowiem, iż w pierwszej potrzebie, w której pójdziemy do walki, byle tylko była poważniejsza, zostanę przedstawiony do krzyża i z satysfakcją będę mógł twierdzić, że zawdzięczam go jedynie samemu sobie. Moja droga Duszko, poproś Mamę, żeby się nie niecierpliwiła, jeżeli do niej zaraz nie napiszę... Nie przeoczę żadnej okazji, ale nie wiadomo, kiedy ją znajdę. Ponieważ Twoje imieniny będą 22-go przyszłego miesiąca, a ten list nie przyjdzie wcześniej, przyjmij, droga siostró, całym Twoim dobrym sercem moje najserdeczniejsze życzenia, przyjmij je, bo pochodzą od brata, który pragnie tylko Twojego szczęścia i w ten sposób znajdzie i swoje. Zechciej powiedzieć Mamie, której stopy całuję milion razy, że właśnie

W Hiszpanii mogę najlepiej zastosować wiersz, który dostałem od Mamy w dzieciństwie, a który zaczyna się od słów: „Ani czas, ani nieobecność...” Niestety, został on w Madrycie. O moja droga siostrzo, muszę się oderwać od Ciebie; słyszę drugą trąbkę, za kwadrans siadamy na koń. Żegnaj... (dalej parowierszowy ustęp, wycięty nożyczkami – prawdopodobnie przez cenzurę—M.B.)

Postscriptum: JW Tomasz i Franciszek Łubieńscy prosili mnie, żeby ich przypomnieć Twojej pamięci. Obaj mają się dobrze, tak samo jak i ja, żyjemy najczęściej razem. Trzeciński też się dobrze czuje, ale jest teraz od nas oddzielony. Żegnaj jeszcze raz. Nadzieja moja w Twojej szczęśliwej gwieździe i w gwieździe Mamy, one będą mnie wiodły wszędzie. Pontetura 24 października 1808".

W pierwszych dniach listopada 1808 roku do Hiszpanii zaczęły napływać nowe wojska francuskie, złożone z wybo-
rowych korpusów weteranów Wielkiej Armii, dowodzonych przez sławnych marszałków. Do Yittorii 5 listopada przybył sam Napoleon, w Briyiesce założył swoją kwaterę główną marszałek Soult. Dla szwoleżerów polskich rozpoczęły się -pracowite dni; krążyli nieustannie z meldunkami od jednej kwatery głównej do drugiej.

„Dnia 8-go listopada – pisze Józef Załuski – wysłał mnie pułkownik Krasiński pocztą konną z Briyieski do Yittoryi, z raportami marszałków Souлта i Bessieresa do świeżo przy-
byłego cesarza. Pocztowe konie były tak umęczone przez nieustanne jazdy kuryerów, że dwa razy musiałem odbywać stacye pocztowe na mułach i dwa razy się w tej powolnie pośpiesznej jeździe przewróciłem; przybyłem więc do Yittoryi do sztabu cesarskiego w stanie ubrania nie chlubnym dla umundurowania pułku gwardyi polskiej i wahałem się, jak w tym stanie potłuczenia i obdarcia stawię się przed cesarzem. Lecz lubo ten na takie drobności nie zwykł był uważać, nie

181

dostałem tego szczęścia i tylko byłem przyjęty przez księcia Neufchatelskiego (marszałka Berthiera – M.B.), który widząc mój stan nadwerżenia, powiedział mi z uśmiechem, abym nie tracił czasu, ale wypoczął i połatał się, bo niebawem będę ekspedowany napowrót z pilnemi rozkazami. Istotnie, po niewielu godzinach, zostałem do księcia Neufchatelskiego wo-
łany i przez tegoż do marszałka Souлта nazad wyprawiony. Koło północy (9 listopada – M.B.) stanąłem w Briyiesce i zostałem natychmiast wprowadzony do kwatery marszałka Souлта, który razem z marszałkiem Bessieresem, oba w jednej izbie, jeden na łóżku, drugi na kanapie, całkowicie ubrani, w butach długich odpoczywali, w niczem od innych oficerów nie różniąc się w noclegu, tylko że zamiast kapeluszków, mieli na głowie: marszałek Soult duchenkę jedwabną czarną, a mar-
szałek Bessieres chustkę fularową kolorową... Tak to marszał-
kowie, diuki Dalmacyi i Istrii, pełnili służbę i czuwali na wojnie

pod Napoleonem...

Odbyszy się u marszałków Soulta i Bessieresa, udałem się do pułkownika Krasińskiego, złożyć mu raport z posyłki mojej do Yittoryi. O drugiej godzinie rano pułk nasz był na koniu, występując po raz pierwszy w całym komplecie do boju".

Tak wyglądało przygotowanie do pierwszego wielkiego zwycięstwa nowej ofensywy. 10 listopada 1808 roku wojska Soulta, wspomagane przez jazdę Lassalle'a, pobiły na głowę Hiszpanów pod Burgos. W pięć dni potem Tomasz Łubieński pisał do żony:

„Lerma, 15 listopada 1808 roku
...Przybywszy do Burgos zastaliśmy już bitwę rozpoczętą i byliśmy jej świadkami. Dopiero w chwili, kiedy szala zwycięstwa przechylała się na naszą stronę, dano nam rozkaz gonienia i pędzenia przed sobą nieprzyjaciela. Przez cały ten dzień zrobiliśmy dwanaście mil tutejszych drogi (około 80 km—M.B.). Nocowaliśmy w Sarrago, wsi o 3 mile za Burgos, nabrawszy dużo niewolnika. Nic nie piszę o okropnościach, których byłem świadkiem w ciągu dnia, jest to niedobra strona naszego

182

zawodu. Na drugi dzień posunęliśmy się, by stąd wygnać nieprzyjaciela. Od trzech dni trzymamy się tego miejsca, nie mając dzień i noc spokoju. W tej chwili otrzymujemy rozkaz cofnięcia się do gwardyi. Będę miał znowu niewypowiedziane szczęście być blisko i strzec osoby Wielkiego Człowieka. Franciszek i Koziętulski kłaniają Ci się; żyjemy wszyscy trzej razem, jak prawdziwi bracia, śpiemy obok siebie, jadamy razem, nawet mamy jedną wspólną kasę..."

Z wydarzeniami, opisanymi w liście, kojarzą się dwie późniejsze informacje, o których trzeba tu wspomnieć.

Wydawca papierów rodzinnych Tomasza Łubieńskiego, jego wnuk i biograf, Roger Łubieński, pisze w swoim szkicu biograficznym, że po powrocie pana Tomasza z Hiszpanii Napoleon wypytywał go przy jakiejś okazji o szczegóły pochodu lekkokonnych z Burgos do Lermy. „Tomasz mu opowiedział, że wtedy miał kilkuset ludzi więźniów, ale ich puścił na wolność, bo w szybkim marszu nie chciał swego oddziału nimi zajmować, tym więcej, że byli to sami prawie ranni i wszyscy bezbronni. Na to Napoleon mu odpowiedział: — Trzeba było ich zabić. — I od Tomasza się odwrócił".

Biograf utrzymuje, że po tej rozmowie Tomasz Łubieński zmienił całkowicie stosunek do uwielbianego Wielkiego Człowieka.

Znacznie głośniejszą reperkusję Wywołał pobyt Polaków w Lermie.

Awantura wybuchła dopiero w roku 1856—a więc prawie w pół wieku po opisywanych wypadkach—w toku burzliwej

polemiki prasowej na temat szwoleżerów w Hiszpanii. Trzeba dodać, że w owym czasie w Polsce, a zwłaszcza w zaborze austriackim, odradzał się z nową siłą mit napoleoński, gdyż Napoleon III wzorem swego wielkiego stryja kokietował Polaków i coraz ostrzej zadzierał z Austrią. Atmosfera sprzyjała więc wspominkom szwoleżerskim, ale jednocześnie zachęcała do wykorzystywania ich dla różnych celów politycznych.

Przyczyną skandalu stała się „z niepospolitym talentem na-

183

pisana" opowieść wspomnieniowa o bitwie somosierskiej, ogłoszona w Kalendarzu Krakowskim na rok 1856. Nie ujawniony z nazwiska autor tego utworu, podający się za „majora i uczestnika bitwy”, występował z fantastycznym twierdzeniem, że „bitwa pod Somosierrą była przykładem i nauką, jak to bezbożność w wojnie karana bywa”. W rozwinięciu swej tezy „major” – operując konkretnymi nazwiskami – dowodził, że „szwoleżerowie, którzy zginęli pod Somosierrą, brali przedtem udział w splądrowaniu kościoła katolickiego w Lennie”.

Enuncjacje Kalendarza Krakowskiego Wywołały zrozumiałą burzę. W imieniu żyjących jeszcze wtedy uczestników bitwy pod Somosierrą, pułkowników: Piotra Krasińskiego, Gabriela Siemiońskiego i Jędrzeja Niegolewskiego, odpowiedział „majorowi” generał Józef Załuski, kronikarz pułku. Załuski wykażał kilka rażących nieścisłości rzeczowych w opowieści anonimowego autora, a jego główny zarzut uznał za wyssane z palca oszczerstwo, oświadczając z całą stanowczością w imieniu własnym i kolegów, że podczas pobytu w Lermie nie było mowy o żadnym „rabunku tamecznego kościoła przez gwardyę polską”. Anonimowy „major” – o ile wiem – dalszej polemiki prasowej nie podjął i nazwiska swego nie ujawnił.

Niemniej jednak opowieść z Kalendarza Krakowskiego – pomimo oczywistej absurdalności swej tezy moralnej i licznych błędów w realiach – musiała zawierać jakieś elementy jeżeli nie prawdy, to w każdym razie bardzo wczesnie zrodzonej legendy. O tym, że już w czasie kampanii hiszpańskiej szalały po Warszawie plotki na temat gorszącego incydentu, w którym mieli uczestniczyć polscy szwoleżerowie, świadczy niezbitcie piękny list starszej pani Koziętulskiej do syna, pisany wczesną wiosną 1809 roku:

„...Tu mają wiadomość, że wasz regiment w Hiszpanii miał szukać zdobyczy i... pozwalać sobie excessa; choć temu nie chcę wierzyć, ale pomyślenie każde, że taka opinia tylko mogłaby być o Polakach, sił mnie pozbawia. Polacy mogliby

184

być tak podli, żeby dla jakiegoś zysku powiększali liczbę niešťęśliwych. O mój Jasiu, czyliż nie potrzebaby się wyrzec nazwiska Polaka... Ale to nie powinno Cię desperować, bo choć cnota ma zawsze i wszędzie swoją zasługę, ale w liczbie

uchybiających więcej ma jeszcze blasku..."

Po zwycięstwie pod Burgos francuskie natarcie ruszyło w kierunku stolicy. Cesarz – posuwając się naprzód z korpusem gwardyjskimi marszałka Bessieresa, księcia Istrii oraz z korpusem marszałka Yictora, księcia Belluno – porzucił główny trakt madrycki na Yalladolid i Segowię, a wybrał drogę krótszą, lecz znacznie bardziej ryzykowną – na Lermę i Arandę. Prowadziła ona z Burgos do Madrytu w linii geometrycznie prostej, ale wymagała przejścia przez góry Ayllon, stanowiące zachodnią odnogę Guadarramy.

Blisko czterdziestotysięczna armia francuska otrzymała zadanie przedarcia się przez góry wąskim gardłem wąwozu Somosierrą. Rezydująca w Aranjuezie powstańcza Junta Najwyższa postarała się zawczasu uczynić z tej bramy górskiej, otwierającej drogę do stolicy, twierdzę nie do zdobycia. Przełącz obsadzono silnym zgrupowaniem artylerii oraz trzynastotysięcznym korpusem piechoty pod dowództwem jednego z najlepszych generałów hiszpańskich – don Benita San Juana.

Marsz bojowy Francuzów w kierunku gór – wąskimi, wyboistymi drogami, w ciągłych utarczkach z podjazdami nieprzyjaciela – musiał być niezmiernie trudny. Wystarczy powiedzieć, że przebycie 120-kilometrowej odległości między Burgos a Somosierrą zajęło im przeszło dwa tygodnie.

Dla lekkokonných polskich te dwa tygodnie były specjalnie uciążliwe. Tylko jeden szwadron, pełniący służbę przy cesarzu, maszerował stale z kolumną główną. Reszta pułku była w stanie ciągłego rozproszenia. Poszczególne oddziały wysyłano na podjazdy i rekonesanse, nieraz bardzo oddalone od zasadniczej trasy marszu. W starciach z nieprzyjacielem zginęło kilku

185

szeregowych. Jeden z pamiętoikarzy szwoleżerskich, prosty żołnierz Kazimierz Szpotański, pisał: „Cesarz Napoleon tak polował szwoleżerami jak chartami... Nie mieliśmy spoczynku i do tego przyzwyczailiśmy się, żołnierz jadł, nie jadł, pił, nie pił, dlatego się dobrze bił. Dusza i ciało zahartowały się, uciekać było hańbą, gonić i bić uciechę; konie nasze były żelazne, wszystkie trudy wytrzymywały..."

Od Arandy funkcję dowódcy pułku pełnił szef pierwszego szwadronu Łubieński, gdyż pułkownik Krasiński „podobno chorował” i nie oddalał się od sztabu. Pan Tomasz donosił o tym żonie z nie ukrywanym przekąsem.

29 listopada 1808 roku przednie straże francuskie dotarły do gór. Napoleon stanął kwaterą główną w Bocequillas, miasteczku odległym o parę kilometrów od Somosierry, i natychmiast wyruszył konno w kierunku pozycji nieprzyjacielskich. Szwoleżerów rozmieszczono między Bocequillas a Somosierrą, prawdopodobnie w wiosce Cerejas de Abajo. Pułk wysunął w stronę gór łańcuch placówek. Szwoleżerowie uczestniczący w tych placówkach widzieli cesarza, przeprowadzającego oso-

biście rozpoznanie terenu. Prawdopodobnie już w czasie tego pierwszego zwiadu Napoleon zdał sobie sprawę z niezmiernych trudności czekającego go zadania. Jeden z polskich kronikarzy operacji somosierskiej w ten sposób opisuje pozycję obronna Hiszpanów:

„Rzeczywiście zdawała się ona ze wszech miar niepodobna do zdobycia; droga zwężona w tym wąwozie wiła się na pochyłości góry między skałami, obsadzonymi piechotą, a na czterech jej zagięciach stało po cztery dział, które ją ostrzeliwały we wszystkich jej kierunkach. Napoleon mógł być wprowadzić obejść tę ogromną przeszkodę; o kilka pochodów bowiem na lewo urywa się łańcuch Guadarramy i droga idzie równiną do Madrytu, ale poprowadziwszy wojsko takim półkolem, byłby na tyłach swoich zostawił korpus hiszpański, który by mu wszystkie komunikacje przecinał...”

Po odbyciu rekonesansu cesarz; powrócił do Bocequillas

186

i zajął się opracowaniem dyspozycji na dzień następny. 30 listopada 1808 roku wczesnym rankiem rozpoczęła się najślawniejsza bitwa kampanii hiszpańskiej.

n

Bitwa pod Somosierrą ma przebogata literaturę i ikonografię. Historyczną szarżę Polaków opisywano i analizowano w niezliczonych pracach naukowych i utworach literackich – polskich i obcych; dziej opis konsulatu i cesarstwa, Thiers, uczynił z niej tytuł jednej z ksiąg swego monumentalnego dzieła; malowali ją: Yernet i Belange, Piotr Michałowski, January Suchodolski i dwaj Kossakowie, nie mówiąc już o dziesiątkach, jeżeli nie setkach, malarzy pośledniejszych.

Ale najbardziej miarodajną dokumentację bitwy somosierskiej stanowią świadectwa jej uczestników bądź naocznych świadków. Dokumentację tę zebrano i uporządkowano dopiero w latach 1856 – 1858, kiedy to dawny szwoleżer, a ówczesny emerytowany generał brygady Józef Załuski począł ogłaszać w miesięcznych dodatkach krakowskiego Czasu swoje Wspomnienia o Pułku Lekkokonnym Polskim Gwardyi Napoleona I.

Po ukazaniu się pierwszych odcinków Wspomnień Załuskiego, odezwali się także inni eks-szwoleżerowie: Krasiński, Niegolewski, Toedwen, Mikułowski, Zwierkowski... Siedemdziesięcioletni starcy-przeważnie emerytowani generałowie i pułkownicy, zajmujący wysokie stanowiska w hierarchii cywilnej bądź dożywający swych dni w dworach ziemiańskich Kongresówki, Galicji i Poznańskiego – chwycili za pióra, by uzupełnić obraz bojów szwoleżerskich. Czytelnicy krakowskiego Czasu mieli przez dwa lata nie lada używanie. W odpowiedzi na publikacje Załuskiego posypały się uzupełnienia, sprostowania, wyjaśnienia, poczęły krzyżować się wzajemne zarzuty i przeprosiny. Grono czcigodnych weteranów Z per-

spektywy półwiecza poddawało drobiazgowej analizie każda

187

godzinę historycznego dnia 30 listopada 1808 roku. Spierano się o założenia taktyczne Napoleona, o szczegóły bitwy, o szerokość wawozu Somosierra; polemizowano żarliwie z krzywdzącymi Polaków twierdzeniami Thiersa; rozdzielano sprawiedliwie zasługi bojowe między dawno już nieżyjących kolegów. Osłabiona wiekiem pamięć sędziwych kombatantów płałała im nieraz figle: mieszała miejsca i osoby, hiszpańskie nazwy geograficzne, nawet polskie nazwiska. Za przykład niech posłuży fakt, że jeden z głównych bohaterów Somosierry, Andrzej Niegolewski, w swoim dwukrotnie-drukowanym liście do Załuskiego (zawarty tam opis bitwy cytuje się do dzisiaj jako najpewniejsze świadectwo) dowódcę szarży Kozietulskiego uparcie nazywa Koziedulskim.

Na szczęście, kierownictwo tej rozwichrzonej batalii wspomnieniowej pozostało do końca w rękach jej inicjatora. Obdarzony niewątpliwym talentem historyka, generał Załuski pomimo podeszłego wieku zachował zadziwiająco jasność umysłu;

ponadto nie będąc uczestnikiem szarży, a jedynie jej skrupulatnym świadkiem i kronikarzem, miał na wydarzenia przeszłości spojrzenie szersze i bezstronniejsze od bezpośrednio zaangażowanych kolegów. Dzięki Załuskiemu dyskusja byłych somosierczyków nie rozpląnęła się w chaosie kontrowersyjnych sądów, lecz doprowadziła do przekazania potomności

dość klarownego (poza pewnymi szczegółami) obrazu sławnej batalii.

Oddaję głos szwoleżerom, oni sami opowiedzą o wydarzeniach owego listopadowego dnia sprzed półtora wieku.

Pisze Józef Załuski: „Trzeci szwadron, składający się z kompanii 3-ej kapitana Dziewanowskiego i z kompanii 7-ej kapitana Piotra Krasińskiego, był rano dnia 30 listopada, w obecności piszącego, pod Bocequillas wykomenderowany przez adiutanta-majora Duvivier na służbę do cesarza, a ponieważ szef szwadronu trzeciego, Ignacy Stokowski, nie był jeszcze z Francji nadjechał do pułku, a było obecnych tylko trzech szefów szwadronu: Łubieński, Kozietulski i Henryk Kamieński, więc

188

Duvivier naznaczył z kolei Kozietulskiego, ażeby z trzecim szwadronem odjechał na służbę do cesarza...”

Zabawna rzecz. Kiedy się czyta listy starszej pani Kozietulskiej z jej ciągłymi wyrzekaniami na „prędkości” jedynaka, odnosi się mimo woli wrażenie, że dowódca drugiego szwadronu lekkokonnych był w jakiś szczególny sposób predestynowany do poprowadzenia szarży somosierskiej. Tymczasem Załuski stwierdza wyraźnie, że o wysunięciu Kozietulskiego na dowódcę zadecydowała wcale nie jego osobista brawura,

lecz zwykła formalność biurokratyczna – z góry ustalona kolejność w zastępowaniu nieobecnego Stokowskiego; gdyby jakiś przypadek tę kolejność pomieszał, szarżą dowodziłby kto inny – i we wszystkich późniejszych polemikach na temat Somosierry zamiast o „koziętulszczynie” mówiłoby się pewnie o „łubieńszczynie” albo o „kamieńszczynie”.

Pisze Andrzej Niegolewski: „Rano, bardzo rano, 30 listopada, kiedy jeszcze wszyscy oficerowie nie byli powstawali, ujrzałem cesarza konno nadjeżdżającego. Porucznik Krzyżanowski jeszcze spał; bardzo trudno mi go było dobudzić, oblałem go wodą, lecz i ta ledwo zdołała sen jego twardy przerwać, tak jak gdyby przeczuwał, że to już ostatni sen chwilowy, który wkrótce śmierć bohaterska na wieczny zamieni. Cesarz pojechał w niejakiem oddaleniu na reconnaissance naprzód ku góróm. Powróciwszy zsiadł z konia i usiadł na stołku przy ogniu, którego pod drzewem zapalono. Powiadano mi, że w ten czas, kiedy cesarz przy ogniu siedział, jeden z naszych chevau-legerów przedzierał się w pośród orszaku cesarskiego do ognia, by sobie fajeczkę zapalić, od czego w bliskości stojący generałowie go wstrzymywali. Cesarz, widząc to, miał powiedzieć: laissez le faire (Pozwólcie mu to zrobić). Chevau-leger fajeczkę zapalił. Jeden z obecnych oficerów miał mu za to kazać cesarzowi podziękować, na co Chevau-leger w przekonaniu, że nie na próżno nasi tak blisko gór Hiszpanami obsadzonemi stanęli, powiedział: co ja tu mam dziękować, ja mu tam (wskazując na góry) podziękuję”.

189

I dalej Niegolewski: „Wkrótce potem kapitan Dziewanowski powołany do generała Montbrun, przednią strażą dowodzącego, wraca do nas i pyta się, na kogo z oficerów kolej służby, gdyż generał kazał wysłać oficera z plutonem na prawo w góry dla powzięcia języka. Naraz dały się słyszeć głosy: «kolej na •Niegolewskiego». Byłem najmłodszy oficer i dlatego podług zwyczaju wojskowego, słusznie czy niesłusznie, wszystko, zwłaszcza kiedy był twardy orzech do zgryzienia, na najmłodszego zwalano. Przekonany przecież będąc, że nie na mnie kolej, gdyż kilka godzin dopiero com był z reconnaissansu wrócił, powiedziałem to kapitanowi, oświadczając mu jednakowoż, że pomimo tego chętnie pójdę, jeżeli mi pozwoli wybrać sobie żołnierzy. Dziewanowski zezwolił na me żądanie. Wybrałem sobie chwatów za najdzielniejszych w kompanii zalanych... Z wybranym tym hufcem udałem się w góry, gdzie drogi nie było i tylko gdzieś między skałami ścieżki prowadziły. Po nich to po dwa, a najczęściej po jednym koniu przedzierać się trzeba było, a do tego gęsta mgła nic przed sobą rozpoznać nie dozwalała. Nad głowami tylko słychać było gwar ludu, szcęk broni, ale oko nic nie ujrzało. Piękne to położenie patrolu konnego szukającego języka! Rozkaz przecież wykonany być musiał. Nie zważając przeto na położenie tak krytyczne, tylko coraz dalej się przedzierając, nadszedłem nareszcie do wioski, w której kazałem kilku żołnierzom z konia zsiść i o jakąkolwiek żyjącą duszę się postarać. Na próżno, żołnierze powracają z oświadczeniem, że żywego ducha we wsi nie masz. Chcąc nie chcąc szedłem dalej do drugiej i trzeciej

wioski. Wszędzie pusto, wszędzie domy pootwierane, wszystkich mieszkańców już ztamtąd piechota francuska z dywizji Lapissa... w swym pochodzie do Sepulweda, gdzie oddziały przedniej straży Hiszpanów stały, wypłoszyła. W jednej tylko z tych wiosek napotkaliśmy na stado indyków. Głodni jak byliśmy, ostrząc języki nasze na ich widok, chętniebyśmy się z nimi byli rozprawili i na chwilę o szukaniu języka, gdyby nie położenie nasze, zapomnieli. Ale tak, musieliśmy się tylko

190

ich widokiem nasycić i dalej ruszać. Przedzierając się coraz dalej, nadszedłem nareszcie do wioski, przed którą stała hiszpańska piechota. Ilu ich tam było, nie wiem. Byłem ich bowiem tak nadszedł, że dla mgły gęstej ani oni mnie, ani ja ich prędzej nie mogłem rozpoznać, aż dopiero kiedyśmy o krok przed sobą stanęli. Hiszpanie wystrzelili, lecz nikogo nie raniwszy, do wsi w górach skałami otoczonej wrócili się, dokąd ja ich gonić nie chciałem. Nieświadomemu bowiem pozycyi nie pozostawało nic więcej, jak zakomenderować:

de mi tour a droite i w odwrót się puścić... W odwrocie spostrzegam, że mi z moich żołnierzy Ponińskiego brakuje. Wtem widzę go goniącego mnie, trzymając na karym swym koniu przed sobą Hiszpana, z okrzykiem: «panie poruczniku, a widzi go pan? szelma Carajo chciał mi uciec, ale go trzymam!»"

Zdobytego w tak przedziwny sposób jeńca odprowadzono do dowódcy francuskiej straży przedniej, generała Montbruna – a ten przez swego adiutanta przekazał go cesarzowi. „Zaradny adiutant – kończy Niegolewski – sam sobie zdobyć języka przypisał i za to krzyżem ozdobiony został, a o Ponińskim ani pomyślano".

W tym czasie kiedy Niegolewski przeprowadzał swój rekonesans, piechota francuska nacierała już na Somosierre. Dwie kolumny wojska, prowadzone przez idących pieszo:

marszałka Yictora i szefa sztabu korpusu generała Semele'a atakowały wawóz ruchem oskrzydłającym – z lewej i z prawej strony gościńca. 96 pułk piechoty otrzymał zadanie zasypywania rowu, wykopanego przez Hiszpanów u wejścia do wawozu, co było konieczne dla przeprowadzenia na drugą stronę artylerii konnej. Cała operacja przebiegała pod osłoną gęstej mgły i atakującym udało się podejść dość blisko do pozycji nieprzyjaciela, bez zwrócenia na siebie jego uwagi.

Ale o godzinie 9 mgła nagle ustąpiła. Hiszpanie w lot zorientowali się w sytuacji i otworzyli gwałtowny ogień; gęstość jego obliczano na przeciętnie 400 strzałów karabinowych i po 3 – 4 działowe na minutę. Pod tą lawiną kul kar-

191

taczy francuskie natarcie załamało się. 96 pułk musiał się wycofać, nie zdążwszy zasypać rowu. Artyleria konna z powodu trudności terenowych mogła tylko z dwóch dział od-

powiedzieć na koncentryczny ostrzał artylerii hiszpańskiej. Wtedy to Napoleon, zniecierpliwiony przedłużaniem się bitwy i beznadziejnymi wysiłkami piechoty, przesłał dowódcy awangardy, generałowi Montbrunowi, rozkaz, by służbowy szwadron lekkokonných szarżował na baterie hiszpańskie.

Skrupulatny Józef Załuski wyjaśnia w tym miejscu: „Cesarz byłby niezawodnie zdobył wawóz Somosierry piechotą, ale by to kosztowało kilka tysięcy zabitych i rannych, wtenczas gdy zdobycie impetyczne przez jazdę nie poniosło i stu ludzi straty”. I zaraz potem dodaje: „Napoleon posłał Polaków, bo znał skład tego pułku, że każdy gotów był lecieć oślep na śmierć dla sławy kraju, dla honoru pułku, a zwłaszcza w oczach jego samego (Napoleona)...”

To drugie wyjaśnienie Załuskiego jest szczególnie ważne. Cesarz, decydując się na zdobywanie Somosierry jazdą, mógł przecież zlecić szarżę kawalerii francuskiej. Dysponował całą jazdą gwardii i dywizją dragońską generała Houssaya. Tłumaczenie, że szwoleżerów miał pod ręką – nie wystarcza. 30 listopada służbę przy cesarzu, poza szwadronem lekkokonných, pełniły jeszcze trzy szwadrony z pułków starej gwardii: strzelcy konni, grenadierzy konni i dragoni. Francuscy gwardziści znacznie przewyższali szwoleżerów doświadczeniem wojennym; wielu z nich miało na swym koncie udział w historycznych wyczynach militarnych: w zdobyciu mostu Arcole, w przejściu przez przełęcz Św. Bernarda, w szarży pod Austerlitz...

A jednak Napoleon nie rzucił na Somosierrę swoich sławnych „własaczy”, lecz powierzył to arcytrudne zadanie nie-doświadczonym nowicjuszom z trzeciego szwadronu polskiego, których jeszcze niedawno – podczas rewii w Marrac pod Bajonną – ganił ostro za kardynalne braki w wyszkoleniu wojskowym. Załuski miał niewątpliwie rację: jedynie przyto-

192

czone przez niego względy mogły wpłynąć na wybór cesarza. Napoleon znał swoich szwoleżerów; wiedział, że ci warszawscy panicze uważali się przy jego boku za reprezentację narodu, że marzyli o wykazaniu się przed „Zbawcą Ojczyzny” jakimś niezwykłym czynem wierząc święcie, iż każdy ich sukces bojowy przyspieszy odrodzenie Królestwa Polskiego. Trzymając w zastawie przyszłe losy państwowości polskiej, cesarz miał prawo przypuszczać, że Somosierrę prędzej zdobędzie impet moralny lekkokonných niż doświadczenie starogwardyjskich „własaczy”, dla których wojna była już tylko zwykłym rzemiosłem. Odnosiło się to do wszystkich lekkokonných, nie miało więc istotnego znaczenia, który ze szwadronów pułku był tego dnia na służbie ani który z trzech szefów pułku tym szwadronem dowodził.

Kronikarze bitwy – zarówno polscy jak francuscy – zgod- }
nie utrzymują, że rozkaz szarżowania ziejącego ogniem w- J
wozu wywołał zdumienie w sztabie cesarskim. Szef sztabu
głównego, marszałek Berthier, wyraził pogląd, że zdobycie

wąwozu szarżą kawaleryjską jest w ogóle niemożliwe. Tego samego zdania był ponoć dowódca jazdy gwardii, marszałek Bessieres. Napoleon na te wątpliwości odpowiedział niecierpliwie: *Laissez fair e aux Polonais!* (Zostawcie to Polakom!)

Inna wersja – mało zresztą prawdopodobna – głosi, że któryś z generałów słysząc rozkaz cesarski pozwolił sobie na uwagę: „Trzeba być pijanym, by taki rozkaz wydać, i trzeba być pijanym, by taki rozkaz wykonać!” Kiedy po szarży doniesiono o tym cesarzowi, miał odrzec: „Chciałbym, żeby wszyscy moi żołnierze byli tak pijani, jak ci Polacy!” Podobno właśnie z tego wywodzi się znane przysłowie francuskie:

ivre comme un Polonais (pijany jak Polak).

Zdaniem niektórych kronikarzy, szarża nie nastąpiła bezpośrednio po rozkazie cesarskim. Generał Montbrun, jeden z najlepszych dowódców kawalerii francuskiej, po sformowaniu szwadronu lekkokonnych, poprowadził go gościńcem w stronę wąwozu; kiedy jednak znalazł się pod obstrzałem artylerii

13 – Koziętulski t. I 193

hiszpańskiej, zatrzymał kolumnę obok drogi i zameldował cesarzowi, że szarżowanie w tej sytuacji jest niemożliwe. Cesarza wprawiło to w stan najwyższej irytacji. Bijąc ręką w łęk siodła, zawołał: „Niemożliwe? Tego słowa nie znam! Dla moich Polaków nie ma nic niemożliwego!” Natychmiast wysłał adiutanta, majora de Segur, z ponagleniem do szarży:

„Idź pan, rozkaż moim Polakom atakować! Niech wezmą wszystko, niech mi przyprowadzą jeńców”. Major Segur przedarł się przez oddziały piechoty, zawałające szosę, i dotarł do szwoleżerów z ponownym rozkazem cesarskim. Czy przekazał go szwoleżerom bezpośrednio, czy za pośrednictwem znajdującego się przy nich generała Montbruna – tego dokładnie nie wiemy, gdyż ostatnie chwile przed szarżą przedstawione są w relacjach pamiętnikarskich dość mętnie. Wiadomo natomiast, że młody, dzielny Segur (znany później jako historyk wojen napoleońskich) tak był przejęty swoim zadaniem, iż przyłączył się na ochotnika do szarży polskiej. Ten piękny czyn odwagi i solidarności Francuza nie wyszedł zresztą na dobre lekkokonny, ale o tym później. Samą szarżę Józef Załuski opisuje w ten sposób:

„Jak skoro Koziętulski otrzymał polecenie cesarza, rozkazał szwadronowi dobyć pałasza i z okrzykiem: niech żyje cesarz! (inni twierdzą, że krzyknął: naprzód, psiakrew, cesarz patrzy!—M.B.) puścił się zaraz gościńcem pod górę w kolumnie marszowej czwórkami, ponieważ wąski trakt nie dozwolił nacierać plutonami. Jak tylko rozpoczęło się natarcie, trwało nieprzerwanie, zdobywając półbaterie armat jedne po drugich. Koziętulski mając zaraz z początku natarcia konia zabitego, nie mógł osobiście kończyć zwycięstwa, ale szwadron nie ustawał ani na chwilę, bo tym tylko sposobem armaty nieprzyjacielskie nie mogły nacierających powtórnie razić;

wszystko to działo się ile możności w największym pędzie i w krótkiej bardzo chwili. Ten co z rekonesansem powróciwszy Niegolewski ostatni do natarcia przybył, pędząc z zapalem, straciwszy czapkę, a pomijając zabitych i mających konie po-

ległe, wyprzedził wszystkich i padł pod koniem zabitym przy ostatnich armatach zdobytych na szczycie nieprzyjacielskiej pozycji... Natenczas Napoleon widząc cały szwadron Polaków mniej więcej poległy i zwycięzców ostatniej baterii w niebezpieczeństwie, kazał plutonowi strzelców konnych, będącemu przy nim, pośpieszyć Polakom na pomoc. Ci odpędzili Hiszpanów, pastwiących się nad zdobywcami ostatniej baterii, a tymczasem po tak impetycznym zdobyciu wszystkich sześćnastu armat przez szwadron jazdy, gdy piechota posuwała się po obu stronach gościńca pod góry... całe wojsko hiszpańskie zaczęło pierzchać. Wtenczas to gdy szasserów kilku nadbiegło Niegolewskiemu na pomoc, kazał Napoleon oddziałom szwoleżerów, najbliższym, udać się czemprowadzając w poгон za Hiszpanami, co dopełnił szef szwadronu Łubieński, a za nim i cały pułk nasz pod dowództwem pułkownika Krasieńskiego i majora Dautancourta. Napoleon zaś z całym swoim sztabem, wielce zadowolony, postępował razem prawie z nami gościńcem okrytym zabitymi szwoleżerami i końmi, oraz rannymi a wołającymi: vive l'Empereur!—tudzież armatami hiszpańskimi, to przewróconymi, to pozostawionymi przez pierzchających. Podziwiając śmiałość, krótkość i skutek natarcia, cesarz powtarzał często, obracając się do swego sztabu:

usont-ils braves ces Polonais!...», co po polsku może się dać tak wytłumaczyć: «Co za śmiałość w tych Polakach!»"

Załuski kończy swoją relację słowami: „To jest proste i rzetelne opowiadanie naoczego świadka, który gotowy jest odpowiedzieć na wszelkie zarzuty pisarzy francuskich, a przyjmie chętnie uwagi, jakieby mu żyjący jeszcze koledzy z pod Somosierry uczynić za potrzebne uznali...”

Opis Andrzeja Niegolewskiego, który to wezwanie podjął, nie różni się wiele od opisu Załuskiego, ale jest żywszy i bardziej dramatyczny.

Niegolewski pisze: „Szwadron dogoniłem, kiedy już był wpadł do wąwozu i już był zabrał pierwsze piętro armat, i pędził dalej bez najmniejszego zatrzymania i bez żadnego po-

rządka wojennego, którego dla cieśniny nawet był niepodobnym. Wszyscy pędzili wśród ogromnego ognia tak kartaczowego z przodu i z prawej strony wąwozu, i samego jego szczytu, jak z ręcznej broni przez piechotę na nas w tę cieśninę ciskanego;

jeden drugiego przy odgłosie: vive l'Empereur! wyprzedzając, by najprędzej na szczyt wąwozu się dostać i na nieprzyjaciela natrzeć. I tak lotem błyskawicy pędząc padł w prawdzie pierwszy, drugi za pierwszym, trzeci za drugim, ale następujący, nie uważając na poległych i ciągle spadających kolegów, już każde z czterech pięter z jego czterema armatami, rąbiąc w pędzie

kanonierów, jedno po drugim zdobywał, nie pozwalając żadnej baterii, jak tylko raz wystrzelić..."

Przy pierwszej półbaterii zdobytych armat zastał Niegolewski kilku zapóźnionych szwoleżerów. „W pierwszej chwili ogromnego ognia zatrzymali się oni tam poza szwadronem dalej pędzącym. Widząc mnie obok nich pędzącego galopem, na jaki tylko mój doniec mógł się zdobyć, wołali na mnie: — Panie poruczniku, panie poruczniku, nie jeźdź, bo tam bardzo strzelają! — W mgnieniu oka przecież, gdy widzieli, że nie tylko na ich przestrożę nie zważał, ale przeciwnie, rzuciwszy im kilka ostrych słów z wykrzykiem: En mant, vive femperenrl w jednej chwili już się złączyli ze szwadronem..."

A oto inny dramatyczny epizod, wspomniany przez Niegolewskiego: „Dobrze sobie przypominam porucznika Rowickiego, który już obok mnie pędząc, wołał: — Niegolewski, trzymaj mi konia bo mi się zbiegał, nie mogę go wstrzymać! — Na co mu odkrzyknąłem: — Puszczaj go! — Już też młody ten oficer z nikim więcej nie mówił, bo zaraz potem ujrzałem go spadającego z konia. Był to drugi z moich kolegów, którego zabitego widział. Między pierwszą a drugą baterią widziałem leżącego Krzyżanowskiego, o którym wyżej wspomniałem..."

Po wypadnięciu z szarży dowódcy szwadronu, przywalonego przez zabitego konia (podawana przez niektórych historyków wersja, że Kozietulski wskoczył na drugiego konia, nie znajduje potwierdzenia w dokumentacji bitwy—M.B.), padli także

196

dowódcy kompanii: kapitan Jan Nepomucen Dziewanowski, ze strzaskaną nogą i zgmchotanym ramieniem, oraz kapitan Piotr Krasiński, rażony ciężką kontuzją w piersi. „Z wszystkich oficerów szwadronu, którzy tę szarżę czwartego piętra wykonali—pisze Niegolewski—ja jeden nie odniosłem na mem ciele żadnego szwanku, ale mój koń, mój mundur, ładownica, czapka — wszystko to ucierpiało od kul karabinowych świszczących na wszystkie strony. Jak po ustąpieniu Koziedulskiego *, tak i teraz lubo Dziewanowski leżał zwalony z konia, przecież resztki szwadronu nie zatrzymały się, ale tym samym pędem zdobyły i czwartą baterią. Za tą już otwierał się niejaki przestwór między górami. Na widok koło budynku zebranej piechoty hiszpańskiej w kupce, po lewej stronie gościńca, wstrzymałem konia w miejscu... Postrzegłszy tu przy sobie kilku chevau-legerów, a za sobą wachmistrza Sokołowskiego na kulawym koniu, zawołałem: — Gdzie nasi? — Sokołowski odparł: — Poginęli!... — Piechota hiszpańska z boku ciągle nas raziła, przy owej zaś baterii czwartej, poza nami stało jeszcze kilkunastu hiszpańskich kanonierów. Krzyknąłem:—Sokołowski, uderzmy na nich!—I uderzyliśmy z tą garstką. Hiszpanie uciekli, a biedny Sokołowski powiększył swą śmiercią liczbę poległych w tym boju kolegów. Nie widziałem koło siebie i owych kilku chevau-legerów. Wtem koń krwią pluł pod nogi i padł pod strzału działowego. W oka mgnieniu kilku Hiszpanów uciekających nawróciło, a dwóch z karabinów mi do głowy przyłożonych dało ognia... Widziałem

karabiny na głowie, słyszałem obadwa strzały, poczułem omdlenie, ale jednak rozumiałem Hiszpanów, wołających:

A la dreca, a la dreca! Arriva, arriva!** (fakt, że Niegolewskiego nie zabito, a jedynie ciężko kontuzjowano, tłumaczy się tym, że lufy szczelnie przytknięte do skroni osłabiały odrzut kul-M.B.). W tej chwili dziewięć razy pchnięto mnie bagnetem, obrano mnie z pieniędzy, a konia zostawiono na mnie. Razy

* Zachowuję pisownię Niegolewskiego.

** Na prawo, na prawo! Nadchodzi, nadchodzi! (hiszp.).

197

bagnetów ocknęły mnie w bólu i sprawiły, że się poczułem przy życiu i wrócił do zupełnej przytomności umysłu. Otoczony Hiszpanami, w obawie by mnie u nich los zwyczajny jeńców, to jest śmierć w mękach, nie spotkała, nawet odetchnąć nie śmiałem. Wkrótce słyszeć się dały coraz głośniejsze bębny i okrzyki: En avant, vive l'empereur! – i naraz ujrzałem naszych i chasseurów francuskich..."

Zabitego konia ściągnęli z Niegolewskiego dopiero piechurzy francuscy, którzy nadbiegli wkrótce po kawalerii. „Ci... na moją prośbę pod czwartą baterią mię zanieśli i płaszczami nakryli. Dwóch nadeszłych chirurgów rany mi opatrzyło, lecz niedługo po ich opatrzeniu krew z ran w głowie pod bandażami mocno płynąć zaczęła. Kilkunastu żołnierzy, którzy konie swe potracili, zebrało się około mnie. Wtem nadjechał marszałek Bessieres, któremu byłem od czasu obozu naszego pod Santa Maria osobiście znany... Marszałek zsiadł z konia, przybliżył się do mnie i rzekł: Jeune homme, l'empereur a vu la belle charge des chevaux-Jegers, ii saura apprecier votre bravoure*, na co ja mu, wskazując na armaty, przy których leżałem:

Monseigneur, je me meurs, void les canons que j'ai enleve dites cela a l'empereur. **

Wkrótce nadjechał cesarz i krzyżem legii honorowej mnie zaszczycił. Pierwszy to był krzyż, który się pułkowi naszemu był dostał. Ja, najmłodszy oficer, pierwszym go jako cheval-leger zdobył, a do tego zdobyłem go sobie w dzień moich imienin. Pierwszy to raz było, że od ojca nie dostałem wiązarka*** na imieniny, ale za to dostałem go z rąk cesarza, za krew dla ojczyzny w dniu imienin przelaną i jeszcze płynącą..."

Tak przedstawia się bitwa somosińska w opisach jej uczestników i bezpośrednich świadków. Historyczna szarża trwała od siedmiu do ośmiu minut. Brało w niej udział pięć plutonów, czyli 125 szwoleżerów. Przebyta szalonym pędem trasa

* Młody człowieku, cesarz widział piękną szarżę lekkokomijnych i potrafi ocenić wasze męstwo.

'•Mości księżę, ja umieram, oto działa, które zdobyłem, niech pan powie o tym cesarzowi.

"•podarunku.

198

a&iiHHHlte^ '•.....
(^"^^'•'""^y.iima^^^rt

natarcia wynosiła 2500 metrów. Zdobyto 16 armat. 57-miu oficerów i szeregowych poległo bądź odniosło ciężkie rany. Stanowiło to prawie 50% stanu liczbowego szarżujących— a więc straty olbrzymie. Niemniej jednak było to najtańsze ze wszystkich dotychczasowych zwycięstw napoleońskich. Efekt moralny szarży był przepotężny. Paniczna trwoga, jaką niosły z sobą uciekające wojska, rozbroiła całą Kastylię. Dalszy opór Hiszpanów stał się prawie niemożliwy. Droga do Madrytu była dla zwycięzców otwarta.

Reszta pułku lekkokonnych, goniąc uciekającego nieprzyjaciela, zdobyła miasto Buytrago, gdzie założono nową kwaterę cesarską. 30 listopada 1808 roku, wieczorem, Tomasz Łubieński pisał z Buytrago do żony: „...Mieliśmy wiele rozpraw, z których dzięki Opatrzności wyszliśmy szczęśliwie, a szczególnie z dzisiejszej bitwy pod Somosierrą możemy się pochwalić, że rozstrzygnęliśmy los tej bitwy za trzecim, raz po raz, uderzeniem na nieprzyjaciela. Zabraliśmy mu 13 armat, 5 sztandarów i rozproszyliśmy go zupełnie, a to w wąwozie prawie nieprzystępnym dla jazdy. Kozietulski okrył się sławą. Biedny, lecz odważny Dziewanowski umarł, utraciwszy nogę. Niektórzy z naszych walecznych ziomków polegli, okrywając się chwałą. Między tymi liczono trzech oficerów. Między rannymi jest dwóch rannych oficerów, którym wszakże nie grozi niebezpieczeństwo. Kozietulski miał zabitego pod sobą konia i surdut przestrzelony. Sława tego dnia przypadła zupełnie nam w udziale. Goniliśmy nieprzyjaciela z szablą nad karkiem więcej niż mil cztery. Zabraliśmy miasto Buytrago i wiele ekwipażów. Goniąc nieprzyjaciela rozpraszciliśmy go wszędzie ; część padła trupem, resztę wzięto w niewolę, z której dla prędkości marszu i małej liczby żołnierzy uwolnić ich musiałem...”

List Tomasza Łubieńskiego ma wagę wyjątkową: jest to— jeżeli się nie mylę—jedyne (znane) świadectwo o bitwie somosierskiej, naprawdę bezpośrednio, napisane w kilka godzin po zdobyciu wąwozu. Są w tym świadectwie dwa nie-

199

wątpliwe błędy rzeczowe: mniejsza niż w rzeczywistości liczba zdobytych armat oraz przedwczesna wiadomość o zgonie Dziewanowskiego, który zabrany ż. pobojuwiska w stanie beznadziejnym, zmarł w szpitalu dopiero w cztery dni później. . Błędy te wynikły zapewne stąd, że Łubieński pisał swój list zaraz po powrocie z pościgu za nieprzyjacielem i opierał się na pierwszych, nie sprawdzonych jeszcze informacjach kolegów. Ważne jest natomiast stwierdzenie, iż bezpośrednio po bitwie główną zasługę szarży przypisywano Kozietulskiemu, gdyż późniejsze relacje pamiętnikarskie rolę jego zdają się

niewielko umniejszać, przedstawiając jako głównych bohaterów szarży: Dziewanowskiego i Niegolewskiego. Warto także zwrócić uwagę na szczegóły, że autor listu nie czyni żadnego rozróżnienia między szwadronem szarżującym a resztą pułku, która wjechała do wawozu już po jego zdobyciu. Trudno mieć o to do Łubieńskiego pretensję, ale z pewnością nie było to przeoczenie mimowolne. W miarę upływu czasu krąg uczestników sławnej szarży będzie się rozszerzał coraz bardziej, póki obrazu bitwy nie uporządkuje raz na zawsze sprawiedliwy i skrupulatny Józef Załuski.

Bezpośrednio po zakończeniu operacji somosierskiej lekkokonnymi przeżywali godziny wyjątkowego tryumfu. Żołnierze starej gwardii, którzy dotychczas odnosili się do młodych Polaków z pełnym lekceważeniem poczuciem wyższości, prześcigali się teraz w okazywaniu im serdeczności i podziwu. Wśród sławnych strzelców konnych – z których niejednego walczył jeszcze pod rozkazami Józefa Sułkowskiego – wśród wąsatych grenadierów i dragonów począł się szerzyć snobizm na szwoleżerów; odwiedzano tłumnie ich obóz i urządzano na ich cześć burzliwe owacje. Nazajutrz po bitwie – 1 grudnia, gdy pułk lekkokonnych przejeżdżał obok biwaków piechoty z korpusu marszałka Victora, żołnierze francuscy z własnej inicjatywy stanęli pod bronią, wołając: Vive les braves\ W tej chwili pojawił się cesarz i polecił pułkownikowi Krasińskiemu sformować pułk w szyk bojowy z wydobytymi szablami. Gdy

200

otrąbiono baczność, Napoleon zdjął kapelusz i zawołał: Honneur aux braves des braves* Potem przy dźwiękach muzyki kazał przedefilować pułkowi przed sobą. Rewii asystowała cała gwardia cesarska. (Niektórzy monografowie Somosierry .podają jeszcze, że Napoleon ucałował Koziętulskiego przed frontem pułku, ale potwierdzenia tego szczegółu nie znalazłem w żadnym z dostępnych mi pamiętników szwoleżerskich).

2 grudnia Polacy, razem z całym korpusem Bessieresa, zajęli stanowiska na wzgórzach, z których roztaczał się szeroki widok na Madryt. Ogarnięta paniką stolica nie była już zdolna do stawiania poważniejszego oporu, ale poddać się nie chciała. Polskie podjazdy, zapuszczając się aż pod bramy miejskie, Staczały drobne utarczki z placówkami Hiszpanów. Przybyły w tym czasie Napoleon jeszcze raz stał się świadkiem dzielności szwoleżerskiej.

„Dnia 2 grudnia stał cały nasz pułk w szyku rozwiniętym, oczekując na cesarza, który gdy przybył, zatrzymał się na prawem skrzydle i zdawał się oczekiwać deputacji z miasta – wspomina Załuski. – Wtem zjawił się bardzo młody, małego wzrostu szwoleżer i prosto przypuściwszy konia do pułkownika Krasińskiego, żywo bardzo zaczął mu coś rozpowiadać. Napoleon zapytał, coby to było takiego? Pułkownik odrzekł, że ten młody człowiek z kilkoma żandarmami zdobył armatę pod samą bramą Madrytu, ale że Hiszpanie z końmi uciekli, on więc zostawiwszy żandarmów na straży tej zdobyczy, przybył czym prędzej prosić o uprząż, żeby tę armatę przywieźć,

sam będąc ranny, potrzebuje opatrzenia. Dodał przytem pułkownik Krasiński, że to był syn zacnego obywatela, jeszcze konfederata barskiego, że z tego względu przyjął go do pułku pomimo zbyt młodych lat i niedostatecznego wzrostu, lecz że to jest młody chłopiec nadzwyczajnie ochoczy i odważny. Napoleon kazał sobie bliżej przedstawić młodziankowego rycerza, kazał go ozdobić krzyżem legii honorowej i polecił go szczególnie pułkownikowi Krasińskiemu..."

»Cześć najdzielniejszym ? (izielnythl

201

Bohaterskim zdobywcą armaty hiszpańskiej był kapral Michał Wilczek, najmłodszy żołnierz ze szwadronu Kozietuskiego. Miał wtedy zaledwie 16 lat i koledzy stale sobie pokpiwali z jego wyjątkowo niskiego wzrostu.

Tego samego dnia—2 grudnia 1808 roku—w nowej kwarterze głównej w San Martin pod Madrytem Napoleon poddyktował „13 biuletyn Armii Hiszpanii”, oceniający operację somosierską. Główny fragment biuletynu był poświęcony szwoleżerom polskim, ale zawierał momenty nieoczekiwane:

„...Szarża, którą wykonał generał Montbrun na czele szwoleżerów polskich, rozstrzygnęła los bitwy; szarża wyjątkowo świetna, w której ów pułk okrył się chwałą i pokazał, że godny jest uczestniczyć w gwardii cesarskiej. Działa, sztandary, karabiny, żołnierze — wszystko to zostało zdobyte, odcięte albo zabrane do niewoli. Ośmiu szwoleżerów poległo na działach, szesnastu odniosło rany. Wśród tych ostatnich kapitan Dziewanowski został ranny tak ciężko, że znajduje się w stanie prawie beznadziejnym. Major Segur, członek świty cesarskiej (marechal des-logis de la maison de l'Empereur), szarżujący wśród Polaków, odniósł kilka ran, z których jedna jest dość poważna. Owe szesnastce armat, dziesięć chorągwi, około trzydziestu wozów amunicyjnych, dwieście różnych wozów pociągowych, kasy pułkowe — oto owoce tej świetnej bitwy. Pomiędzy jeńcami, którzy są bardzo liczni, znajdują się wszyscy pułkownicy i podpułkownicy dywizji hiszpańskiej (dowódcy obrony wąwozu, dzielnemu generałowi San-Juanowi, udało się ująć z garścią niedobitków, ale wkrótce potem i on zapłacił za Somosierrę: zginął, zamordowany w okrutny sposób przez własnych żołnierzy — M.B.)..."

Dla szwoleżerów, a zwłaszcza dla uczestników szarży treść 13 biuletynu musiała być przykrym zaskoczeniem. Cesarz wyrażał wprawdzie polskiemu pułkowi swoje najwyższe uznanie, ale jednocześnie odejmował lekkokonnym znaczną część zasługi — i przenosił ją na Francuzów. Generał Mont-

202

brun, który w ogóle nie brał udziału w szarży, był przedstawiony jako jej dowódca. Liczba zabitych i rannych szwoleżerów uległa zmniejszeniu o przeszło 60%. Z polskich uczestni-

ków wymieniono jedynie śmiertelnie rannego Dziewanowskiego, nie wspomniano natomiast słowem o rzeczywistym dowódcy szarży Kozietulskim ani o zdobywcy ostatniej baterii – Niegolewskim. Poza Dziewanowskim – jedynym uczestnikiem szarży wymienionym z nazwiska – był francuski major Segur. Jemu też przypadł w udziale zaszczyt odwiezienia do Paryża zdobytych przez szwoleżerów sztandarów i przekazania ich Zgromadzeniu Prawodawczemu. W wyniku tych wszystkich zabiegów świetny wyczyn polski zmienił się w wyczyn polsko-francuski.

Z punktu widzenia Napoleona ten retusz był całkowicie uzasadniony, ale lekkokonnym mieli prawo czuć się dotknięci. Ich oburzenie wyczuwa się jeszcze we wspomnieniach, pisanych w pół wieku później. Pamiętnikarze pułku buntują się przeciwko sformułowaniom biuletynu i wykazują ich sprzeczność z wcześniejszymi, ustnymi pochwałami cesarza. Niektórzy próbują to tłumaczyć intrygami sztabowców francuskich bądź przypadkowymi omyłkami redakcyjnymi; nawet obiektywny Józef Załuski wyraża przypuszczenie, że obraz sławnej szarży uległ wypaczeniu bez wiedzy Napoleona i wbrew jego intencjom. Tym razem jednak Załuski chyba się myli. Przeinaczenia 13 Biuletynu Armii Hiszpanii nie sprawiają wrażenia przypadkowych, lecz zdają się wynikać z ogólnych metod polityki napoleońskiej. Umacnia mnie w takim mniemaniu inny, bardzo charakterystyczny przykład.

W nowym zbiorze pism i rozkazów Napoleona, wydanym w Paryżu w roku 1964, zwraca uwagę sekretny okólnik z dnia 5 sierpnia 1809 roku, przeznaczony wyłącznie do wiadomości marszałków Francji. W tym poufnym piśmie Napoleon udziela surowej nagany marszałkowi Bernadotte, księciu Ponte-Corvo za to, że po bitwie pod Wagram ośmielił się w swoim rozkazie dziennym przypisać zbyt duży udział w tym zwycięstwie

203

•pułkom saskim. Nie wgłębiam się w to, czy ocena Bernadotte'a była obiektywnie słuszna, najważniejsze są same sformułowania Napoleona. Poufna instrukcja dla marszałków głosi: „...Najjaśniejszy Pan zawdzięcza sukcesy swoich armii wojskom francuskim, a nie żadnym obcym. Rozkaz dzienny księcia Ponte-Corvo... sprzeciwia się prawdzie, polityce i honorowi narodowemu...”

Wydaje mi się, że te słowa cesarskie z roku 1809 wyjaśniają również przyczynę „wypaczeń” biuletynu somosińskiego.

•Biuletyny Wielkiej Armii były narzędziem politycznym:

•kształtowały opinię ówczesnej Europy i tworzyły historię dla potomności. A Napoleon nie życzył sobie, aby współcześni i potomni mogli choć przez chwilę sądzić, że w gruntowaniu potęgi cesarstwa francuskiego zbyt dużą rolę odgrywali cudzoziemcy.

Madryt skapitulował 3 grudnia 1808 roku, ale lekkokonni

polscy nie od razu wkroczyli do stolicy. „Nim się Madryt poddał – wspomina niestrudzony kronikarz szwoleżerski – pułk nasz udał się w lewo pod dowództwem marszałka Bessièresa, przeciwko hiszpańskiemu generałowi Pennas... Szło o to, żeby rozbite przez marszałków Lannesa i Neyą korpusy ścigać i nie dopuszczać im przystępu do Madrytu. Mieliśmy różne mniejsze i większe rozprawy; tak w nocy pod Alcalá de Henares odbyliśmy potyczkę z kawalerią hiszpańską, w której zginął Suryn, szeregowy z 1-ej kompanii, bardzo lubiony od kolegów, którzy mu nazajutrz usypali mogiłę i ozdobili ją według możliwości... Doszliśmy w kierunku na lewo, aż do miasta Guadalaxara, do którego piszący miał zaszczyt pierwszy wkroczyć za uchodzącym nieprzyjacielem. Od tego miasta zwróciliśmy się w prawo na Sacedon i Tarancon, do Aranjuez, a pod Santa Cruz mieliśmy dość znaczną utarczkę z piechotą hiszpańską, w której między innymi był ranny bagnetem Hermolaus Jordan, wówczas porucznik. Wypocząwszy parę dni w Aranjuez... powołani zostaliśmy do Madrytu, gdzie Napoleon był wszedł od dni kilku. Pułk

204

nasz został umieszczony w dwóch wsiach bliskich stolicy:

Carabanchel de Ariva i Carabanchel de Avajo; to znaczy Karabanchel górny i dolny..."

Szwoleżerowie ranni pod Somosierrą nie brali oczywiście udziału w tych bojach pułku. Ich perypetie opisuje dość dokładnie Andrzej Niegolewski:

„Do Buytrago jeszcze po nas przez całą noc i 1-go grudnia do południa rannych z pobojowiska zwożono. Po południu wywieziono nas do wioski, której nazwiska nie pamiętam, gdzie nas po różnych domach opuszczonych od mieszkańców po kilkunastu złożono. Trudno opisać stanu opłakanego, w którym my się tam znajdowali. Ranni, jedni mniej – drudzy więcej, złożeni w domach, w których gdyby się byli znajdowali mieszkańcy, niejeden by był litością zbudzony, w gorączce leżącym do gaszenia pragnienia przynajmniej wody podał i chociaż garść słomy pod niego podrzucił. Tam przecież nikogo oprócz le service d'ambulance * nie było. Dozorcy zaś, sami opici zrabowanem winem, na gołym strychu nas bez litości złożyli, materace bowiem w ambulansach się znajdujące nie starczyły dla wszystkich. Dziewanowski i ja byliśmy przynajmniej tak szczęśliwi, że nas na jednym materacu złożono i jedną derą przykryto. Dziewanowski miał lewe ramię strzaskanę i już był bez prawej nogi, którą mu zaraz na pobojowisku pod kolano odjęto. Bardzo był słaby, cierpiał wiele na bóle w ramieniu... Nazajutrz 2-go grudnia przewieziono nas do Chamartin (San Martin – M.B.), gdzie się znajdowała główna kwatera i dokąd cesarz przybył. Tutaj mieliśmy większą wygodę: było kilka obszernych budynków, dokąd z Madrytu przywieziono materace i inne potrzeby lazaretowe. W Chamartin poznało mnie kilku z służby cesarskiej, którzy mnie jeszcze w Marrac widzieli; ci na widok mój pomoc mi swą ofiarowali, a dowiedziawszy się, że mimo ran głodny był,

przynieśli wina i innego przekąsku, którem się z Dziewanowskim równie głodnym, aczkolwiek bardzo cierpiącym,

•shiżba szpitalna.

205

podzieliłem. Wkrótce po złożeniu nas w jednym z tych domów urządzonych na lazarety, przybył do nas marszałek Duroc, za którym paż cesarza niósł pełną tacę napoleonów. Marszałek oświadczył nam, że cesarz przewidując potrzeby nasze przysłał nam zasiłek pieniężny, abyśmy mogli w pierwszej chwili takowym zaradzić. Każden z oficerów dostał po 10 czy 8, żołnierz i podoficer po 3 napoleony. Z początku pomimo tego, żeśmy byli ze wszystkiego ogołoceni, wahaliśmy się pieniędzy ofiarowanych przyjąć, mianowicie Dziewanowskiemu zdawało się to dla nas jako Polaków być ubliżającym. Wkrótce jednakowoż przekonał nas Duroc, że to tylko jest nadzwyczajny dowód pamięci cesarza o pierwszych potrzebach bohaterów szarży, która go nad wszelkie wyrażenie zbudowała... Dnia 3-go grudnia przewieziono nas do Madrytu i w klasztorze Santa Maria d'Attocha złożono. Tu w lazarecie dobrze urządzonej powierzono nas samemu doktorowi cesarza sławnemu jeneralowi Larrey... Leżałem tam znowu obok kapitana Dziewanowskiego. Każden z nas miał materac i przykrycie. Obaj byliśmy bardzo słabi. Dziewanowski przecieź więcej jeszcze jak ja był cierpiącym... Larrey sam nas obydwóch opatrzył. Dziewanowskiemu chciał być jeszcze tego samego dnia rękę odjąć, lecz rana była w samej łopatce, oświadczył mu, że ponieważ musi być z podróży zmęczony, operacja do 4-go odłoży, mnie zaś głowę ogolić kazał, rany pościagał, dziury od bagnetów po sondowaniu porozrzynał, opatrzył i tak nas zostawił, rozkazując aby nam nic więcej jak bullion rano i na wieczór dawano. Potrzebna ta dyeta, lecz na żołądek zdrów nie była mi bardzo pożądaną, nie mając już od pięciu dni prawie nic oprócz owego przekąsku w Chamartin w ustach. Całą noc Dziewanowski bardzo wiele cierpiał, kilka razy wołałem do niego dozorczy, aż nareszcie w bólach na mych rękach skonał. Leżąc obok niego z memi jedenastu ranami, ubolewałem najwięcej nad tem, że nie potrafiłem mu być w niczem pomocnym i co chwila tylko jak mogłem na jego materac się przechylałem... Po śmierci Dziewanow-

206

skiego smutkiem i żalnością będąc przejęty, pobyt mój w lazarecie coraz nieznośniejszy mi się wydawał. Wskutek tego usposobienia stan mego zdrowia się pogorszył i już w lazarecie wytrzymać nie mogłem, zwłaszcza gdy jednemu z rannych chirurg jakiś zamiast zgruchotanej, zdrową nogę, ale krwią od zgruchotanej zbroczoną, urzynał. Gdy tedy Larrey 10-go do mnie tak usposobionego przybył i wskutek pogorszenia stanu ran operacją głowy na 11-go rozporządził, obawiając się nadto, aby mi głowy nie trepanował, nie chciałem się takowej poddać; opuściłem lazaret, a otwarcie mówiąc, uciekłem i do Madrytu się zawlokłem. Tu szczęśliwym trafem spotkałem kapitana grenadierów Łapiące, którego byłem poznał w Bayon-

nie... Opowiedziałem mu moją biedę, a on mi po starej znajomości wyrobił kwaterę w Madrycie u markizy Yilla Franca. W domu u rodziców nie mogłem być doznać lepszej wygody jak u niej... Jej to mam do podziękowania, że mi głowy ani operowano, ani trepanowano i że po czterech tygodniach już o tyle moje rany były zagojone, że mogłem być wychodzić... W czasie mej reconvalescencji u markizy Yilla Franca, wyszedłszy razu jednego na ulicę spostrzegłem kogoś na moim koniu kasztanowym jadącego, nie mogąc jednak jeźdźca poznać, gdyż jeszcze nie mogłem głowy podnieść, wołałem do niego: «Stój, to jest mój koń!» Na co jeździec: «Skąd to ma być twój koń, to koń po Niegolewskim». Ja mu na to zdziwiony: «To mój koń, przecież ja Niegolewski!» Jeździec nie chce jednak wcale zważać, tylko odpowie: «Przecież Niegolewski zginął». Teraz mu się dopiero kazałem sobie przypatrzeć i poznaję w nim Ambrożego Skarżyńskiego, ówczesnego porucznika 1-go szwadronu a późniejszego generała. On mnie też poznał i cieszył się niespodziewanej a szczęśliwej chwili, że mógł mnie żyjącemu konia oddać.

W kilka dni potem trafiłem na ulicy pułkownika Wierzbińskiego*, od którego się dowiedziałem, że pułk nasz poszedł

*Płk Maciej Wierzbiński z dywizji piechoty Księstwa Warszawskiego, która od jesieni 1808 r. również uczestniczyła w kampanii hiszpańskiej.

207

z cesarzem przez Guadarramę do Benawenty w pogoń za Anglikami, lecz że w Caramanchel jest szef szwadronu Koziedulski* ze wszystkimi słabymi i chorymi oficerami pułku naszego.

Po zupełnym wyzdrowieniu... udałem się do Caramanchel ze służącym Pawłem, którego po śmierci Krzyżanowskiego przyjąłem. Dostał on mi się po nim w spuściźnie i jego koń, Kapelusznikiem zwany, a w Poznaniu od jakiegoś kapelusznika kupiony. W tej mej do Caramanchel podróży z spuścizną po Krzyżanowskim, zdarzył mi się dziwny wypadek. Paź co chwila stawa z koniem, który mu się zrywa i skaka. Wołałem do niego co wyrabia, czemu nie jedzie? Na co on w przestrachu: «Poruczniku, nie widzi pan pana mego? Oto koło pana jedzie». Ja naturalnie nic nie widziałem; na jego umysł przecież siła imaginacyjna tak dalece wpłynęła, że mimo wszelkich perswazyi był przekonany, że Krzyżanowskiego widział, a strach go tak dalece ogarnął, że kiedyśmy już przyjechali do Caramanchel przed kwaterę Koziedulskiego a oddałem mu (oczywiście służącemu – M.B.) konia mego do trzymania, nie mógł koni utrzymać i te z nim galopem przez ulicę puściły się i w mniemaniu, że Krzyżanowskiego widział, tym bardziej go utwierdziły.

W Caramanchel zastałem Koziedulskiego szefa szwadronu, kapitanów Trzcińskiego, Piotra Krasińskiego, porucznika Jordana i wielu innych oficerów, których sobie już nie przypominam..."

Kiedy Andrzej Niegolewski ze swoim przesadnym służącym i jego płochliwym wierzchowcem pojawił się w Caramanchel, Jan Leon Hipolit Koziętulski przebywał tam już od dość dawna. Ciężka kontuzja lewej nogi, której uległ spadając z konia podczas szarży somosierskiej, uniemożliwiła mu udział w dalszych bojach pułku. Okryty chwałą dowódca szarży prawdopodobnie już w Buytrago zmienił się w utykającego komendanta transportu lżej rannych i niezdolnych do marszu.

• Zachowuję pisowni; Niegolewskiego.

208

Po kapitulacji stolicy odesłano go z nowymi podwładnymi bezpośrednio do Caramanchel, gdzie przybył o dwa tygodnie wcześniej niż reszta pułku.

Lekkokonni powrócili z pościgu za Hiszpanami dopiero 15 grudnia. W trzy dni potem odbyło się w Madrycie „oblewanie” zwycięstwa.—„Dajemy dzisiaj, Koziętulski i ja, obiad dla naszych oficerów...” — donosił żonie w liście z 18 grudnia Tomasz Łubieński, nie przeczuwając jeszcze, że z tej koleżeńskiejskiej fety wynikną poważne przykrości dla jego przyjaciela i współfundatora.

Na obiad — poza oficerami polskimi — zaproszono także sztabowców francuskich, a wśród nich „pierwszego grosmajora” pułku, podpułkownika Karola Delaitre'a, który niedawno przyjechał z Francji i już po Soroosierze objął dowództwo pierwszego regimentu.

Przy stole rozmawiano oczywiście o bitwie i o przeinaczeniach dopiero co ogłoszonego 13 Biuletynu Armii Hiszpanii. Koziętulski, rozgoryczony pominięciem w Biuletynie jego nazwiska i rozgrzany winem, dał upust swoim „prędkościom”. Doszło do ostrej wymiany zdań z podpułkownikiem Delaitre'em, twardo broniącym racji francuskiej. Kłótnia podczas koleżeńskiejskiej bibki stała się początkiem długotrwałego konfliktu między dowódcą pierwszego regimentu a podległym mu szefem drugiego szwadronu. Tomasz Łubieński w jednym z następnyc listów do pięknej pani Konstancji wiele miejsca poświęcał tej sprawie:

„...Niezgoda zakradła się do naszego tryumwiratu. Koziętulski, zawsze młody i lekkomyślny, jak tylko się trochę napije, nie umie panować nad sobą. Delaitre znieść go nie może. Koziętulski się na niego gniewa, stąd ciągle niesnaski. Obawiam się, żeby to nie ściągnęło jakichś nieprzyjemności na głowę Koziętulskiego. Nie mów o tym jego kobietom*, bo toby

• W wydany po polsku zbiorze listów T. Łubieńskiego ostatnie zdanie brzmi: „nie mów o tym jego żonie”. Błąd oczywisty, gdyż Koziętulski nie był nigdy żonaty i słowa pana

Tomasza mogły się odnosić tylko do matki i siostry kolegi. Ale tłumacz i wydawca listów,

je zanadto zabolalo... Co do mnie, wcale się nie mieszam do kłótni i umyłam ręce; boję się tylko, ażeby to nie zaszkodziło sławie naszego pułku, na którą tak świetnie zasłużyliśmy sobie w tej kampanii, a do której żaden z tych panów Francuzów w niczem się nie przyłożył, bo żaden ani razu nie był w niebezpieczeństwie stracenia chociażby jednego włoska z głowy*. Wszystko to zachowaj dla siebie, bo nie chcę, aby to ode mnie wychodziło. My wszyscy szefowie szwadronów jesteśmy w bardzo ścisłej przyjaźni. Cóż to za smutna i straszna rzecz - wojna, szczególnie gdy się ją tak jak tę prowadzi. W istocie toczy się tu walka o sławę, a taka wojna to najgorsza. Kłaniaj się ode mnie księżnie Sapieżynie i Krasińskiej".

Co za szkoda, że starszej pani Koziętulskiej w tym jedynym wypadku nie dopisał jej nieomylny instynkt macierzyński. Gdyby zdążyła w porę przestrzec jedynaka przed jego „prędkościami”, nie doszłoby może do całej awantury z podpułkownikiem Delaitre'em. Ale zawiniła tu powolność francuskiej poczty polowej. Listy od matki, które doręczono Janowi Leonowi Hipolitowi w Caramanchel, dotyczyły spraw dawnych i całkowicie już przebrzmiałych. Starościna będzińska pisała je pod świeżym wrażeniem pierwszych wiadomości o przebytej przez syna chorobie i o sierpniowej ewakuacji Madrytu. Pocieszała „kochanego Jasia” po stratach materialnych, jakie poniósł wskutek ewakuacji, obiecywała wesprzeć go finansowo, „chociażby sama miała jeść suchy chleb”, a jednocześnie dawała synowi dyskretnie do zrozumienia, że mógł tych wszystkich nieszczęść uniknąć, gdyby przed opuszczeniem Warszawy rozsądniej pokierował był swoim losem: „...los tak dotąd dla nas nielitościwy... od Ciebie tylko dependował. Żebyś był przyjął propozycję ożenienia, wszakże miałbyś być przeszło sto tysięcy intraty. Ale preferowałeś swoją służbę...”

nie znający dokładnie życiorysu Koziętulskiego, nie zwrócił uwagi na liczbę mnogą i francuskie słowo femmes przetłumaczył na: „żona”.

* Łubieński zapomniał widocznie o Segurze.

210

Trzeba wybaczyć pani Koziętulskiej ten wyrzut matczyny, tak niestosowny w odniesieniu do bohatera Somosierry. Nie wiedziała jeszcze o historycznym wyczynie syna, a pierwsze plotki warszawskie o bojach w Hiszpanii przysporzyły jej wiele żmartwień i niepokojów. Pisząc swój list, miała już pewność, że były to tylko plotki, więc wspominała o nich mimochodem, w tonie raczej żartobliwym:

„...Po mieście tu już miały być wiadomości, że razem z Tomaszem Łubieńskim zginąłeś na batalii, a druga wiadomość o Tobie miała być, że łajac jakąś oberżystkę, że Ci źle dała jeść, ona puginałem miała Cię przebić. O czem usłyszawszy, rozśmiałam się tylko, iż wiem, jaka jest przeciwko Tobie opinia, jak Cię oskarżają o Twoją prędkość, nazywając Cię

siarka..."

W tym samym czasie, kiedy „siarka” – Koziętulski wyklócał się o swoją sławę z kostywnym podpułkownikiem Delaitre'em, przezywanym przez szwoleżerów „pogromcą Mameluków”, dowódca pułku, pułkownik Wincenty Krasiński, starał się o to, aby warszawskie towarzystwo nie przeoczyło jego własnych zasług w kampanii hiszpańskiej. 20 grudnia 1808 roku pisał z Madrytu do swego protegowanego, malarza Zygmunta Vogla vel Ptaszka:

„Wiem, drogi Yoglu, że o mnie nie zapominasz! czekasz na nowiny. Mam Ci do zaoferowania i smutne, i bardzo radosne. Najpierw więc: straciłem kapitana Dziewanowskiego, poruczników Krzyżanowskiego, Rowickiego, Rudowskiego, wachmistrza Bromirskiego, żołnierza Parysa i 17 innych; ale za to w jednym z najtrudniej dostępnych miejsc wzięłem z moim pułkiem podczas bitwy Somosierra 14 armat, 5 sztandarów i blisko 3000 jeńców. Generał Savary po bitwie raczył mi oświadczyć przed frontem pułku, że Monarcha był z nas kontent i że moje przejście przez wąwóz Somosierry może się równać z najwaleczniejszymi czynami pułków francuskich. Ściagałem nieprzyjaciela tylko z kawalerią aż do wrót Madrytu. Tego dnia byłem przy cesarzu dla wzmocnienia jego eskorty.

211

Moi szwoleżerowie po szarży madryckiej podjechali pod same bramy miasta, położywszy na placu do 20-tu z gwardii hiszpańskiej, wpadli na armaty i jedną zdobyli... A co jest osobliwszego, że bateria z 12 armat kilkuminutowym ogniem tylko kilku żołnierzy mi lekko raniła. Madryt po nadciągnięciu armii w trzy dni się poddał. Ja zaś w wigilię tego dnia, z rozkazu marszałka Bessieresa, udałem się przez Alcalę do Guadalajar, gdzie znaleźliśmy około 20.000 Hiszpanów, którzy po krótkiej utarczce zaczęli się wycofywać przed 2000 naszej kawalerii. Ścigaliśmy ich przez 3 dni aż do Santa Cruz. Przeszedłem z moimi szwoleżerami Pagod i dzięki temu udało mi się odciąć część kawalerii nieprzyjacielskiej. 500 jeńców – oto rezultat przejścia wpraw przez rzekę. Straciłem tylko młodego Szulca z Warszawy i Suryna. Następnie przez Toboso i Aranjuez wróciłem do Madrytu, aby połączyć się z gwardią. Monarcha raczył obdarzyć krzyżem Legii Honorowej szefa szwadronu Koziętulskiego, kapitana Krasińskiego, pporucznika Niegolewskiego, rannego pod Somosierrą, podoficerów: Cichockiego, Dąbczewskiego, Waligórskiego, Babeckiego i żołnierza Surzyckiego. Jeszcze raz Monarcha raczył wyrazić swoje zadowolenie i nazwał nas dzielnymi Polakami. Prześlę Ci nazwiska poległych żołnierzy. Mogę Ci jeszcze donieść, że poza lekką kontuzją w rękę i upadkiem z konia żadnego szwanku nie poniosłem. Wydaje się, że ta wojna szybko się skończy, bo Anglicy znowu się oddalili i prowincje poddają się władzy króla (Józefa – M.B.). Jak geniusz jednego człowieka wciąż kilku chwil może zmienić obraz rzeczy! Młody Rostworowski (Stanisław)* został kapitanem, Marezyński, Toedwen, Szore, Gnatkowski, Sokołowski oficerami. Pozdrów Osińskich i Wroniczów, powiedz Staszicowi, że nie pisałem do niego, bo

musi być bardzo zajęty. Szukam rękopisów arabskich dla Towarzystwa (Przyjaciół Nauk – M.B.). Bądź zdrów. Krasiński".

A więc jeszcze jedna wersja operacji somosierskiej i później-

*W starych listach nazwisko „Rostworowski" pisane jest przez „z".

212

szego pościgu szwoleżerów za nieprzyjacielem. Kiedy zestawić ten list z poprzednimi opisami, widać, jak trudna jest praca historyków, próbujących odtworzyć wydarzenia przeszłości na podstawie świadectw ich uczestników i naocznych świadków. Oceny, zawarte w biuletynach cesarskich, oraz relacje Krasińskiego, Łubieńskiego, Załuskiego i innych kronikarzy szwoleżerskich zgadzają się z sobą jedynie w ogólnym zarysie, natomiast odbiegają od siebie w wielu istotnych szczegółach, co wynikało niewątpliwie z różnego punktu widzenia i z niejednakowej rzetelności autorów ocen.

W wersji Krasińskiego na pierwszy plan wysuwa się jego własna osoba. W zasadzie trudno to zakwestionować, gdyż autor listu był rzeczywiście dowódcą pułku lekkokonných. Ale list tak został skonstruowany stylistycznie, iż jego warszawscy czytelnicy musieli odnieść wrażenie, że „prezes Wicus" osobiście i bezpośrednio dowodził we wszystkich opisywanych bojach. A to już nie odpowiadało prawdzie. W czasie przeprowadzania szarży somosierskiej Krasiński z odwodami pułku znajdował się przy kwaterze cesarskiej i z szarżą miał jeszcze mniej wspólnego niż generał Montbrun, który jako dowódca straży przedniej kierował bądź co bądź początkiem operacji. W trzy dni po Somosierze Krasiński zachorował i wskutek tego – tak pięknie opisaną przez niego – wyprawa na Alcalę i Santa Cruz dowodził nie on, lecz podpułkownik Dautancourt. Kontuzję ręki, o której wspomina Yoglowi, odniósł był nie w bojach listopadowych i grudniowych, lecz Jeszcze w maju, podczas powstania w Madrycie.

Krasiński nie ograniczył się do „retuszków" stylistycznych w liście, postarał się jeszcze wesprzeć je środkami malarskimi. Natychmiast po powrocie do Paryża zamówił u sławnego batalisty Horacego Yerneta obraz pt. Somosierra, polecając umieścić na nim siebie jako postać centralną. Nieprawdę tej mistyfikacji piętnują zgodnie wszyscy kronikarze pułku.

W związku z listem Krasińskiego warto jeszcze wspomnieć o pewnym szczególe, rzucającym charakterystyczne światło

213

na poglądy społeczne szwoleżerów. Po nadejściu listu do Warszawy jeden z zaprzyjaźnionych z Krasińskim poetów z kręgu Towarzystwa Przyjaciół Nauk (prawdopodobnie Ludwik Osiński) napisał wiersz o bohaterskiej śmierci szeregowca Suryna, przypisując mu mylnie pochodzenie włościańskie, gdyż w rzeczywistości poległy szwoleżer był zubożałym

synem ziemiańskim z Kijowszczyzny. W pół wieku później pomyłka ta doczekała się surowej reprimendy ze strony kronikarza pułku, Józefa Załuskiego. „Zdaniem naszym jest – pisał Załuski – że w obecnym stanie wojenności nie można kampanii robić bez prostego żołnierza celującego siłą fizyczną, którą się znajdzie tylko na wsi; ale nie idzie za tem, żeby się unosić nad nazwiskiem dla tego, że się takowe mylnie brało za gminne...”

Z punktu widzenia czysto formalnego nie można temu sprostowaniu nic zarzucić, ale jego ton kłóci się wyraźnie z uprzednimi deklaracjami Załuskiego na temat demokratycznej atmosfery, panującej w pułku. Lud warszawski miał rację: szwoleżerowie byli jednak „pańskim wojskiem”. Ową „pańskość” i „szlacheckość” zarzucano lekkokonnym zresztą i w Hiszpanii. W ostatnich tygodniach 1808 roku drogi pułku gwardii krzyżowały się często z drogami innych formacji polskich, biorących udział w kampanii hiszpańskiej. W parę dni po Somosierze zdobyty wawóz obsadzili żołnierze z 4. pułku piechoty Księstwa Warszawskiego, w pościgu posomosierskim podjazdy lekkokonnych spotykały się kilkakrotnie z podjazdami ułanów z Legii Nadwiślańskiej. Każde z takich przypadkowych spotkań Polaków na obczyźnie obchodzono jak wielkie święto. Mimo to w wielu pamiętnikach tego czasu wyczuwa się wyraźną niechęć do szlacheckich ochotników z pułku gwardii cesarskiej. Starzy wysłużeni legionieści z Legii Nadwiślańskiej i chłopscy rekruci z piechoty Księstwa Warszawskiego – którym przypadł w udziale krwawy trud wielomiesięcznego oblegania Saragossy – zazdrościli lekkokonnym ich „łatwych” i efektownych zwy-

214

cięstw, szybszych awansów, lepszego uposażenia i strojnieszszych mundurów. Zawiść ta wzrosła jeszcze, gdy niektórych paniczów z gwardii zaczęto przerzucać na oficerów do pułków ułańskich. Skarży się na to z goryczą Kajetan Wojciechowski, kronikarz pułku Konopki: „...Jakoby na nasze nieszczęście przybyło do nas z pułku Krasińskiego sześciu na oficerów... którzy nam z przed nosa zabierali stopnie, na któreśmy nieraz krwi naszej okupem zasłużyli... A dla nas awansu nie było, gdyż nam nikt sprawiedliwości nie oddawał, prócz jednych Hiszpanów, którzy się nieraz spotykali z ostrzem lanc naszych...” Inny pamiętnikarz – Franciszek Wiktor Dmochowski, podoficer piechoty Księstwa Warszawskiego, a z zawodu krawiec – rozpisuje się szeroko na temat szlacheckiego charakteru pułku gwardii i z fachowym znanstwem ocenia jego kosztowne wyposażenie: „...Oj! drogo ten żołnierz ko»ztował, każdy wyglądał po oficersku”.

Po zdobyciu stolicy „królów katolickich” Napoleon wprowadził do niej ponownie swego brata Józefa. Jednocześnie, dla zjednania narzuconemu monarsze opinii publicznej, ogłosił kilka postępowych dekretów w duchu konstytucji francuskiej. Znosiły one poddaństwo chłopów i „Święta Inkwizycję”, ograniczały do jednej trzeciej liczbę zakonów i kasowały wewnętrzne granice celne między prowincjami.

W odezwie z 7 grudnia 1808 roku cesarz Zachodu obwieszczał Hiszpanom odrodzenie ich ojczyzny jako liberalnej monarchii konstytucyjnej, ale przeciwnikom nowego ustroju groził najsurowszymi represjami. Posunięcia te nie odniosły jednak zamierzonego rezultatu. Hiszpanie nie zmienili swego stosunku do najeźdźców: nie chcieli ich dobrodziejstw i nie ugięli się przed ich pogrózkami. Wojna trwała nadal. Jednocześnie zmieniał się jej charakter ideologiczny. W powstańczej Juncie Najwyższej coraz wyraźniej dochodziły do głosu czynniki postępowe wysuwające program reform antyfeudalnych.

215

Francuzi przestawali być jedynymi reprezentantami postępu i wskutek tego tracili swój główny atut propagandowy.

19 grudnia 1808 roku cesarz odbył na Prado rewię wszystkich wojsk francuskich, stacjonujących w stolicy. W dwa dni później pułk lekkokonnnych wyruszył z Madrytu na nową wyprawę wojenną. 21 grudnia Tomasz Łubieński pisał do żony: „Wyjeżdżamy w tej chwili, nie wiem dokąd. Koziętulski zostaje na miejscu...”

Cel wyprawy wkrótce się wyjaśnił. Z Portugalii przedostał się do Hiszpanii dwudziestopięciotysięczny korpus angielski generała Moore'a. W prowincji León, po drugiej stronie gór Guadarrama, zastąpił mu drogę korpus marszałka Souлта. Napoleon rzucał Soułtowi na pomoc swe odwody, aby odciąć Anglikom odwrót na Lizbonę. Szwoleżerowie otrzymali rozkaz drugiego już w tym roku sforsowania Guadarramy.

„Przybywszy pod górę Gwadaramę, którą przebyliśmy byli w lipcu w największe gorąca – wspomina Józef Załuski – doznaliśmy teraz w grudniu zadziwiającego zimna i orkanów zimy. Wicher mroźny dał śniegiem i piaskiem w oczy i w usta sposobem nieznośnym, konie się zawracały, a jeźdźcy nie mogli sobie dać rady. Pułkownik Krasiński widząc to, zamierzył nocować w miasteczku Gwadaramie i zatrzymał kolumnę, ale generał Lefebvre-Desnouettes, dowódca pułku strzelców konnych gwardyi, nadjechał z rozkazem od cesarza, żeby iść dalej i koniecznie przebyć górę. Pozsiadaliśmy więc z koni i plutonami, trzymając się pod ręce, a konie prowadząc za sobą, tak formując masę szliśmy pod górę bitym szerokim gościńcem, nie zważając na zaspę... Słyszałem, że z tyłu za nami wydarzyły się przypadki, iż całe wozy i niektórzy żołnierze z piechoty porwani byli przez wicher w przepaści Gwadaramy... Przebywszy tę górę postępowaliśmy spieszenie tą samą drogą, którąśmy w lecie przechodzili przez Yilla Castin, Areyalos, Medina del Campo, Tordesillas. W okolicy tego miasteczka nasz pułk odłączony został na lewo, dla uważania ruchów armii angielskiej, do której już się Napoleon zbliżał...”

216

Generał Moore, widząc, że ma przed sobą główne siły Napoleona, począł się wycofywać pośpiesznie ku morzu, w kierunku na Astorgę. Pułk lekkokonnnych – idący stale

na czele pochodu francuskiego jako najmłodszy pułk gwardii – przez kilkanaście dni uczestniczył w pościgu za Anglikami i miał po drodze kilka potyczek z kawalerią nieprzyjacielską, w których odznaczył się szczególnie szef szwadronu pierwszego Tomasz Łubieński.

Po dojściu kolumny francuskiej do Astorgi, szwoleżerom i całej pozostałej gwardii nakazano nagle wycofanie się do Valladolid. Na wyłączenie przybocznych wojsk cesarza z dalszego pościgu za Anglikami wpłynęły ważne przyczyny natury ogólnopolitycznej. 1 stycznia 1809 roku – w czasie marszu na Astorgę – Napoleon otrzymał alarmujące wieści z metropolii, które zmusiły go do jak najszybszego zlikwidowania swoich spraw w Hiszpanii. W Paryżu odkryto spisek republikański generała Maleta, korzystającego z cichego poparcia ministra policji, eks-jakobina Fouchego*. Drugi bliski współpracownik cesarza, eks-arystokrata Talleyrand, przyczyniał się skutecznie do montowania nowej koalicji antynapoleońskiej. Ośmielana przez niego Austria zupełnie już otwarcie przygotowywała się do wojny. Dwaj wiarołomni dostojnicy Cesarstwa, działając z sobą ręką w rękę, zmierzali do opanowania sytuacji we Francji, na wypadek gdyby cesarz zginął bądź poniósł decydującą klęskę w Hiszpanii. Do porozumienia wciągnięto także Murata, „awansowanego” niedawno na króla Neapolu, oraz jego ambitną małżonkę, Karolinę Anuncjatę Marię Bonaparte. „Dla Napoleona stało się jasnym – pisze historyk owych czasów – że jego obecnością tylko stoi jego panowanie we Francji i w Europie. Pozostał jeszcze czas pewien w Valladolid, by ułożyć sprawy hiszpańskie na przyszłość, głównie już pochłonięty niebezpieczeństwem wojny

* Generał brygady Klaudiusz Malet, ideowy republikanin, za udział w tym spisku został początkowo ukarany więzieniem, a następnie umieszczony w zakładzie dla umysłowo Chorych. W r. 1812 powtórnie usiłował dokonać zamachu sianu .

217

z Austrią; 16 stycznia wyjechał, 23 nagle wpadł do Paryża, by zmiążyć Talleyranda, wymóc interwencję Rosji, dopilnować organizacji nowej armii przeciw Austrii".

Kozietulski – pozostawiony w Madrycie z oddziałem rannych i rekonwalescentów – przyłączył się do pułku dopiero 4 stycznia, w Medino de Rio Seco, na ostatnim dłuższym popasie marszowym przed Valladolid.

Marsz powrotny lekkokonných z Astorgi do Valladolid nie odbywał się w spokoju. Regularne wojska hiszpańskie były już wprawdzie rozbite, ale chłopska guerilla trwała nadal i co pewien czas wyrывała jakąś ofiarę z szeregów pułku. W dniu przyjazdu Kozietulskiego do Medino de Rio Seco partyzanci zamordowali tam w okrutny sposób jednego z uczestników szarży somosierskiej, szeregowca Głowackiego z 7. kom-

panii. W cztery dni później zdarzył się drugi podobny wypadek. Opisuje go dokładnie Józef Załuski:

„Pod Valladolid mieliśmy niejaki czas wypocząć. Na ten cel przeznaczono nam dużą wieś, czyli miasteczko Laguna zwane. Adiutant pułkowy, porucznik Bogucki, wysłany został z furyerami ośmiu kompanii dla przygotowania kwater w Lagunie. Wyprawiwszy furyerów, sam pozostał trochę w Valladolid dla ogolenia brody po tyłu dniach fatyg i słoty. Wyjechawszy za miasto, w pewnym oddaleniu, lubo droga była prosta i szeroka na równinie, przyszło mu na myśl spytać się o drogę dwóch chłopów hiszpańskich jadących na osiełkach. Wieśniak udał, że nie dosłyszy. Bogucki, sam wysokiego wzrostu i jadący na rosłym koniu, pochylił się ku Hiszpanowi, a wtenczas tenże ugodził go nożem w bok, drugi chłop zjechał go z prawej strony i począł zrucać z konia. Jednym słowem, ci dwaj chłopci hiszpańscy zamordowali zacnego oficera, nie spodziewającego się takiej zdrady; zabrali konia jego, obdarli go ze wszystkiem, nie zostawiając w kałuży krwią zafarbowanej, tylko kawałek ceraty z czapki. W niewiele godzin potem

218

pułk nadchodząc poznał Boguckiego na środku drogi leżącego, obnażonego, krwią oblanego; można sobie wystawić rozjątrzenie pułku na ten widok! Ledwie że pułkownik Krasiński i major Delaitre co tylko do pułku z Francji przybyli zdołali wystawić naszym szwoleżerom, że mieszkańcy Laguny nie byli winnymi tego morderstwa; żołnierze chcieli koniecznie Lagunę spalić i mieszkańców śmiercią ukarać. Ale major Delaitre, chcąc się pułkowi przypodobać, wziął z sobą dwieście koni ochotnika i poty w pobliskich wsiach krążył, póki dwóch zabójców porucznika Boguckiego nie ujął: z tych jeden został rozstrzelany w Lagunie, a drugi z rozkazu cesarza w Valladolid publicznie hiszpańskim sposobem tracony, to jest: siedzący pod pręgierzem duszony”.

11 stycznia, gdy pułk odpoczywał w owej nieszczęsnej Lagunie, nadeszło zarządzenie z kwatery głównej, aby stu wybranych szwoleżerów pod dowództwem szefa szwadronu Tomasza Łubieńskiego przyłączyło się do tak samo licznej grupy strzelców konnych gwardii. Połączony ten oddział, pod wspólną komendą francuskiego szefa szwadronu Daumesnil, wyznaczony został na bezpośrednią eskortę cesarza i otrzymał rozkaz natychmiastowego wymarszu do Francji „w tempie przekraczającym dwukrotnie, a nawet trzykrotnie normalną szybkość kawalerii”. Po odjeździe oddziału Łubieńskiego dla reszty pułku również ogłoszono pogotowie marszowe.

Nazajutrz, 12 stycznia—razem z całą jazdą gwardii—lekkokonnymi wyruszyli w drogę powrotną do granicy francuskiej, tym samym szlakiem, jaki przebywali przed rokiem: przez Burgos, Briyieskę, Mirandę i Yittorię.

Marsz do granicy, z długimi postojami w niektórych miejscowościach, trwał prawie sześć tygodni. Z perypetii szwoleżerskich tego czasu warto wspomnieć jedynie o zabawnym udziale

Polaków w „corridzie”. Pisze o tym dwukrotnie już cytowany pamiętnikarz Wincenty Płaczkowski:

„Kiedyśmy do miasta Burgos przemaszerowali, zastaliśmy na placu wielkie zgromadzenie znakomitej szlachty, kilku z na-

219

szych pobiegło zobaczyć, co tam jest osobliwego; powrócili i powiadają, że puszczono byka rozhukanego i Hiszpan się za nim ugania, trzymając szpadę w ręce. Zaraz Rozsiadaliśmy z koni i kilku żwawców ruszyło, wpadając na plac i poczęli z bykiem się upędzać, aż tu wszyscy zaczęli wołać z przerażeniem: – Polacy, poginiecie! – Ci śmiało chwytają byka, jedni za rogi, drudzy za ogon, i trzymają w rękach mocno. Cóż to za podziwienie sprawiło w Hiszpanach, że Polacy tak śmieli, mocni i odważni, prawie po całym Królestwie rozeszły się o tym wiadomości...”

' 21 lutego 1808 roku, o godzinie 8 rano – przy akompaniamencie tysiąckrotnie powtarzanych okrzyków: „Niech żyje cesarz!” i „Niech żyje Francja!” – szwoleżerowie przebyli wpław graniczną rzeczkę Bidassoa.

„Tak się zakończyła – konkluduje kronikarz – pierwsza wyprawa wojenna pułku lekkokonnego polskiego do Hiszpanii, w roku 1808 odbyta”.

KAMPANIA AUSTRIACKA

>iedy 20 marca 1809 roku ciągnący od granicy hiszpańskiej polski pułk gwardii zbliżał się do rogatek paryskich, w ośrodku dyspozycyjnym Cesarstwa dobiegały już końca przygotowania do nowej wojny.

Od styczniowego powrotu Napoleona do stolicy paryżanie żyli w stanie nerwowego podniecenia. 28 stycznia – na posiedzeniu Rady Państwa, w obecności wszystkich ministrów i najważniejszych senatorów – odbył się pokazowy sąd nad Talleyrandem i Fouche'em. Cesarz napadł na spiskujących dygnitarzy z iście korsykańską furją. Wielkiego Szambelana nazwał „gnojem w jedwabnych pończochach”, zwałił na niego winę za „szaleństwo hiszpańskie” i obiecywał powiesić go na sztachetach placu du Carrousel. Podobnie potraktował ministra policji. Miała to być zapewne lekcja pogładowa dla wszystkich pozostałych dostojników Cesarstwa. „Zdrada zaczyna się już z powątpiewaniem – oświadczył Napoleon struchlałym ministrom i senatorom – a staje się całkowita, gdy wiedzie do sprzeciwu!”

Po zabezpieczeniu sobie w ten sposób spokoju wewnętrznego, cesarz z taką samą energią zabrał się do porządkowania spraw międzynarodowych. Sytuacja była niezmiernie trudna. W oparciu o funty angielskie montowała się piąta koalicja antyfran-

cuska, złożona z Anglii, Austrii, Hiszpanii i Portugalii; Londyn i Wiedeń nie szczędziły wysiłków, aby przyciągnąć do niej także

221

Rosję i Prusy. W Niemczech, znękanych blokadą kontynentalną, szerzyły się nastroje niezadowolenia. Gdziekolwiek wybuchaly buntury chłopskie i partyzantka organizowana przez zawodowych oficerów. Nad granicami Włoch, Związku Reńskiego i Księstwa Warszawskiego gromadziło się coraz więcej wojsk austriackich. Car wzbraniał się nadal przed sojuszniczą interwencją u dworu wiedeńskiego.

Zima i przedwiośnie upłynęły Napoleonowi na usilnych zabiegach dyplomatycznych o uratowanie pokoju w Europie i na jeszcze usilniejszym pomnażaniu potencjału wojennego. Powoływano pod broń nowe roczniki rekrutów i ściągano kontyngenty wojskowe z państw satelickich. Austriackie rachuby na to, że Francja osłabiona pozostawieniem trzystutysięcznej armii w Hiszpanii będzie przeciwnikiem łatwym do pokonania, okazały się zawodne. „Bóg wojny” zdołał w rekordowo krótkim czasie uzbroić nową potężną „Armię Niemiec”. W momencie kiedy lekkokonni polscy wjeżdżali do Paryża, większość nowych wojsk znajdowała się już nad Renem i w koszarach stołecznych było niemal pusto. Wywarło to niejaki wpływ na przyjęcie polskich gości.

„Napoleon przyjął nas w Paryżu ze zwykłą Swoją dla Polaków gościnnością – pisze Józef Załuski. – Kazał nam utworzyć koszary de l'Ecole Militaire i rozgościć się w kwartach ulubieńców swoich strzelców konnych gwardyi. Tam złączył się z nami przybyły z Polski szwadron ochotników i wyborowych żołnierzy do pokrycia strat, które nasz pułk poniósł w Hiszpanii... Po uzupełnieniu w koszarach Ecole Militaire naszego ryszunku umieszczeni zostaliśmy na przedmieściu Yaugirard, oczekując na rewia, którą cały nasz pułk połączony odbył na podwórzu du Carrousel przed Napoleonem, pieszo nas i poszczegółowo lustrującym, i do nagród zasłużonych zapisywać nakazującym...”

Wspomnienia Załuskiego uzupełnia inny szwoleżer – Wincenty Mikułowski: „...Pułki starej gwardyi, kawaleryi i piechoty, wyprawiły dla nas świetną korpusową ucztę a l'Ecole

222

Militaire; biesiada ta, z powodu swej serdeczności i wesołości, nigdy mi nie wyjdzie z pamięci. Spełniano toasty na honor tak pułku jako też i narodu naszego; po uczcie pobratymczej, nasze szwoleżery w bermycach, kaskach, a Francuzi w naszych czworograniastych czapkach mnóstwem przygotowanych drożek (kabryoletów) rozjechali się po Paryżu dla pokazania stolicy skojarzonego koleżeństwa; zwiedzali teatr w takich przebraniach, a wszystko kosztem gospodarzy biesiady. Pamiętam, że wszystko to działo się bez żadnej najmniejszej nieprzyzwoitości, z salonową prawdziwie grzecnością”.

Fakt, że szwoleżerów nie odesłano od razu do ich kwater w Chantilly, lecz umieszczono w elitarnych koszarach stolicy i podejmowano w sposób tak ostentacyjny – pamiętnikarze tłumaczyli sobie sentymentem cesarza do Polaków. Ale ten sentyment miał bardzo konkretny podkład w ówczesnej sytuacji. Ostatnie pułki „Armii Niemiec” opuszczały właśnie stolicę udając się za Ren. Na rogatkach miejskich tłumy paryżan żegnały z płaczem swoich żołnierzy. Kurs renty francuskiej spadał na łeb i szyję. Dziennikarze wyprawiali z siebie żyły, aby przeciwdziałać minorowym nastrojom ludności. W tych warunkach pojawienie się w Paryżu polskich zdobywców Somosierry musiało być dla oficjalnej propagandy przysłowiowym darem niebios. Nie żałowano więc pieniędzy na „pobratymcze uczty” i na rozjazdy „kabrioletami” po mieście. W przededniu wojny z Austrią takie demonstracje „skojarzonego koleżeństwa” francusko-polskiego były efektem propagandowym, wartym każdej ceny.

Pobyt lekkokonných w Paryżu trwał dziesięć dni. 30 marca j pierwszy regiment pułku w sile około 400 szwoleżerów, pod dowództwem pierwszego „gros-majora” Delaitre'a i szefa j szwadronu Tomasz Łubieńskiego, wyruszył w drogę do Niemiec. Drugi gros-major Dautancourt z resztą pułku odszedł w tym samym czasie do Chantilly, aby zająć się przygotowaniem następnych oddziałów marszowych. W stolicy pozostał jedynie pułkownik Wincenty Krasiński. Zatrzymała go ważna

223

okoliczność: kancelaria cesarska nie zdążyła jeszcze wypisać patentów na krzyże Legii Honorowej, przyznane Polakom za kampanię hiszpańską. W kilka dni później – po odebraniu krzyżów i patentów – dowódca pułku popędził w ślad za pierwszym regimentem. Uroczysta dekoracja szwoleżerów odbyła się w marszu. „Pewnego dnia, już blisko Strasburga – wspomina Załuski – dogonił nas pocztą nasz pułkownik Krasiński, gdyśmy maszerowali spokojnie rotami po obu brzegach gościńca; siadł na konia i rozdawał własną ręką krzyże Legii Honorowej za kampanię hiszpańską, przemawiając do każdego dekorowanego stosownie, między innymi i do mnie; patent mój był z daty 5 kwietnia 1809”.

Jana Leona Hipolita Kozietulskiego ominęły te wszystkie przyjemności i honory*. Złośliwość losu, a może szykana podpułkownika Delaitre'a, w drodze powrotnej ponownie sprzęgły bohatera Somosierry z transportem rannych i chorych. Ciągnął się z tym „ambulansem” od granicy hiszpańskiej – w znacznej odległości za główną kolumną pułku – i dowlókł się do Chantilly dopiero 6 kwietnia. W macierzystym garnizonie pozbył się wreszcie nienawistnych funkcji „szpitalnego nadzorcy” i stał się znowu normalnym szefem szwadronu. Nie bacząc na zmęczenie wielotygodniową podróżą, wyblażał sobie u podpułkownika Dautancourta jak najszybsze odesłanie do Niemiec, 10 kwietnia – po czterodniowym zaledwie odpoczynku w garnizonie – wyruszył w pogoń za kolegami, wiodąc z sobą następny szwadron bojowy pułku w sile 122 koni.

W drugim dniu marszu szwoleżerowie Koziętulskiego zatrzymali się na nocleg w miejscowości Dormans. Zastali tam atmosferę podniecenia. Pomimo późnej pory w miasteczku nikt jeszcze nie spał, wszyscy byli pochłonięci obserwowaniem niepokojącego zjawiska. Wschodnia część nieba co pewien czas rozjaśniała się bladym migotliwym światłem, podobnym

•Koziętulski otrzymał swoją Legię Honorową dopiero w parę tygodni później.

224

do letnich błyskawic. To główna kwatera „Armii Niemiec” w Donauworth, za pomocą niedawno wynalezionej telegrafu optycznego Chappe'a, zawiadamiała Paryż o wybuchu wojny z Austrią. 10 kwietnia 1809 roku główne siły austriackie, pod dowództwem arcyksięcia Karola, wtargnęły na terytorium sprzymierzonej z Francją Bawarii.

Pierwsze skutki historycznej depeszy odczuł Koziętulski wkrótce na własnej skórze. W Vitry kazano mu zejść z głównego traktu i dalszy marsz do Strasburga odbywać drogami bocznymi. Szosę sztrasburską oczyszczano dla cesarza, który w swojej karecie-kancelarii z „szybkością orła” śpieszył na front niemiecki.

Kiedy w dwa tygodnie później oddział Koziętulskiego wjeżdżał do Strasburga, w mieście obchodzono już uroczyste pięć świetnych zwycięstw Napoleona pod: Pfaffenhofen, Thann, Abensberg, Landshut i Eckmühl. Na murach miejskich rozplakatowany był rozkaz dzienny cesarza o rozpoczęciu działań wojennych, wydany 17 kwietnia w głównej kwaterze „Armii Niemiec”.

Pobyt Napoleona w Niemczech uczynił z nadreńskiego Strasburga drugą stolicę Cesarstwa. Miasto było przejęte wojną, ale bawiło się jak nigdy. Balom i patriotycznym uroczystościom patronowała cesarzowa Józefina, która zjechała nad Ren, aby być bliżej walczącego męża. W otoczeniu „Madonny Zwycięstwa” Koziętulski odnalazł dwie znajome panie polskie: Wincentową Krasińską i Tomaszową Łubieńską. Od nich dowiedział się o wydarzeniach w kraju. 15 kwietnia 1809 r. 30-tysięczna armia austriacka arcyksięcia Ferdynanda d'Este przekroczyła granice Księstwa Warszawskiego. Książę Józef Poniatowski z siłami o połowę mniejszymi zatrzymał Austriaków pod Raszynem, lecz w dwa dni później musiał im oddać Warszawę i wycofać się na prawy brzeg Wisły. Wiadomości były smutne, ale w jakiś sposób dla naszego bohatera krzepiące. Po austriackiej agresji na Księstwo już nikt nie mógł zarzucać gwardzistom cesarza, że walczą jako

15 – Koziętulski t. I

225

kondotierzy na obcych frontach, wojna toczyła się teraz bezpośrednio o Polskę.

W kilka dni po przejściu Renu Jan Lepp Hipolit wysłał z miejscowości Ulm list do siostry.

„Będziesz zapewne zdziwiona, droga siostrze, z powodu mojego tak długiego milczenia, ale biorę wszystkich bogów za świadków, czy od mego wyjazdu z ChantiUy miałem wolną chwilę, żeby do was napisać. Najpierw Gorayski podjął się przewiezienia listu do was i miał go wziąć w czasie naszego spotkania w drodze, ale ponieważ kazano nam jechać w innym kierunku, żeby odciążyć główną drogę, niestety nie spotkał się. Wręczyłem więc tamten list w Strasburgu hrabinie Krasińskiej, która obiecała go wysłać z powrotem do Paryża razem ze swymi listami dla księżnej Sapieżyny, żeby wam go przekazała, bo nawet ze Strasburga posyłają listy z powrotem do Paryża, żeby je otwierać i czytać. Niniejszy list jest na łasce rozmaitych niemieckich głów koronowanych, bo przebywa sporo królestw. Od czasu jak przeszliśmy Ren, co chwila znajdujemy się pod innym panowaniem. Wyprzedzam o jeden dzień pułk strzelców, dalej idą dragoni i grenadierzy gwardii. W ten sposób podróżujemy od Hiszpanii. Znajdujemy się w bardzo pięknym kraju, niestety przebywamy go zbyt szybko, żeby móc go dostatecznie podziwiać. Podwajamy etapy, i robimy dziennie po 12, 13 aż do 15 mil krajowych, i to bez żadnego postoju, po to, żeby dogonić Cesarza, którego pewnie zobaczymy nie wcześniej niż w Wiedniu. Tutaj widzimy tylko jeńców, nie setkami ale tysiącami. Chłopi muszą gotować jedzenie dla żołnierza i dać mu jeść kiedy przybywa, tak samo oficerom, bo nie byłoby czasu na gotowanie. Oto już trzy okrutne miesiące jak sypiamy codziennie w innym łóżku i widzimy inne twarze i kuchnie. Co powiesz na ten nowy rodzaj życia? Dostałem w Chalons silnej febry, cierpiałem przez nią całe osiem dni. Dwa świetne emetyki sprawiły, że minęła. Pani Krasińska i Łubieńska są w Strasburgu i chodzą co dzień do Cesarzowej, gdzie są bardzo dobrze widziane.

226

Mają jej towarzyszyć do wód do Plombiers. Pani Łubieńska zleciła mi dużo uprzejmości dla Ciebie, namawia Cię bardzo, żebyś przyjechała, i ma nadzieję, że się doskonale z sobą porozumiecie, bo jesteście tego samego usposobienia. (Dalszy ciąg listu po polsku – M.B.). Małżeństwo okragło życie, tak że Ich tyle że może mniej jak w Warszawie utrzymanie kosztuje. Jutro wchodzimy do Augsburga, tam mamy odebrać nowe rozkazy, zapewne aby się pośpieszyć. Mamę proszę ode mnie uściskać. W tych dniach do niej pisać będę... Wierciński niech się na mnie nie gniewa, bo widzi, co znaszemy nieprzyjaciółmi dokażemy, zatym biada temu, kto przeciwko nam. Mocno go jednak ściskam y proszę, aby był zawsze dla mnie takim jak dawniej... Adieu, moja nayukochańsza siostrze, proszę mnie zawsze równo kochać wraz z małą rodziną y bądź przeświadczoną w moim dozgonnym przywiązaniu (dalej po francusku). Moje hołdy dla dam z Warszawy (podkreślone w liście – M.B.)... Mam małego konika hiszpańskiego dla twoich chłopców, który idzie z moimi końmi od Hiszpanii... (–) Koziatulski. 5 maja 1809 roku. Ulm".

Kiedy Jan Leon Hipolit pisał ten list, główny oddział pułku, pod osobistym dowództwem Wincentego Krasińskiego, znajdował się już przy cesarzu. Szwolężerowie Krasińskiego dogonili Napoleona w miejscowości Braunau w ostatnich dniach kwietnia; tam połączono ich z francuskimi oddziałami gwardii konnej w jeden pułk marszowy, który miał odtąd stale towarzyszyć cesarzowi jako jego osobista eskorta. Jadący z pierwszym oddziałem Józef Załuski obszernie opisuje dalsze perypetie szwoleżerów w drodze do Wiednia:

„...Pierwszy bój większy... było to straszne spotkanie marszałka Masseny z dzielnym generałem Hiller, dnia 3 maja pod Ebeisberg... Kawalerya gwardyi nie miała udziału w tym okropnym boju, ale byliśmy bliskimi świadkami... wszelkich jego ruchów i okropności... Miasteczko, most, wszystko dymiło się i tlało, droga, przez którą postępowano, zasłana była trupami podartymi, popieczonemi, konie nasze wzdrygały

227

się kroczyć po tem błocie z ciał ludzkich zdruzgotanych kolanu artyleryi; był to zaiste widok odrażający od wojny...

...Od Ebeisberga do Wiednia mało co mogliśmy być w awangardzie... Cały oddział czyli „Regiment de marche” konnej gwardyi nie wynosił jak 1000 koni, co wszystko stanowiło tylko orszak cesarski, a nie pozwalało brać czynnego udziału w utarczkach, jakie się codziennie odbywały z tylną strażą wojsk austriackich... Jednego dnia zdarzył się wypadek osobliwy. W mojej kompanii był brygadyer... nazwiskiem Zaorski; ten pewnego dnia w marszu spotkał między jeńcami rannymi rodzzonego brata swego, starszego wiekiem, wiezionego na wozie, wachmistrza w pułku arcyksięcia Karola, mocno plejzerowanego; był to dla nas rzewny a razem rozdzierający widok: dwóch rodzonych braci przeciwko sobie walczących...”

Takich rozdzierających spotkań z rodakami w służbie austriackiej mieli szwoleżerowie więcej. Jeden z kronikarzy regimentu wspomina dramatyczny epizod spod Ebeisbergu:

„...Nocowaliśmy pod miastem. Cesarzowi budkę z czapraków opięto, a my na ziemi pokładliśmy się. Ja leżąc nad rowkiem, zanim zasnąłem, usłyszałem zaraz za moją głową jęczenie i słowa po polsku: Jezus, Marya, Józef! Wstałem natychmiast i obaczyłem żołnierza austriackiego, który leżał wyciągnięty, ale już nic nie mógł odpowiedzieć, jeszcze wzdychał, lecz już był bez przytomności...”

Zdarzały się także spotkania inne, mniej wzruszające. W miasteczku Lambach przyjechali do Napoleona w charakterze parlamentariuszy trzej polscy oficerowie z pułku ułanów gwardii austriackiej. Cesarz odesłał ich na nocleg do kwatery szwoleżerów. Kronikarz pułku wspomina tych gości bez sentymentu. „Panowie oficerowie ułanów cesarskich nie mogą się zalić na brak gościnności z naszej strony; podejmowaliśmy

ich uprzejmie według możliwości miejscowej; żołnierze nasi podobnie, nie tylko z ich żołnierzami postępowali po koleżeńsku, ale im opatrzili kieszenie dukatami, żeby im dać

poznać różnicę składu naszego pułku gwardyi polskiej od Ni kamratów".

12 maja 1809 roku szwoleżerowie wkroczyli z cesarzem do / Wiednia. Dla polskich paniczów, znających doskonale stolicę (Austrii z dawnych szaleństw karnawałowych, było to niemałe przeżycie, a zarazem okazja do „spoczynku i rozmaitych opo- rządzeń".

„Rzemieślnicy wiedeńscy nie mogli się skarżyć na nas – pisze Załuski – kupowaliśmy, cośmy zastali gotowe, dla nas oficerów, dla koni, dla sług naszych... Towary wiedeń- skie zdawały nam się tanie w porównaniu paryskich i fran- cuskich, zwłaszcza przy niepojmowanym przez nas kursie bankocetłów..."

Towarem najbardziej poszukiwanym przez szwoleżerów w Wiedniu były... konie wierzchowe. Kronikarz tłumaczy przyczynę tego zjawiska. „Służba gwardyi, zwłaszcza lekko- konnej, była przy Napoleonie zabijająca dla koni; przeto nie każdy, co z Chantilly lub z Paryża wyszedł, nastarczył do Madrytu, a z Madrytu do Wiednia; nie tylko żołnierze usta- wali mając konie okulałe, ale i oficerowie, kiedy im, zwłaszcza w pierwszych latach, jeszcze skarb cesarski nie udzielił zapo- mogi, musieli się radzi nieradzi pozostawać w zakładach dla niedostatku koni; otóż i ja, przybywszy do Wiednia, starałem się kupić konia w tej stolicy..."

O owym wiedeńskim wierzchowcu opowiada Załuski inte- resującą historię. „...Udałem się do miasta i kupiłem bardzo ładnego i doskonale wyjeżdżonego kasztana węgierskiego od kawalera, który dziwiąc się może, że mu płacą, sprzedał go tylko za 20 napoleonów. Zaciągając się o godzinie 11-ej na paradę i służbę w Schoenbrunie przed cesarzem, nie omiesz- kałem wystąpić na koniu świeżo nabytym. Ledwie się parada odbyła i szwadron nasz stanął biwakiem, przybywa do mnie koniuszy cesarski, pytając imieniem Napoleona, czy mam tego konia na sprzedaż? Odpowiedziałem, że nie, ale że będę naj- szczęśliwszy ofiarować go monarsze. «Tego ja decydować nie

mogę – odrzekł koniuszy – koń wmpana podobał się cesa- rzowi, mnie do wmpana przysyła generał Savary, idźmy do niego». To samo powtarzam księciu Rovigo, ten mi odpo- wiada: «Cesarz wmpana daru przyjąć nie może, ale wmpan zażądaj za swego konia co chcesz, a ja ci zaraz zapłacę...» Cóż miał począć oficer polski? Zażądał, można by rzec kra- kowskim targiem, 40 napoleonów i te zostały natychmiast wyliczone; a koledzy od strzelców konnych gwardyi onych guidów Bonapartego nie mogli mi wybaczyć, że nie żądał przynajmniej sto napoleonów. Za kilka dni była przeprawa na lewy brzeg Dunaju przez wyspę Lobau, widziałem Napoleo- na dwa razy na moim koniu; pytałem się później o jego po- wodzeniu, odrzeczono mi, że zakulał... Cóż dziwnego, kiedy

i los jego pana zaczął chromać!"

Smętna refleksja końcowa kronikarza odnosi się do nie-szczęśliwej bitwy pod Aspern i Essling, którą stoczył Napoleon w tydzień po zdobyciu Wiednia. Przeprowa na lewy brzeg Dunaju, stanowiąca wstęp do tej batalii, wbiła się dobrze w pamięć lekkokonnym polskim. „...Dnia 20go maja – czytamy u Załuskiego – przeszliśmy Dunaj, to jest dwa główne koryta, a stanęliśmy na wsławionej wyspie Lobau, którą oddziela od lewego brzegu koryto mniej więcej 60 sążni szerokie; cesarz stał nad niem, niecierpliwy przeprowy; skoro się dowiedział o przybyciu oddziału polskich szwoleżerów, kazał sobie przedstawić szwadron świeżo z Polski przybyły. Było to sto koni wyborowych z pułków Księstwa Warszawskiego, pod dowództwem kapitana Kozickiego*, rozdzielenych pomiędzy ośm kompanij naszego pułku. Dano rozkaz, kapitan Kozicki uszykował oddział i poprowadził do Napoleona, stojącego nad brzegiem ostatniego koryta Dunaju. Napoleon kazał natychmiast temu szwadronowi przeprowić się wpraw, Kozicki zbiera się do stosownej komendy, lecz nie

. * Chodzi o oddział, który połączył się z pułkiem w Paryżu. Kapitan Feliks Kozicki był zapewne tym samym „burda”, który niegdyś w teatrze uciał pałaszem nos komendantowi pruskiego patrolu.

230

wiem kto, może pułkownik Krasiński, zaufany w łasce, jaką miał u cesarza, ośmielił się przedstawić, że to być nie może. – Jak to! – zawołał Napoleon. – Ja wiem dowodnie, że za Sobieskiego Tatarzy przebywali Dunaj wpraw! – Przedstawiono mu, że wówczas ryszunek był całkiem inny, że Tatarzy nie mieli ciężkiego okułowaczenia, jak my teraz na wzór jazdy francuskiej, że ich konie były wprawne do przebywania rzek wpraw itp.; te uwagi zdawały się Napoleonowi nie podobać, a obracając się do plutonu szasserów swoich, przy nim w eskorcie będącego, zapytał, czy niema między nimi którego umiającego dobrze pływac, coby podjął się to ramie Dunaju przeprowić wpraw na swoim koniu? Wyjeżdża z szeregu stary wiarus i rzuca się w Dunaj, lecz bystrość wody unosi jego konia i sam Napoleon woła na niego, żeby wrócił. Wtenczas to jeden z adiutantów marszałka Berthier... przystępuje do cesarza i mówi: «Najjaśniejszy Panie, ja dobrze pływam, widzę oto łódkę czy tratwę niestrzeżoną na tamtej stronie, przyprowadzę ją, a na niej wasza cesarska mość będziesz mógł oddział piechoty przeprowić. I tak pułkownik w bogatym mundurze huzarskim rzucił się w Dunaj i wykonał, co obiecał, w oczach Napoleona. Przeprowiono mały oddział piechoty i zaraz zaczęto stawiac most, a na nim jenerał Lassalle pierwszy przeprowadził część swojej jazdy. Pytanie, czy nieprzyjaciel nieumyślnie zostawił brzeg Dunaju niestrzeżony dla wciągnięcia Francuzów na lewy brzeg?... Nazajutrz przeszliśmy i my bez najmniejszej przeszkody. Staliśmy w szyku przy koniach kilka godzin, nie było słycać żadnego strzału armat, nawet karabinowego. Gdy południe się zbliżało w tej beczynności,

komendanci nasi bez rozkazu kazali wyprawić furazerów po zasilek dla koni i ludzi ogłodzonych; tymczasem wojska francuskie przechodziły bez oporu, ale powoli przez Dunaj... Furażerowie nasi wrócili wkrótce i przywieźli nadspodziewane zapasiki... Ale szczęśliwy, kto dopadł co gotowego na prędcę, albowiem ledwo rozłożono ognie i nastawiono kociołki, ozwały się razem armaty i karabinowe ognie, wszczął

231

się alarm powszechny, zaczęto trąbić na koń. Trzeba było owe nastawione rosoły wylewać i te różne dla głodnych tak ludzi, jak i koni cenne zdobytke porzucić. Dosiedliśmy więc koni i pod rozkazami generała Arrighi, dowódcy wszystkiej obecnej gwardyi konnej... zaczęliśmy manewrować po równinie w różnych kierunkach. Tymczasem już niektóre natarcia Francuzów były się nie udały i niejeden generał z najślawniejszych był zginął lub ranny; przed wieczorem wytrzymywaliśmy silny ogień nieprzyjaciela zasłaniając słabość kolumn piechoty. Gdy się ściemniało, ustał bój, cofnęliśmy się za mały lasek, zdziwieni ruchem w tył, miasto zwycięskiego naprzód, do któregośmy przywykli... Noc była spokojna, a gdy słońce ożywcze zaczęło pozłacać bagnety piechoty ciągle przybywającej, zdawało się nam chciwym zwycięstwa w naszej wyobraźni młodocianej i polskiej, że to zastępy nieprzeliczone wyrastają z ziemi;

spodziewaliśmy się więc świetnego odwetu z dniem 22 maja;

ale kiedy mosty na Dunaju zostały zerwane przez fortele nieprzyjacielskie i marszałek Davout z najliczniejszym korpusem swoim oraz liczne posiłki inne i amunicye nie mogły dostawać się na lewy brze[^] Dunaju, okazało się, że siły Napoleona nie były dostateczne, a kiedy marszałek Lannes i generał Oudinot, komendanci dwóch korpusów, zostali ranni, wszystkie nasze linie zaczęły się zwolna rejterować. Nie pojmowała tego moja głowa, nie wierzyłem swoim oczom... Natenczas generał Arrighi uszykował całą swoją jazdę gwardyi w jedną linią i w tej paradującej postawie odbieraliśmy strzały armatnie z frontu i z obu skrzydeł. Napoleon, kazawszy swojej świcie pozostawać na uboczu, przyjechał przed nasze linią i wolnym stępem przejeżdżał się przed tą swoją rezerwą. Kule armatnie przelatowały koło niego z trzech stron, powalając ludzi rannych, cofających się poza naszą zasłonę, podpierających się karabinami; innych, co unosili rannych na barkach. Cesarz stawał, przypatrywał się boju z lornety, posuwał się znowu o kilka kroków jak najwolniej, zażywał tabakę, przywoływał jakiego adjutanta, dawał rozkazy; byi

232

to poważny i wspaniały military widok. Wtenczas to kula armatnia sprzątnęła z konia kapitana naszego Kozickiego przed frontem oddziału, a druga uczyniła kaleką porucznika Olszewskiego; szeregowych naszych było kilkunastu zabitych i rannych, a tem więcej koni...

...Po natarciu piechoty młodej gwardyi, rozkazał cesarz

naszej kawalerii cofać się wolno w wspinałym porządku na wyspę Lobau... Teraz cesarz zdał komendę marszałkowi Massena, a sam... wsiadł do łodzi i kazał Czemiszewowi* wsiadać z sobą mówiąc do niego: «Siadaj wspan, bo nie wypada, żebym adjutanta imperatora Aleksandra dał zabrać do niewoli...» Pułkownik Krasiński wiedząc, że na prawym brzegu Dunaju już się znajduje większa część pułku pod dowództwem drugiego majora Dautancourt, przeprowił się także w łódce przez Dunaj, biorąc z sobą Antoniego Jankowskiego, pełniącego służbę adiutanta pułkowego...

...Kiedyśmy przeszli na wyspę Lobau, kolumna nasza się zatrzymała; ja nie mogąc pojąć przyczyny, zniecierpliwiony wysunąłem się na czoło oddziału, i tu dopiero dowiedziałem się od szefów Łubieńskiego i Paca, że mosty były zerwane... Dopiero poznałem całą okropność naszego położenia... Przekonawszy się o niemożności przebycia Dunaju, który wezbrany unosił różne odłamy, a czasem spłoszonego jelenia niemożącego się oprzeć wzburzonym falom, obrałem sobie łoże blisko brzegu pod drzewem, medytując... jaką śmiercią tu zginąć? czy od kuli, czy utopić się dobrowolnie w Dunaju?... bo nam kawalerzystom w tem położeniu, boju spodziewać się nie było można. Najwięcej tych medytacyj odbywałem z kolegą Mikułowskim, nie mając do pokropienia się tylko wodę mętną Dunaju, znośną, póki jeszcze jaki kawałek suchara i cukru jawił się w naszych lekkich zapasach; z początku byli tacy, co zabili parę zajęcy, ale gdzież te biedne zwierzęta mogły starczyć na tysiące głodnych... Po nocy zaczęli się

•General-adiutant Aleksander Czernyszczw towarzyszył Napoleonowi w tej bitwie jako „obserwator”* 2 ramienia cara Alelc-sandra.

233

oficerowie od jazdy żalić, że im piechota w nocy zjadła konie... aż wkrótce i kawalerzyści rzucili się do tej strawy... Przebywszy tak noc, byliśmy coraz więcej zdziwieni naszym położeniem, pozbawieni wszelkiej komunikacji z prawym brzegiem Dunaju, wystawieni na łup armii austriackiej zajmującej brzeg lewy... Tymczasem nie tylko nikt nie następował, lecz przeciwnie masy wojsk zwycięskich cofały się, a na koniec i strzały dały się słyszeć tak armatnie, jak i karabinowe... ale to były salwy przy obchodzonem nabożeństwie dziękczynnem za zwycięstwo nad Napoleonem...

...Ostatniego dnia naszego pobytu na wyspie Lobau, ku wieczorowi, gdy zgłodniały marzę bezsennie nad brzegiem Dunaju, wezwany zostałem do szefa szwadronu Łubieńskiego;

zastaję go z Pacem, proszą mnie na bankiet! Jankowski Antoni przyplynał na łodzi z Wiednia i przywiózł owym panom pułkownikom (szefów szwadronów w gwardii tytułowano pułkownikami – M.B.) wódki, bułek i gotowanego mięsa... Ci zaś częstują mnie najprzód wódką, wypilem więc kieliszek na ich zdrowie, dostałem bułkę i kawałek mięsa... Gdybym był na tem poprzestał, może bym był radości żalem nie przypłacił; ale mnie namówiono po tem jedzeniu wypić drugi

kieliszek wódki... i upiłem się tak jak nigdy w życiu. Widać, że żołądek czczy od kilku dni stał się nadzwyczajnie drażliwym... chorowałem całą noc i byłem o dużo słabszy jak przed owym posiłkiem; tymczasem nazajutrz z rana wołają na koń! Siadam bezwładny, aż tu przechodzimy po nowym moście na prawy brzeg Dunaju i zastajemy nasz pułk pod majorem Dautancourt z Francji przybyły uszykowany. Major na wszystkie strony pyta o wieś Saint Vite, nikt o niej nie wie. Niemcy odpowiadają, że nigdy o takiej wsi nie słyszeli... dochodzi wreszcie ta zagadka do mnie, ledwie siedzącego na koniu, ja odpowiadam: Sankt Veit (Fajt) pod Schoenbrunnem! Zaraz się znajdują przewodnicy i tam ciągniemy od zwodniczego Dunaju i od straszliwej wyspy Lobau".

Tak wyglądały historyczne zdarzenia pod Aspern i Essiing

234

w relacji naocznego świadka i uczestnika. Ze wspomnień Załuskiego i innych kronikarzy szwoleżerskich zdaje się wynikać, że Jan Leon Hipolit Koziatowski nie brał jeszcze udziału w tej bitwie. Wiadomo natomiast, że w Sankt Veit był już razem z pułkiem; świadczy o tym następny list do Klementyny Walskiej, zachowany w zbiorach krośniewickich:

„20 maja 1809 roku. St. Veit koło Schoenbrunn. Przyjazd Pana Potkańskiego do naszej Głównej Kwatery dostarczył mi okazji, żeby do Ciebie napisać, droga siostrze. Oto jestem znów razem z pułkiem i cieszę się z tego niezmiernie, bo to stałe odłączenie doprowadzało mnie do rozpaczki. Dostałem wczoraj ostatni twój list z 11 kwietnia. Sprawił mi on nieskończoną przyjemność. Piszesz mi, moja droga, bym wystarał się o urlop, żeby przyjechać was zobaczyć. To jest naprawdę moje jedyne życzenie, lecz czyż mogę w tych warunkach? Ale cierpliwości, moja droga siostrze, może nadarzy się sposobność wcześniej, niż myślimy. Piszesz mi o interesach; rozumiem, że nie muszą one wszystkie być dobre, ale sądzę, że w tym roku trudno je będzie uporządkować z powodu nieszczęścia, które gnębi nasz kraj... Mówisz mi o kanoniku Wiercińskim; jestem w rozpaczki, jak tylko można sobie wyobrazić, bo nigdy w życiu nie miałem nic przeciwko niemu, ale odwołuję się w tej sprawie do twego pośrednictwa. Spodziewam się, że znasz mnie dosyć, żeby nie wierzyć, iż mógłbym źle życzyć temu, który mi wyrządził tyle dobrego i z którym żyłem tak długo. Bądź, moja droga siostrze, ukoicielką, nikt nie robi tego lepiej od Ciebie. Napisałbym do niego osobny list, gdyby Potkańskiemu nie było tak spieszno, ale kiedy dostaniesz moje wszystkie listy, zobaczysz, że o nim nie zapomniałem i że bardzo by mnie to zmartwiło, gdyby jego oziębłość się przedłużała. Mówisz mi o pieniądzech, droga siostrze, przyznam ci się, że gdybym nie poniósł tak wielkich strat w Hiszpanii, nie potrzebowałbym ich, ale pomyśl, że moje konie są wyniszczone i że zmuszony jestem na nowo się ekwipować. Dogadzałoby mi bardzo, gdybyś przez jaką dobrą okazję lub przez bankiera mogła mi je przy-

235

słać. Jeżeli kiedyś dadzą nam odszkodowanie za nasze straty, nieomieszkać ci ich oddać. Zechciej poinformować się u kanonika W. i przyślij mi dane, wystarczające do tego, żebym mógł w razie gdyby Galicja była nam zwrócona, odzyskać wioskę dla Mamy. Urządź to jak należy z Monsignorem W., a mam nadzieję, że to mi się uda. Żegnaj, droga siostró, ściskam z głębi serca Ciebie wraz z całą Twoją rodziną. Nie piszę do Mamy, bo ponaglają mnie, żebym skończył, ale pisałem do niej w tych dniach i napiszę przy pierwszej okazji. Wytłumacz mnie przed nią i powiedz jej, co twoje serce będzie miało najczulszego... Nie zapominaj też o mnie wobec wszystkich innych osób z naszej rodziny i znajomych. Żegnaj, droga siostró".

Pan Potkański, który tak ponaglał Kozietułskiego do pośpiechu, był adiutantem ks. Józefa Poniatowskiego – i przyjechał do kwatery głównej Napoleona z raportem o wydarzeniach wojennych w Polsce. – Tym razem wiadomości były dobre. Wojska Księstwa po opuszczeniu Warszawy przeprowadzały zwycięską ofensywę w Galicji. 14 maja wzięto Lublin, 18 – Sandomierz, 20 – Zamość. Podjazdy polskie podchodziły już pod Lwów. Zabór austriacki po piętnastu latach niewoli i rozłąki jednoczył się znowu z dawnym zaborem pruskim. Zasilana przez tysiące ochotników galicyjskich, armia Poniatowskiego rosła z dnia na dzień. Opanowanie całej Galicji wydawało się sprawą najbliższej przyszłości. Stąd wzmianka w liście na temat odzyskania wsi matczynej i nadzieje na „wcześniejsze niż myślimy” spotkanie z rodziną. Pisząc ten list Jan Leon Hipolit był już prawie spokojny o dalsze losy wojny. Pogodę ducha zakłócały mu jedynie kłopoty pieniężne oraz „ozębłość” kanonika Wiercińskiego, śmiertelnie urażonego niesłusznym posądzeniem sprzed roku o nadużycie plenipotencji.

Napoleon w tym czasie był w humorze znacznie gorszym niż Kozietułski. Wynik bitwy pod Aspem i Essiing był dla cesarza ciosem tym dotkliwszym i niebezpieczniejszym, że poniesionym w obecności przedstawiciela sprzymierzonej Rosji.

„Bitwa pod Aspem i Essiing wywołała zwrot krytyczny

236

w ogólnym położeniu politycznym i wojskowym – pisze historyk epoki napoleońskiej. Marian Kukieł. – Zwycięzonym był tutaj nie któryś z generałów cesarza, jak pod Bailen, ale sam Napoleon. Pryśł urok jego niezwyciężoności. Zadygotała Europa. Powstanie tyrolskie, wybuchło w początku wojny i zduszone... odżyło teraz... i sięgało partiami w głąb Szwabii. Austria uruchomiła dalsze siły; na Węgrzech „insurekcja”, tj. pospolite ruszenie, stała się dość poważną siłą. Wzmogło się powstanie w Hiszpanii, wybuchło w Neapolitańskim”.

W Niemczech północnych i środkowych sytuacja również przedstawiała się groźnie. Działała tam partyzantka, kierowana przez młodych oficerów pruskich, heskich, westfalskich: Katta, Doernberga, Schilla i młodego księcia Brunszwik-Oels. „Legion mścicielski” księcia brunszwickiego wtargnął w maju do Saksonii i w początkach czerwca zajął Drezno; sprzymierzeniec

Napoleona, król saski i książe warszawski, Fryderyk August, uciekł przed nim z rodziną i rządem aż do Frankfurtu nad Menem. Król pruski za „jeszcze jedno zwycięstwo Austrii” obiecywał swoje przystąpienie do koalicji i przyciągnięcie do niej cara Aleksandra.

Napoleon w żadnym razie nie mógł dopuścić do tego „jeszcze jednego zwycięstwa Austrii”. Klęska pod Aspern i Essling domagała się szybkiej i mocnej riposty. Udzielono jej Austriakom pod Wagram.

Szwolężerowie kwaterowali w Sankt Veit około dwóch tygodni; pobyt w tej małej wiosce wyraźnie im nie odpowiadał. 6 czerwca Tomasz Łubieński skarżył się w liście do pani Konstancji: „...Ciągłe w tej paskudnej dziurze, nudzimy się okropnie... Kozietuński, Pac, Chłapowski wszyscy Ci się kłaniają...”

W kilka dni później nuda się skończyła. Polski pułk gwardii otrzymał rozkaz nawiązania łączności ze strażą przednią armii włoskiej księcia Eugeniusza de Beauharnais – i wyruszył z Sankt Veit marszem bojowym, najpierw do Styrii, a potem aż na Węgry. Znowu zaczął się dla szwoleżerów okres męczą-

237

cego patrolowania, drobnych utarczek z nieprzyjacielem i... osobliwych spotkań z rodakami w obcej służbie.

„...Wyprawiony byłem przez pułkownika Krasińskiego z podjazdem do Eisenstadt, dóbr księcia Esterhazego, już na Węgrzech – wspomina Józef Załuski. – W tem mieście, a raczej w pałacu, zastaję garnizon w mundurach granatowych z pensowymi wyłogami i spodniami, przypominający mi nawet krojem dawną piechotę polską, a na czele tej gwardyi księcia Esterhazego, kapitana Pawłowskiego, dawnego konfederata barskiego! Można sobie wystawić nasze wzajemne zdziwienie; przyjął mnie ten weteran jak najgrzeczniej i cały mój oddział zaopatrzył różnemi radami, jak sobie mamy postępować w Węgrzech...”

W Oedenburgu pułk lekkokonny zawrócono nagle ku Wiedniu na ponowną przeprawę przez Dunaj. Załuski w tym czasie zachorował – i cały marsz powrotny musiał odbyć w „koczyku”, pożyczonym od jednego z szefów szwadronu. 4 lipca wieczorem ujrano rzekę i wyspę Lobau. Na widok pamiętnej wyspy niestrudzony kronikarz pułku natychmiast opuścił kompromitujący „koczyk”.

„...Ledwieśmy przyszedli pod Dunaj i ja siadłem na konia, bo już wojska ze wszech stron zaczynały się zbliżać do mostów i nie wypadało się z tyłu wlec w kolasie, aż tu spada deszcz i grad nadzwyczajny; schyliłem się na konia okryty płaszczem, a grad tak mnie wytrzepał po plecach, jakżeby kto bił laskami... Przyznam się, iż zrazu pomyślałem, że ta wyspa może zaczarowana przez geniusze nieprzyjazne Napoleonowi – lecz jakem ujrzał potrójne mosty na Dunaju, rzekę przepasaną owym łańcuchem ogromnym, zdobyczą Sobieskiego na tureckim

wezryrze, flotyllę marynarki francuskiej pilnującą tego łańcucha i mostów... przez wyspę Lobau gościniec sypany i rewerberanai oświetlony jak gdyby na bulwarach paryskich – dziwiłem się przeciwnie szczęściu, które dozwoliło po 40 dniach przechodzić tę samą potężną rzekę w tem samym miejscu... Przybywszy wreszcie na wyspę Lobau, zastanawialiśmy się w bliskości namiotu cesarza i zabrali się do noclegu... Aż tu mnie budza

238

dwie kanonady; jedna niebieska, druga z 80 dział francuskich, a może i tyleż ze strony austriackiej, przytem ulewa..."

Kanonada artyleryjska, którą słyszał Załuski nad ranem 5 lipca 1809 roku, była już uwerturą do sławnej operacji wagramskiej. Właściwa bitwa rozpoczęła się po południu, po przegruceniu wszystkich wojsk na lewy brzeg Dunaju.

„...Ledwieśmy się uszykowali, rozpoczął się bój. Można sobie wystawić, jaki to był ogień, kiedy z obu stron było do 400.000 wojska, a armat przynajmniej 1000... Nigdy podobnego ognia nie słyszałem jak w ten dzień pierwszy bitwy wagramskiej..."

Polski pułk lekkokonny ruszył do natarcia dopiero nazajutrz (6 lipca) wczesnym rankiem. „Zaledwie mój masztalerz wziął był mego ogiera Andaluza do napojenia – wspomina Załuski – aż tu trąbią na koń! Wsiadam tedy na konia zapasowego z sakwami przewieszonemi i bezzwłocznie udajemy się w ogromnej kolumnie kawalerii rozwiniętymi szwadronami, kłusem ku naszemu lewemu skrzydłu... Skutek tego kolosalnego natarcia był ten, żeśmy odparli księcia Lichtensteina, który śmiałym i potężnym ruchem na lewe skrzydło nasze co tylko że nie odciął nas od naszych mostów na Dunaju. Piękny to był widok dla nas Polaków, nacierać w kolumnie kilkunastu tysięcy jazdy w trop za baterią dział lekkokonnych w kierunku owych gór Kahienberg i Bizamberg..., z których szczytu Jan III przed 126 laty spuszczał swe pancerne chorągwie na ratunek Wiednia i chrześcijaństwa! W tej samej godzinie, przy blasku tego samego słońca, zdawało nam się, że jego duch błogosławi nam, prawnukom jego towarzyszków broni... Sam Napoleon kierował tym wspaniałym ruchem, który odparł zuchwałe natarcie przeciwko niemu przedsięwzięte. Po usunięciu tego niebezpieczeństwa... nasz pułk, udawszy się w prawo ku środkowej stronie ogromnego pola bitwy, stanął rozwinięty w jednej linii... Staaliśmy tak, aż nam oświadczone imieniem cesarza, że bitwa wygrana, że marszałek Dayout na naszym prawem skrzydle wygraną zdecydował...

...Po południu mieliśmy należeć do wielkiego ruchu jazdy,

239

przeznaczonego na korzystanie z wygranej... Atak ten połączonej jazdy miał prowadzić marszałek Bessieres, lecz kula armatnia poraziła go z koniem; objął po nim dowództwo generał Lassalle, lecz kula karabinowa ugodziła go w czoło i położyła koniec zawodowi tego bohatera przyjaciela Polaków... Skończyło się więc na tem, że generał Macdonald namówił naszego pułkownika Krasińskiego, żeby korzystał ze sposobności i rozpoczął atak kawalerii. Posuwaliśmy się po tych nieprzejezdzanych równinach w zupełnym rozwinięciu pułku, atoli pułkownik Krasiński exaltowany wezwaniem Macdonalda, rozpoczął zaraz natarcie z pierwszym szwadronem pułku i oddalił się na czas dłuższy od naszej linii, która została na prawem naszym skrzydle pod dowództwem gros-majora Delaitre, zaś gros-major Dautancourt prowadził cztery szwadrony lewego skrzydła... Tymczasem zjawił się pułk 2-gi ułanów księcia Schwarzenberga (w większości z Polaków z Galicji i ze Śląska złożony). Adiutant major Duvivier przypadł do naszego szwadronu i nie czekając dalekich komend p. majora Delaitre, zagroził nas energicznie do rzucenia się natychmiast, obces na owych ułanów... Tymczasem ułani widząc, że my nie mamy lanc, ale z pałaszami na nich nacieramy, zaczęli piki rzucać, a brać się do dobytej pałaszów... Wtenczas zaczęło się uganianie naszych z ułanami tymi, i dziwny a nieszczęsny wypadek, że obie strony wyzywały się najobelżywszymi wyrazami w mowie rodowitej..."

O zachowaniu się Koziętulskiego podczas szarży na ułanów Schwarzenberga opowiada inny pamiętnikarz – Dezydery Chłapowski: „...Przy tej szarży zdarzył się wypadek, który mógł pułk o klęskę przyprowadzić, gdyby nie przytomność Koziętulskiego. Dwa pierwsze szwadrony komenderował gros-major Delaitre, Francuz, drugie dwa szef szwadronu Koziętulski. Delaitre miał wzrok krótki, nosił okulary. Widząc austriackich ułanów gotujących się do ataku i przeceniając ich siłę, chciał się zbliżyć do szaserów, którzy byli w tyle i zakomenderował: demi tour d droite, jako starszy dla całej-

240

go pułku. Spostrzegł niebezpieczeństwo Koziętulski, iż Austriacy wpadną na nich z tyłu, dał więc natychmiast tę samą komendę, a miał śliczny i donośny głos i ogromne zaufanie pułku. Tak nasze szwoleżery, zrobiwszy dwa razy zwrot, znaleźli się znów frontem do nieprzyjaciela, zrównali się i w tej chwili Koziętulski: do ataku broń! i marsz, marsz! zakomenderował. Szarża się powiodła. Delaitre szlachetnie Koziętulskiemu podziękował".

W pięć dni po Wagram Jan Leon Hipolit pisał z Wiednia do matki: „...Co do mnie, miałem dużo szczęścia. Dostałem kilka ciosów szabłą w czako, co mi sprawiło więcej bólu niż głęboka rana, bo całe lewe oko i część twarzy są niebieskie, ale to bagatela, niepokoi mnie kontuzja od dużego pocisku, którą dostałem w lewe ucho, bo czuję ciągle duży ból i nic a nic nie słyszę. Jedna rzecz, która mnie pociesza, to że się... zbliża chwila, kiedy będę miał szczęście być u Twoich stóp... Dopisek: Proszę

moją siostrę, by mi kazała poszukać służącego, który umiałby trochę gotować, dam mu chętnie 50 lub 60 franków, byle był dobry, bo wszyscy służący z tego kraju są do niczego".

Straty obu stron walczących pod Wagram były ogromne:

u Francuzów 34.000 zabitych i rannych, w czym 42 generałów i 1860 oficerów, a 2000–4000 jeńców; u Austriaków – 24.000 zabitych i rannych oraz drugie tyle jeńców. Francuski pościg za uchodzącym w największym porządku nieprzyjacielem trwał cztery dni. W czasie gdy Koziętulski leczył się już u wiedeńskich lekarzy, jego zdrowi koledzy ciągle trzęśli się w siódłach, goniąc za Austriakami.

„Można sobie wystawić, w jakim powietrzu i w jakich mękach uczucia spędziliśmy te cztery doby – pisze Załuski – nie wspominając już o głodzie i pragnieniu, kiedy pola niemal całe były spalone od ognia armat, które sobie przez zboża dojrzałe torowały czarne szerokie drogi, a w tym pożarze całych pól ulegali spaleniu się ranni żołnierze... Pod Raschdorf widziałem pagórki z amputowanych nóg i rąk...”

11 lipca, pod Znaim, armia arcyksięcia Karola raz jeszcze

16 – Koziętulski t. I 241

próbowała stawić opór nacierającym zwycięzcom. Polski pułk gwardii spóźnił się na tę ostatnią rozprawę kampanii austriackiej : dotarł do Znaim już po zawarciu rozejmu. Na dymiącym jeszcze pobojowisku nieludzko zmordowani szwoleżerowie odebrali rozkaz bezwłocznego powrotu do Schoenbrunn, dla objęcia straży przy głównej kwaterze cesarza. Tomasz Łubieński zdążył z drogi przekazać kilka słów żonie. „Donoszę ci z największą radością, że się niedługo zobaczymy – pisał 12 lipca do Plombiers, gdzie panie Łubieńska i Krasińska przebywały z cesarzową. – Mamy zawieszenie broni, zdaje się, że także będzie pokój. Piszę to na kolanie, pułk jest w marszu;

okropnie leje...”

Nadzieje pana Tomasza na zawarcie pokoju i szybki powrót do Francji okazały się przedwczesne. Pomimo świetnych zwycięstw na głównych frontach – wojna z piątą koalicją dogasała powoli. W końcu lipca flota angielska wszczęła spóźnioną dywersję u wybrzeży Belgii, w Tyrolu nie ustawiali w walce chłopscy powstańcy pod dowództwem męznego Andrzeja Hofera; w Westfalii i w Saksonii nadal buszował „legion mścicieli” młodego księcia Brunszwickiego. Rokowania pokojowe z dworem austriackim, rezydującym po ucieczce z Wiednia w Totis na Węgrzech, przebiegały opornie, w atmosferze napięcia międzynarodowego. Sukcesy wojsk Księstwa Warszawskiego w Galicji coraz bardziej niepokoili cara Aleksandra. Austria wykorzystywała wydarzenia galicyjskie dla odciążenia Rosji i Prus od Napoleona. Agenci dyplomatyczni z Totis rozsnuwali w Petersburgu i w Berlinie apokaliptyczne wizje silnej Polski jako „marchii wschodniej” cesarstwa napoleońskiego. Zaborcze dwory nie lekcewały tych ostrze-

zeń. W cztery dni po rozejmie, przy zajmowaniu przez Polaków Krakowa, omal że nie doszło do zbrojnego starcia między wojskami Księstwa a wkraczającym z drugiej strony do miasta sojusznicznym korpusem rosyjskim. Pokonana piąta koalicja

242

w każdej chwili mogła się odrodzić, wzmocniona o nowych potężnych sprzymierzeńców, przerwana wojna w każdej chwili mogła wybuchnąć na nowo.

Polskim lekkokonnym hałasy wielkiej polityki nie zdołały zakłócić ich zasłużonego odpoczynku; przynajmniej na początku. Pierwsze dwa tygodnie pobytu na nowych kwaterach w Langensdorf pod Schoenbrunnem upłynęły w spokoju i w beztrójce. Czas wolny od służby przy cesarzu szwoleżerowie poświęcali głównie na przymierzanie u krawców nowych paradnych mundurów, na wesołe bibki koleżeńskie oraz na wypady rozrywkowe do Wiednia. W stolicy Austrii przebywało wtedy wiele osób z polskiego „towarzystwa” i oficerów gwardii przyjmowano wszędzie z otwartymi rękami.

Ale beztrójka idylla szwoleżerów skończyła się wraz z ostatnim dniem lipca; w następnym miesiącu zwałił się na nich cały wór zmartwień i kłopotów.

1 sierpnia zmarł w wiedeńskim szpitalu ulubieniec pułku – dowódca piątej kompanii, kapitan Stanisław Gorayski. Żegnano go ze szczerym smutkiem; był to druh Koziatulskiego i Łubieńskich jeszcze z warszawskiej Gwardii Honorowej, wierny towarzysz broni w trzech kampaniach wojennych:

prusko-rosyjskiej, hiszpańskiej i austriackiej. Wątłe zdrowie 25-letniego kapitana nie wytrzymało trudów wojny. Lekarz pułkowy, doktor Girardot, „odbywszy sekcją jego piersi”, stwierdził tak wielkie zniszczenie organizmu, że „pacjent nie mógł żyć”.

Bezpośrednio po śmierci Gorayskiego uwagę szwoleżerów pochłonęło inne wydarzenie – natury publicznej. Do głównej kwatery cesarza przybyła trójosobowa delegacja przedstawicieli wyzwolonej Galicji*. Przyjechali prosić Napoleona o przyłączenie obu Galicji * * do Księstwa Warszawskiego – i upominać się raz jeszcze o „przywrócenie Królestwa” i o „francuskiego

* Ignacy Potocki, Tadeusz Matuszewicz i Ignacy Miączyński.

** Stara albo wschodnia Galicja – ze Lwowem – przyłączona do Austrii w wyniku pierwszego rozbioru oraz nowa albo zachodnia Galicja (z Krakowem, Lublinem, Zamościem) zabrana przez Austrię w trzecim rozbiore.

343

króla” dla Polski. Delegacji przewodniczył jeden z najbardziej szanowanych ludzi w kraju, blisko już siedemdziesięcioletni Ignacy Potocki. W ciągu swego długiego życia Potocki nie-

jednokrotnie stawał w charakterze petenta przed mocarzami Europy. W roku 1786 partraktował w Kijowie z carycą Katarzyną, w roku 1788 spotykał się „sekretnie” w Pymont z królem pruskim Fryderykiem Wilhelmem II, w roku 1805 witał w Puławach jako „zbawcę Polski” cesarza Aleksandra. Pomimo tak różnych adresatów we wszystkich misjach Potockiego chodziło o to samo: o anulowanie rozbiorów Polski i pozyskanie dla przywróconego królestwa władcy, który potrafiłby zapewnić mu niezawisłość.

Napoleon przyjął deputację polską 3 sierpnia rano, w schoenbrunskiej rezydencji cesarza austriackich. Orację powitalną Potockiego przerwał po pierwszych słowach. Mówił sam, krótkimi, pośpieszonymi zdaniami; obecni odnieśli wrażenie, że wypowiada głośno swe myśli. Zaczął od zganienia Poniatowskiego za ostentacyjnie polski charakter wojny w Galicji. Gdyby zajmowano kraj w imieniu cesarza, nie doszłoby może do konfliktu ze sprzymierzeńcami rosyjskimi. Spontaniczny entuzjizm wyzwalanej ludności?... Tak, zapswne... ale cesarz wcale tego nie zalecał!... Wyjaśnił delegatom, dlaczego odbudowę Polski uważa w danej chwili za niemożliwą. Polska to rzecz (lin article), przez którą zrywają się wszystkie układy z Rosją. Rosja doskonale wie, że jest dostępna dla ataku tylko przez Polskę... Gdyby on, Napoleon, był cesarzem rosyjskim, nie pozwoliłby nigdy na najmniejsze rozszerzenie Księstwa Warszawskiego; przeciwnie—dziesięć lat by walczył, aby je zburzyć; podobnie jak sam dla obrony Belgii dałby się zabić z dziesięciu swymi armiami i wystawiłby jedenastą z kobiet i dzieci... Wie, że odbudowanie Polski ustaliłoby równowagę w Europie, ale tej równowagi nie dałoby się osiągnąć bez totalnego zniszczenia potęgi militarnej Rosji... Nie ukrywa wcale, że żywi szczególny sentyment dla narodu polskiego. Pewne cechy polskiego społeczeństwa podobne są do francus-

244

kich, warszawskie obyczaje i salony przypominają Paryż. Ale w polityce nie liczą się sentymenty... Dać Polakom francuskiego monarchę? Panno Święta, to byłoby równoznaczne z wojną na północy!... Trzeba by powołać cztery nowe roczniki pod broń, zrujnować Francję!... Czcigodni deputaci widzieli zresztą sami, jak trudne jest dla żołnierzy cesarza prowadzenie wojny w Polsce, nie odpowiada im klimat, brakuje im wina, bez którego ulegają chorobom; krótko mówiąc, Francuzi brzydzą się kampaniami na północy. Cesarz nie może więc ściągać na siebie wiecznej wojny z Rosją, przynajmniej na razie...

W taki sposób przemawiał Napoleon do Polaków w Schoenbrunnie. Przygnębieni delegaci powrócili do Wiednia, gdzie złośliwy przypadek pognąbił ich jeszcze bardziej: wkrótce po audiencji wszyscy trzej rozchorowali się ciężko na grasującą wówczas dyzenterię. Sędziwy Ignacy Potocki nie przeżył choroby; umarł w Wiedniu w tym samym miesiącu, nie doczekawszy zawarcia traktatu pokojowego.

Zła dla Polaków passa sierpniowa na tym się nie wyczerpała. 9 sierpnia ugodził w szwoleżerów cios bezpośredni: polski

pułk gwardii skompromitował się w sposób bezprzykładny na rewii przed cesarzem.

Obszernie opisuje to zdarzenie niezawodny jak zawsze Józef Załuski:

„...Napoleon powróciwszy do Schoenbrunn, zaraz się zajął przeglądem swych wojsk. Codziennie dziedziniec pałacu schoenbrunskiego był napełniony... pułkami, które Napoleon chciał wynagradzać za bitwy odbyte. Przyszła kolej i na nasz pułk. Mieliśmy rozkaz wystąpienia w zupełnym komplecie ludzi i koni obecnych przy pułku...

...Oficerowie ranni, lecz mogący chodzić, jako to: szef Kozietulski i kapitan I-ej kompanii Franciszek Łubieński, oraz inni, pełni nadziei łask i nagród, przybyli z Wiednia... Pułk nasz ciągnął w całej paradzie, podzielony na dwa regimenty po 4 szwadrony bojowe; pierwszym dowodził major Delaitre, drugim Dautancourt, oboma niby brygadą pułkownik Krasiń-

245

ski. Szli upojeni tryumfem, marząc tylko o pomyślnościach;

tymczasem żadnemu z tyłu dowódców nie przyszło na myśl posłać adiutanta pułkowego naprzód, żeby się zapytał o miejsce szyku i zaprowadził pułk na takowe. Weterani majorowie sądzili, że ktoś ze sztabu cesarskiego w tym celu do nas przybędzie; po prostu stracili głowę, mając po raz pierwszy popisywać się z bliska przed samą osobą Napoleona...

...Przybyliśmy więc poza prawą oficynę pałacu i po rozgłosnej pretensjonalnej komendzie pp. majorów zaczynamy się szykować z tyłu za oficyną. Wtem na głos donośny Dautancourta przybiega generał Durosnel, adiutant cesarski, i woła na gwałt: dla Boga! Co panowie robicie, gdzie się kryjecie?! Nie tu wasze miejsce, ale w pierwszej linii przed pałacem... Zmieszani tem bardziej nasi dowódcy tym nagłym rozkazem, prowadzą nas do bramy dziedzińca, mijamy owe lwy u wnijscia spoczywające, i zastajemy cały dziedziniec przepełniony wojskami rozmaitemi, artylerją, pociągami; na koniec czoło naszej kolumny trafia na jakieś zapasy cegieł i wapna i rusztowania przysposobione do jakiejś reperacji; majorowie i szef Łubieński wydają różne komendy, chcąc wybrnąć z tego labiryntu; istotnie poruszenia nasze w tym tumultie były trudne, i mogło się zdawać cesarzowi, że to skutki naszej nieznajomości obrotów wojskowych; w tem nadbiega generał Durosnel i woła:

kto tu dowodzi I-ą kompanią? — Odpowiadam: ja (Załuski zastępował ранnego pod Wagram kapitana Franciszka Łubieńskiego — M.B.). — Wmpan jedź do cesarza, on wmpana żąda! — Ja kieruję konia ku cesarzowi, aż tu przypadają do mnie pułkownik Krasiński, Delaitre, wołając: — Co ty robisz, gdzie jedziesz?! — Ja odpowiadam, że cesarz kazał mnie wołać; milczenie, zadziwienie; a ja stoję na koniu przed cesarzem i salutuję go pałaszem; on spogląda z dołu do góry na mnie i głosem surowym pyta: — Quietes vous'! — Odpowiadam: — Dowódca

I-ej kompanii regimentu szwoleżerów. – Na to cesarz: –
– A, dobrze! – i dotykając się ziemi palcami prawej ręki
mówi do mnie: – pan tu, tu, tu uszykuj swoją kompanią przede

246

mną.– Ja wracam do pułku i komenderuję mojej kompanii:–
Czwórkami marsz! – Przypadają do mnie szefowie szwadronu,
Łubieński, Pac, myśląc, że dostał pomieszania zmysłów. –
Co ty robisz! – wołają. Ja do nich: – Pełnię rozkaz cesarza.–
Znowu milczenie i zadziwienie. Ja przyprowadzam kompanię
i szykuję ją, nie bez migów cesarza, gdzie mam stanąć, i wyrów-
nywam ją przywoicie. Gdym uszykował kompanię I-szą, po-
syła znów cesarz generała Durosnel po Szeptyckiego, dowódcę
5-ej kompanii od śmierci Gorayskiego. Gdy ten przybywa
przed cesarza, wskazuje mu Napoleon na nas i mówi: – Wi-
dzisz kompanię I-szą, uszykujże się przy niej w linii. – Co gdy
Szeptycki uskutecznił, dał rozkaz przez generalnego adjutanta,
żeby cały pułk stosownie do stanowiska I-go szwadronu uszy-
kował się.

Siedzieliśmy na koniach oczywiście z dobytymi pałaszami,
wtem Napoleon woła na pułkownika Krasińskiego: – Każ,
pułkowniku, z koni zsiąść! – Krasiński komenderuje poś-
piesznie: – Z koni! – nie kazawszy wprzód pochować pałaszy,
co jest uchybieniem krzyżącym w regulaminie; dopiero my,
podwładni, musieliśmy każdy osobno komenderować do scho-
wania pałaszy, a potem do zsiadania z koni. Ale nie dość na
tem... gdyśmy zsiadli z koni, pokazało się, że nie jesteśmy
w szyku lustracyjnym, ale w bojowym... znowu gniew cesarza,
znowu zwłoka... a Koziętulski, Franciszek Łubieński, mój ka-
pitan, i inisi ranni oficerowie widząc, że się zanosi na burzę... gdzieś
pochowali się i znikli. Ustawiłem więc kompanią czempredzej
w szyku lustracyjnym i stanąłem na samem onej prawem
skrzydle, pieszo trzymając za sobą konia w szeregu o cuglach
przez lewe ramię na piersiach – w lewej ręce według reguła*
minu, a prawą rękę przykładając do czapki.

Nadchodzi Napoleon, za nim generałowie służbowi, puł-
kownik Krasiński, major Delaitre, szef szwadronu Tomasz
Łubieński, zaś z gradusów przedpałacowych przypatruje się
świetny orszak sztabowy i mnóstwo generałów zagranicznych...
Napoleon idzie prosto na mnie i stanawszy przede mną, pyta

247

surowo: – To wmp. dowodzisz kompanią? – Tak jest naj.
panie. – Wiele ludzi przytomnych? – 84 – Wiele zabitych? –
Wskazałem liczbę. – Wiele rannych? – Tyle. – Wiele w mar-
szu pozostałych? – Tyle. – Wiele w zakładzie we Francji? –
Tyle. – Jaki ogół ludzi i koni? – Tyle. – Te pytania następowały
tak prędko jedno po drugim, że trzeba było być dobrze przy-
gotowanym i posiadać język francuski, ażeby cesarza nie znie-
cierpliwić. Istotnie nie wiem co by się było stało, gdyby Fran-
ciszek Łubieński, który się jakaś i nie był koniecznie mocny
we francuszczyźnie, był tak nagłaço nagabany... Zdaje się, że
cesarz był zadowolony moim sposobem odpowiadania, równie

prędkim jak jego pytania, bo spozierał na mnie z natężeniem i jakimś upodobaniem, z którego wynikło, że w dobrym wcale humorze rzecze do mnie: – C'est bien, voyons les livrets (to dobrze, zobaczymy teraz książeczki żołdu). Na to ja: – Niema ich naj.panie! – Jak to, niema ich? – Nigdy ich nie było naj.panie! – Jak to, Loubiński (Łubieński), to twój szwadron, a niema książeczek. – Na to Łubieński, którego Napoleon znał bliżej, a który nie był przyjacielem Krasińskiego, odpowiada: – Naj.panie, nie ja dowodzę regimentem! – Tu Napoleon domyślając się, że chciano szkodzić Krasińskiemu, którego on lubił, przywołuje majora Delaitre i już pełen gniewu poruczy na niego: – Cóż to, pułkowniku Delaitre, ja wmpanu poruczyłem formacją tego regimentu i zostawiasz go bez książeczek?... Cóż to wmpan sobie myślisz, że chciałem mieć pułk Arabów?! (To powiedział Napoleon dlatego, że znał Delaitre'a adjutantem Klebera i poruczył mu był dowództwo Mameluków, nim go awansował na majora do naszego pułku). Delaitre coś przebąknął na uniewinnienie się ze strony kosztów formacji pułku itp... tak, że Napoleon, opuściwszy go, zwrócił swój podwójny gniew na intendenta Daru, który był inspektorem jeneralnym gwardyi. Tego więc kazawszy w okamgnieniu do siebie przywołać – a był to pan orderowy z gwiazdą na piersiach. – Napoleon tupiąc nogą krzyknął na niego: – Czyto tak administruje jego wojskami, żeby regiment ygo

gwardyi był bez książeczek? – Daru chciał coś odpowiedzieć... ale uniesienie się Napoleona wzrastało coraz bardziej i krzyknął: – Odprowadzić tego nędznika z oczu moich! Niech go nie widzę więcej! – a odwracając się rozgniewany ku naszemu pułkowi, te same słowa powtórzył: – Precz z nimi, niech się na nich nie patrz!... – A wtem, kiedyśmy dosiedli koni i czwórkami w prawo galopem przez pierwszą boczną bramę wylecieli w okamgnieniu, Napoleon... – widząc, że wielu zagranicznych mężów patrzyło się z bliska na tę scenę, powraca ku pałacowi uśmiechając się cały i odzywa się do zagranicznych jenerałów: – Ces gens là, ne savent que se battre\ (Ci ludzie tylko się bić umieją)..."

W dalszym ciągu swojej relacji Załuski wyjaśnia, dlaczego w pułku nie było książeczek żołdu. „Krasiński, gdy Napoleon w kampanii pruskiej za protekcją księcia Alexandra Sapiehy przeznaczył go na pułkownika mającego się tworzyć pułku gwardyi konnej polskiej, z chętności, jemu... właściwej oświadczył, że ta formacją będzie kosztowała nic albo bardzo mało, bo młodzież polska, wezwana do gwardyi Napoleona, będzie ze wszech stron dawnej Polski garnęła się na wyścigi o własnym koszcie...” Niestety, w późniejszej praktyce lekkomyślne zapewnienie Krasińskiego sprawdziło się tylko w stosunku do oficerów, nie sprawdziło się natomiast u szeregowych, którym musiano wypłacić zaliczkę na zakup ekwipunku, a następnie potrącać tę zaliczkę z żołdu. W rezultacie: żołnierze pułku przez cały czas dwóch kampanii: hiszpańskiej i austriackiej, zamiast należnych im dziennie 25 soldów, otrzymywali tylko 15 soldów, a francuscy majorzy nie kwapili się z wystawieniem książeczek, czekając na zupełne umorzenie pobranej zaliczki. Dopiero po fatalnej rewii zabrano się gorączkowo do uzdrowienia administracji pułkowej. Załuski skarży się, że

„musiał pisać książeczki dzień i noc”.

Skandal schoenbrunski wywołał w korpusie oficerskim lekkokonnym poważny i długotrwały ferment. Pewne pojęcie o ówczesnych nastrojach daje list Tomasza Łubieńskiego, wy-

249

słany do Plombiers nazajutrz po rewii. Pan Tomasz cały swój gniew kieruje przeciwko pułkownikowi Krasińskiemu:

„...Stracono głowę i narobiono głupstw. Cesarz nie był z nas kontent i rzeczywiście smutną jest rzeczą, że najlepsze chęci nasze przez winę jednego w niwecz się obracają. Nie wiem, jak się to wszystko skończy. Dzisiaj znów generał Durosnel z rozkazu Cesarza przyjechał, ażeby doprowadzić nasz pułk do porządku, wątpię, ażeby mu się to udało. Ja tylko to wiem, że jak najlepiej życzę Kras..., byle jak najdalej od naszego pułku, bo tak długo, jak on tu jest, to rzeczy nie pójdą; albo żebyśmy wszyscy oficerowie wystąpili, bo wytrzymać nie można. Po nieszczęśliwej rewii przed Cesarzem pojechałem na śniadanie do generała Guyot. Ta niemiła sprawa stanie się powodem, że nie będzie nagród dla naszego pułku i że mój awans na majora z dymem się ulotni...”

Łubieński nie mijał się z prawdą, pisząc o możliwości wystąpienia oficerów z pułku; kilku rzeczywiście przeniosło się do innych jednostek *. Narastająca od dawna niechęć do Krasińskiego osiągnęła po rewii stan wrzenia. Najostrzej atakowali dowódcę dwaj szefowie szwadronu: Tomasz Łubieński i Ignacy Henryk Kamieński. Między Kamieńskim a Krasińskim miało później dojść nawet do pojedynku – niestety, niczego bliższego na ten temat nie udało mi się dowiedzieć. Trzeba przyznać, że „prezes Wicusz” robił wszystko, aby coraz bardziej rozjątrzać przeciwko sobie podwładnych. W trzy tygodnie po skandalu sierpniowym Łubieński informował żonę o nowym wybryku pułkownika; tym razem zarzucał mu niesprawiedliwy stosunek do żołnierzy. List wart jest przytoczenia, bo opisuje niezwykle koleje losu polskiego wojaka-obieżyświata.

„Schoenbrunn, 2 września 1809

...Jeden żołnierz z pułku szwoleżerów przyszedł prosić o moje wstawiennictwo u Krasińskiego na poparcie wniosku o krzyż Legii... Od najmłodszych lat miał pociąg do podróży, a będąc

•Kilku podało się także do dymisji, m.in. przyjaciel i podwładny Koziętulskiego, kapitan Wincenty Radziwiński.

250

domownikiem księcia Radziwiłła, był przez niego posyłanym kilkakrotnie za różnymi sprawami do Konstantynopola,

Londynu, Paryża i innych europejskich stolic. Jeszcze nie było mu dość tego, zapisał się na okręcie kupieckim i zwiedził Amerykę Północną, Południową, Indie – gdzie schwytany przez Anglików, został prostym majtkiem na okręcie admirała Nelsona. Bił się razem z nim w kilku bitwach morskich, a następnie, po siedmiu latach służby, został wykupiony przez admirała rosyjskiego Lievena, który znał dobrze jego ojca. Za powrotem do Polski słyszy o Gwardyi, udaje się do Roztworowskiego, Jedzie z nim do Paryża i odbywa z nami kampanię hiszpańską jako prosty żołnierz. W bitwie pod Wagram rzuca się na armatę nieprzyjacielską, otoczona hułanami; ciężko bardzo ranny, zostaje więźniem i zaraz mu odbierają 500 dukatów, które miał zaszyte na sobie, to jest cały jego majątek. Pomimo tego udaje się ucieczką, sam bierze dwóch ludzi w niewolę i przychodzi do Wiednia, gdzie nikomu nieznanym, cierpi największą nędzę i ból z ran. Wyleczony powraca do Pułku, ale zupełnie niesłusznie nie podoba się pułkownikowi Krasińskiemu, który go na dwa dni aresztu skazuje. Tam o nim przez dwa dni zapominają i nie dają ani jeść, ani pić. Przedstawiony do krzyża Legii przez jednogłośnie aklamację wszystkich, boi się, że go pułkownik nie poda. Błaga, aby się za nim wstawić..."

Kotłowanina i intrygi wzajemne między szwoleżerami trwały przez dobrych parę miesięcy. Krasiński w walce z oponentami nie przebierał w środkach; inni gwardziści – nie mniej ustosunkowani od dowódcy – również nie wahali się korzystać w rozgrywkach pułkowych z protekcji wysoko postawionych osób postronnych. Między innymi trafiono także – najprawdopodobniej z obu stron – do pani Walewskiej.

O obecności cesarskiej faworyty w Wiedniu napomyka Tomasz Łubieński już w liście z 31 lipca:

„...Przedwczoraj poszedłem do loży pani Witte, zastałem tam panią Anastazową (Walewską), która opowiadała mi o Warszawie, bo ona z niej wyjechała dopiero po wyjściu Austriaków...”

251

Napoleon ściągnął do siebie swoją „słodką Marię” natychmiast po zakończeniu działań wojennych – i przydzielił jej na mieszkanie elegancki pałacyk w Meidling pod Schoenbrunnem. Sytuacja Walewskiej była teraz o wiele lepsza niż w pierwszych miesiącach znajomości z cesarzem. „Trusia z Walewic” nie musiała się już ukrywać przed wzrokiem ludzkim, przestały ją prześladować zabójcze dowcipy dam z arystokracji warszawskiej. Polska opinia publiczna stopniowo pogodziła się z drastycznym romansem cesarskim. Niewątpliwy patriotyzm, bezinteresowność i pełne godności zachowanie się „pani Anastazowej” – zdobyły jej względy najpoważniejszych osobistości. Nieskłonny do pochwał Niemcewicz wyraża się o niej z najwyższym uznaniem: „Pani W... jest osobą nawet w słabości szacowną, nie chce przyjmować darów i najwyższych ofiarowanych sobie korzyści, tylko ażeby Polskę przywrócił...”

Podobno właśnie w Meidling staczała pani Anastazowa najgorętsze boje o przywrócenie Polski. „Zamęczała Napoleona

Polską – pisze autor arcyciekawego szkicu o Walewskiej, Adam Mauersberger. – Chodziła w sukniach białych, szarych, niebieskich – żałobie narodowej. Ciągłe wciągała go w rozmowy..." A była w tych rozmowach twardsza i bardziej wymagająca niż politycy warszawscy. Kiedy Napoleon w okresie rokowań pokojowych oświadczył jej: – Dostajecie nową Galicję – wydeła tylko pogardliwie usta: –f i donc, rien que cela*

Bardzo być może, iż skłócenie lekkokonni odwoływali się właśnie do patriotyzmu pani Walewskiej. Chodziło ostatecznie nie o błahostkę, lecz o zagrożoną jedność reprezentacyjnej formacji polskiej. Dostęp do Meidling mieli łatwy, gdyż prawie wszyscy oficerowie pułku znali panią Anastazowa dobrze i od dawna. Kozietulski sąsiadował z nią w Łowickiem, Łubieńscy przyjaźnili się z jej braćmi. Pac przetańczył z nią niejednego kadryła na balach warszawskich, Krasiński nadskakiwał jej od chwili, kiedy wpadła w oko Napoleonowi.

W liście Tomasza Łubieńskiego z 23 sierpnia jest już wyraźna

•Ech, tylko tyle. (franc.)

Wzmianka o wciągnięciu faworyty cesarskiej w intrygi pułku gwardii:

„...Nie pisałem ci także o intrygach tutaj, bo są niewiele znaczące. Robią je najczęściej przez Anastazowa Walewską. Chcieli mnie do nich wciągnąć, ale szczęściem nie wmieszałem się wcale...”

Twierdzenie p. Tomasza, że „nie wmieszał się wcale” – wydaje się raczej wątpliwe. Z innych listów wynika, że właśnie z panią Anastazowa rozmawiał „na temat swego prawdopodobnego odesłania do innej formacji” i przed nią użalał się, że „chcą usunąć naocznego świadka tego, co dzieje się w pułku”.

Pani Konstancja Łubieńska była osobą z natury ciekawą i nie wystarczały jej ogólnikowe wzmianki ostrożnego małżonka; domagała się stanowczo szczegółów bardziej konkretnych:

„...Mógłbyś mi być coś więcej napisać o intrygach, kładąc ich cel po polsku i pierwsze litery tylko imion, bo niktby nie mógł tego zrozumieć, tylko ja...”

Intrygami w pułku lekkokonnych interesowano się nie tylko w Plombiers, wieść o nich dotarła także do Warszawy, a nawet do Kompiny pod Łowiczem. Starsza pani Kozietulska pisała do syna:

„...Chodzi tu wiadomość, że między oficerami waszego regimentu, zaczawszy od waszego pułkownika, intrygi, partye i nieustanne są niespokojności; jakby to było dobrze, żebyś do tego cale nie należał. Już kiedy taka nieszczęśliwie o Polakach opinia, że nigdy w jedności nie mogą być, żeby też przynajmniej mój Jasio był od tego wyłączony...”

12 października 1809 roku – na dwa dni przed podpisaniem tak długo oczekiwanego traktatu pokojowego między Francją a Austrią – w Schoenbrunnie usiłowano dokonać zamachu na życie Napoleona. Stało się to podczas rewii wojskowej na dziedzińcu pałacu schoenbrunskiego. Agenci tajnej policji zwrócili uwagę na młodego, przyzwoicie ubranego człowieka, który w podejrzany sposób usiłował się przybliżyć do cesarza. Schwy-

253

tano go, zanim zdążył wyciągnąć z zanadru długi wyostrzony nóż kuchenny. Zamachowiec nazywał się Fryderyk Stepps i był studentem, synem pastora z Naumburga w północnych Niemczech. Napoleon po rewii kazał przyprowadzić Steppsa do siebie i osobiście poddał go badaniu. Przebieg i dalsze konsekwencje tego badania podaję według przekazu historyka Eugeniusza Tarlego:

„Dlaczego chciałeś mnie zabić? – zapytał cesarz. – Dlatego – odpowiedział student – że dopóki Wasza Cesarska Mość żyje, ojczyzna moja, a wraz z nią i świat cały, nie zazna swobody ani pokoju. – Kto cię tego nauczył? – Nikt. – Czy tego was uczą w waszych uniwersytetach? – Nie, Wasza Cesarska Mość. – Czy pozazdrościłeś laurów Brutusowi? – Student widocznie nie dał odpowiedzi na to pytanie, gdyż Napoleon mówił później, że Stepps niezupełnie dobrze wiedział, kim był Brutus. – A co zrobisz, jeśli cię teraz uwolnię? Czy znowu będziesz dążył do zabicia mnie? – Stepps milczał długo, wreszcie odpowiedział: – Tak, będę, Wasza Cesarska Mość. – Napoleon milczał również i w zamyśleniu wyszedł z pokoju. Wieczorem zebrał się sąd wojenny, a nazajutrz Stepps został rozstrzelany”.

Stan faktyczny nieudanego zamachu na Napoleona jest na ogół znany, bo był wielokrotnie opisywany w rozmaitych pracach historycznych. Mniej znane natomiast są pewne zakulisowe szczegóły tego wydarzenia. Jakkolwiek trudno kwestionować fakt, że sam zamachowiec był bezinteresownym patriotą niemieckim, związanym prawdopodobnie z uniwersyteckimi Związkami Cnoty – to jednak przygotowaniom do zamachu patronował niewątpliwie austriacki wywiad wojskowy. Wiadomo, że Stepps przyjechał do Wiednia z Totis, odebrawszy tam uprzednio jakieś dyrektywy; wiadomo, że podczas jego pobytu w Wiedniu opiekował się nim szef wywiadu austriackiego na terenie okupowanej stolicy, Karol Glave-Kolbielski, który spędził z nim ostatnią noc przed zamachem – rzekomo na wspólnych modlitwach.

254

Ów Glave-Kolbielski, z pochodzenia pół-Polak, z zawodu – dziennikarz i ekonomista, przebywał niegdyś w Polsce i w okresie Sejmu Wielkiego był czynny jako rzeczoznawca w sprawach finansowych. Okoliczność ta zainteresowała polskich history-

ków i skłoniła ich do dokładnego przestudiowania jego szpiegowskiego „dossier”, zachowanego w wiedeńskich archiwach. * Doprowadziło to do ujawnienia dość sensacyjnych rzeczy. Okazało się, że w okresie poprzedzającym zamach Steppego jednym z najbliższych współpracowników agenta austriackiego Glave-Kolbielskiego był... Jan Nepomucen Sułkowski, były „książę na Bielsku”, niefortunny dowódca „polskiego regimentu lekkiej jazdy” z roku 1807.

Nieudany kuzyn (czy też brat przyrodni) „oficera największych nadziei”, po wielu awanturniczych perypetiach wyładował latem 1809 roku w zdobytym Wiedniu jako eksponowany pracownik francuskiego biura wywiadu (Bureau de police secreta). W wyniku ciągłego powoływania się na pokrewieństwo ze sławnym adiutantem napoleońskim, księżę Jan Nepomucen zdołał sobie wyrobić stosunki w najwyższych sferach generalicji francuskiej i był dopuszczony do wielu ważnych spraw. Ale od pierwszej chwili pracował na dwa fronty. W Wiedniu nawiązał ścisłe kontakty z Glave-Kolbielskim, którego znał jeszcze z Polski, i za grube pieniądze sprzedawał mu najpoufniejsze tajemnice wywiadu francuskiego. Wykolejony arystokrata miał widocznie nadzieję, że w zamian za oddane usługi uda mu się wytargować od cesarza austriackiego pełną amnestię, a tym samym możliwość powrotu do Bielska i odzyskania utraconego majątku.

Niezależnie od pracy szpiegowskiej Jan Sułkowski występował jako pośrednik między wywiadem austriackim a antybonapartystami francuskimi, którzy w tym czasie przygotowywali zamach na Napoleona. W wiedeńskim mieszkaniu księcia Glave-Kolbielski spotkał się z „pewnym generałem

•Wyniki tych badań opublikował zmarły niedawno historyk Emil Kipa w szkicu pt. „Zamach na Napoleona w roku 1809”.

255

francuskim spod znaku generała Moreau” *, który wprowadził go w szczegóły planowanego spisku. W wypadku wznowienia działań wojennych spiskowcy zamierzali porwać Napoleona, przewieźć go przez Węgry do Fiume i na morzu wydać Anglikom. Kolbielski miał uzyskać od cesarza Franciszka zgodę na przewiezienie porwanego przez Węgry. Ale w Totis plan francuski uznano za zbyt ryzykowny. Nóż kuchenny studenta Steppego wydał się Austriakom środkiem znacznie pewniejszym.

Co się stało później z Janem Sułkowskim – nie wiadomo. W każdym razie do Bielska nie powrócił. Znał za dużo tajemnic wywiadu austriackiego, aby mógł w spokoju korzystać z owoców swej zdrady. Prawdopodobnie podzielił los swego współnika Glave-Kolbielskiego – i resztę życia spędził w lochach twierdzy Spielberg.

Traktat pokojowy podpisano w Schoenbrunnie 14 października 1809 roku. Postanowienia jego były dla Austrii rujnujące. Potężne mocarstwo zmieniło się w satelicki twór, poddany całkowicie woli Napoleona. Ale udręczeni wojną wiedeńscy

nawet tak haniebne zakończenie przyjęli z radością i humorem. W stolicy kolportowano satyryczny wierszyk, wyśmiewający degrengoladę nieszczęsnego Habsburga, który po Austerlitz z Franciszka Drugiego, cesarza niemieckiego, zmienił się we Franciszka Pierwszego, cesarza Austrii – a obecnie groziło mu, że stanie się Franciszkiem Zero.

Je suis pour tous bien malheureux,
Fetais autre fois Franfdis deux,
Maintenant je suis Franfois un,
Comme c'est su de chacun
Et sije perde mon numero
Je deyiendrai Franfois zero!

Sprawy polskie załatwiono w traktacie schoenbrunskim polowicznie. Księstwo Warszawskie otrzymało wprawdzie większą część Galicji, ale nazwa Polski nie została w tekście traktatu

- Generał Jan Wiktor Moreau – jeden z najwybitniejszych generałów francuskich, rywal Napoleona. W 1804 roku aresztowany i wygnany z Francji.

256

wymieniona ani razu. W oficjalnym sprawozdaniu z zakończenia wojny, przeznaczonym dla paryskiego Ciała Prawodawczego, Napoleon polecił oświadczyć, co następuje: „Księstwo Warszawskie powiększyło się o część Galicji. Łatwo byłoby przysłać Cesarzowi przyłączyć do niego całą Galicję, ale nie chciał uczynić niczego, co by mogło zaniepokoić jego sojusznika, cesarza Rosji. Galicja starego zaboru całą prawie pozostała przy Austrii. Najjaśniejszy Pan nigdy nie miał na widoku odbudowania Polski”.

Po podpisaniu traktatu Napoleon opuścił Wiedeń i ruszył w drogę powrotną do Paryża, towarzyszyli mu lekkokonni polscy.

Jan Leon Hipolit Koziętulski jechał do Francji z ciężkim 1 sercem. Tęsknota za krajem i bliskimi dokuczała mu coraz bardziej. Pomimo usilnych starań nie udało mu się uzyskać upragnionego urlopu. Tymczasem jego ustosunkowany kolega i przyjaciel, kapitan Franciszek Łubieński, już od miesiąca bawił w Warszawie. Temu właśnie przyjacielowi skarżył się z drogi na swój nieszczęsny los.

„Ulm, 28 października 1809
Mając wolną chwilę, śpieszę, drogi Franciszku, udzielić Ci wiadomości o sobie. Wyjazd Twój pogrążył serce i myśl moja w czarną melancholię, gdyż nic innego nie robię, tylko porównuję Twoje szczęście z moim nieszczęściem. Musisz mi przyznać, że trzeba być rzeczywiście nieszczęśliwym, kiedy pomimo że się poruszyło niebo i ziemię, aby otrzymać rozkaz, jak mi to obiecywał Pułkownik, nigdy się nie miało możliwości uzyskać cokolwiek. Mówiono, że wszyscy razem nie mogą jechać. (Dalej po polsku). I także podobno bano się, żeby nas nie odmawiano w Polsce. Jordanek i Krasiński kapitan zostali w Widniu, raz dla naszego bardzo nagłego marszu, a ich sła-

bego zdrowia, a po wtóre też zniechęceni, nie chcą powrócić do Regimentu. Kamieński, po powtórnej mocnej kłótni z Pułkownikiem w Linz, podał przez niego prośbę do Najjaśniejszego Pana o tranziokację do Wojska Polskiego lub dymisję

17 – Koziętulski t. I

267

i z tym Pułkownik odjechał do Paryża z Tomusiem (Łubieńskim – M.B.), obiecując mi zawsze wyrobienie rozkazu do Polski, lecz to, jak wiesz, po swojemu, i ja też mu grzecznie podziękowałem i rozumiem, że się na tym skończy. Jest to, jak widzę, może smutne przeznaczenie, abym tak prędko albo wcale mojej familii i Ojczyzny nie oglądał. Zwłaszcza, jak mówią, i jest do tego wielkie podobieństwo, że niebawem nas do Hiszpanii zaambarkują, a wiesz, co ten kraj mnie kosztował. Ale napróżno ja o smutkach wspominam, kiedy w rokoszach i szczęśliwościach opływasz... Przechodziliśmy przez Augsburg i tam mieliśmy rasztag*. Byliśmy u X-cia Biskupa tam mieszkającego z wizytą. Jest to syn przeszłego naszego Króla Saskiego. Był Pułkownik, Twój brat, Stokowski i ja. Mówił z nami wiele po polsku, ale z trudnością. Stokowski wiele mu dykteryjków o Sasach dawnych opowiadał: osobliwie, że dużo pili i że żałuje, że nie asystował za tamtych czasów, bo byłby na wielkiego człowieka wyszedł. (Dalej po francusku.) Wchodząc do domu Biskupa, myślałem, że jestem na dworze Drezdeńskim, tyle tam etykiety. Stara księżniczka, jego siostra, też mieszka z Biskupem. Złożyliśmy jej też wizytę i byliśmy przyjacieli z wielkimi honorami. Jej dama dworu była wystrojona w toaletę z piór, ale sucha jak kukła. Weszliśmy do Biskupa, który śpieszył pójść z nami z całą paradą, poprzedzany przez szambelanów, aby zaprosić swoją siostrę na obiad. Myśmy byli przedmiotem rozmowy, a Pułkownik po swojemu prawił jej piękne słówka... Widzieliśmy też legion Bronikowskiego * *, częściowo umundurowany i robiący bronią wcale nieźle. Wieczór spędziliśmy u generała i nazajutrz poszliśmy dalej naszą drogą na Strasburg, gdzie powinniśmy być 8-go przyszłego miesiąca i gdzie otrzymamy nowe rozkazy. Mój kochany przyjacielu, nie sprawia mi przykrości myśl, że się dobrze bawisz. Pomyśl tylko o koniach dla nas. Piszę o tym do mojej siostry

* Dzień odpoczynku.

• • Generał dywizji Mikołaj Bronikowski formował w tym czasie na rozkaz Napoleona Legion Nadwiślańską z jeńców austriackich Polaków zagarniętych do niewoli pod Wagram.

258

w ostatnim liście. Nie chodzi o to, żeby były nadzwyczajne, ale takie jak Roztworowskiego, silne, idące dobrze w krok... Do widzenia. Kochany, całuję Cię z całego serca. Daj mi wiadomość o sobie i napisz wszystko, co jest ciekawego, a przede wszystkim znajdź mi miłą i bogatą żonę, bo wciąż trwam w zamiarze ożenku. Niech będzie podobna do tej, o której tak czę-

sto mówiliśmy *. Nie zapomnij złożyć uszanowania swoim Rodzicom i nie zapominaj o mnie, kiedy będziesz się widział z moją rodziną. Do widzenia, drogi przyjacielu, zachowaj dla mnie szczerą przyjaźń i nie wąp o mojej. O jakże będę szczęśliwy, mogąc Ci przywieźć Złoty Krzyż Paryża (-) J. Koziętulski".

Na zakończenie jeszcze fragment ze Wspomnień Józefa Załuskiego, który z Tomaszem Łubieńskim eskortował Napoleona w drodze do Francji.

"...Cesarz jechał w poczwórnej wielkiej karecie zajmując tylne siedzenie po prawej, a generał Duroc po lewej ręce;

przednie siedzenie pełne było stosów depeesz przeczytanych i czytać się mających. Co chwila marszałek dworu Duroc rozpieczętowywał kopertę i wyrzucał, ją oknem, a depezę czytał cesarzowi... Ja jechałem około drzwiczek lewych ze strony Duroca, szef Łubieński koło drzwiczek prawych. Napoleon miał głowę związaną kolorowym fularem, przypatrywałem mu się ciągle i dziwiłem nadzwyczajnej słodyczy, jak była w jego ustach rozlana... Wszystkie rysy twarzy Napoleona zapowiadały dobroć, tylko oczy były nader bystre i zmieniające charakter całej twarzy dowolnie. Poznawszy Łubieńskiego, którego żona, Konstancja z Ossolińskich, była niemal towarzyszką Józefiny, wychylił się prawie z okna i zapytał: - Nuż, Łubieński, co tam nowego u was słyhać? - Łubieński na to: - Mnież to wasza cesarska mość możesz pytać o nowiny? - Ja chcę mówić, co tam u was, Polaków, słyhać? - Powiadają nam, że odzyskamy nową Galicyą. - Et Zamosk aussi (i Zamość także) - odrzekł cesarz natychmiast..."

* Aluzja odnosi się niewątpliwie do Enuny Potockiej, której siostra Paulina była narzeczoną Franciszka Łubieńskiego.

Koziętulski t. I

259

WARSZAWSKI URLÓP

» oziętulski - wbrew swoim pesymistycznym przewidywaniom, wyrażonym w liście do Franciszka Łubieńskiego - karnawał roku 1810 spędził już w Polsce. Dowiadujemy się o tym od pani Anny Nakwaskiej, małżonki prefekta Departamentu Warszawskiego i najsumienniejszej rejestratorki sensacji towarzyskich stolicy. 20 marca 1810 roku pani Nakwaska piąła z Warszawy do siostry:

„...Rys tego karnawału: 55 panien na wydaniu, a wszystkie pierwszego rzędu, epuzera zaś ani na lekarstwo. Taki to wiek żelazny. Matki chyba powaryują. Pani Sewerynowa (Potocka - M.B.) porusza niebo i ziemię, ażeby wydać za mąż Emmę, ale przedstawiają się tylko biedne kawalery, a bogatsi ani myślą

się żenić. Nie wiem, czym Ci pisała, że brat pani Walickiej wrócił 'tu na trzy miesiące (służył on w woysku). Otóż Emma tak się uczepliła tego chłopca, że się w niej szalenie rozkochał i jest w rozpacz, że musi niedługo wyjechać. Matka głosi przed światem, że to nie partya dla jej córki, a córka ucieka się do wszelkich sposobów, aby kawalera przy sobie zatrzymać, do tego stopnia, że posyła podarki dla dzieci Walickiej, która ledwo zna. Koniec będzie, że jak kawaler odjedzie, to się córka i matka wnet pocieszą i będą się starały innego kawalera złowić..."

Jan Leon Hipolit otrzymał upragniony „rozkaz do Polski” dopiero po dwóch albo trzech tygodniach pobytu w Chantiiiy.

260

Łekkokonni powrócili z Austrii do swego stałego garnizonu w pierwszych dniach grudnia 1809 roku. „Gdyśmy zjechali z traktu paryskiego od miasta Meaux de Senlis – czytamy u Załuskiego – doszła wiadomość do czoła kolumny, że gmina Chantiiiy... zbierała się przyjąć uroczyście nasz pułk, powracający z wojny; nadjechał więc i nasz pułkownik Krasiński, a dnia 5 grudnia 1809 przyjęty był przez radę municypalną z prezesem swoim na czele... Cała ludność Chantiiiy była się wysypała na powitanie nas i wprowadziła pułk do tej dawnej siedziby ICondeuszów okrzykami: niech żyją Polacy!..."

Bezpośrednio po tym miłym powitaniu, szwoleżerów spotkała przykra niespodzianka. W koszarach czekał na nich rozkaz cesarski, ażeby 150 koni z pułku – pod dowództwem pierwszego majora Delaitre'a i odpowiednio dobranego sztabu polskiego – niezwłocznie wyruszyło w drogę do Hiszpanii.

Dla zmordowanych dwuletnią wojną oficerów pułku – którzy przyjechali do Chantiiiy z nadzieją na dłuższy wypoczynek i poczynili już starania, aby ściągnąć do Francji dawno nie widziane rodziny – był to prawdziwy grom z jasnego nieba. Józef Załuski otwarcie przyznaje, że pułkownik Krasiński i szef szwadronu Tomasz Łubieński musieli długo i usilnie odwoływać się do jego honoru i poczucia obowiązku, aby zgodził się dobrowolnie uczestniczyć w wyprawie. Na koniec uległ ich perswazjom, a za jego przykładem równie niechętnie dali się namówić na wyjazd: bracia Stanisław i Joachim Hemplowie, Florian Gotartowski (doskonale znany czytelnikom Huraganu Gąsiorowskiego) oraz paru innych oficerów. Natomiast Tomasz Łubieński – wyznaczony, z racji swego stanowiska szefa pierwszego szwadronu, na polskiego dowódcę ekspedycji i najgorliwiej werbujący do niej ochotników – wystrychnął kolegów na dudków. W ostatniej chwili „zrobił w ten sposób” (fit de telle manierę –jak to określa w swych notatkach major Dautancourt), że sam do Hiszpanii nie pojechał. Pomogła mu w tym zapewne energiczna pani Konstancja, która nadal wytrwale towarzyszyła cesarzowej Józefinie.

261

Kozietulskiego ocaliła od wyjazdu nie wyleczona jeszcze

kontuzja spod Wagram, ale lęk przed Hiszpanią dręczył go do końca pobytu w Chantilly. Inni koledzy podzielali jego obawy. Perspektywa powtórnych odwiedzin „krajów katolickich królów” i dalszej wojny z narodem broniącym swej wolności budziła w szwoleżerach uzasadnioną grozę; łatwo to można wyczytać ze wszystkich ówczesnych listów i pamiętników.

Nastroje pogarszały się jeszcze pod wpływem wieści, nadchodzących z Paryża. 13 grudnia 1809 roku minister spraw wewnętrznych, hr. Montalivet, zapoznał Zgromadzenie Prawodawcze z treścią traktatu pokojowego. Publiczne oświadczenie ministra, że „Najjaśniejszy Pan nigdy nie miał na widoku odbudowania Polski” – pognębiło szwoleżerów ostatecznie.

W kilka dni po odmarszu do Hiszpanii oddziału majora Delaitre'a, polski pułk gwardii otrzymał nowe uzbrojenie. Napoleon wyciągnął wnioski z walk kawaleryjskich pod Wagram – i polecił wyposażyć swoich gwardzistów w lance, zdobyte na austriackich ułanach. Przekształcenie szwoleżerów w „lekkokonnolansjersów” (tak brzmiała później oficjalna nazwa pułku) odbyło się z odpowiednią pompą. Pułkownik Wincenty Krasiński, przekazując podwładnym nową broń, wyraził pragnienie, aby lance polskie „jak najrychlej zabarwiły się krwią nieprzyjacielską”. Dziarski frazes dowódcy zawisł w próżni. Zgnębieni zdobywcy Somosierry na razie dość mieli wojen.

Atmosfera w Chantilly uległa poprawie po rozdaniu nagród za kampanię austriacką. Jan Leon Hipolit Koziński należał do najhojniej nagrodzonych; za czyny pod Wagram udekorowano go oficerską gwiazdą Legii Honorowej (ów„złoty krzyż Paryża”, który wymarzył sobie w liście do Franciszka Łubieńskiego) i przedstawiono do polskiego orderu Virtuti Militari. Dowiedział się też poufnie od pułkownika Krasińskiego, że figuruje na liście oficerów gwardii, których cesarz w najbliższej przyszłości zamierza zaszczyścić tytułem „barona Cesarstwa” i związaną z tym tytułem dotacją. Ale stęsknionemu za rodziną bohaterowi największą radość sprawiło to, że

262

otrzymał wreszcie tak długo wyczekiwany urlop i pozwolenie / na wyjazd do Warszawy. Natychmiast po uroczystej dekoracji \ przyszedł baron Cesarstwa – z dwoma krzyżami Legii na piersi i z kartą urlopową w kieszeni – w pośpiechu opuścił Chantilly. Pośpiech był o tyle uzasadniony, że w rozkazie dziennym pułku zapowiadano właśnie wymarsz do Hiszpanii następnego oddziałów szwoleżerskich.

II

W Księżstwie panuje król Niemiec...
Żołnierz polski, pieniądz pruski,
Rząd, prawo, kodeks francuski.
Różna w kraju mieszanina,
Co dzień to insza nowina.
Z majątków każdy wyzuty,
Szlachcica piszą w rekruty,

Żydzi, chłopci i mieszczenie
Kładną się w równości stanie.
Rolnik wolny, ale goły,
Żołnierz bezpłatny, wesoły
W obcej sprawie życie daje...
Urzędnik...

Narzędziem stał się despoty,
Aby uciskał współbraci,
Obdziera! wszystkich ze skóry,
S troil żołnierzy w mundury...
Handel zupełnie przecięty...

Tak wyglądało w świetle współczesnej satyry Księstwo Warszawskie, do którego w styczniu 1810 roku – po przeszło dwuletniej nieobecności – zjechał na urlop szef szwadronu „gwardyi polsko-cesarskiej” Jan Leon Hipolit Koziętulski.

Nie wiem, czy nasz bohater miał możliwość bezpośredniego zapoznania się z tymi rymami satyrycznymi – szeroko wówczas kolportowanymi wśród ludności – należy jednak przypuszczać, że niektóre prawdy społeczno-polityczne w nich zawarte dotarły do jego świadomości już po krótkim pobycie w Warszawie.

263

Stolicę zastał w stanie wielkiego podniecenia i rozgardiaszu, spowodowanego postanowieniami traktatu pokojowego. Po przyłączeniu nowej Galicji z Zamościem i Wieliczką, obszar i ludność Księstwa prawie się podwoiły. W gazetach ogłaszano wzniosłe odezwy o „połączeniu dwóch jednorodnych krain, napełniającym wspólną radością braterskie serca”. W kościołach odprawiano dziękczynne nabożeństwa. Do przeludnionej stolicy zjeżdżały tłumy nowych obywateli z terenów wyzwolonych i tłumy uciekinierów politycznych ze starej Galicji, pozostawionej pod panowaniem austriackim. Grudzień i styczeń upłynęły warszawiakom na uroczystościach związanych z powrotem zwycięskich wojsk. Wystawiano łuki tryumfalne, iluminowano ulice, w teatrach odbywały się specjalne przedstawienia dla żołnierzy. Znajomy Koziętulskiego z okresu konspiracji warszawskiej, kompozytor Józef Eisner, układał patetyczne kantaty na cześć zwycięstwa, inny znajomy z tamtych czasów, poeta Ludwik Osiński, witał zdobywców Galicji najpiękniejszym ze swoich wierszy:

...Polak nigdy nie umierał.
Ziemię utracił, wydarto mu prawa.
On wielkiej prawdy stając się dowodem,
Wskazał, że naród zawsze jest narodem,
Gdy mu zostają.', miecz, serce i sława!...

Wszystkie te odświeżające hasła i patriotyczne uniesienia nie mogły jednak zagłuszyć i przesłonić faktu, że materialnie obywatelom napoleońskiej Polski powodziło się coraz gorzej. Przyłączenie do Księstwa części zaboru austriackiego było niewątpliwie poważnym sukcesem politycznym i budziło w spo-

leczeństwie nowe nadzieje na „wrócenie Królestwa”, ale sytuacji gospodarczej nie poprawiało, przeciwnie—jeszcze ją pogarszało. Do starych ziem, doprowadzonych do ruiny dwuletnią eksploatacją francuską, przyłączano ubogą Galicję, wyniszczoną przez Austriaków i przez ostatnią wojnę. „Bieda łączy się z nędzą” — mówiono powszechnie. Skarb Księstwa był

264

pusty, a rozbudowa państwa wymagała nowych wydatków, na które nie znajdowano pokrycia. Napoleon kazał sobie natychmiast zapłacić za przyrost terytorialny, wywalczony polskim orężem: w lutym 1810 roku zażądał od Księstwa powiększenia dotychczasowej armii do bardzo wysokiej —jak na możliwości wymęczonego kraju — liczby 60.000 ludzi. Urzędnicy znowu musieli „obdzierać wszystkich ze skóry”, aby „stroić żołnierzy w mundury”.

W znajomych domach witały Koziętulskiego skargi i utyskiwania na ciężkie czasy. Panny z arystokracji warszawskiej żaliły się, że połowa młodych ludzi, nadających się do małżeństwa, przebywa stale w wojsku poza granicami kraju: w Niemczech, we Francji, w Hiszpanii. Panie narzekały na wygórowane ceny, na brak towarów angielskich i kolonialnych, na malejącą wartość pieniądza i na śmiertelną nudę wiejącą z nowego dworu warszawsko-saskiego.

„Oni nas zanudzą swojemi etykietami i nabożeństwami — skarżyła się prefektowa Nakwaska. — Niemki dworskie... nudne facyaty. Zgromadzenia trwają od szóstej do ósmej, a potem wszyscy idą spać. Królowa stara i brzydka, królowna wprawd/ie młoda, ale brzydka, król bardzo nabożny, wszyscy pełni cnót i gruntownych przymiotów, ale wcale nie zabawni...”

Ojcowie i mężowie niezadowolonych dam mieli zmartwienie poważniejsze. Ziemiaństwo Księstwa — pomimo protekcji swego arystokratycznego rządu — przechodziło przez najcięższy z dotychczasowych kryzysów. Oburzano się w obecności gościa na olbrzymie podatki, przerastające dochody z najlepiej zagospodarowanych dóbr, na bezwzględność i samowolę urzędników, a przede wszystkim na system blokady kontynentalnej, który powodując ciągłą zniżkę cen zboża, rujnował producentów rolnych. Ustrój Księstwa definiowano jako „systema nieokreślone w prawidłach sprzeczne, żadnej nie mające jednostajności, cel tylko jeden — trzymać ludzi w nędzy i ubóstwie przez miłość ojczyzny tak gorącą, że aż wszystkich parzy”. Ludzie z kręgu towarzyskiego Jana Leona Hipolita czuli się

265

zagrożeni inwazją nowych warstw społecznych, obdarzonych przez konstytucję Księstwa prawami, z których poprzednio korzystała tylko szlachta. Opowiadano ze zgorzeniem o finansistach żydowskich, zapraszanych na posiedzenia Komisji Rządzącej, o zubożonych mieszczanach wykupujących przeciążone długami dobra szlacheckie i „wpychających się na siłę” na wysokie stanowiska administracyjne i do sejmu. Wszędo-

bylska pani Nakwaska krytykowała prostackie maniere mieszczanńskich posłów – zaobserwowane podczas niedawnej sesji sejmowej. „Wielu jest między nimi ludzi przyzwoitych, ale większość stanowią ci, którzy głośno kichają” – stwierdzała ze szczerym ubolewaniem.

W domach konserwatywnych, hołdujących tradycjom starszłacheckim, używano argumentów mniej wybrednych. Zarzucano wręcz, że „Księżtewm rządzą Żydzi i masonia”, że „wszyscy ministrowie są spokrewnieni z Żydami i dlatego ich faworyzują”, że „w wojsku wodzowie i oficerowie są masonami, bo nie uczciwość i umiejętność prowadzi do awansu, lecz emblematy masońskie, rozpusta i zdrada...” Z upodobaniem cytowano krążący po Warszawie wierszyk:

W Księżtewie Warszawskim zdarzył Pan niebieski,
Że się wszędzie kierują Mechesi, Mecheski,
Czy w wojsku, skarbie, owo zgoła wszędy
Izraela potomstwo pozyskuje względy...

Nie wszyscy jednak „dobrze urodzeni” znajomi Jana Leona Hipolita byli w swoich uprzedzeniach społecznych tak zatwardziali jak wykwintna pani Nakwaska czy kołtuńscy kolporterzy wierszy ulotnych. Zupełnie inaczej – na przykład – odnosił się do „nowych ludzi” sympatyczny kronikarz Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny – Józef Krasiński, którego Koziętulski odnalazł po przyjeździe do stolicy w szeregach warszawskiej Gwardii Narodowej.

Kuzyn „Prezesa Wicusia” nie z własnej woli trafił do „mieszczanńskiego wojska”; w roku 1807 był już wpisany jako pod-

266

porucznik do pułku szwoleżerów, ale napad ciężkiej febry nie pozwolił mu wyjechać z Warszawy razem z kolegami. – „Po mojej długiej i przykrew chorobie – wspomina p. Józef w pamiętniku – kiedyś czekał niecierpliwie na rozkaz wymarszu z oddziałem do Chantiiiy, nagle otrzymuję rozkaz od ks. Poniatowskiego mianujący mnie od razu majorem Gwardyi Narodowej Warszawy (później dowiedziałem się, że matka moja w sekrecie to u ks. Poniatowskiego wyrobiła za wstawiennictwem p. Marszałka Małachowskiego). Z zadziwienia osłupiałem, jakbym zleciał z obłoków; prawda, że to był skok ogromny z podporucznika na majora, lecz zarazem co za upadek z góry na dół, z gwardyi Napoleona do gwardyi narodowej miejskiej, złożonej z szewców, krawców, rzeźników itp...”

W roku 1810 – po trzyletniej służbie w Gwardyi Narodowej i przebyciu z nią kampanii galicyjskiej – major Krasiński nie żałował już utraconej kariery szwoleżerskiej. „Spoufalił się serdecznie z mieszczaństwem” i o swoich kolegach pułkowych wyrażał się z najwyższym uznaniem, chwalać ich jako „żołnierzy przewybornych” i „ludzi najzacniejszych”. Przyszły

baron Cesarstwa musiał porządnie się zdziwić, kiedy podczas wizyty w pałacu Józefa Krasińskiego przedstawiono mu jako pełnoprawnych gości czterech kapitanów z batalionu pana domu: kapitan Gąsiorowski był synem „traktyernika”, a z zawodu rymarzem, kapitan Schroeder – właścicielem składu towarów żelaznych, kapitanowie Orłowski i Krauze trudnili się poza służbą piwowarstwem.

Od Józefa Krasińskiego i innych znajomych oficerów z wojsk krajowych dowiadywał się Koziętulski o trudnej sytuacji materialnej żołnierzy Księstwa. Relacje oficerów zgadzały się na ogół ze sprostaczeniami anonimowego satyryka warszawskiego. Żołdu istotnie nie wypłacano szeregowym całymi miesiącami, tylko że „żołnierz bezpłatny” nie zawsze był „wesoły”. Podczas ostatniej wojny zaleganie z wypłatami doprowadzało niejednokrotnie do poważnych zaburzeń. Po zajęciu Krakowa księżę Józef musiał się ratować przed buntem nie opłaconej

267

armii zaciąganiem prywatnych pożyczek u galicyjskich magnatów.

Znajomi Jana Leona Hipolita, wspominając wydarzenia niedawnej kampanii, mówili także o chłopach. Mówili o nich bardzo różnie. Józef Krasiński – któremu po ewakuacji Warszawy zlecono utrzymanie sekretnej łączności z Pragą – wychwalał pod niebiosa „szlachetne poświęcenie się chłopów dla ojczyzny”, wymieniając z nazwiska swego ówczesnego pomocnika Karasia, dzielnego rybaka spod Siedlec, który noc w noc z listami w zakorkowanej butelce przeprowadzał się przez gęsto ostrzeliwaną Wisłę. Natomiast inni oficerowie – szczególnie ci, co bronili przed inwazją austriacką Wielkopolski – z oburzeniem piętnowali „całkowity brak patriotyzmu u chłomów” i dowodzili, że chłopcy uchylali się od świadczenia wojsku jakichkolwiek usług. Przytaczano wiele przykładów takiej „karygodnej obojętności włościan dla sprawy narodu”, ale przyczyn samego zjawiska nie starano się dociec.

A przyczyny leżały właśnie w tym, że – jak pisał autor rymowanej satyry – rolnik był „wolny, ale goły”. Masy chłopów dawnej dzielnicy pruskiej, które w roku 1806 witały z entuzjazmem francuskich wyzwolicieli, zobojętniały dla „sprawy napoleońskiej”, odkąd się okazało, że nie przyniesie im ona obiecanej poprawy bytu.

22 lipca 1807 roku Napoleon, nadając konstytucję Księstwu Warszawskiemu, oświadczył publicznie: „Zniosłem odwieczne poddaństwo w Polsce i to mych zwycięstw laur dla mnie najmiłszy”. Ale te piękne słowa były tylko słowami. W pięć miesięcy później – za milczącą zgodą cesarza – arystokratyczny rząd Księstwa w ten sposób zinterpretował artykuł konstytucji znoszący niewolę, że likwidacja poddaństwa chłopów stała się w praktyce fikcją.

Na próżno postępowi publicyści polscy: Wawrzyniec Surowiecki, Stanisław Staszic i „republikant” Antoni Podoski uzasadniali, że włościanom należy się nie tylko wolność osobista, ale i własność użytkowanego gruntu; na próżno, umiarkowany

26B

w poglądach społecznych, „Przyjaciel Ludu”, Stanisław Małachowski, w swoim projekcie przedstawionym Radzie Stanu, usiłował złagodzić powinności chłopu i zabezpieczyć mu choćby minimalną ochronę prawną przed dziedzicem. Nie pomogło to wszystkim. Uginające się pod ciężarem podatków, ziemiaństwo Księstwa obawiało się panicznie jakichkolwiek koncesji materialnych na rzecz chłopstwa. Zagrożone przywileje dziedziców znalazły żarliwego obrońcę w osobie wpływowego ministra sprawiedliwości Feliksa Łubieńskiego, ojca trzech przyjaciół Jana Leona Hipolita.

W wyniku zabiegów Łubieńskiego, Fryderyk August, król saski i książę warszawski, ogłosił 21 grudnia 1807 roku dekret „objaśniający i dopełniający Ustawę Konstytucyjną”, który – jak pisał ówczesny publicysta – „zdjął chłopom kajdany z nóg razem z butami”. Na zasadzie „dekretu grudniowego” chłop otrzymywał wolność osobistą bez własności ziemi, dziedzic – prawo rugowania chłopu z gruntu oraz z inwentarza żywego i martwego. Zniesione poddaństwo zastępował precyzyjny mechanizm szantażu ekonomicznego. „Wolny włościanin” miał do wyboru: albo odrabiać dalej pańszczyznę dla dworu, albo iść precz ze wsi i zostawić dziedzicowi cały swój dobytek.

Skutki „dekretu grudniowego” najboleśniej dotknęły chłopów-żołnierzy, którzy w roku 1807 uwierzyli w literę konstytucji i w słowa cesarza. W tym samym mniej więcej czasie, kiedy Koziętulski słuchał narzekań kolegów na brak patriotyzmu u „chamów” wielkopolskich, Wincenty Piekarski, szeregowiec 8 pułku piechoty, pisał z Warszawy do dziedzica dóbr Kliczków Mały w Poznańskiem:

^„Wielmożny Mości Dobrodzieju! Gdy byłem na urlopie w domu u żony mojej, a zwłaszcza pytałem się żony: „Czy chodzisz na pańszczyznę do dworu?” – Odpowiada mi żona moja oraz ojciec mojej żony, że Pan wypędza przez gwałt do tej pańszczyzny. ...Wiedziałem dowodnie, iż ekonom Pański wypędzał gwałtownym sposobem i z wymówką taką, że gdy

269

nie będzie chodzić na pańszczyznę, to każe zabrać pościel lub inną, jako grabież... Co za przyczyna wymaga pańska do użycia takowej nieuczciwości?... Jak zważam, że krzywdę Pan czynisz wielką, z którego to powodu wymieniam te wyrazy moje, że jeszcze inną obmyśliłem odpowiedź, a to, że gdy WMPan bę-

dziesz używał gwałtownych środków do tej powinności być koniecznie podległym, to wcale być inaczej nie może, jak podałem projekt żonie mojej, aby nie odbywała żadnej powinności ani była posłuszna dworowi... A gdy zostaną uwiadomiony od mojej żony, że będzie pokrzywdzona grabieżą, pochwałką lub dalszym zniewoleniem odbywać powinność, to użyję środków takich a to praw mych, jak okazuje zasługa mojej ojczyzny".

Takie to listy pisywano w Księstwie Warszawskim w trzy lata po konstytucyjnym zniesieniu poddaństwa. Józef Sułkowski – który pierwszy informował Bonapartego o sytuacji chłopów wielkopolskich – inaczej sobie wyobrażał realizowanie zdobyczy Wielkiej Rewolucji w Polsce, wyzwolonej przez Francuzów.

Ale sam fakt, że pisanie takich listów było w ogóle możliwe, że chłopcy mogli z takim poczuciem godności i z taką stanowczością upominać się u dziedziców o swoje prawa – dowodził, jak wiele się jednak zmieniło.

Świadczyły o tym i inne symptomy. Nie było w Księstwie człowieka, który by nie psioczył na indolencję rządu, nie urągał na zdzierstwo urzędników, nie narzekał na ciężkie czasy. Ale młoda, niepełna jeszcze i nieporadna państwowość polska wchodziła już ludziom w krew, przyzwyczajali się do niej, uznawali ją za swoją własną, chcieli w niej uczestniczyć. Społeczeństwo – strawione rozkładem ostatnich lat szlacheckiej Rzeczypospolitej, odrętwiałe po klęsce Insurekcji, żyjące z dnia na dzień w okresie rządów zaborczych – teraz, w warunkach materialnych nieskończenie trudniejszych niż przedtem, bite ciągłymi rozczarowaniami politycznymi, odradzało się moralnie i wyzwalalo z siebie niespożyte zasoby energii.

270

Urzeczywistniało się niepostrzeżenie to, o czym mówił Hugo Kołłątaj w broszurze, wydanej w roku 1808 pod godłem Nil desperandum: „ Napoleon może bez nas zdobyć całą naszą ziemię, może przywieść do politycznego zmartwychwstania całą naszą ojczyznę, lecz bez nas nie zdoła nas zrobić dobrymi Polakami". Upragnionego Królestwa wprawdzie jeszcze nie było, ale w Księstwie rosła liczba dobrych Polaków.

Historyczny pałac na Krakowskim Przedmieściu, gdzie zbierali się niegdyś Przyjaciele Ojczyzny, zastał Koziatulski w ciężkiej żałobie. 29 grudnia 1809 roku zmarł siedemdziesięcioletni Stanisław Małachowski, były marszałek Sejmu Wielkiego, były prezes Komisji Rządzącej, prezes i pierwszy wojewoda senatu Księstwa Warszawskiego.

Gospodarz „obiadów piątkowych" pozostał do końca ofiarnym patriotą. Po ostatniej wojnie, kiedy rząd Księstwa nie miał pieniędzy na wypłacenie Austrii czynszu za przyznana jej traktatem pokojowym używalność połowy żup wielickich, prezes senatu, bardzo już wtedy cierpiący, kazał zapisać kaucję za należne sumy na hipotekach swoich dóbr. Połowiczne za-

łatwienie sprawy polskiej w Schoenbrunnie załamało Małachowskiego i przyspieszyło jego zgon. Krewni Jana Leona Hipolita, Tomasz i Antoni Ostrowscy, którzy odwiedzili starca na krótko przed śmiercią, znaleźli go „w stanie majaczenia i przeklinającego Napoleona, że Polski całej nie powrócił do niepodległości”.

Tak się dziwnie złożyło, że dwaj czołowi twórcy Konstytucji Majowej i najbardziej szanowani ludzie w Polsce: Ignacy Potocki i Stanisław Małachowski umarli prawie w tym samym czasie – i tym samym zmartwieniem trąpili się w ostatnich chwilach życia.

Kiedy pałac na Krakowskim Przedmieściu stał ciemny i całkowicie opuszczony (Wincentostwo Krasińscy przebywali •oboje we Francji), pałac Pod Blachą przeżywał swe najświet-

271

niejsze dni. Nazwisko Poniatowskiego było na ustach całej Warszawy; entuzjazmowano się na jego temat tak samo powszechnie, jak niegdyś powszechnie go potępiano. Zwycięska kampania galicyjska promowała dawnego „pana Szarmanckiego” na zbawcę ojczyzny i pierwszą osobę w Księstwie. Kiedy pojawiał się na posiedzeniach Rady Stanu, prezes Stanisław Kostka Potocki i za nim inni ministrowie powstawali z miejsc. Kiedy w czasie obrad z rzadka zabierał głos, zaczynając zawsze z urzekającą skromnością od słów: „Ja w swoim głupim rozumie sędzę...” – słuchano go w uroczystym skupieniu. Król Fryderyk August za zasługi wojenne przyznał mu półtoramilionową donację w dobrach, zdobytych na Austriakach. Pomimo ogólnej biedy w kraju, wiadomość o tym przyjęto bez szemrania. Szlachetna bezinteresowność księcia-ministra była wszystkim znana. Wiedzano, że od chwili objęcia urzędów w Księstwie nie pobrał ani grosza ze skarbu publicznego. Swoją pensję generalską i ministerialną przekazywał w całości na rzecz wojska. W kanenhausach warszawskich jeszcze ciągle wspomiano niezłomną postawę księcia podczas ostatniej kampanii. Kiedy podchodził z wojskami pod Kraków, car Aleksander próbował raz jeszcze przeciągnąć go na swoją stronę, proponując mu za odstąpienie od Napoleona nagrody wyższe niż ta, którą otrzymał obecnie od Fryderyka Augusta. Z sekretnymi propozycjami carskimi przysłano wtedy do księcia jednego z jego najserdeczniejszych przyjaciół – magnata litewskiego Eustachego Sanguszkę. Ale Poniatowski nie zważał ani na przyjaźń, ani na „pieczęć tajemnicy”: Sanguszcze zagroził internowaniem, o propozycjach Aleksandra powiadomił Napoleona. Warszawiacy wiedzieli ponadto, że głównie dzięki stanowczości i odwadze osobistej Poniatowskiego Kraków został zdobyty dla Księstwa Warszawskiego. Za to samo wybaczone „panu Szarmanckiemu” wszystkie grzechy przeszłości;

Wielbił go oswobodzony Kraków, wielbiła go wdzięczna Warszawa.

A przecież jeszcze niedawno stosunek mieszkańców stolicy do

S72

księcia-ministra był zupełnie inny. Znajomi KoziętulsJdego na własne oczy widzieli, co działo się w dwa dni po bitwie raszyńskiej – podczas ewakuacji Warszawy.

„Skoro tylko doszła do uszu obywateli i żołnierzy wiadomość o układającej się konwencji ks. Poniatowskiego z arcyksięciem Ferdynandem – opowiada Józef Krasiński – zaraz powstała zwykła staropolska sejmikowa wrzawa i krzyki;

«Zdrada! Książę Poniatowski zdrajca! On nas sprzedał! Nawet teraz pewno już i pieniądze liczy!»... Przekupki i straganiarki przekleństwa rzuciły na przejeżdżającego koło nich księcia Józefa... Wołano: «Na szubienicę zdrajców, co nas nieprzyjacielowi wydali!» Podobno nawet kamienie z bruku wrywano już na niego..."

Książę na długo zapamiętał to okropne pożegnanie kwietniowe i ukarał za nie warszawiaków królewską obojętnością. W grudniu 1809 roku nie wrócił z wojskami do stolicy uchylając się rozmyślnie od uroczystych manifestacji, jakie przygotowała na jego cześć skruszona ludność. Pozostał do końca roku w Mniszewie, gdzie po wyjściu z Krakowa założył był swoją kwaterę główną. Do Warszawy przyjechał dopiero w pierwszych dniach stycznia 1810 roku, starając się nadać swemu powrotowi charakter jak najbardziej prywatny.

Publicznie ukazał się po raz pierwszy 6 stycznia wieczorem w Teatrze Polskim na przedstawieniu opery narodowej Krakowiacy i Górale. Aktorzy, występujący w tym widowisku, uprzedzeni o przybyciu naczelnego wodza, uczcili go spontaniczną demonstracją. W finale opery śpiewak Jan Szczurowski, występujący w roli organisty, „naczelnika Krakowiaków", zamiast zwykłego tekstu zaśpiewał piosenkę specjalnie ułożoną na tę okazję:

Choć brzuchaty, chociaż stary.
Choć już ledwo sapię,
Pono odstąpię mey fary,
Do Warszawy drapię.

Bo tam jest już Wódz Kochany
Walecznych Polaków,
Co skruszył nasze kaydany
I odzyska! Kraków.

„Sala zabrzmiała okrzykami – pisano potem w Gazecie Warszawskiej. – Powszechny odgłos z łóż, parteru i wszystkich miejsc rozległ się: «Niech żyje Książę Wódz Naczelny!» Żądano powtórzenia piosenki i znowu wielokrotne, z głębi serc wychodzące, powstały okrzyki..."

Jeżeli Jan Leon Hipolit Koziętulski był owego wieczora w Teatrze Polskim, to musiał odczuć całą prawdę, zawartą w powiedzeniu: „fortuna kołem się toczy”. Pamiętał przecież, jak przed trzema laty w tej samej sali teatralnej, podczas tego samego widowiska Krakowiacy i Górale odbywała się, nie bez udziału Przyjaciół Ojczyzny, taka sama manifestacja, ale sła-
wiąca innego wodza, przeciwko Poniatowskiemu.

Możliwe jednak, że Jan Leon Hipolit zetknął się z dawnym patronem konkurencyjnej koterii dopiero później, podczas oficjalnej audiencji w pałacu Pod Blachą. Minister wojny i naczelny wódz Księstwa żywo interesował się oficerami polskimi z oddziałów zagranicznych i obecność w Warszawie Koziętulskiego – bohatera Somosierry i Wagram, dwukrotnie odznaczonego krzyżem Legii Honorowej – nie mogła ujść jego uwagi. Jestem przekonany, że spotkanie takie się odbyło i że przebiegało w atmosferze serdecznej. Nieporozumienia między Blachą a Przyjaciółmi Ojczyzny należały już do przeszłości. Dawnych przeciwników koteryjnych zbliżała teraz do siebie jednakowo niezłomna wierność Napoleonowi.

Nie sądzę jednak, aby we wszystkich pałacach warszawskich umacniano Koziętulskiego w jego przywiązaniu do cesarza i w chęci powrotu do gwardii. W liście do Franciszka Łubieńskiego Jan Leon Hipolit pisał, że dowództwo francuskie obawiało się, żeby szwoleżerów wyjeżdżających na urlop do kraju „nie odmawiano w Polsce”. Ze wzmianką tą kojarzy mi się natrętnie pewne nazwisko wspomniane w korespondencji

274

krośniewickiej. W listach z Hiszpanii Jan Leon Hipolit niejednokrotnie prosił matkę i siostrę o przekazywanie pozdrowień siostrze kolegi pułkowego. Ludwika Paca – pani Feliksowej Potockiej. Wydaje się, że znał tę panią dobrze, a więc mógł ją odwiedzać podczas warszawskiego urlopu. Jeżeli zaś bywał w roku 1810 w pałacu Feliksostwa Potockich przy ulicy Miodowej (dzisiejszy gmach Ministerstwa Szkół Wyższych), to jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że właśnie tam próbowano go „odmawiać” nie tylko od powrotu do Francji, ale od Napoleona w ogóle.

Mąż owej pani Potockiej, pułkownik Feliks Potocki, członek rzeczywisty Towarzystwa, Przyjaciół Nauk i dowódca 4/ pułku piechoty Księstwa Warszawskiego, walczącego od dwóch lat w Hiszpanii – jesienią 1809 roku „zbrzydźszy sobie zbójceją wojnę” podał się do dymisji i okryty ranami, chory i zniechęcony – powrócił do kraju. Pod wpływem okropności wojny hiszpańskiej i atmosfery „podminowanej spiskami” armii marszałka Soulta, Feliks Potocki stał się nieprzejednanym wrogiem Napoleona. Bezpośrednio po powrocie do Warszawy począł skupiać wokół siebie rozmaitych malkontentów, a przede wszystkim elementy patriotyczne, niezadowolone z polityki cesarza wobec Polski. Ponieważ rozgoryczony kombatant należał do wielkiego rodu, posiadał duży autorytet w wojsku i jako członek Towarzystwa był

dobrze wprowadzony w kręgi postępowej inteligencji – na „zebrania obywatelskie” w pałacu przy ulicy Miodowej schodzili się ludzie poważni, reprezentujący szeroki wachlarz poglądów politycznych. Obok działaczy jakobińskiej lewicy:

Orchowskiego i Gorzkowskiego, Koziętulski mógł tam spotkać wybitnych wojskowych Księstwa – generałów: Dąbrowskiego, Zajączka, Niemojewskiego, Roźnieckiego, Fiszera oraz pułkowników: Sierawskiego, Trzecieckiego, Paszkowskiego. Z czasem owe zebrania obywatelskie na Miodowej miały się przerodzić w szeroko rozgałęziony spisek antynapoleoński, wysuwający hasła: samodzielnej odbudowy Polski w granicach

Koziętulski t. I

275

przedrozbiorowych, powstania narodowego we wszystkich trzech zaborach, wezwania na wodza Tadeusza Kościuszki. Ale w okresie urlopu Koziętulskiego wszystkie te plany (udałremni one zresztą później przez śmierć Feliksa Potockiego i przez wojnę z Rosją) były dopiero w zarodku i nie ma żadnych podstaw do przypuszczeń, że napoleońskiego gwardzistę wtajemniczano w ich szczegóły.

Odnośnie powiązań Koziętulskiego z Potockimi z Miodowej można snuć tylko mniej lub bardziej śmiałe domysły, natomiast jego bliskie stosunki z inną gałęzią tego magnackiego rodu są udowodnione w sposób nie wzbudzający żadnych wątpliwości. Pierwsze – po trzech latach rozłąki – spotkanie z piękną Emmą Potocką odbyło się najprawdopodobniej w rezydencji Raczyńskich na Krakowskim Przedmieściu, gdzie pani Sewerynowa Potocką z córkami mieszkała w karnawale 1810 roku. Ale mogło do tego spotkania dojść także gdzie indziej, na przykład w pałacu ministra Feliksa Łubieńskiego na Królewskiej, gdzie spędzał urlop najserdeczniejszy przyjaciel Jana Leona Hipolita, kapitan Franciszek Łubieński, starający się w tym czasie o rękę Pauliny Potockiej, młodszej siostry Emmy – albo też (i to byłaby ewentualność najromantyczniejsza) w... łoży wolnomularskiej na Lesznie.

Z pamiętników szwoleżerskich wynika, że masonami byli niemal wszyscy oficerowie polskiego pułku gwardii. Większość ich należała do „Łoży Braci Połączonych Polaków”, której wielkim mistrzem był pułkownik Wincenty Krasiński. Łoża ta mieściła się w pałacu Działyńskich na Lesznie. Otóż zimą roku 1810 – podczas pobytu Koziętulskiego w Warszawie – w tymże samym pałacu Działyńskich otwarto łożę kobiet pod nazwą „Eden”. Nowa łoża – do której należały między innymi: pani Sewerynowa Potocką i jej córki – była powiązana organizacyjnie z „Łożą Braci Połączonych Polaków”;

świadczy o tym chociażby fakt, że Wincenty Krasiński oddelegował do „Edenu” w charakterze „mistrza straszliwego” swego kuzyna – majora Józefa Krasińskiego. Nie jest więc wcale

276

wykluczone, że pierwsze spotkanie Jana Leona Hipolita Kozietulskiego z Emmą Potocką mogło się odbyć w takiej samej scenerii, jak powieściowe spotkanie Rafała Olbromskiego z Heleną de With. Ponieważ w późniejszych listach Jana Leona Hipolita odnajdziemy sporo wzmianek na temat „Panny E...” – warto zaznajomić się bliżej z nią, z jej rodziną, a także z innym – szczęśliwszym od Kozietulskiego – konkurentem do jej serca i ręki.

Najwięcej informacji w tym przedmiocie dostarcza Leon Dembowski, pamiętnikarz blisko związany z Puławami, które panie Potockie traktowały jak swój drugi dom.

„Do stałych gości Puław, a nawet jakby domowników – pisze Dembowski – należała pani Sewerynowa Potocka, elegantka warszawska, mająca pretensją do serca Stanisława Augusta, z domu Sapieżanka, siostra księcia Franciszka Sapiehy, pani Jelskiej i pani Sołtykowej. Początkowo zaślubiona księciu Hieronimowi Sanguszcze, wojewodzie wołyńskiemu, po rozwodzie z nim wyszła za Seweryna Potockiego, ' krajczyca koronnego, brata Jana, słynnego z podróży swych i dzieł, już dzisiaj rzadkich, w języku francuskim pisanych (m. in. Rękopisu znalezione w Saragossie – M.B.)... Cztery jej córki otrzymały edukacją przy niej, a właściwie w Puławach, lecz tylko najstarsza z nich Emmą posiadała wyłączną miłość matki, trzy inne: Paulina, Wanda i Seweryna... mało zdawały się matkę obchodzić... Pani Sewerynowa... pełna zawsze dowcipu i rozumu, towarzyska i choć z Potoczczyzny i Sapiehów dumna, umiała dumę tę doskonale ukrywać i zastosować się do towarzystwa, w jakim się znajdowała. W Puławach ona była duszą i filarem wszystkich amatorskich teatrów, doskonale grała sama przyjęte na się role i umiejętnie innych do ich wypełnienia dobierać umiała. Innych sukien nie nosiła jak tylko białe, ale że w stroju zaniedbana była, te więc zwykle wyglądały popielato.

Panna Emma, posiadając wyłączną miłość matki, siostry swe traktowała z góry. Z powodu dumnego charakteru nie bardzo

ją lubiano, a z młodzieży puławskiej nikt jej nie hołdował, co matkę jej niemało bolało. Największe staranie matki było ułować dla córki księcia Dominika Radziwiłła, ale ten ani myślał o tem... Pani Sewerynowa znajdowała, że dla Potockiej, wnuczki Sapiehów... szlachecka partya c'est une mesalliance, dla Emmy tylko mitra, a już w ostatnim razie hrabiowska korona mogła być odpowiednią. Tak tedy przebierając Emka doczekała się półtrzecia krzyżyka. Tymczasem panna Paulina wydana została za Franciszka Łubieńskiego, Wanda naprzód za margrabiego Wielopolskiego, a później jako rozwódka za Uruskiego, a Emma jak siedziała tak siedziała...

W roku 1809 (z 1809 na 1810 r. – M.B.) w zimie przybyła pani Sewerynowa z córkami do Warszawy i... otworzyła

salony. Będąc sama dowcipna, przyjemna i majątna, nie potrzebowała gości ściągać i apartamenta jej zaludniały się łatwo. Owóż między gośćmi zjawił się także major Strzyżewski. Z kampanii w roku 1809 pozostało mu jedno wspomnienie, jak jedynie za pomocą odwagi i przytomności umysłu dokonał rzeczy w wojennej historii dość rzadkiej. Był on podówczas kapitanem i z podjazdem złożonym z czterech ułanów zapędził się pod miasto Brzeżany. Tam stał na kwaterach oddział austriacki częścią z wojska, a częścią z rekrutów złożony i do 4000 ludzi liczący. Strzyżewski, nie spotkawszy żadnych placówek, wjechał do miasta i tu dopiero spostrzegł, że sam wlaźł w garść nieprzyjacielowi. Udaje więc parlamentarza, pyta o kwaterę jenerała i wszedłszy zastaje go jeszcze w łóżku. Nie tracąc więc chwili, mówi do niego: «Jesteś w Brzeżanach otoczony, my panami miasta, poddaj się ze swoją komendą albo ci w łeb wypalę». Spisano kapitulacją i tak w pięć osób wzięto do niewoli cztery tysiące ludzi bez wystrzału. Strzyżewski, posunięty na majora i ozdobiony dwoma krzyżami za waleczność, miał za sobą urok bohaterstwa. I choć nie był ani młody, ani piękny, owszem chudy, wysoki i czarny, tak samo jak wymógł kapitulacją na jenerale austriackim, wziął szturmem serce panny Emmy. Ta oświadczyła matce stanowczo, że

278

oczekując na książęce partye, starą panną zostać nie myśli i za Strzyżewskiego wyjdzie. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie na panią Sewerynowa to wywarło, zwłaszcza że posuwając swe inwestygacje co do osoby majora Strzyżewskiego, miała wyśledzić, że ojciec jego był koniuszym u któregoś z panów polskich. Wszędzie więc jeździła i przed wszystkimi rozwodziła żale, że nie do pojęcia jest, aby córka Potockiego, potomka Rewery i wnuczka Sapiehy, oddała rękę pierwszemu lepszemu, i zapowiedziała córce, że na związek ten za życia swego nie dozwoli. W tym czasie o rękę Emmy starał się także jenerał Sokolnicki, równie okryty sławą, ale stary i schorzały. Złe ludzkie języki utrzymywały, że panna więcej przychylności okazywała adiutantowi jenerała, młodemu i przystojnemu Janowi Jezierskiemu. Wszelako ani te nowe konkury ani opozycja matki nie mogły przełamać uporu córki i po roku walk domowych cichaczem ślub ze Strzyżewskim zawarty, został. Matka niedługo zmartwienie to przeżyła, bo w roku 1814 w Pniewie na apopleksyą umarła".

Taka była owa piękna Emka Potocka, taka była jej czcigodna mamusia i tacy byli Emki adoratorzy. Patriotyzm kapryśnej pannicy przejawiał się głównie w tym, że uwodziła bohaterów wojen o niepodległość. Generał Michał Sokolnicki, jeden z głównych zwycięzców kampanii galicyjskiej, zakochał się w niej bez pamięci. Sędziwy kombatant ośmieszył się podobno przed całą Polską, błagając swą wybrankę na klęczkach o wzajemność na którymś z balów puławskich.

Z zestawienia listów pani Nakwaskiej z późniejszą kores-

pondencją Koziętulskiego wynika, że jego romans z Emmą | rozgrywał się bezpośrednio po „kapitulacji” Sokolnickiego, ,1 a równocześnie ze „szturmami” Strzyżewskiego. Rywalizację! dwóch bohaterów ostatniej wojny zaostreć jeszcze musiały! animozje istniejące między oficerami Księstwa a arystokratyczną! gwardią „wysługującą się Napoleonowi”. W bojach o serce' Emki młody przystojny zdobywca Somosierry i Wagram pokonywał bez trudu brzydkiego i starszego zdobywcę Brzeżan –

–Koziętulski t. I

\

279

ale tylko do końca swego pobytu w Warszawie. Po odjeździe przystojnego szefa szwadronu stało się dokładnie tak, jak przewidziała znająca życie prefektowa Nakwaska: Emka wzięła .sobie na męża brzydkiego majora, który pozostał na placu. O dalszych perypetiach tej historii, „reżyserowanych” przez matkę Emmy, dowiemy się z późniejszych listów naszego bohatera.

Dziwne jednak, że Dembowski nie wspomina ani słowem o zalotach Koziętulskiego. Albo wynikało to ze zwykłego przecoczenia, całkowicie zrozumiałego w pamiętniku, pisanym z perspektywy wielu lat, albo też „szaleństwo” Jana Leona Hipolita nie było aż tak poważne i rzucające się w oczy, jak usiłuje to sugerować pani Nakwaska. Za tą drugą hipotezą przemawiają wzmianki w późniejszych listach; wynika z nich niezbitie, że „stroną zrywającą” w romansie był właśnie Koziętulski. Najprawdopodobniej panna odmawiała kawalera od powrotu do Francji i ciągnęła go przed ołtarz, a kawaler – wbrew swoim niedawnym zamierzeniom małżeńskim – nie mógł się na to zdecydować i z Warszawy wyjechał, pozostawiając dumną Emkę w stanie ciężkiej obrazy. Zemściła się też szybko wychodząc za mąż za Strzyżewskiego.

Myliła się chyba pani Nakwaska twierdząc, jakoby to z powodu Emmy Koziętulski był „w rozpacz”, że musi niedługo wyjeżdżać”. Prawdziwe przyczyny jego rozterki ujawnia list, który przytoczę w zakończeniu tego rozdziału. Jan Leon Hipolit opuszczając kraj bolał przede wszystkim nad rozstaniem z matką i siostrą. Nie „amory” z Emmą Potocką, nie spotkania z dawno nie widzianymi przyjaciółmi, lecz właśnie dni spędzone w gronie rodzinnym zachował w pamięci jako najważniejszą i najpiękniejszą treść swego trzymiesięcznego urlopu.

Pierwszą wizytę rodzinną złożył oczywiście w Małej Wsi. Przypuszczam, że klucznicą Walickich, pani Jakubowska,

robiła co mogła, aby go zadziwić swymi smakowitymi sosami, do których tak wzdychał w listach nadsyłanych z Hiszpanii i Austrii. W czasie przyrządzania owych sosów zacna kobieta

280

nie oszczędzała pewnie Napoleona, który swoją blokadą kontynentalną doprowadził do tego, że ani w Grójcu, ani nawet w Warszawie nie można było kupić najpotrzebniejszych w gospodarstwie przypraw korzennych.

Prawdopodobnie dopiero w Małej Wsi pod Grójcem Jan Leon Hipolit Koziętulski uświadomił sobie po raz pierwszy, że wbrew pozorom nie był jedynym członkiem rodziny, czynnie uczestniczącym w epopei napoleońskiej. W tym samym czasie, kiedy on na czele lekkokonnych zdobywał hiszpańską Somosierrę, jego siostra i matka – równie heroicznie, choć mniej efektownie – walczyły w Małej Wsi i w Kompinie o uchronienie swojej „małej familii” przed trudnościami powszedniego dnia wojny. Jan Leon Hipolit uzyskał za swoje boje dwa krzyże Legii Honorowej i krzyż *Virtuti Militari*, o bojach pani Klementyny i pani Maryanny świadczą papiery rodzinne Walickich, przetrwałe do dziś w Archiwum Głównym Akt Dawnych W Warszawie. Dla przykładu zacytuję fragmenty z listów wymienianych przez te panie w listopadzie 1808 roku:

„...a widzę Cię, moia Clemenciu, zapominającą o zdrowiu, mozolącą się nieustannie zaradzaniem interesów, y odmawiającą sobie często aż do prawdziwych potrzeb, dla zmniejszenia wydatków. Bardzo dobrze kochać dzieci, żeby ich bytowanie nie było pogorszone, nie potrzeba jednak o sobie zapominać...”

„...Jeszcze Marynia to i z kartofli była by kontenta, ale Mały Krokodylek z Braćmi to dla tych już zapewne nic innego jak mięso...”

„...Jeżeli tam będzie JW Kuczyński, proś iego iak najmocniej, żeby mi znalazł kupca na moje konie, ale żeby nie powiedział, że to u mnie, gdyż ia przed memi ludźmi mówię, że mam tylko dwa, a dwa mego syna...”

„...Względem pieniędzy wiesz, że ja tych nie tknęłam, tylko co wyekspensował Brat, więc potrzeba te same dołożyć, które •wzion, talerów 689...”

Nie sądzę, aby Koziętulskiemu pokazywano tę niewesołą

;2&1

korespondencję z lat wojny, ale o kłopotach materialnych rodziny nie musiał się dowiadywać ze starych listów; ślady zniszczeń wojennych odnajdywał w Małej Wsi na każdym kroku. Kwitujące niegdyś gospodarstwo Walickich chyliło się do upadku.

Obory, wypełnione przed wojną krowami wysokiej rasy, były teraz prawie puste; większość bydła zarekwirowano na żywność dla wojska. Nie było już także pięknej stadniny Arabów, przy- czyny ciągłych zatargów między Janem Leonem Hipolitem a zmarłym szwagrem. Ulubione wierzchowce „Pana Starosty” zmobilizowano i rozpędzono po całej Europie; pozostały z nich już zapewne tylko kości, rozsiane na pobojuwiskach: Mazur, Hiszpanii, Austrii i Galicji. Tym większą radość musiał sprawić w Małej Wsi konik hiszpański, którego zdobywca Somosierry przywiódł w darze dla siostrzeńców.

Narzekania, jakich wysłuchiwał Koziętulski w Małej Wsi, nie różniły się wiele od narzekań warszawskich przyjaciół. Dochody z majątku nie wystarczały na pokrycie podatków i procentów hipotecznych. Na wsiach, wyludnionych z młodych mężczyzn, brakowało rąk do pracy na roli. Kupcy nie chcieli kupować zboża i drzewa, bo artykułów tych nie było dokąd eksportować. Pani Walicka żaliła się, że nie można nigdzie dostać kawy, cukru trzcinowego, a przede wszystkim lekarstw, które przed wojną importowano głównie z Anglii. Ten ostatni skutek blokady kontynentalnej musiano odczuwać w Małej Wsi specjalnie dotkliwie, gdyż – jak wynika z korespondencji – rodzina Jana Leona Hipolita nie cieszyła się najlepszym zdro- wiem. Starościna będzińska skarżyła się w listach do córki na częsty „bul” głowy, który osłabiał jej pamięć. Pani Klemen- tyna miewała „znaczne bardzo rozpieranie w piersiach, plecach, bokach y trochy nawet y w krzyżach”. Starsze dzieci: dziewięcio- letnia Marynia, ośmioletni Oleś i sześciolatek Antoś były wątłe i przy lada okazji zapadały na „febrę”. W całej rodzinie jedyną osobą naprawdę zdrową była chrześniaczka „wujka Jasia”, trzyletnia Józiulka, przezywana przez babcię „Małym Krokodylkiem”.

282

Przy przeglądaniu archiwum Małej Wsi natknąłem się na zabawny dokument, dotyczący właśnie Małego Krokodylka. Jest to dydaktyczny wierszyk, napisany przez panią Walicką dla najmłodszej córeczki prawdopodobnie w roku 1812. Wspo- miąłem już poprzednio, że dzielna siostra Koziętulskiego» pomimo nawału innych prac i kłopotów, zajmowała się jeszcze osobiście wychowywaniem swojej „małej rodziny”; wzruszające rymy sprzed półtora wieku w pełni to potwierdzają. Oto w jaki sposób troskliwa matka starała się zachęcać Krokodylka do nauki i posłuszeństwa:

Juziulku, gdy będziesz grzeczna,
Nie grymasna, nie sprzeczna,
Gdy czasu w szkole nie stracisz daremnie,
Wszystko mieć będziesz ode mnie.
Modne rękawiczki,
Bieu celeste * trzewiczki,
Kolczyki paradne
I pierścionki ładne.
Piękne chustki, suknie, wstażki
I haftowane podwiązki.
Nauczysz się abecadła!

Będziesz •wiśnie, gruszki iadła.
Będą kremy, cukry, lody,
Dróżka do Twoiey wygody.
Ale jak będą halasy,
Upór, krzyki, grymasy,
Wezmę wszystkie perkate,
Jużiulku, idzie tu o Cię,
Brzozowska * będzie w robocie.

Po nacieszeniu się (i namartwieniu) Małą Wsią Jan Leon Hipolit pojechał do Kompiny. Do tej drugiej wizyty rodzinnej nagliły go różne względy. Przede wszystkim: szacunek należny matce i tęsknota do krajobrazu równin łowickich, wśród których

* błękitne.

* różga

283

się wychował i które tak często wspominał w listach. Ale poza tym miał jeszcze do załatwienia dwie ważne sprawy w samym Łowiczu: musiał udobruchać obrażonego przyjaciela rodziny, kanonika Wiercińskiego, oraz uzyskać od kapituły łowickiej odroczenie płatności sumy 5175 złotych polskich, którą pożyczył sobie lekkomyślnie na trzy lata, jadąc na wojnę jesienią 1806 roku.

Atmosfera polityczna pierwszych miesięcy roku 1810 nie stwarzała dobrych warunków do rozmów między żołnierzami a duchownymi. Kościół katolicki znajdował się w otwartej wojnie z Napoleonem. Dekretem z 17 maja 1809 roku cesarz zniósł władzę świecką papieża i wcielił Rzym do Cesarstwa. Papież odpowiedział na to ekskomuniką wszystkich, „którzy popełnili, nakazali, popierali lub doradzali zamachy na Stolicę Ap3stolską”. Przy zastosowaniu interpretacji rozszerzającej, klątwa papieska odnosiła się nie tylko do Napoleona, lecz także do „popierającego” go Kozietulskiego. W tym czasie mniej więcej kiedy Jan Leon Hipolit jechał do Kompiny, gazety warszawskie podawały do wiadomości publicznej treść dekretu stanowiącego „niepodległość tronu cesarskiego wszelkiej władzy ziemskiej”. W całym Księstwie krążyły paniczne plotki, zapowiadające zniesienie „wszystkich klasztorów zakonnych obojej płci” oraz konfiskatę dóbr kościelnych. Jest więc rzeczą zupełnie prawdopodobną, że kanonicy łowiccy – nie bacząc na przyjaźń z rodziną Kozietulskich – przybywającego z Paryża szwoleżera napoleońskiego potraktowali jak wysłannika piekieł.

Starsza pani Kozietulska musiała ciężko przeżywać wojnę Napoleona z Kościołem. Młody szwoleżer mógł się tymi sprawami nie przejmować, a nawet wyciągać z nich dla siebie pewne korzyści, gdyż zastraszeni księża, przy całym zagniewaniu na cesarza, nie ośmielali się zbyt energicznie egzekwować długu od jego gwardzisty. Co innego starościna będzińska, krewna i spad-

kobierczyńskim prymasem Ostrowskim, wieloletnia użytkowniczka dóbr arcybiskupich, zaufana przyjaciółka biskupów i prałatów, najbliższa sąsiadka kapituły łowickiej. Pani Koziętulska z tru-

284

dem zносиła ciężar tego zmartwienia. Fakt, że jej ukochany Jasio, którego przy każdej okazji starała się umocnić w przywiązaniu do wiary katolickiej, był podwładnym człowiekiem, objętego papieską ekskomuniką – mógł zatruć jej całkowicie radość pierwszego spotkania z jedynakiem. Tym bardziej że szef Jasia nie ograniczył się do odebrania papieżowi Rzymu i władzy świeckiej, lecz wtrącał się także do spraw kościelnych w Polsce, i to spraw szczególnie bliskich sercu pani starościny – powążył się targnąć na święty sakrament małżeństwa! W Księstwie wprowadzono francuski kodeks cywilny wraz z przewidzianą w nim instytucją cywilnych ślubów i rozwodów. Biskupi polscy zareagowali na to zbiorowym protestem. Stanowisko kleru częściowo poparł rządowy specjalista od łagodzenia zbyt radykalnych reform francuskich, minister Feliks Łubieński, i za zgodą króla, równie jak on żarliwego katolika, „uczynił te śluby i rozwody martwą literą w całym Księstwie, prócz Warszawy”. Osiągnął to w sposób prosty: urzędnikami stanu cywilnego na wsi i w mniejszych miastach mianował lokalnych proboszczów. W rezultacie mieszkańcy prowincji mogli zawierać ślub cywilny tylko łącznie ze ślubem kościelnym, a „kapłan-urzędnik uwolniony był od ogłaszania rozwodów prosto cywilnych jako też od dawania ślubów takim, którzy się rozwiedli”. Ale na stolicę Łubieński tej modyfikacji kodeksu nie rozciągnął; tam, zgodnie z literą nowego prawa, sprawy stanu cywilnego przekazano świeckim funkcjonariuszom państwowym. „Minister tłumaczył to równością stołecznej ludności, złożonej z katolików, protestantów i unitów – pisze ówczesny kronikarz – prawdopodobnie jednak inny miał powód do takiego wyjątku, to jest obawę, ażeby Napoleona zbyt nie obrazić”. W Warszawie można więc było zawrzeć małżeństwo u urzędnika, który nie był księdzem, i można było to małżeństwo rozwiązać w sądzie, który nie był trybunałem konsystorskim. Ludzie pokroju zacnej starościny będzińskiej uważali nowy stan rzeczy za „ulegalizowaną rozpustę” i głośno wyrzekali na stołeczne rozluźnienie obyczajów. Starsza pani Koziętulska nie nakłaniała już syna do

285

ożenku z taką gorliwością jak dawniej; Po wprowadzeniu Kodeksu Napoleona, warszawska „piękna” – o której flirtach i niestałości tyle plotek opowiadano dookoła – musiała się wydawać matronie z Kompiny szczególnie niebezpieczną „partytą” dla jej „prędkiego” Jasia.

Ciekawe, czy Jan Leon Hipolit, podczas swego pobytu w Kompinie i w Łowiczu, odwiedził także pobliskie Walewice? Zdawać by się mogło, że ożywione stosunki między „panią Anastazową” a szwoleżerami w okresie wiedeńskim – jak naj-

bardziej go do takich odwiedzin upoważniały, a nawet zobowiązywały. Tylko że ówczesna sytuacja w Walewicach nie bardzo sprzyjała składaniu wizyt.

W wyniku paromiesięcznej idylli w Meidling pani Walewska powróciła do kraju w stanie, który w owej dworskiej epoce określano zazwyczaj jako „interesujący”. Ludzie dobrze poinformowani nie mieli wątpliwości, kto był tego stanu sprawcą;

nie miał również takich wątpliwości stary szambelan Anastazy Walewski. „Słodka Maria” nie mogła w tych warunkach zdecydować się na przyjazd do mężowskich Walewic i zatrzymała się u swej rodziny w Kiernozi. Ale kłopotliwa kwarantanna nie trwała długo; przerwała ją podobno interwencja „wysoko postawionych osób”. Napoleonowi – który po rozwodzie z Józefiną przygotowywał się właśnie do nowego małżeństwa z córką cesarza Austrii – zależało widocznie na tym, aby dziecko „polskiej hrabiny” urodziło się jako legalna latorośl rodu Colonna-Walewskich. W styczniu 1810 roku przyjechała do Kiernozi siostra starego szambelana, księżna Stanisławowa Jabłonowska, i po krótkich perswazjach przewiozła wiarołąmną bratową do rodowej rezydencji. W pustych Walewicach czekał na Marię uprzejmy list od męża. Pan Anastazy usprawiedliwiał się przed „drogą żoną”, że względy zdrowotne zmuszają go do wyjazdu, i pozostawiał do jej dyspozycji pałac walewicki, ponieważ „wydaje się on jedynym odpowiednim miejscem, w którym nowy Walewski powinien po raz pierwszy ujrzeć światło dzienne”.

286

Szczegóły tej „tragikomedii obyczajowej z życia wyższych sfer” były szeroko komentowane w okolicznych dworach ziemiańskich, jako że krewni szambelana, roztaczający opiekę nad „polską małżonką Napoleona”, nie należeli do osób najdyskretniejszych. Pryncypialnej starościnie będzińskiej nie mogło się to wszystko podobać, przypuszczam też, że zdołała odwieść jednaka od niewczesnej eskapady do Walewic.

Chyba i sam Koziętulski nie kwapił się zbyt do rozmowy z cesarską faworytą. Bo o czym miałyby rozmawiać z przyszłą matką napoleonidy? Przecież nie o nowym małżeństwie ojca jej dziecka?

A właśnie o tym rozmawiano wtedy najwięcej. Księstwo trzęsło się od plotek i komentarzy na ten temat. W gazetach roiło się od doniesień z Paryża i z Wiednia. „Co dzień to insza nowina!” Arcykanclerz Cesarstwa Cambaceres zawiadamia senat francuski o rozwodzie Napoleona z Józefiną... Marszałek Berthier, książę Neufchatel i Wagram, jedzie do Wiednia po nową oblubienicę cesarza, arcyksiężniczkę Marię Ludwikę... Kolejny oddział polskich szwoleżerów gwardii, udający się do Hiszpanii pod dowództwem kapitana Pawła Jerzmanowskiego, zostaje zawrócony z drogi i wyznaczony na eskortę honorową przyszłej cesarzowej... Do Paryża zjeżdżają się na uroczystości zaślubin królowie i książęta z całej Europy... Wieszczy okolicznościowy, niezawodny Marcin Molski, wysławia

w Gazecie Warszawskiej związek dwóch domów cesarskich:

...Miłość sławnych w każdym względzie
Towarzyszką bywa ludzi.
Nie był wielkim i nie będzie,
Którego ta nie obudzi...

„Jey opieka nad ludami
Gasi pochodnie niezgody
I minione widokami
Zbliża do siebie Narody.

287

Tak dziś na głos Polityki
Nagle z nieba jest zesłana,
By wzięwszy postać Ludwiki.
Złączyła Dunaj z Sekwaną.

Sprawa rozwodu i powtórnego małżeństwa cesarza znalazła się na porządku dziennym bezpośrednio po zakończeniu kampanii austriackiej. Przyczyniły się do tego prawdopodobnie dwa fakty: zamach Steppsa i (o ironio!) ciąża Walewskiej. Nieudany zamach w Schoenbrunnie uprzytomnił Napoleonowi konieczność jak najszybszego utrwalenia dynastii, ciąża kochanki przekonała go ostatecznie, że nie on, lecz Józefina ponosi winę za dotychczasowy brak następcy tronu. Cesarz był szczerze przywiązany do swej rozrzutnej, niewiernej żony i rozstanie z nią nie było dla niego łatwe. Zdecydował się jednak na nie. „Polityka nie ma serca, posiada tylko głowę” – powiedział w pięknym przemówieniu pożegnalnym, skierowanym do Józefiny.

Polityka wymagała, aby nowe małżeństwo cesarza Zachodu przyczyniło się nie tylko do utrwalenia dynastii Bonapartych, ale także do utrwalenia pokoju w Europie. Ponieważ powiązania dynastyczne wywierały wtedy jeszcze znaczny wpływ na stosunki między narodami, rolę „gołębiczy pokoju” miała odegrać jedna z dwóch, wysoko urodzonych panien: szesnastoletnia wielka księżniczka Anna, młodsza siostra cara Aleksandra, bądź osiemnastoletnia arcyksiężniczka Maria Ludwika, najstarsza córka cesarza austriackiego Franciszka I. Zgadzało się to z całą dotychczasową polityką Napoleona; już przed trzema laty, po bitwie pod Iławą, pisał przecież do Talleyranda:

„...Spokojność Europy nie zostanie stale zapewniona, aż wtedy gdy Francja i Austria lub Francja i Rosja będą szły jedną drogą”.

Maria Ludwika zwróciła na siebie uwagę Napoleona po raz pierwszy w okolicznościach dość osobliwych. W maju 1809 roku, podczas bombardowania Wiednia przez artylerię francuską, zgłosili się do cesarza parlamentariusze austriaccy z prośbą,

288

aby nie ostrzelowano jednego ze skrzydeł zamku wiedeńskiego, gdyż przebywa tam chora na ospę najstarsza arcyksiężniczka.

Wieść o tym fakcie rozeszła się szeroko wśród armii i dotarła także do szwoleżerów, budząc w czułych sercach polskich sympatię dla chorej Austriaczki. Nie przewidywano wówczas, że ta właśnie arcyksiężniczka zajmie kiedyś miejsce popularnej wśród Polaków „Madonny Zwycięstwa”.

Napoleon również zachował w pamięci ów niezwykle epizod wojenny, ale po wojnie, kiedy przyszło wybierać kandydatkę na żonę, pierwsze konkury skierował nie do Wiednia, lecz do Petersburga. Zależało mu przede wszystkim na umocnieniu przy-
mierza z silną a niepewną Rosją; pokonana Austria była już wystarczająco poddana jego wpływowi.

Konkury rosyjskie, prowadzone za pośrednictwem posła francuskiego w Petersburgu, Caulaincourta, ciągnęły się przez grudzień 1809 roku i styczeń 1810 roku, ale napotykały poważny opór. Sprzeciwiało się zdecydowanie temu małżeństwu arystokratyczne stronnictwo cesarzowej-matki. Stara caryca Maria Teodorówna nie mogła się pogodzić z myślą wydania ulubionej wnuczki za francuskiego „potwora”, arystokraci-obszarnicy nienawidzili Napoleona, gdyż coraz bardziej dokuczała

irn blokada kontynentalna.

W związku z konkurami petersburskimi wypłynęła także sprawa polska. W zamian za bliżej nie sprecyzowane obietnice matrymonialne Aleksander starał się wymóc na Napoleonie podpisanie konwencji stwierdzającej, że „królestwo polskie nie będzie nigdy odbudowane”. Z przekazów źródłowych wynika, że cesarz Francuzów skłonny był taką konwencję podpisać, lecz pod warunkiem, że zostanie ona potraktowana jako tajna. Natomiast car żądał stanowczo jej opublikowania. Ponieważ dwór petersburski ciągle uchylał się od wyraźnej odpowiedzi w sprawie zamierzonego małżeństwa, a z pertraktacji na temat konwencji polskiej wynikało coraz wyraźniej, że jedynym jej celem jest skompromitowanie francuskiego sprzymierzeńca w oczach Polaków – Napoleon odmienił całkowicie swe zamiary:

289

w pierwszych dniach lutego 1810 wycofał się z rokowań z Aleksandrem, a ofertę matrymonialną skierował do Wiednia. Tam przyjęto ją natychmiast. Historyczne doświadczenia nauczyły Austrię, że wydawanie za mąż arcyksiężniczek opłaca się stokroć lepiej niż prowadzenie wojen. Cesarz Franciszek I tak samo jak stara carowa brzydził się „francuskim potworem”, ale był od niego znacznie bardziej uzależniony niż dwór petersburski.

Ostatnią część urlopu Jan Leon Hipolit spędził z całą rodziną w Warszawie. W warszawskim domu Walickiej przy ul. Bie-
łańskiej i w „pokojach” starościny będzińskiej w pałacu Ossolińskich na Tłomackiem, z dala od kłopotów gospodarskich Małej Wsi i od zagniewanych kanoników kapituły łowickiej, rozkwitła niczym nie zakłócona idylla rodzinna. Ale nie trwała

ona długo.

Kozietulski opuścił Warszawę pod koniec marca 1810 roku. Wyjeżdżał z rozdartym sercem. O jego nastrojach w czasie podróży do Francji świadczy list wysłany do siostry z Frankfurtu nad Menem.

„...Minęło tyle dni od czasu, kiedy opuściłem umiłowaną Warszawę, mówię: umiłowaną, bo po przejechaniu tak znacznej części Niemiec nic z tego, co widziałem, nie może mi powetować ani przez chwilę tego, co tam zostawiłem. Im bardziej zbliżam się do celu mojej podróży, tym bardziej pusto robi się w moim sercu. Kiedy się przygotowuję lekturą do poznania Paryża, czuję, że nic mi nie zastąpi wieczorów, które spędziłem z aniołem doskonałości i wdzięku. Toteż dzięki tym myślom mój umysł, mój rozum i wszystkie zdolności mojej duszy żałują tego i dręczą się moim stanem, ale czuję, że czas wpłynie na mnie w sposób odwrotny od tego, w jaki wpływa na innych. Ach, czyż można smakować w hałaśliwych przyjemnościach stolicy świata, kiedy się poznało przyjemności Zaufania i Przyjaźni? Czyż na zimno

290

wykonywane naśladownictwa teatralne mogą się porównać do rzeczywistych Cnót, które się podziwiała codziennie? A te świetne kostiumy, dzieci mody i luksusu, czyż mogą zastąpić Piękno, którego szczegółów nie potrafiłoby odmalować natchnienie Poetów, a język mistyczny nie ma wcale wyrażen dość czystych, dość niebiańskich, by mówić mogły o niewinności i czarze, który króluje wokoło Niej: Jej miłość do matki, do dzieci jest tak prawdziwa, jej oczy są tak czułe i słodkie, że ich spojrzenie przynosi pokój duszy, pozostawiając tam ślady, które już się nie zatra... Wybacz, tysiącrotnie wybacz, że moje listy tak mało przypominają listy podróżnego. Powierzam się ślepo transportowi, który mnie unosi, myślą jestem zawsze tak bliski Warn, że zapominam zdać Warn sprawę z tego wszystkiego, co widzę w mojej podróży, by zajmować Was tematem, który Was mało interesuje, a wymaga całej waszej cierpliwości.

Dziś opuszczamy Frankfurt i jego włoską operę, jego panią Strinavagui, jego piękne promenady, powstałe na miejscu fortyfikacji, które niedawno zburzono, jego bankierów, którzy wypłacili wszystkie kontrybucje, a pozostali jeszcze tak bogaci i jego oberże Cesarza Rzymskiego, gdzie Król Saski zapłacił 2000 dukatów za mieszkanie i 12.000 za inne koszty pobytu;

opuszczamy to wszystko, żeby się udać w ciągu trzech dni do Strassburga, gdzie będę miał szczęście znaleźć wiadomości od Was.

Spotkałem tu panią Bourgoing (żona posła francuskiego przy dworze saskim – M. B.), która mnie przyjęła z największą poczciwością. Mówiła mi o pobycie w Warszawie prawie z takim samym entuzjazmem, z jakim ja mówię o moich wieczorach na Tłomackiem, byłem oczarowany, kiedy usłyszałem jej słowa, że w Paryżu znajdę więcej przyjemności, ale mniej towarzystwa niż w Warszawie. A propos przejazdu Króla (Fryderyk August,

król saski i książę warszawski, wracał wtedy z Paryża do Drezna-
M. B.) zapomniałem ci powiedzieć, że podróżuje on z całą
rodziną i że ma w swym orszaku około 100 ekwipaży i 400 kord.
Spotkałem ich o milę za Fuldą. Zbliżyłem się do powozu księcia

291

Maksymiliana (brat Fryderyka Augusta - M. B.) w chwili,
kiedy wymieniał konie, i spotkałem go z prawdziwą przyjemno-
ścią. Ma on czarujące córki i jego powóz napełniony dziećmi,
które uwielbia, to prawdziwe gniazdko. Spędziliśmy wieczór
z pułkownikiem Pakoszem (dawny adiutant gen. Dąbrowskiego-
M. B.), który otrzymał pozwolenie króla na to, by zawrócić
z drogi i rozmawiać ze mną całą noc... Żegnaj, hrabino, żegnaj,
Mamo, żegnajcie, Mario, Aleksandrze, Antoni, Józefino.
Żegnajcie wszyscy, których już może nie zobaczę".

Złe przecucie, wyrażone w ostatnich słowach tego listu, miało
się częściowo sprawdzić. Swojej ulubienicy Maryni i Antosia
nie zobaczył już Koziętulski nigdy.

SPIS RZECZY

Zielone teczki

PROLOG

Zabawy paniczów . .
Pierwsi napoleończycy .
Napoleon w Warszawie
Narodziny szwoleżerów .

13

34

63

93

SZWOLEŻERSKIE LATA

W Hiszpanii .
Kampania austriacka
Warszawski urlop .

135

221

260